

Małe eksperymenty ze szczęściem

Sekretny dziennik
Hendrika Groena, lat 83 i $\frac{1}{4}$



O książce

Najbardziej zaskakująca i tajemnicza książka 2016 roku!

Dziennik, w którym nie ma tabu.

**Autor, który nie zamierza się ujawnić,
i temat, do którego podchodzi się z dystansem.**

**Międzynarodowy fenomen i jedna z najlepiej sprzedających się
książek w Holandii – teraz w Polsce.**

Pełen wlotów i upadków rok z życia mieszkańca domu spokojnej starości w Amsterdamie. Przedstawiony w krótkich, szczerych i niezwykle zabawnych wpisach do dziennika.

Hendrik Groen – emocjonalny, ironiczny i piekielnie inteligentny – to połączenie nastoletniego Adriana Mole’a i roztrzepanej Bridget Jones. Podobne poczucie humoru, absurdalne przygody i głębokie filozoficzne przemyślenia podane jak najbardziej wysmakowane anegdoty.

Przygotujcie się na jazdę bez trzymanki!

Małe eksperymenty ze szczęściem

Sekretny dziennik
Hendrika Groena, lat 83 i ¼

Z niderlandzkiego przełożył
RYSZARD TURCZYN



Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
POGINGEN IETS VAN HET LEVEN TE MAKEN.
HET GEHEIME DAGBOEK VAN HENDRIK GROEN, 83¼ JAAR

Copyright © Hendrik Groen en J.M. Meulenhoff bv, Amsterdam 2014
All rights reserved
Published by special arrangement with Meulenhoff Boekerij B.V. in conjunction
with their duly appointed agent and co-agent 2 Seas Literary Agency
and Graal Sp. z o.o.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2016

Polish translation copyright © Ryszard Turczyn 2016

Redakcja: Monika Strzelczyk

Ilustracje na okładce: Victor Meijer

Opracowanie graficzne okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-319-9

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, [88em](#)

Wtorek, 1 stycznia 2013

W tym roku też nie będę lubił starszków. To dreptanie z balkonikami, zniecierpliwienie bez powodu, wieczne narzekania, ciasteczka do herbaty, całe to wzdychanie i stękanie.

Sam mam lat 83 i ¼.

Środa, 2 stycznia

Wysypało się dużo cukru pudru. Żeby go zetrzeć ściereczką, pani Smit zdjęła ze stołu półmisek z rożkami z nadzieniem jabłkowym i postawiła na krześle.

Przyszła pani Voorthuizen, usiadła swoim wielkim dupskiem na rożkach i nawet tego nie zauważyła.

Dopiero kiedy pani Smit zaczęła szukać półmiska, żeby z powrotem postawić go na stole, ktoś wpadł na pomysł, by zajrzeć pod panią Voorthuizen. Kiedy wstała, trzy rożki miała przyklejone do sukienki w kwiatki.

– Pięknie się komponują – powiedział Evert, a ja o mało się nie udusiłem ze śmiechu.

Tak wspaniały początek roku w zasadzie powinien prowadzić do wybuchu ogólnej wesołości, tymczasem stał się powodem prawie czterdziestopięciminutowej kłótni na temat tego, kto jest winny. Niektórzy zaczęli patrzeć na mnie z ukosa, pewnie dlatego, że najwyraźniej mnie to rozbawiło. No więc zacząłem bąkać przeprosiny.

Zamiast śmiać się jeszcze głośniej, bąkałem jakieś durne przeprosiny!

Bo ja, Hendrikus Gerardus Groen, staram się być zawsze w porządku, staram się być uprzejmy i pomocny. Nie dlatego, że taki właśnie jestem, ale dlatego, że tak wypada. Rzadko kiedy mówię to, co myślę. Zawsze wybieram bezpieczną drogę. Moja specjalność: żeby wilk był syty i owca cała. Moi rodzice musieli być bardzo przewidujący, skoro dali mi na imię Hendrik – grzeczniej już by się chyba nie dało.

– Znacie tego Hendrika, który zawsze tak gorliwie uchyla kapelusza, kiedy nas mija?

To właśnie ja.

Pomyślałem sobie, że jak tak dalej pójdzie, to z własnej winy wpędzę się w depresję. No i zdecydowałem, że pozwolę dojść do głosu prawdziwemu Hendrikowi Groenowi. Otóż przez cały jeden rok będę zapisywał moje nieocenzurowane spostrzeżenia z życia w domu spokojnej starości w dzielnicy Amsterdam Noord.

Zrobiłem zapis w testamencie, że jeśli umrę przed upływem roku, mój przyjaciel Evert Duiker odczyta na pogrzebie wybór fragmentów tego dziennika. Kiedy już będę leżał na marach w małej salce krematorium, starannie umyty i ogolony, niezręczną ciszę ma przerwać chropowaty głos Everta, który

odczyta oniemiałej publiczności kilka co grzeczniejszych fragmentów.

Martwię się tylko o jedno: co będzie, jak Evert umrze pierwszy?

To nie byłoby ładnie z jego strony, zwłaszcza że mam więcej chorób i obrzęków niż on. W końcu człowiek powinien móc liczyć na najlepszego przyjaciela. Pogadam z nim.

Czwartek, 3 stycznia

Evert bardzo się do tego zapalił, ale nie mógł mi zagwarantować, że mnie przeżyje. Miał też pewne zastrzeżenia. Po pierwsze, powiedział, że po odczytaniu fragmentów dziennika prawdopodobnie musiałby poszukać sobie innego domu opieki. Po drugie, martwił go stan jego sztucznej szczęki, który wiąże się z tym, że Vermeteren nie obchodzi się zbyt ostrożnie z kijem bilardowym. Od kiedy Vermeteren ma zaćmę na prawym oku, potrzebuje pomocy przy celowaniu. Evert, który zawsze jest skory do pomocy, ustawił się za nim i z nosem gdzieś na wysokości stołu dawał mu wskazówki.

– Troszkę na lewo, jeszcze odrobinę niżej i... – Zanim zdążył skończyć, Vermeteren walnął tylnym końcem kija prosto w środek sztucznej szczęki Everta. Karambol!

Wygląda na to, że Evert będzie musiał ją zmienić. Ledwie można go zrozumieć, tak sepleni. Protezę trzeba naprawić, żeby mógł czytać na moim pogrzebie. Z tym że teraz, cholera, nie ma za bardzo jak, bo nasz protetyk cierpi na wypalenie zawodowe. Dwieście kawałków rocznie, asystentka jak marzenie, trzy razy do roku na Hawajach, a i tak zestresowany. Jak to możliwe? Może miał już dosyć tych wszystkich sztucznych szczęk z resztkami jedzenia, które czasem były tam od tak dawna, że aż się w nich wykociły robaki? Że tak powiem.

Posylwestrowe oliebollen¹, które podają na dole w świetlicy, w tym roku musieli kupić w jakimś second-handzie albo co. Wczoraj rano wzięłem z uprzejmości taką jedną kulkę i żułem ją ze dwadzieścia minut, aż w końcu, udając, że rozwiązało mi się sznurowadło, zanurkowałem pod stół i włożyłem ostatni kawałek do skarpetki.

Nic dziwnego, że są tego jeszcze całe półmiski. Normalnie wszystko, co tu dają gratis, znika w sekundę.

W świetlicy zazwyczaj o 10.30 serwują kawę. Wystarczy, żeby było dwie po wpół, zanim jeszcze postawią kawę na stole, a już pierwsi pensjonariusze zaczynają znacząco popatrywać na zegarki. Zupełnie jakby mieli co innego do roboty. To samo dotyczy herbaty, która powinna być podana o 15.15.

Jedno z najbardziej intrygujących pytań dnia brzmi: Jakie dzisiaj podadzą ciasto? A więc wczoraj i przedwczoraj do kawy i herbaty oliebollen sprzed wieku. Bo „u nas” oczywiście nie ma mowy o wyrzucaniu jedzenia. Już lepiej się nim udławić.

Piątek, 4 stycznia

Wczoraj zrobiłem sobie spacer do sklepu ogrodniczego i kupiłem opakowanie cebulek. Za jakiś tydzień, kiedy wykiełkują z nich hiacynty, będę miał swoją własną wiosnę.

W większości pokoi tego ośrodka jeszcze w kwietniu można zobaczyć świąteczne wianki obok starych jak świat sansewierii i zdychających prymulek. Wszystko pod hasłem: „Grzech wyrzucić”.

Jeśli przyroda w ogóle odgrywa jakąś ożywczą rolę w życiu człowieka, to na pewno nie w salonosypialni holenderskiego staruszka. Tam bowiem sytuacja rośliny pokojowej stanowi dokładne odwzorowanie sytuacji jej opiekuna: czekanie na smutny koniec. Ponieważ taki człowiek nie ma nic

innego do roboty, a poza tym jest przeważnie zapominalski, to podlewa roślinę trzy razy dziennie. A czegoś takiego nawet sansewieria długo nie wytrzyma.

Pani Visser zaprosiła mnie na jutro przed południem na herbatę. Powinienem odmówić już choćby dlatego, że od niej zalatuje, ale powiedziałem, że chętnie zajrzę. I w ten sposób pół dnia mam z głowy. Boże, jaka ze mnie jednak ciamajda! Kiedy przychodzi co do czego, nie mam na podorędziu żadnej wymówki, więc czeka mnie gadanie o bzdurach i czerstwe ciasto. Jak jej się to udaje, że nawet najbardziej wilgotne ciasto w krótkim czasie zmienia się u niej w twardą tekturę, jest dla mnie prawdziwą zagadką. Na jeden kawałek trzeba wypić trzy filiżanki herbaty. Postanowiłem, że jutro się nie dam i odmówię drugiego kawałka. Zaczynam nowe życie.

Nowe życie w wyglansowanych do połysku butach. Spędziłem na tym cały poranek. Z samymi butami poszło mi całkiem gładko – najwięcej czasu zajęło mi usuwanie resztek pasty z mankietów koszuli. Ale teraz błyszczą jak złoto. Znaczą się buty. Co do mankietów, to je po prostu podwinąłem. Tego wyprać się nie da.

Już słyszę to gadanie: „Czym pan sobie zawsze brudzi te mankiety, panie Groen?”.

Życie tutaj składa się wyłącznie z „nigdy” albo „zawsze”. Jednego dnia jedzenie „nigdy nie jest na czas i zawsze za gorące”, a drugiego „zawsze podają za wcześnie i nigdy nie jest ciepłe”.

Zdarzało mi się, że zwracałem komuś uwagę na sprzeczność z tym, co mówił poprzednio, ale na logikę nie ma tu co liczyć.

– A pan to zawsze wie wszystko lepiej, panie Groen.

Sobota, 5 stycznia

Wczoraj przy kolacji znowu święto: w jadłospisie było nasi goreng, czyli smażony ryż po indonezyjsku. Większość tutejszych starych chłopców i dziewczynek to zatwardziali tradycjoniści, jakieś egzotyczne wygibasy nie mają u nich szans. Odpadli już wtedy, gdy w Holandii pojawiło się spaghetti, czyli gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych. Po prostu nie pasowało im to do schematu: w poniedziałek endywia, we wtorek kalafior z kaszką na mleku, w środę mielone, w czwartek fasolka szparagowa, w piątek ryba, w sobotę zupa z chlebem, a w niedzielę rostbef. Jeśli chcieli zrobić coś szalonego, to jedli we wtorek mielone, przez resztę tygodnia nie mogli wyjść ze zdumienia, że się na to odważyli.

Zagraniczne wymysły to nie dla nas. Najczęściej możemy wybierać już tydzień wcześniej jeden z trzech różnych jadłospisów, ale czasem zdarza się, że coś pójdzie nie tak. Wczoraj na przykład z niewiadomych powodów było tylko nasi goreng. Ktoś musiał pomylić dostawę albo coś w tym rodzaju. Na pewno nie była to wina naszego kucharza.

No więc mogliśmy wybierać z nasi goreng. Ci, co są na diecie, dostali chleb.

Fala oburzenia. Pani Hoogstraten van Dam, która upiera się, żeby tak właśnie się do niej zwracać, wydłubywała tylko kawałki smażonego jajka, van Gelder powiedział, że „nie będzie żarł jakiegoś nasi goreng”; wybrał tylko cały kartofel i zjadł go z solą, a gruby Bakker podniesionym głosem zażądał do ryżu sosu.

Mój przyjaciel Evert, który czasem, jak ma dosyć swoich własnych wyczynów kulinarnych, je z nami, zaproponował swoim niczego niepodjejrzejającym współbiednikom piekielnie ostry indonezyjski sos sambala, ze słowami:

– A może trochę keczupu?

Potem udawał głupiego, kiedy pani De Prijker tak się rozkaszała, że wypluła sztuczną szczękę do sałatki. Trzeba ją było wyprowadzić, bo rzeziła, jakby miała zaraz wyzionąć ducha, a chwilę potem Evert

chodził od jednej osoby do drugiej z jej sztuczną szczęką jak ze szklanym pantofelkiem Kopciuszka. I udawał urażoną niewinność, kiedy oddziałowa wezwała go na dywanik. Groził nawet, że zgłosi wszystko do inspekcji sanitarnej, bo sztuczną szczękę w sałatce rzekomo „znalazł” przypadkiem.

Przed kolacją byłem na herbacie u pani Visser. Jej paplanina jest jeszcze gorsza niż jej herbata. Powiedziałem, że doktor zakazał mi jedzenia ciasta. A dlaczego? Skłamałem, że cukier mi podskoczył. Z tego wszystkiego musiałem wziąć ze sobą całe trzy kawałki ciasta, żebym miał na później, jak mi poziom cukru znowu spadnie. Leżą teraz w akwarium na trzecim piętrze.

Niedziela, 6 stycznia

Zaczynam coraz bardziej popuszczać. Białe majtki znakomicie nadają się do tego, żeby żółte plamy były na nich świetnie widoczne. Żółte majtki byłyby bardziej wskazane. Okropnie się wstydzę tych pań z naszej pralni. Teraz robię więc tak, że sam, zanim oddam bieliznę, ręcznie spieram te najgorsze plamy. Można powiedzieć, że to takie pranie przedprzedwstępne. Jeślibym całkiem przestał dawać rzeczy do prania, wzbudziłoby to podejrzenia.

– Na pewno włożył pan czystą bieliznę, panie Groen? – spytałaby ta gruba pani z personelu sprzątającego.

– Nie, gruba pani z personelu sprzątającego, te gacie tak mi już przyrosły do mojego starego dupska, że będę je nosił do końca życia – miałbym wtedy ochotę odpowiedzieć.

Dzisiaj jest trudny dzień: ciało skrzypi we wszystkich zawiasach. Jest coraz gorzej i nie da się tego powstrzymać. Człowiek ma najwyżej jeden lepszy dzień, kiedy to czy owo mniej mu dolega, ale żeby tak się czuć naprawdę dobrze... Takie coś już się nie zdarza. Nie ma mowy, żeby nagle odrosły człowiekowi włosy. Przynajmniej nie te na głowie, bo w nosie i w uszach krzaczory aż miło. Żyły też się nagle same nie przetkają. Guzy nie znikną, a ten kran na dole nie przestanie kapać. To droga jednokierunkowa do trumny. Nigdy już człowiek nie będzie młodszy, ani o jeden dzień, jedną godzinę czy choćby minutę.

Zaczynam gderać jak jakiś staruch. Skoro już mam na to ochotę, to lepiej od razu zejść na dół do świetlicy. Dla tych, co tam siedzą, to rozrywka numer jeden. Nie pamiętam, by minęło więcej niż pół godziny, żeby ktoś nie zaczął gadać o jakiejś chorobie.

Coś mi się wydaje, że nie jestem w najlepszym nastroju. Wszyscy myślą sobie, że człowiek stary to ma dobrze, bo nic nie musi, ale to, cholera, nie do końca tak jest.

Czas na spacer, w końcu jest niedzielne południe. Potem trochę Mozarta przy solidnym kieliszku koniaku. Może jeszcze wpadnę na chwilę do Everta, bo ta jego głupota ma znakomite właściwości terapeutyczne.

Poniedziałek, 7 stycznia

Wygląda na to, że wczoraj zaczęło się śledztwo w sprawie nagłej śmierci rybek w akwarium na trzecim piętrze. W wodzie ciągle jeszcze pływało mnóstwo rozmokniętego ciasta.

Chyba głupio zrobiłem, wrzucając ciasto od pani Visser do akwarium. Jeśli dojdzie do jej uszu, że rybki pozdychały od nadmiaru mokrego ciasta, to ślad będzie prowadził prościutko do mnie. Muszę jakoś przygotować się do obrony. Chyba trzeba będzie zasięgnąć rady Duikera. To prawdziwy spec, jeśli idzie o kłamstwo w dobrej wierze.

W naszym ośrodku nie wolno trzymać zwierząt domowych, z wyjątkiem rybek i ptaków „nie

większych niż dwadzieścia centymetrów”, jak jest napisane w regulaminie. Pewnie na wypadek, gdyby ktoś z nas chciał hodować rekina albo orła bielika.

Niejeden właściciel zwierzaka bardzo cierpiał, kiedy w momencie przyjęcia do naszego Domu Zagłady bez litości kazali mu się pożegnać z psem czy kotem. Obojętnie, jak spokojne i posłuszne, stare czy schorowane były czworonogi – przepis to przepis: do schroniska.

– Nie, proszę pani, to nie ma znaczenia, że Reksio to jedyne stworzenie na świecie, na którym pani zależy. Nie możemy robić wyjątków.

– Nie wątpię, że pani kotka nie robi nic innego, tylko całymi dniami wyleguje się na parapecie, ale jeśli pozwolimy pani ją zatrzymać, zaraz ktoś będzie chciał mieć tu ze sobą trzy dogi, które też tylko leżą na parapecie. Albo fioletowego krokodyla!

Pani Brinkman to nasza rekordzistka. Udało jej się przez siedem tygodni ukrywać starego jamnika w szafce pod zlewem, zanim sprawa się wydała. Niewykluczone, że doszło do zdrady. Walczył taki na wojnie, a teraz donosi do dyrektorki na jamnika. A ona zamiast wytarzać tego faszystę, który miał to na sumieniu, w smole i pierzu, wołała deportować nieszczęsnego psa do schroniska. Czworonóg wył potem przez dwa dni i zdechł z tęsknoty. A gdzie obrońcy zwierząt? – ja się pytam.

Dyrektorka uznała, że lepiej to i owo przed panią Brinkman przemilczeć. Kiedy po trzech dniach pani Brinkman trafiła na właściwy tramwaj do schroniska, jej piesek był już w ziemi.

Pani Brinkman spytała, czy kiedy ona też umrze, można będzie pochować go przy niej.

– Tego się nie praktykuje – usłyszała od razu w odpowiedzi.

Jutro rano muszę iść do lekarza.

Wtorek, 8 stycznia

Na tablicy ogłoszeń przy windzie pojawiła się karteczka:

W akwariu na trzecim piętrze znaleziono duże ilości ciasta. Wskutek zjedzenia ciasta ryby w akwariu zdechły. Osoby mogące udzielić informacji na temat tego incydentu proszone są o jak najszybsze stawienie się u kierowniczkii oddziału, pani De Roos. Na życzenie gwarantujemy pełną anonimowość.

O godzinie 11.00 poczłapałem do pani De Roos. Roos znaczy róza. Dziwne zrządzenie losu, takie nazwisko. Pani Pokrzywa to i tak byłby już dla niej wielki zaszczyt.

Wydaje się logiczne, że brzydscy ludzie powinni być dla równowagi wyjątkowo grzeczni w obejściu, ale w tym wypadku jest coś dokładnie przeciwnego: prawdziwie niewzruszona ściana gburowatości.

No, ale dobra, niech będzie: pani Róza.

Powiedziałem jej, że być może mam jakieś wyjaśnienie w kwestii incydentu z ciastem, na co ona natychmiast cała zamieniła się w słuch. Mówię dalej, że nie chciałem odmówić pani Visser, która poczęstowała mnie na drogę wypiekami własnej roboty, położyłem go więc na talerzyku i zostawiłem w kąciuku kuchennym na trzecim piętrze, będąc święcie przekonany, że ktoś z pensjonariuszy z wdzięcznością przyjmie nieoczekiwany prezent. Musiałem jednak ze smutkiem stwierdzić, że ciasto w niewiadomy sposób trafiło do akwariu, a mój niebieski talerzyk gdzieś zniknął.

Pani De Roos wysłuchiwała tego z nieukrywaną podejrzliwością. Czemu sam go nie zjadłem? Dlaczego akurat na trzecim piętrze? Czy ktoś może potwierdzić moje słowa?

Poprosiłem, żeby wszystko, co powiedziałem, zostało między nami. Powiedziała, że zobaczy, co się da zrobić.

Od razu poszła się dowiedzieć, jak to możliwe, że pani Visser sama upiekła ciasto. Gotowanie i pieczenie w pokojach było surowo zabronione. Chciałem jeszcze szybko dodać, że nie wiem na pewno,

czy ciasto było własnej roboty, ale już było za późno: z pieczenia ciasta zrobiła się sprawa. Z pewnością stracę sympatię pani Visser, co nie było dla mnie jakąś specjalną katastrofą. Ale podejrzenia na oddziale, na którym tych podejrzeń i tak nie brakuje, będą się ciągnęły tygodniami i wszędzie będzie huczało od plotek.

Potem poszedłem do lekarza. Akurat był chory. Jeśli do poniedziałku mu nie przejdzie, przyślą zastępstwo. W nagłych przypadkach można się udać do konkurencyjnego domu starców. Niektórzy z pensjonariuszy woleliby umrzeć, niż pójść „do tego znachora z Pogodnego Zmierzchu”, żeby oglądał ich worki z kośćmi. Inni znowu z byle powodu od razu chcieliby wzywać helikopter pogotowia ratunkowego. Co do mnie, to wszystko mi jedno, który lekarz mi powie, że, jego zdaniem, niewiele da się zrobić.

Środa, 9 stycznia

Wczoraj jednak trochę się przejąłem całą tą sprawą z martwymi rybkami. Z nerwów i przez herbatę i kawę pani Visser od razu dostałem rozwolnienia. Prawie do południa przesiedziałem w toalecie ze starymi gazetami wypożyczonymi kiedyś ze świetlicy.

Dla niektórych to zajęcie całodzienne. Słowo „świetlica” zupełnie nie oddaje charakteru tego, co się tam dzieje. To miejsce powinno się raczej nazywać „sala do NKO” – Narzekania, Krytykowania, Obgadywania.

Niedawno był u mnie Evert i podczas gdy ja siedziałem w toalecie, zdał mi przez drzwi sprawę z najnowszych wydarzeń: nikt nikomu nie ufa i wszyscy widzą w sobie nawzajem potencjalnych morderców rybek. Moja nieobecność zaczęła się wydawać podejrzana. Poprosiłem Everta, żeby niepostrzeżenie rozpowiedział, że mam sraczkę, co dałoby mi jakieś alibi. Sam nie mogłem zrobić więcej, jak tylko uchylić trochę drzwi od toalety i na korytarz. Normalnie zdenerwowanie szybko ze mnie wietrzeje, ale teraz byłem na siebie naprawdę zły z powodu tego mojego gównianego wyrachowania, że się tak obrazowo wyrażę.

À propos wietrzenia – koniecznie muszę wyjść na powietrze. Po całym dniu faszzerowania się węglem powinienem chyba dać radę wyjść chociaż na chwilę. Zamierzałem udać się na poszukiwanie jaskra wiosennego, bo, jak wyczytałem w gazecie i na fenologicznym portalu *Kalendarz natury*, to pierwszy sygnał, że przyszła prawdziwa wiosna. Jeśli oprócz jaskra wiosennego zobaczę jeszcze jakiś lepiężnik, trybulę leśną albo fiołek wonny, to będzie znaczyło, że wiosna jest faktem. Problem tylko w tym, że nie mam pojęcia, jak te rośliny wyglądają.

Przyroda zdecydowała się na sześciotygodniowe przyspieszenie. Zła wiadomość dla ptaków, które w tym roku postanowiły nie odlatywać do ciepłych krajów – zbliża się fala zimna.

Czwartek, 10 stycznia

Przy moim ośrodku jest bardzo przyjemny ogród. Tyle że z niewiadomych powodów zamknięty. Zimą nikogo do niego nie wpuszczają. Pewnie zwykła nadopiekuńczość. Dyrekcja najlepiej wie, co dobre dla pensjonariuszy.

Tak więc o tej porze roku świeżego powietrza muszę zaczerpnąć gdzieś w bezpośrednim sąsiedztwie ośrodka. Okropne bloki z lat sześćdziesiątych. Nędzne pasy zieleni zastępujące kosze na śmieci. Można by pomyśleć, że śmieciarki służby oczyszczania miasta jeżdżą nocami po tej okolicy, nie żeby zbierać śmieci, tylko żeby wyrzucać je na ulice i trawniki. Człowiek brodzi w stosach pustych

puszek, opakowań po chipsach i starych gazet. Pierwsi mieszkańcy tej okolicy niemal wszyscy wyprowadzili się już do szeregowców w dzielnicy Purmerend of Almere. Zostali tylko ci, których nie było na to stać. Zwalniające się mieszkania zapełniły rodziny tureckie, marokańskie czy z Surinamu. To niezbyt dobra mieszanka.

Mój aktualny zasięg to mniej więcej dwa razy po pięćset metrów z ławką w połowie dystansu. Na wiele więcej nie mam siły. Świat robi się mały. Z ośrodka mam cztery różne trasy długości mniej więcej kilometra.

x

Przed chwilą był u mnie Evert. Bardzo mu się podoba to całe zamieszanie wokół martwych rybek w akwariu i ułożył pewien plan, żeby to jeszcze trochę podkreślić. Otóż dokona drugiego zamachu, tym razem z użyciem kruchych maślanych ciasteczek. Pojechał wczoraj autobusem do supermarketu parę kilometrów stąd, żeby je kupić. W naszym ośrodkowym sklepiku na pewno by go zapamiętano. Ciasteczka leżą teraz u niego w szafie. Spytałem, czy nic im tam nie grozi.

– To wolny kraj i każdy może mieć w domu tyle maślanych ciasteczek, ile chce – odpowiedział.

Trochę nie byłem pewien tych ciastek, ale to miał być taki żart, bo one są różowe. Evert spodziewa się ciekawych efektów kolorystycznych.

Sobota, 12 stycznia

Nasza dyrektorka, pani Stelwagen – na pewno nieraz jeszcze będzie o niej mowa – ogłosiła zasady wynikające z wymogów ochrony środowiska: termostaty w pokojach pensjonariuszy mogą być nastawione na nie więcej niż dwadzieścia trzy stopnie. Jeśli komuś zimno, niech włoży sweter – takie jest przesłanie. Jest u nas jedna pani z Indii, która nastawia sobie temperaturę na dwadzieścia siedem stopni. W pokoju ma mnóstwo misek z wodą, żeby była duża wilgotność. Jej tropikalne rośliny rosną jak szalone. Na razie nie ma jeszcze przepisu regulującego wysokość roślin trzymanyh w pokoju, ale jestem pewien, że pani Stelwagen już nad tym pracuje.

Pani Stelwagen jest zawsze bardzo uprzejma, każdego wysłucha i dla każdego ma dobre słowo, ale pod tą warstwą pozornej życzliwości kryje się niezdrowa porcja arogancji i żądzy władzy. Ma czterdzieści dwa lata i od półtora roku jest szefową ośrodka, ale zawsze toruje sobie drogę podlizywaniem się albo gnojeniem, w zależności od tego, kogo ma przed sobą. Obserwuję ją uważnie już od roku.

Mam też bardzo ważną informatorkę: to jej sekretarka, pani Appelboom. Anja Appelboom przez dwadzieścia trzy lata była sekretarką poprzedniego dyrektora, pana Lemaire'a, który nie przetrzymał ostatniej fali zmian i poszedł na wcześniejszą emeryturę. Pani Appelboom zostało jeszcze dwa lata do emerytury i powzięła mocne postanowienie, że nie da się nowej dyrektorce, która zatrudniła nową kierowniczkę sekretariatu, a ją przesunęła na niższe stanowisko. Anja ciągle ma dostęp do wszystkich akt i poufnych dokumentów. Parę lat temu była moją sąsiadką i dzięki niej nie zostałem bezdomnym, bo pomogła mi dostać miejsce w ośrodku. Ale o tym może później.

W czwartkowe wieczory często chodzę do niej na kawę. W tym czasie dyrektorka i nowa kierowniczką sekretariatu uczestniczą w zebraniach dyrektorów z dyrektorem regionalną. Zostać dyrektorem regionalną to kolejny szczebel, który marzy się pani Stelwagen.

Przy kawie rozmawiamy z Anją również o takich sprawach.

– Czy ty wiesz, co ona znowu zrobiła? – mówi często Anja, a potem daje upust swojemu oburzeniu w związku z manipulacjami pani Stelwagen.

To i owo już na nią zebraliśmy.

Niedziela, 13 stycznia

Wczoraj wieczorem Evert wrzucił do akwarium na drugim piętrze sześć różowych ciasteczek. Złote rybki naźarły się jak baki i potem zdechłe truchła pływały w resztkach ciasteczek. W ośrodku rozpętało się piekło.

W czasie wieczornej kawy Evert urwał się niby do toalety, wszedł po schodach na górę, rozejrzał się dobrze, czy nikt go nie widzi, i wrzucił do wody ciasteczka, które przemycił pod marynarką. Plastikową torebkę cisnął grzecznie do kosza na śmieci, co z dowodowego punktu widzenia było trochę głupie, ale na szczęście sprzątaczką niedługo potem opróżniła wszystkie kosze.

Akwarium stoi w dość ciemnym kącie, więc wczoraj wieczorem nikt nic nie zauważył. Operacja nie była tak całkiem pozbawiona ryzyka, bo gdyby go przyłapano, to od razu mógłby dzwonić do firmy od przeprowadzek. Ale może w gruncie rzeczy jest mu wszystko jedno, czy go złapią, czy nie, bo gdyby znalazł się w opałach, i tak twardo wyparłby się wszystkiego i kłamał jak najęty. Jego filozofia: życie to nic innego jak zabijanie czasu w najprzyjemniejszy sposób, jak tylko się da. Z taką postawą łatwo zachować luz. Zazdroszczę mu. Ale szybko się uczę.

Jeśli o mnie chodzi, to byłem wczoraj wieczorem okropnie zdenerwowany, ponieważ Evert uprzedził mnie o swoim zamachu, żebym miał czas zadbać o żelazne alibi. Nie było tak najgorzej. Musiałem poczekać w świetlicy, aż dwoje pensjonariuszy z mojego piętra postanowiło iść już na górę.

– Zabiorę się z wami – powiedziałem. – Miło się razem przejść.

Pan i pani Jacobsowie popatrzyli na mnie trochę zdziwieni.

Rano, parę minut po dziewiątej, wszczęto alarm. W drodze do kościoła pani Brandsma zobaczyła, że rybki pływają do góry brzuchami. Chyba nawet podjęto próbę niedopuszczenia do tego, żeby się to rozniosło po ośrodku, ale pani Brandsma po drodze do dyżurnej pielęgniarki rozpowiadała to każdemu, kogo spotkała. Więc zaraz potem zapukał do mnie sąsiad z wiadomością:

– Nie uwierzy pan, co właśnie usłyszałem...

Już się nie mogę doczekać tych rozmów przy kawie.

Poniedziałek, 14 stycznia

Kolejny przyczynek do cierpień zwierzaków: sprzątając klatkę, pani Schreuder niechcący wciągnęła do odkurzacza kanarka. Kiedy wreszcie po wielu nerwowych próbach udało jej się drżącymi rękami otworzyć urządzenie, niewiele już zostało z jej wesołego świergotka. Lepiej by zrobiła, gdyby od razu wyłączyła odkurzacza. Pietje jeszcze wprawdzie żył, ale po paru minutach definitywnie wyzionął ducha. Pani Schreuder jest niepokieszona i dręczy ją poczucie winy.

Psychologiczne wsparcie personelu ograniczyło się do sugestii, żeby jak najszybciej pozbyła się klatki.

Każdy ma tu swoje własne zdanie na temat ciastek w akwarium. Ale jeśli się kogoś spyta na temat wojny w Syrii, to robi takie oczy, jakby się go prosiło o wyłożenie teorii względności. Parę rybek pływających do góry brzuchami to dla nich ważniejsza sprawa niż wysadzony w powietrze autobus pełen

kobiet i dzieci, gdzieś na świecie.

Nie będę udawał, że nie czerpię satysfakcji z tego rybiego skandalu. Oburzenie, jakie ogarnęło dosłownie wszystkich mieszkańców ośrodka, jest zadziwiające. Zaraz idę znowu do świetlicy, żeby podyskutować z innymi o rybkach.

x

Wróciła zima. Jeszcze nie ma ani jednego płatka śniegu, ale wczoraj widziałem pierwszego staruszka wychodzącego w wełnianych skarpetkach nałożonych na buty. Żeby się nie poślizgnąć.

Wtorek, 15 stycznia

Spadł pierwszy w tym roku śnieg. A to oznacza jedno: nikt nie wystawia nosa za drzwi i zaczyna się wielkie chomikowanie. W sklepiku na dole nie ma już alkoholu i czekolady. Będzie wojna czy jak?

Dzięki Bogu dla młodzieży jesteśmy ostatnimi, którzy przeżyli wojnę, i już niedługo nikt nikogo nie będzie zdręczał opowieściami o zupie z cebulek tulipanów i wychodzeniu o szóstej rano, żeby kupić pęczek marchewek.

Łącznie życie straciło dziewięć rybek.

Wczoraj była policja. Dwóch młodych funkcjonariuszy nie miało zielonego pojęcia, jak zabrać się do tej sprawy. Ani śladu zdecydowania, jakie się widzi na filmach w telewizji. Na początek zaglądali do akwarium z każdej strony, zupełnie jakby się zastanawiali, czy jest jeszcze szansa na reanimację.

– No tak, nie żyją – odezwał się jeden z nich.

– Przypuszczalnie z powodu ciasta – powiedział drugi.

Dyrektorka poleciła, żeby zostawić martwe ryby w akwarium jako dowody. Spodziewała się, że ktoś im będzie robił sekcję? Kto ją tam wie!

Policjanci w każdym razie sprawiali wrażenie, jakby chcieli się jak najszybciej ulotnić. Dyrektorka domagała się drobiazgowego śledztwa, ale młodszy z policjantów powiedział, że w tym celu ona musi najpierw złożyć doniesienie.

– Czy mogę to zrobić od razu, teraz?

Okazało się, że nie, bo trzeba się pofatygować na komisariat albo przesłać zgłoszenie przez internet.

– No dobrze, ale, w takim razie, co z ciałami?

Policjant zasugerował kosz na śmieci.

– Tylko proszę dopilnować, żeby tam za długo nie leżały. Albo niech pani od razu spuści je w toalecie.

I obydwaj panowie policjanci („To życzymy miłego wieczoru”) sobie poszli. Pani Stelwagen była w szoku.

– To skandal! Uważam, że to prawdziwy skandal! Tak się nie traktuje obywateli!

Wspaniale było słyszeć jej bezsilne narzekania. Jej wszechmoc na szczęście nie sięga poza mury tego ośrodka.

Środa, 16 stycznia

W odwiedzinie wpadł do mnie Evert. Żeby nie siedzieć w świetlicy, zrobiliśmy sobie szurany spacer po śniegu: pięć minut spaceru, pięć minut odpoczynku. Chyba czas dokonać wyboru. Balkonik, wózek elektryczny czy samochodzik dla niepełnosprawnych Canta LX? Trzy seksowne alternatywy.

W zeszłym tygodniu pod liceum za rogiem jakiś szesnasto- czy siedemnastolatek szpanował jasnoczerwoną cantą, którą pewnie pożyczył od dziadka, bez jego wiedzy. Odwoził nią do domu plecaki najładniejszych dziewcząt z klasy. One jechały za nim na rowerach. Nigdy natomiast nie widziałem żadnego nastolatka, który chciałby zrobić wrażenie, jeżdżąc na wózku elektrycznym albo chodząc z balkonikiem. Dlatego właśnie skłaniam się w stronę odpicowanej canty. Tyle że od razu wrzucą mnie do jednego worka z tymi wszystkimi beznadziejnymi kierowcami, którzy jeżdżą tym wynalazkiem.

Całkiem niedawno taka canta wjechała bez hamowania do sklepu ze słodyczami i dopiero tam się zatrzymała, w powodzi cukierków i czekolad. W samochodziku jakieś dwie kobitki przy kości siedziały rozpląszczone na przedniej szybie. Piesek im się zaklinował pod pedałem hamulca. Rzeczywistość przebija wyobraźnię.

W ośrodku niemal każda rozmowa dotyczy albo śniegu, albo masowej zagłady rybek. Staruszkowie wymyślają najdziwaczniejsze teorie spiskowe, a niektórzy mają nawet chęć rzucać nieuzasadnione podejrzenia. Dwóch pensjonariuszy zgłosiło na przykład, że w momencie morderstwa widzieli Grietje D., jak idzie korytarzem, w którym stoi wiadome akwarium...

To, że ona ma pokój przy tym właśnie korytarzu i chyba nie wchodziła przez okno, uznano za niewystarczający argument. Biedna Grietje, szara myszka ważąca co najwyżej czterdzieści kilo, która zawsze spuszcza oczy, kiedy z kimś rozmawia, nawet muchy by nie skrzywdziła, nie mówiąc o rybkach.

Po wizycie policji dyrektorka zorganizowała zebranie informacyjne, żeby „trochę uspokoić sytuację”. Oznajmiła, że wszystkie pokoje na drugim piętrze zostały „dla zasady” gruntownie sprawdzone. Zupełnie jakby pokój sprawcy musiał być zasypany okruszkami ciastek. Nikt nie zapytał, czy dyrekcja miała prawo sprawdzać pokoje. Ja też nie. Zabrakło mi odwagi.

Przy kawie oczywiście jest mnóstwo szeptanych sugestii na temat pokoi na innych piętrach, które też przecież można by sprawdzić. Wszyscy kiwali zgodnie głowami: „No pewnie!”.

Czwartek, 17 stycznia

Przeczytałem sobie to, co napisałem dotychczas w dzienniku. Może trochę to wszystko za poważne, jak dotąd? Przecież tu naprawdę są także zabawni ludzie!

Oczywiście przede wszystkim mój przyjaciel Evert. Mieszka w samodzielnym mieszkaniu przy ośrodku, razem z psem, starym, arcyleniwym, przyjaznym, bardzo inteligentnym psem wielorasowym. Bestia wabi się Mohammed. Kiedy Everta dręczy czasem zbyt mocno podagra, wtedy ja wyprowadzam Mo. Zważywszy na mój zasięg, trudno nawet mówić o wyprowadzaniu, ale zasięg Mo jest jeszcze mniejszy. Rundka wokół budynku, i to by było na tyle. Po parę kropelek pod dziesięcioma drzewkami i raz dziennie kupa na trawniku, którą muszę zebrać i wsadzić do plastikowego woreczka, bo szpiegują mnie ze wszystkich okien. Gdybym zostawił taką kupę tam, gdzie Mo ją posadził, byłaby pewnie bitwa, kto pierwszy zdąży na mnie donieść.

Drugi jest Edward. Nie mówi dużo. Po wylewie trochę trudno go zrozumieć. Ale tych niewiele zrozumiałych słów dobiera bardzo starannie. Kiedy już coś powie, to można być pewnym, że warto kilka razy zapytać: „Co powiedziałeś?”. Czas, który oszczędza na mówieniu, wykorzystuje na błyskotliwe obserwacje.

Grietje: prawdziwy skarb, przyjazna i rozumiejąca, ale tak bez podlizywania się.

No i Graeme, ostatni z tej grupki, wydaje się niepewnym introwertykiem, ale potrafi powiedzieć prawdę w oczy tak, że człowiek nawet nie może mieć mu tego za złe.

Z nimi lubię sobie posiedzieć przy kawie. Zresztą samo jakoś tak wychodzi. Bo taka prosta rzecz, jak to, czy się z kimś siedzi, czy nie, dzieje się według ścisłych, choć niepisanych zasad. Każdy ma swoje stałe miejsce: przy stole, przy bingo, przy „ruchu z muzyką”, czy w sali medytacyjnej. Jeśli się chce, żeby człowieka znienawidzili, to wystarczy usiąść na czyimś miejscu. I siedzieć dalej, kiedy podejdzie taki zdzienniały staruszek i powie:

– Ja tu siedzę.

– Hm... jeśli dobrze widzę, to pan raczej stoi. I to akurat przed moim nosem.

Pod warunkiem oczywiście, że po zajęciu miejsca w rzędzie pustych krzeseł nie usłyszy się wcześniej:

– Przecież tam siedzi pani Takatoataka!

I po czymś takim każdy się sumituje i przechodzi dalej. Tymczasem powinien spokojnie usiąść i pokazując puste krzesła, powiedzieć:

– No to dzisiaj usiądzie sobie gdzie indziej, a jak nie, to może się stąd zabierać.

Piątek, 18 stycznia

Już od trzech dni obowiązuje zakaz wychodzenia wydany przez dyrekcję. Jak to mówią, nie wywołuj złamanego biodra z lasu. Wcale nie polepsza to atmosfery. Nie twierdzę, że kiedy nie jest ślisko, pensjonariusze nic tylko chodzą na spacer, ale mimo wszystko sporo osób wybiera się codziennie do centrum handlowego, skrzynki pocztowej czy do parku. A jeśli czegoś nie wolno, to jakoś tak człowiekowi bardziej się tego chce. Staruszkowie siedzą dzisiaj przy oknach i patrzą na śnieg, który wcale nie zamierza topnieć. Słysząc narzekania, że jezdnie to gmina jeszcze odśnieża, ale już na chodnikach i ścieżkach rowerowych zalega brudna breja. I mają rację.

Personel ośrodka odśnieżył wprowadzić chodnik przed budynkiem, tak że bez przeszkód możemy dojść od bramy do przystanku autobusowego. Ale dręcząca niepewność, co się zastanie, jak człowiek dojedzie tam, gdzie ma dojechać, i będzie chciał wysiąść, sprawia, że większość decyduje się nie ruszać z miejsc. Strach to doradca, z którym mieszkańcy naszego ośrodka często się konsultują.

x

Burza wokół martwych rybek trochę się uspokoiła. Dyrekcja czekała, aż pojawi się coś, co odwróci uwagę pensjonariuszy. No i teraz, poza śniegiem, pojawiła się plotka, że rada miejska zamierza podnieść opłaty za parkowanie. Staruszkowie obawiają się rzadszych wizyt, jeśli ich dzieci będą musiały wrzucić do parkometru euro więcej. Gdyby moje dzieci miały jeszcze rzadziej przyjeżdżać z powodu jakiegoś głupiego euro, chyba bym w ogóle nie chciał takich odwiedzin. Kiedy dałem temu wyraz w czasie spotkania przy kawie, oczywiście w bardzo oględnych słowach, wszyscy mi zarzucili, że dobrze mi mówić, bo sam nie mam dzieci, więc i tak nikt mnie nie odwiedza.

Jest w tym ziarno prawdy. Przy prawie wszystkich nazwiskach na moim kalendarzu z datami urodzin widnieje krzyżyk. Co do dwóch osób, przy których go nie ma, nie wiem, czy jeszcze żyją. I jest jeszcze ktoś, kto nie wie już, kim jestem. Zostają tylko Evert i Anja. Graemego i Grietje nie ma na tej liście. Niezbyt imponujący zestaw przyjaciół. Człowiek albo sam wcześniej umiera, albo musi potem dreptać w kondukcje na pogrzebach innych. Przede mną jeszcze maksymalnie pięć pogrzebów, nie licząc oczywiście tych z uprzejmości.

Piątek to dzień „zdrowego ruchu dla seniorów”. Stare pierniki paradują wtedy po korytarzach w najbardziej wymyślnych strojach, udając się do „sali gimnastycznej”. Panie naprawdę nie mają wstydu i nie jest to przyjemny widok. Różowe legginsy na patykawatych albo przeciwnie, pękatych, nogach, obcisłe koszulki okrywające smętne resztki tego, co kiedyś można było nazwać biustem. Czysta, żywa tragedia. W takim otoczeniu jako starszy pan nie mam jak zdrowo się ruszać.

Miejsce akcji: rzadko używana sala konferencyjna, gdzie odsuwa się stoły pod ścianę, a krzesła ustawia w kręgu. Ruch odbywa się głównie na siedząco, żeby nie dyskryminować tych, co siedzą na wózkach. W rytm wesołej muzyczki machamy sobie trochę rękami i nogami. I krzyczymy. Na całe gardło obwieszczamy przypadłości, które uniemożliwiają nam wykonywanie niektórych ćwiczeń:

– Tego nie dam rady, z moją stomią!

A potem przychodzi czas na grę w piłkę. Powiedzmy sobie szczerze: specjalnie to ona się przy tym nie zużywa, bo najbardziej ćwiczymy wtedy struny głosowe, wydając okrzyki zachwytu, kiedy komuś uda się najprostsze ćwiczenie. Zupełnie jak matka, która klaszcze w ręce, kiedy jej bobas za dwudziestym razem wreszcie złapie piłkę: „Brawooo, dobra robota! Ojej, prawie się udało!”.

Wczoraj jednak atmosfera na boisku była bardzo sportowa, trzeba przyznać.

Rzeczywiście po raz pierwszy uczestniczyłem w „zdrowym ruchu dla seniorów”. I zarazem ostatni. Kiedy instruktorka („Mówcie do mnie Tina”) po zakończeniu zajęć gorąco namawiała mnie do przyjścia w przyszłym tygodniu, z miejsca odpowiedziałem, że moja obecność była jednorazowa.

– O, a to dlaczego? – spytała Tina podejrziwie.

– Ponieważ mając wokół siebie tyle kobiecości, zupełnie nie mogę się skupić na ćwiczeniach. Jestem jak sparaliżowany.

Powiedziałem to bez zastanowienia. W następnej chwili cały zlałem się potem. Bardziej nawet niż od ćwiczeń.

O rany, prawie już powiedziałem, co naprawdę o tym myślę! Robię gigantyczne postępy. Może to przez ten pamiętnik?

Tinę zamurowało. Sarkazm w mojej wypowiedzi był wprawdzie oczywisty, ale nie na tyle bezczelny, żeby mogła się do mnie przyczepić, kiedy wokół były te wszystkie wysztafirowane lampucery. W większości uważają, że są „jeszcze całkiem atrakcyjne”. Im człowiek starszy, tym bardziej szwankuje jego prawidłowa samoocena. Odwrotnie niż u dzieci, którym z wiekiem się poprawia.

Niedziela, 20 stycznia

My, starzy, w ogóle nie odczuwamy skutków kryzysu. Jak wynika z wyliczeń jednego z ważnych instytutów, osoba samotna, pobierająca państwową emeryturę, dostanie więcej o dwa (dwa!) euro. Henk Krol ze swoją partią 50PLUS nie bez przyczyny zasiał taką panikę wśród polityków. Tu, w naszym ośrodku, jego partia wygrała w zeszłym roku wybory z grubą przewagą nad innymi. Gdyby nie to, że wielu pensjonariuszy nie darzy homoseksualistów specjalną sympatią, Henk dostałby jeszcze więcej głosów. Taki pan Hagedoorn na przykład zagłosował na niego tylko dlatego, że mu się zdawało, że Henk Krol jest bratem piłkarza Ruuda Krola. Tenże sam Hagedoorn zastanawiał się swego czasu, czy Naoto Kan, dawny premier Japonii, to rodzina naszego holenderskiego kabareciarza Wima Kana.

Osoby dostające dodatki do emerytury i te na wcześniejszych emeryturach będą dostawać od tej chwili mniej, ale i tak będą miały o wiele więcej. Oczywiście w naszym ośrodku nie ma osób, które

przeszły na wcześniejsze emerytury.

To zdumiewające, jacy tutejsi pensjonariusze są oszczędni. Nawet z gołej państwowej emerytury potrafią jeszcze zaoszczędzić. Bóg jeden wie na co.

W zeszłym roku milionowa wygrana w loterii pocztowej trafiła do jednego z domów starców. Niemala część tych, którzy wygrali, była głęboko nieszczęśliwa z powodu całego tego zamieszania z pieniędzmi.

Jeśli o mnie idzie, to już ja się postaram, żebym umierając, był porządnie na minusie.

x

Na podstawie Kalendarza Maryjnego, który wygrałem w bingo w grudniu zeszłego roku, wyliczyłem, że od najkrótszego dnia w roku, dwudziestego pierwszego grudnia, do teraz, czyli miesiąc później, słońce wschodzi jedenaście minut wcześniej, a zachodzi trzydzieści siedem minut później. Dziwne, prawda?

Dopadły mnie akurat zaparcia, a kalendarz wisi w toalecie. Są tam cytaty z Biblii na każdy dzień, ale też przepisy kulinarne, mądrości i dowcipy. Jutro, dwudziestego pierwszego stycznia, jest dzień świętej Agnieszki, dziewicy i męczennicy, która zginęła w roku 304. To tak do waszej wiadomości.

x

Znowu wielki hałas w gazetach o upośledzonym umysłowo chłopcu, którego trzymano przykutego łańcuchem do ściany. Powodu nie podano. Myślę, że regularnie się z tego łańcucha uwalniał. U nas na oddziale demencji są tacy staruszkowie, którzy ledwie potrafią ustać na nogach i tylko leżą jak mistrzowie uwalniania się, którzy zapomnieli, jak się wykonuje ten trik. Przyjedźcie sobie kiedyś popatrzeć, paparazzi.

Poniedziałek, 21 stycznia

Dzisiaj moja córka miałaby pięćdziesiąt sześć lat. Próbuję sobie wyobrazić, jak by wyglądała. Jej obraz zatrzymał się dla mnie na ociekającej wodą czteroletniej dziewczynce, bezwładnie zwisającej na rękach sąsiada. Pojawiał się na sekundy, które nigdy nie chciały minąć.

Dopiero jakieś piętnaście czy dwadzieścia lat temu przyszedł taki dzień, kiedy po raz pierwszy o tym nie myślałem.

x

Nikommu nie wolno wystawić nosa za drzwi: śnieżyce!

x

Jeszcze więcej smutku: Duiker ma cukier. Prawie się rymuje.

Ma już od dość dawna. Evert nie trzyma się całkiem dokładnie zaleceń lekarza, co dała mu ostatnio delikatnie do zrozumienia asystentka pana doktora.

– Cóż, panie Duiker, jeśli nie przestanie pan pić i tak nieracjonalnie się odżywiać i palić, to niewiele będę mogła dla pana zrobić.

– Tak się przypadkowo składa, że to jedne z niewielu rzeczy, które sprawiają, że życie ma jeszcze jakiś sens, moja dziewczyno.

– Nie jestem pana dziewczyną.

– Mój lekarz też nie, pani asystentko.

Trochę się jednak przestraszył, znaczy Evert. Dawniej był stałym klientem kawiarni w pobliżu, gdzie zaprzyjaźnił się z innym stałym klientem, który w „zwykłe” wieczory wypijał dwadzieścia pięć piw. W domu dokładał do tego jeszcze parę szklaneczek whisky. Zawsze używał tej zdrobniałej formy, żeby brzmiało to bardziej niewinnie.

Któregoś dnia duży palec u nogi tego przyjaciela zrobił się czarny. Trzeba go było amputować. Potem przyszła kolej na kolejne. Następnie na stopę, podudzie. Wszystko, co mu czerniało, trzeba było amputować. W szpitalu dobrze go już znali. Był to bardzo miły facet, który po prostu za nic nie potrafił przestać pić i palić. Przez jakiś czas siedział jeszcze przy barze z protezą nogi, aż pewnego dnia przyjechał na wózku, a potem w ogóle się już nie pojawił. Dwa miesiące później już nie żył.

Koszmar Everta: powoli czernieją mu kończyny i zostaje zdany na łaskę i niełaskę lekarzy i pielęgniarek.

x

Jutro znowu napiszę coś wesołego.

Wtorek, 22 stycznia

I znów oburzenie z powodu płatnego parkowania. Wiecznie zgryźliwy pan Kuiper złożył wniosek do komisji mieszkańców o wprowadzenie opłat za parkowanie w ośrodku.

Bo dzisiaj już prawie nikt nie chodzi zwyczajnie o lasce. Zamiast tego większość pcha przed sobą coś w rodzaju stelażu z czterema kółkami, hamulcem ręcznym i podwieszaną torbą na zakupy. Jak się człowiek zmęczy, to może na tym nawet przysiąść. Nieliczni jeżdżą na skutero-wózkach elektrycznych, także w budynku. Takie pojazdy zajmują sporo miejsca. I chyba są coraz większe. To symbol statusu.

Dyrekcja, w obawie przed korkami, próbowała ograniczyć używanie chodzików i skuterów elektrycznych wewnątrz budynku. Wszystkie te zawałdoci poczuły się wtedy dotknięte do żywego. Ale kiedy pan Kuiper zaproponował, żeby – podobnie jak gmina Amsterdam – rozwiązać problem parkowania przez wprowadzenie opłat, to już naprawdę przekroczyło wszelkie granice. Ten Kuiper naprawdę musi mieć nie po kolei w głowie.

Nasz ośrodek został wybudowany gdzieś tak pod koniec lat sześćdziesiątych zeszłego wieku, kiedy dzieci zaczęły być zbyt zajęte, żeby zabierać do siebie stare matki i ojców. Albo po prostu nie miały na to ochoty, co ja akurat doskonale rozumiem. Tak czy inaczej, te czterdzieści lat temu domy dla seniorów zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu. I jakie przestronne były w zamyśle! Pokoje po dwadzieścia cztery metry kwadratowe, z przyjemnym aneksem kuchennym. Małżeństwa miały o cztery metry kwadratowe więcej na osobną sypialnię. W ciągu ostatnich dwudziestu lat nasz ośrodek był dwa razy odnawiany, ale wciąż jest za ciasny. Nikt nie przewidział armady wehikułów. Do windy zmieszczą się

jednocześnie najwyżej dwa skutery elektryczne albo cztery chodziki. Zanim się to wszystko zapakuje albo wypakuje, mija z kwadrans. I jeszcze do tego wszystkiego najeżdżają na nogi. I ustawiają się tuż przed drzwiami windy, nim jeszcze ludzie wysiądą. Z tego powodu dyrektorka zarządziła, że jedna winda będzie tylko dla personelu, co oczywiście spowodowało, że kolejki do pozostałych jeszcze się wydłużyły. Żeby dotrzeć na czas do miejsca przeznaczenia, trzeba wcześniej wychodzić z pokoju. Z powodzeniem mogliby wprowadzić informacje o natężeniu ruchu. Jeszcze do niedawna chodziłem po schodach, ale już nie dają rady, więc z konieczności też zacząłem wystawać w kolejkach.

Jeśli wybuchłby tu kiedyś porządny pożar, wszyscy pensjonariusze naraz zostaliby poddani kremacji. Tylko personel dałby radę bezpiecznie się wydostać.

Środa, 23 stycznia

Zapytałem kiedyś lekarza, pół żarem, pół serio, czy jest możliwość dostania pigułki, która kładzie kres wszystkim dolegliwościom. Udał, że nie wie, o co pytam, i odpowiedział:

– Niestety, takiego lekarstwa nie ma, bardzo mi przykro.

Nie miałem odwagi więcej pytać.

Nawiasem mówiąc, uznał moją listę dolegliwości za imponującą: nietrzymanie moczu, bóle w nogach, zawroty głowy, guzy, egzema. Tyle tylko, że niewiele mógł z tym zrobić. Co najwyżej tu zakłajstrować, tam załatać jakąś maścią czy pigułką. I wykrył jeszcze coś dodatkowego: wysokie ciśnienie. Tego jeszcze nie miałem. I na to dostałem pigułki.

Zmarła nasza najstarsza pensjonariuszka, pani De Gans. Już od lat cierpiała na zaawansowaną demencję i trzeba ją było przywiązywać do krzesła, żeby nie spadła. Mimo wszystko – hip, hip, hurra! – dziewięćdziesiąt osiem lat jak nic. Pamiętała jeszcze pierwszą wojnę światową.

Trzy miesiące temu władze dzielnicy przysłały na jej urodziny tort, jako że była najstarszą mieszkanką. Na potrzeby miejscowego fotografa posadzili ją przy stole, ale wystarczył moment nieuwagi, żeby padła twarzą w swój tort z bitą śmietaną. Wyszło świetne zdjęcie, ale dyrekcja za żadne skarby nie zgodziła się na jego publikację w gazecie. Przedstawiciel rady dzielnicy zaordynował nowy tort, ale wtedy już pani De Gans zapadła w sen i za nic nie dało się jej dobudzić.

A teraz już zasnęła na dobre. Różnica między tym, co było przed jej śmiercią, a co po śmierci, wydawała się doprawdy niewielka.

Chyba nie pójde na kremację. Nie za dobrze to znoszę.

Czwartek, 24 stycznia

Nastrój się nie poprawia. Już od tygodnia leży śnieg i wieje przenikliwy wschodni wiatr. W tej sytuacji wszyscy siedzą w ośrodku i zrzędzą, że nie mogą wyjść. Drobne codzienne wyjścia i zakupy to coś, co sprawia, że życie nabiera pozorów normalności. Jeśli to odpada, pensjonariusze mają jeszcze więcej czasu, żeby się przyglądać, co kto robi. Trzeba czymś wypełnić dzień.

Wczoraj mimo wszystko chciałem zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i siadłem sobie na ławeczce przy wejściu. Po paru minutach portier dał mi do zrozumienia, że to niezbyt szczęśliwy pomysł. Siny pensjonariusz przed drzwiami ośrodka dla seniorów to nie najlepsza reklama.

– Chciałem chociaż wyściubić nos – mruknąłem.

– No to masz pan teraz fioletowy.

Pan Hoogdalen od paru miesięcy jeździ na skuterze elektrycznym. Trzy dni temu jego syn, który ma warsztat samochodowy, zabrał pojazd i dzisiaj rano przywiózł go z powrotem. Odpicowany jak nie wiem co. Spojlery, szerokie felgi, nawigacja, klakson, zestaw grający z kolumnami i jako wisienka na torcie – poduszka powietrzna. Wszystko do niczego niepotrzebne, ale robi wrażenie. Dumny jak paw pan Hoogdalen krążył po ośrodku na swoim elektrycznym lamborghini. Oczywiście zaroilo się od nieprzychylnych komentarzy, ale na szczęście były też zachwyty. Tak właśnie powinno być: skoro jeszcze żyjesz, to powinienes żyć tak, jak ci się podoba. Po aktorce Christel Adelaar, której śmierć bardzo tutaj wszyscy przeżywali, w tym roku odeszła też inna znana Holenderka, Ellen Blazer, słynna reżyser telewizyjna. Jedna z niewielu „celebrytek” znanych w zasadzie tylko z nazwiska.

– Jak ona właściwie wyglądała? – spytał ktoś wczoraj wieczorem przy kawie.

Nikt nie potrafił na to odpowiedzieć. Trochę jakby przestało być zabawnie. Może to właśnie najlepszy sposób bycia sławnym, kiedy tylko przyjaciele i znajomi o tym wiedzą.

Dzisiaj rano był w gazecie artykuł o Ellen. Ciekawe, skąd gazety mają te wszystkie nekrologi? Czy jeślibym zadzwonił do gazety i zapytał, toby mi odpowiedzieli? Albo, mówiąc jeszcze konkretniej, gdyby na przykład zadzwonił Nelson Mandela i próbował wcześniej zapoznać się ze swoim nekrologiem, żeby to i owo w nim jeszcze zmienić?

Piątek, 25 stycznia

Muszę powiedzieć, że nawet całkiem daleko zaszedłem, zanim spotkało mnie nieszczęście. Przestraszyłem się skutera, który prawie zepchnął mnie z chodnika, i w następnej chwili leżałem już jak długi.

Udawać, że nic się nie stało, to oczywiście w takich przypadkach pierwszy odruch, i tym razem też zadziałał doskonale. Pozbierałem się z chodnika, otrzepałem śnieg z kurtki i rozejrzałem się, czy nikt nie widział. Na szczęście nic mi się nie stało i bez przeszkód wróciłem do ośrodka.

Kiedy rzuciłem portierowi słowo powitania, ten popatrzył na mnie, szeroko otwierając oczy:

– A panu co się stało?

– Nic specjalnego. Poślizgnąłem się.

– Nic specjalnego? Jest pan cały zalany krwią.

Dotknąłem miejsca na głowie, które mi wskazał, i rzeczywiście poczułem coś lepkiego. Ściągnięto pielęgniarkę, a ta od razu powiedziała, że to się kwalifikuje do zszycia. Koniec całej historii był taki, że spędziłem półtorej godziny z krwawiącą głową w gabinecie pierwszej pomocy, a teraz z białym opatrunkiem na głowie staram się nie wychodzić z pokoju, żeby nie wysłuchiwać tych wszystkich moralizatorskich gadek.

– Bardzo boli?

Tak się przeważnie zaczyna, ale wcześniej czy później słyszę:

– Nie wychodzi się na ulicę, kiedy jest tak ślisko.

Po czymś takim dopiero zaczyna mnie boleć.

– W tej białej czapce całkiem ci do twarzy – uznał Evert, dodatkowo posypując mi w ten sposób ranę solą. Jeśli zimą miałoby zabraknąć soli do posypywania ulic, to Evert zawsze ma jakiś zapas do prywatnego użytku.

Za karę zmiażdżyłem go w grze w szachy. Najczęściej staram się, żeby gra wyglądała na dość wyrównaną i żebyśmy wygrywali na zmianę, ale tym razem już po kwadransie z niedowierzaniem patrzył

na mata.

- To walnięcie w głowę całkiem dobrze ci zrobiło – przyznał. – Przynajmniej jeśli idzie o szachy. W odpowiedzi wyraziłem nadzieję, że jutro równie dobrze pójdzie mi w bilard.
- No, ale za to na pamięć raczej nie pomogło, Henk, bo bilard mamy dopiero za trzy dni. Rzeczywiście. Dziwne, że aż tak się pomyliłem.

Sobota, 26 stycznia

Ostatnia sobota miesiąca – gramy w bingo. Tłum uzależnionych od hazardu staruszków walczy o czekoladki z likierem. Przewodniczący rady mieszkańców osobiście odczytuje numerki. Nikt nie ma prawa się wtedy odezwać. Ilekroć przewodniczący przeczyta „Czterdzieści cztery”, pani Slothouwer mówi: „Głodowa zima” i rozgląda się po sali nic nierozumiejącym wzrokiem.

Niedawno zawiązała się grupa, która chciała przenieść bingo na środę wieczór pod pozorem, że w soboty jest więcej odwiedzających, co wcale nie jest prawdą. Prawdziwym powodem był przypuszczalnie sobotni program telewizyjny. Uczestnicy środowego wieczorku śpiewaczego natychmiast zaczęli protestować i zaproponowali poniedziałek, o czym oczywiście nie chcieli słyszeć członkowie klubu bilardowego, którzy uważali, że bardziej pasuje piątek wieczorem. To z kolei spotkało się z gwałtownym oporem uczestników „zdrowego ruchu dla seniora”, którzy po południowej gimnastyce byłiby zbyt zmęczeni, żeby jeszcze wieczorem grać w bingo.

Kiedy po trzech turach głosowania rada mieszkańców wciąż nie mogła dojść do kompromisu, nasz ósrodkowy Salomon, czyli pani Stelwagen, zdecydowała, że chwilowo wszystko zostanie po staremu. Stosunki w łonie rady mieszkańców znacznie się przez to pogorszyły. Wszyscy zaczynają ostrzyć noże.

Hejtowanie w szkołach czy w internecie to dość popularny temat w gazetach i w telewizji. Ale o hejtowaniu w domach spokojnej starości niewiele się mówi. Szacowni ludzie w podeszłym wieku nie hejtują. Kompletna bzdura! Wystarczy, że ktoś pobędzie tu jeden dzień, a od razu się o tym przekonuje. Panie Slothouwer, dwie niezamężne siostry, to siejące postrach duo. Pierwsza odkręciła zakrętkę od solniczki, a druga podała solniczkę ich ulubionej ofierze, pani De Leeuw, która całą sól łącznie z zakrętką wysypała sobie na jajko sadzone. Pani De Leeuw patrzyła zdumiona to na jajko, to na pustą solniczkę, a potem na siostry Slothouwer.

– Nie wiem, co się stało. To pani wina. Po prostu jest pani jak zwykle niezdarna – powiedziała jadownicie jedna z sióstr Slothouwer, podczas gdy druga siedziała i kiwała potakująco głową.

Kompletnie nie mam pojęcia, dlaczego to robią. Pani De Leeuw – na przekór lwiemu nazwisku – to strachliwa owieczka. Dla pewności przeprosza z góry za wszystko, co w jej pobliżu pójdzie nie tak. Żeby ktoś zechciał tutaj łaskawie zwrócić uwagę na takie dręczycielki jak siostry S., ktoś musiałby najpierw popełnić samobójstwo i zostawić list, w którym wymienia je z nazwiska.

Niedziela, 27 stycznia

Próbowałem, ale nie udało mi się wysiedzieć do końca bingo. Kiedy wybuchła kłótnia o nagrodę za piąte miejsce (wątrobianka za dziewięćdziesiąt centów z Aldiego), powiedziałem, że mam migrenę, i poszedłem do siebie. Migrena to bardzo wygodna rzecz, bo wszyscy akceptują to jako wymówkę. Kiedy tu trafiłem i nikt mnie jeszcze nie znał, zaserwowałem wszystkim bajeczkę o migrenie i od tego czasu bardzo często z niej korzystam. Wystarczy, że zacznę trochę krzywo patrzeć i pocierać czoło. Zawsze ktoś

zapyta z troską w głosie, czy może mam migrenę. A wtedy po prostu „muszę się położyć”. Nikt się nie czepia, sprawa załatwiona.

Właśnie wróciłem z sali medytacyjnej. Zaglądam tam czasem w niedzielę, kiedy jest msza ekumeniczna. W jedną niedzielę przychodzi pastor, a w następną ksiądz. Nie rzucają się w oczy, bo obydwaj są mniej więcej w tym samym wieku, co nasi pensjonariusze. Pastor jest dowcipny. Traktuje Boga z pewnym dystansem. Ksiądz natomiast jest starej daty i mówi tylko o piekle i potępieniu. Wielkiej różnicy to nie robi, bo i jednego, i drugiego ledwie można zrozumieć.

Mając przed oczami perspektywę śmierci, wielu pensjonariuszy żarliwie oddaje się wierze. Po mszy są zawsze bułeczki z rodzynkami i świeżo parzona kawa.

x

Wczoraj było wielkie zamieszanie z powodu podwyżki wkładu własnego do budżetu ośrodka. Było o tym w gazecie. Ma dojść „dodatek od zwiększonego kapitału” w wysokości ośmiu procent do już obowiązujących czterech. Pojawiły się głosy, że to hańba. Kiedy Graeme zapytał, kto w takim razie będzie musiał zapłacić wkład własny, tylko pani Bregman podniosła rękę. Jak się okazało, myślała, że chodzi o składki na stowarzyszenie mieszkańców.

U nas są przeważnie biedni pensjonariusze, którzy mają co najwyżej emeryturę państwową.

Co zabawne, nawet partia osób starszych 50PLUS zagłosowała w Drugiej Izbie za podwyżką. Henk Krol wyjaśnił dlaczego: „Siedzieliśmy w sali i zobaczyliśmy, że wszyscy głosują za, nawet socjaliści. Po prostu daliśmy ciała”. Wziąłem ten cytat z gazety. Niektórzy uznali, że inne partie powinny Henka ostrzec.

Poniedziałek, 28 stycznia

Dzisiaj rano przy kawie pogratulowałem panu Hoogdalenowi wspaniałego skutera. Wszystko mi pokazał. Tylko poduszki powietrznej nie mógł mi zademonstrować.

Zamierza założyć klub właścicieli skuterów inwalidzkich. Będzie miał nazwę: Antylopy. Przyznał, że gdzieś taką nazwę podpatrzył. Kiedy przyznałem mu się, że rozważam kupno canty cabrio, ale muszę się jeszcze na spokojnie zastanowić, powiedział, że w tej sytuacji on musi się zastanowić, czy będzie dopuszczać do swojego klubu także właścicieli cant.

Właściwie chciałem tylko ostudzić jego zapał, ale zaczyna mi się to podobać. Może i byłoby fajnie organizować sobie rajdy. Długi szereg skuterów inwalidzkich dostojnie sunących przez niezmierną równinę. Od czasu do czasu nawet staruszek może mieć dobry pomysł.

Jakieś dwa lata temu w Genemuiden był wypadek z udziałem canty. (Zbieram dziwne wycinki z gazet.) Dwie osoby zginęły. A teraz uwaga: miały dziewięćdziesiąt sześć i dziewięćdziesiąt siedem lat! Czołowe zderzenie z innym pojazdem. Może to dlatego, że lekarz nie chciał im pomóc w eutanazji? No bo jak to inaczej wyjaśnić. On i ona przeżyli dwie wojny światowe, żeby znaleźć swoje Waterloo w blaszanej puszcze gdzieś na poboczu drogi pod Genemuiden. Razem mieli sto dziewięćdziesiąt trzy lata! Całkiem niezłe. Nie było napisane, czy to małżeństwo. Kto wie, może ona była jego kochanką? Zupełnie jak wypadek Teda Kennedy’ego na wyspie Chappaquiddick. Ale to za piękne, żeby było możliwe.

A wracając do wycinków z gazet: w zeszły piątek znalazłem w prasie coś takiego: *Uciekło sto osiemdziesiąt krokodyli*. (Nie mam pojęcia, czy w jednym zdaniu mogą być dwa dwukropki).

Wczoraj, za piętnaście siódma wieczorem, prawie wszyscy pensjonariusze zasiedli w świetlicy przed panoramicznym telewizorem. „Ciekawe, co królowa Beatrix powie w swoim orędziu noworocznym?” No i proszę: abdykuje. Kilkuminutowe przemówienie, które wygłosiła po tym oświadczeniu, wypadło niespecjalnie. Prosta pani Groenteman zastanawiała się, czy królowa też pójdzie teraz do domu seniora.

x

Pokój po zmarłej dopiero co pani Gans został błyskawicznie opróżniony, żeby zaraz pierwszego następnego miesiąca, czyli już w piątek, można go było wynająć nowej osobie. Interes to interes, forsa to forsa. Jedyna córka Gans dostała trzy dni na zabranie i zdeponowanie gdzieś rzeczy matki albo oddanie wszystkiego Armii Zbawienia. Alternatywą było zapłacenie za kolejny miesiąc.

Przysłała jakiegoś gościa, który się ogłaszał, że skupuje w całości rzeczy po zmarłych po wyjątkowo atrakcyjnej cenie. Tylko zajrzał do pokoju i od razu się zmył. „Nie zwrócą się nawet koszty przewiezienia”. Subtelny gość, nie ma co!

No, ale trzeba przyznać, że pani Gans rzeczywiście nie miała ani pieniędzy, ani gustu.

W końcu jej córka wybrała tylko parę rzeczy na pamiątkę, a całą resztę oddała do utylizacji. Wcześniej błagała naszą dyrektorkę o przesunięcie terminu o trzy dni, ale nic nie wskórała.

– Przykro mi, naprawdę, bardzo bym chciała inaczej, ale muszę się trzymać przepisów – powiedziała obłudnie pani Stelwagen.

Muszę kiedyś zapytać Anję, czy to prawda. Jeśli ośrodek sam musi opróżnić pokój, to wysyłają rodzinie rachunek na minimum pięćset osiemdziesiąt euro, chociaż to co najwyżej godzina roboty.

Pani Gans pewnie przewróciłaby się w grobie, gdyby się o tym dowiedziała. W grobie, w którym nawet jeszcze nie leży. Wczoraj w południe była okazja, żeby się z nią pożegnać, ostatni dzień na spotkanie, że tak to ujmę. Twarde prawa dzungli starsuszków: oglądasz i jesteś oglądany. Dzisiaj ma być pogrzeb.

W niedzielę rano wszyscy siedzieli z radosnymi minami przy oknach i patrzyli na deszcz. Koniec śniegu! W południe tego dnia było jeszcze zbyt niebezpiecznie, ale już wczoraj ulica przed ośrodkiem roiła się od chodzików.

Muszę przyznać, że i ja z wielką radością zrobiłem sobie spacer.

Środa, 30 stycznia

Nie afiszuję się specjalnie z moimi republikańskimi przekonaniami. To niezbyt odpowiedni moment, żeby wykrzykiwać „Precz z królem”. Nic nie mam do królowej Beatrix, ale tak sobie myślę, że najwyższy czas usunąć się trochę w cień. Trochę więcej malować albo rzeźbić, a trochę rzadziej chodzić do fryzjera. Te jej fryzury drażnią mnie już od dawna. Powinno mi być wszystko jedno, ale nie potrafiłem się opanować. Na pierwszej stronie gazety jakieś trzydzieści zdjęć Beatrix z różnych okresów. Na żadnym nie widać, żeby choć jeden włoszek leżał nie tak.

W naszym ośrodku królową najchętniej nosiliby na rękach. Na stołach z gazetami leżą różne czasopisma ilustrowane, jak na przykład „Vorsten” o życiu rodzin królewskich, obok jakaś „Libelle” czy

„Margriet”. Kiedyś Evert położył tam „Playboya”, tytułem eksperymentu. Zniknął w ciągu godziny! Na każdej kartce tych wszystkich czasopism jest wielki stempel ośrodka, żeby nikomu nawet do głowy nie przyszło zabrać je do siebie. Na „Playboyu” nie było stempli.

Kilku pensjonariuszy zamówiło już sobie na trzydziestego kwietnia miejsca w autobusie na plac Dam. Za nic nie chcą przepuścić ceremonii koronacji.

x

Zaraz idę na chwilę do Everta. Znowu ma atak podagry, więc muszę wyprowadzić jego psa Mo. Zdaniem Everta, Mo musi być inteligentny, o czym świadczy fakt, że zawsze warczy na widok dyrektorki. Któregoś razu, nie zwracając uwagi na to warczenie, chciała go pogłaskać, a wtedy Mo ugryzł ją w rękę... znaczy prawie, bo w rękaw żakietu. Pewnie bardzo drogiego. Od tego momentu stosunki między Evertem a panią dyrektor są, mówiąc ogólnie, lodowate.

Evert powiesił sobie na drzwiach tabliczkę „Uszanuj warczenie”.

Wczoraj wieczorem, kiedy po raz pierwszy przyszedłem wyprowadzić Mo, Evert siedział skwaszony w fotelu. Kiedy dopada go podagra, nie pije, tylko łyka garściami pigułki. Gdy atak mija, wszystko wraca do normy.

W tym czasie zajmuję się psem i jego panem. Mo jest wdzięczny, a Evert burczy, że niczego nie potrzebuje. Nie cierpi współczucia, więc czasem lepiej trzymać się z daleka. Najchętniej powiesiłby na froncie naszego ośrodka transparent ze zrobionym wielkimi literami napisem: „Nie narzekać!”. Mnie jakoś toleruje. Kupuję mu parę drobiazgów, wstawiam do mikrofalówki gotowe danie i zmywam się. Kiedy już mu lepiej, zawsze zjawia się z jakimś drobnym prezencikiem: pięćdziesiąt tulipanów, pół kilo węgorka czy kalendarz z panienkami.

Czwartek, 31 stycznia

Oświadczenia domu królewskiego potwierdzają w całej rozciągłości: do ostatniej chwili nikt nie wiedział o abdykacji. Po dwóch dniach zalewu informacji o Beatrix, w gazetach, radiu i telewizji, i u nas przy kawie, zaczynam sobie życzyć jakiejś porządnej katastrofy, żeby było dla równowagi coś innego.

Dzień urodzin królowej, a więc dzisiaj, zawsze świętowało się u nas, podając tompoes². A może mówi się „tompouce”? Nie ma pomarańczowego lukru, bo taki jest tylko trzydziestego kwietnia, w Dzień Królowej. Niektórzy pensjonariusze wtykają jeszcze w niego w tym dniu flagi. Muszą się zadowolić takimi malutkimi papierowymi, bo oczywiście nie wolno mieć dużej na ścianie. Zasady są jasne: żadnych dziur w ścianach. W każdym pokoju są z przydziału cztery stałe miejsca z haczykami do powieszenia obrazków, i tyle musi człowiekowi wystarczyć.

Pan Ellroy próbował powiesić na takim haczyku głowę łosia. Oczywiście po chwili spadła mu na serwantkę. Cały serwis do herbaty się roztrzaskał. Pan Ellroy nie dostał większego haka, chociaż bardzo o niego prosił, bo jest bardzo przywiązany do swojego łosia.

– Jak raz się na coś pozwoli, to już nie wiadomo, czym to się skończy – usłyszał w administracji. Tym argumentem zabija się tutaj wszystkie inne. Zupełnie jakby większy hak dla Ellroyowego łosia miał spowodować, że pensjonariusze natychmiast zaczną masowo wieszać sobie na ścianach głowy dzikich zwierząt. W tej sytuacji musiał postawić ją na stole. Przez to nie nadaje się za bardzo na wieszak. Ale Ellroy i tak z daleka rzuca na rogi płaszcz i kapelusz. Najczęściej nie trafia. Schyłanie się jest dla niego dużym problemem, i tak jednak zawsze podejmuje to wyzwanie z porożem. Porządny człowiek, tyle że

głuchy jak pień. Szkoda, bo inaczej można by sobie z nim uciąć przyjemną pogawędkę.

Piątek, 1 lutego

Zaraz będę miał nieoczekiwaną wizytę pani, która jest pracownikiem socjalnym. Na szczęście dla niej, prawie zawsze jestem na miejscu. Wszyscy tutaj prawie zawsze są na miejscu. Bardzo mnie zdziwiły jej odwiedziny.

Zaparzyłem dla niej filiżankę kawy i spytałem, czemu zawdzięczam ten zaszczyt. Zaczęła coś tam nieporadnie bąkać: czy nie wydaje mi się, że życie jednak wciąż ma sens, i czy nie jestem w smutnym nastroju.

W uroczy sposób nie umiała sobie poradzić ze swoim zadaniem. Była jeszcze młoda i niedoświadczona, jak na taką pracę, ale najwyraźniej robiła, co mogła.

Spytałem ją, skąd to nagłe zainteresowanie moją osobą.

– To naprawdę nie jest istotne.

– Droga pani, skoro to nie jest istotne, to spokojnie może mi pani powiedzieć.

W końcu okazało się, że przyszła na prośbę naszego lekarza. Pewnie z tego powodu, że jakiś czas temu w zaowalowany sposób napomknąłem o eutanazji, pytając go o pigułkę, która byłaby lekarstwem na wszystko. Obawiając się, że jeszcze skoczę z dachu, nasłał na mnie tę bidulkę.

Wobec tego zapewniłem ją, że na najbliższy okres nie mam żadnych planów samobójczych. Trochę się przestraszyła tego słowa i zaczęła mnie zapewniać:

– Och, nie, wcale nie to miałam na myśli.

– Doskonale wiem, co pani miała na myśli. Nie ma w tym nic złego. I proszę powiedzieć panu doktorowi, że byłoby miło z jego strony, gdyby na przyszłość nie zwał na innych obowiązku przeprowadzenia takiej przykrew rozmowy. Jeszcze kawy?

Powiedziała, że, niestety, musi już iść.

x

Wczoraj byłem z wizytą u Anji, mojej informatorce w biurze szefowej, i dostałem od niej kopię raportu dyrektorki dotyczącego morderstwa popełnionego na rybkach. Nie zostałem tam wymieniony jako podejrzany. Evert zresztą też nie. Dyrektorka jest przekonana, że sprawcy trzeba szukać wśród personelu. Motywem miałyby być podobno podkopanie jej pozycji. Zamierza zainstalować kamery w korytarzach. Zastanawiam się, czy to dopuszczalne.

Sobota, 2 lutego

Powiedz stop zniedołężnieniu – ruszaj się. Taki był tytuł starego artykułu w gazecie, a niżej podtytuł: „Naukowcy na całym świecie poszukują przyczyn starzenia się i sposobów, jak mu zaradzić”. No, panowie naukowcy, widzę jakieś opóźnienie w pracach. A tak w ogóle, to nic się nie da zrobić, ale proszę bardzo, przyjeżdżajcie, u nas znajdziecie mnóstwo materiałów do badań.

Z biologicznego punktu widzenia człowiek mniej więcej od czterdziestki nie jest już do niczego potrzebny, ponieważ dzieci dorosły i nie potrzebują rodziców. Od tego momentu zniedołężnienie żwawo

przyspiesza; zaczyna się od łysienia i okularów do czytania. Także na poziomie komórkowym dzieje się nie najlepiej: coraz więcej błędów przy podziale i mnożeniu się. Spowolniona przemiana materii osłabia komórki nerwowe, przez co także w głowie robi się nędznie. (Streszczam artykuł pokrótce).

Wielu rzeczy naukowcy nie wiedzą, ale jedno jest oczywiste: *use it or lose it*. Trzeba utrzymywać w ruchu ciało i umysł, zwłaszcza korę przedczołową, czyli tę część mózgu, która zawiaduje takimi funkcjami, jak planowanie, podejmowanie inicjatywy oraz umiejętność dostosowywania się. Cóż, najwyraźniej dyrekcja tego naszego teatryku nie zwraca szczególnej uwagi na rolę kory przedczołowej. Nie szczędzi się czasu i kosztów, żeby starszycy byli bezwolni, bierni i apatyczni, a kamufluje się to za pomocą bingo, klubu bilardowego i „zdrowego ruchu dla seniora”.

Oczywiście nie przypisuję za to winy wyłącznie personelowi. Jego klientela zbyt chętnie daje się ubezwłasnowolnić. A ja czasem doskonale to rozumiem. Sam miewam takie dni, kiedy dosłownie nic mi się nie chce.

Pójdę się trochę przejść. Ciekawe, jak daleko uda mi się tym razem. Opatrunek, który miałem na głowie po upadku, już zdjąłem. Wzbudziło to sporo komentarzy.

Niedziela, 3 lutego

Z niektórych sondaży wynika, że partia 50PLUS powinna uzyskać nawet dziewięć miejsc w parlamencie. Za sześć lat będzie więcej wyborców powyżej pięćdziesiątki niż poniżej. Nagle różne partie zaczynają się budzić i ruszają do działania. Odkryto istnienie groźnego staruszka. Zaczynamy być interesujący. Oczywiście nie ma tu mowy o jakiegokolwiek świadomości politycznej. „Politycy nas okradają”, to chyba najsubtelniejsza wypowiedź przy kawie, jaką można usłyszeć.

x

Nowa pensjonariuszka, która zajęła miejsce świętej pamięci pani Gans, wygląda na miłą. Prawdziwa ulga, zważywszy na te szurające nogami po korytarzach baby. Ta wprawdzie też szura, ale przynajmniej z klasą.

Uciałem sobie z nią pogawędkę i usłyszałem, że znalazła się tutaj nie do końca z własnej woli. Ale nie ma zamiaru „dać się zamknąć w trumnie”. Przynajmniej „jak na razie”.

– A może w ogóle każe się skremować? Jeszcze nie zdecydowałam.

Powiedziałem, że ja też się jeszcze waham i że to w ogóle nie jest dobry pomysł, obojętnie czy do ziemi, czy przez komin, a ona mi przytaknęła.

– Wie pan, wiele możliwości to już nie ma. Ewentualnie rzucić się z samolotu w morze. Można by zapytać tego argentyńskiego pilota.

– O ile wiem, to on jeszcze siedzi – zauważyłem.

– Chociaż chyba jednak nie wymigam się od kremacji – powiedziała ni stąd, ni zowąd.

– A to dlaczego?

– Hm... jak człowiek nazywa się Brand³... No właśnie, jestem Eefje Brand, bardzo mi przyjemnie.

– Hendrik Groen, proszę mi mówić Henk.

Takiej rozmowy chyba nigdy tu w ośrodku nie przeprowadziłem, jak daleko sięgnę pamięcią. Moje rozmowy z Evertem są świetne, lecz utrzymane w zupełnie innym tonie. Wszyscy inni pensjonariusze rozmawiają głównie o pogodzie, jedzeniu i swoich chorobach.

Cóż, pogoda jest ładna, jedzenie ujdzie, a z pomocą paru dodatkowych pigułek ciało jakby mniej mi

dokuczało. Jednym słowem: życie się do mnie uśmiecha!

Poniedziałek, 4 lutego

W gazecie napisali, że ktoś wpadł samochodem w poślizg i rozjechał siedemdziesiąt łysek. Masowa rzeź łysek. Musiało to nieszczerze wyglądać. Te pióra i dzioby, cała ta krew... Albo siedziały bardzo blisko siebie, albo to był jakiś niesamowity poślizg. Zazwyczaj łyski są bardzo płochliwe i nie da się do nich podejść. Oczywiście zastanawiam się, czy reporter naprawdę dokładnie policzył zwłoki. No i co się stało z rannymi? Trudno mi sobie wyobrazić, żeby wszystkie łyski zginęły na miejscu. Z pewnością parę się uratowało. No nie, chyba trochę przesadzam z tym dzieleniem włosa na czworo.

W niedzielę w południe często wpada Evert na pogaduszki „i kieliszek tego czy owego”. Nie jest specjalnie trudny w obsłudze: wino czy jenever, koniak czy whisky – jemu jest bez różnicy. Widziałem kiedyś, jak będąc z wizytą u pani Tankink, rozprawił się z całą butelką advocata. Niczego innego w domu nie miała. Po dwóch kieliszkach wziął sobie miskę do zupy i poprosił o dużą łyżkę. Zupełnie jakby to był rzadki budyń. Pani Tankink zachowała się w tym momencie tak, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem, ale potem całymi tygodniami, kiedy tylko Everta nie było w pobliżu, mówiła o jego skandalicznym zachowaniu.

Niedzielne południe to dla wielu pensjonariuszy klasyczna pora rodzinnych odwiedzin.

– Ojej, to już znowu półtora miesiąca, jak nie byliśmy u mamy i taty? Chyba trzeba będzie do nich wpaść w niedzielę w południe.

A potem wypijają filiżankę herbaty i odsiadują te swoje dwie godziny.

Hendrik, lepiej się przyznaj: w tym momencie przemawia przez ciebie zazdrość, bo ciebie nikt nie odwiedza. Poza Evertem, ale trudno to nazwać odwiedzinami.

Wtorek, 5 lutego

Jeśli człowiek chce sobie jakoś zaplanować eutanazję w szpitalu, musi się sporo napracować. Zwłaszcza jeśli ma opornego lekarza. Holenderskie Stowarzyszenie Dobrowolnego Zakończenia Życia pomyślało o tym. Liczba członków bardzo szybko rośnie.

Dwa lata temu Stowarzyszenie w ciągu trzech dni zebrało czterdzieści tysięcy podpisów, żeby oddać pod obrady Drugiej Izby kwestię pomocy dla ludzi powyżej siedemdziesiątki, którzy decydują się zakończyć życie. Wśród nich była nawet słynna prezenterka telewizyjna Mies Bouwman! Takie akcje zawsze dobrze jej wychodziły. Czyżby to miało być jej ostatnie wielkie osiągnięcie? Akcja „Koniec i kropka”?

Czterdzieści tysięcy podpisów oznacza, że Druga Izba będzie się musiała pochylić nad problemem ludzi w podeszłym wieku, którzy doszli do wniosku, że ich życie praktycznie jest spełnione, i chcieliby zakończyć je w jakiś godny sposób. Dzięki temu uniknie się sytuacji, w których ktoś kupuje butelkę spirytusu i podpala się, bo nikt nie chce mu pomóc. Podobno autentyczny przypadek, jak twierdzą ci ze Stowarzyszenia.

Przeciwnicy Stowarzyszenia są natomiast zdania, że życie starszych wystarczy tylko trochę uatrakcyjnić, a na pewno znowu zaczną dostrzegać w nim sens. Bardzo ciekawa teza, muszę przyznać. Zapraszamy do naszego ośrodka jako na poletko doświadczalne. Przychodźcie i uatrakcyjnijcie!

A jeśli jednak się nie uda, to zbudujcie szybko odpowiednią klinikę dla ludzi, którzy chcieliby

w sposób kulturalny i pod fachową opieką rozstać się z życiem. I to najchętniej gdzieś w pobliżu.

x

Może jednak coś bardziej wesołego, Groen. Pomyśl o wiosnie.

Zaobserwowałem ostatnio przebiśniegi, a nawet kilka naprawdę wczesnych narcyzów. Kwiatki nie za bardzo wiedzą, co robić: najpierw ciepły grudzień, potem prawie trzy tygodnie śniegu i lodu, nagle znowu dziesięć stopni, a teraz z kolei grad i zawieje śnieżne. No dalej, kwiatuszki, nie dajcie się zwariować! Mam ochotę na piękne przedwiośnie.

Środa, 6 lutego

Przy kawie gada się też o pieniądzech. Bank SNS ma problemy i pensjonariusze, którzy trzymają tam oszczędności, wypłacali wszystkie pieniądze. Albo raczej kazali to zrobić synom i córkom, bo o sprawach bankowych mało kto ma tutaj pojęcie. Już samo wstukanie PIN-u w bankomacie to prawdziwe wyzwanie. Rozglądanie się, czy człowieka nie napadną, przy jednoczesnym wciskaniu trzęsącą się ręką czterech cyferek, i jeszcze trzeba je zasłaniać przed okiem osób niepożądanych, kładąc się na bankomacie... To naprawdę bardzo skomplikowane czynności, więc często się nie udaje. Wtedy człowiek zaczyna gwałtownie tęsknić za starą dobrą kopertą z wypłatą.

W naszym ośrodku jest sporo wdów, które do śmierci mężów nigdy w życiu nie podpisały nawet odbioru pieniędzy na pocztę. Co tydzień dostawały wyliczoną kwotę na dom, i tyle. Bardzo często, gdy takie osoby umierają, można znaleźć skarpetę wypchaną pieniędzmi.

Potem w świetlicy jest mowa o programie *Gwiazdy tańczą na lodzie*. Gorzej już być nie mogło. Z zadowoleniem skonstatowałem, że mam sprzymierzeńca: Eefje Brand. Takie rzeczy zbliżają.

Próbując wciągnąć ją do rozmowy, ktoś zapytał, co sądzi o programie.

– Doktor zabronił mi oglądać – odparła.

Wszyscy wokoło unieśli brwi ze zdziwienia, a ja zebrałem się na odwagę i powiedziałem, że musi mieć jakiegoś bardzo inteligentnego lekarza. Potem Eefje napomknęła coś o pogodzie i reszta osób przy stole zamilkła.

Wybierałem się właśnie do naszego sklepiku, więc poprosiła mnie, żebym kupił dla niej gazetę z programem, bo ona ma problem z chodzeniem. Zostawiła mi wybór jaką. Taki dowód przyjacielskiego zaufania.

– To pani nie kupuje zawsze tej samej? – spytał pan Gorter, szczerze zdziwiony.

Odpowiedziała, że nie, że raz kupuje taką, raz taką.

– To skąd pani wie, gdzie co jest? – zdumiał się Gorter, robiąc wielkie oczy. Po prostu za nic nie mógł tego pojąć.

– Jak czegoś potrzebuję, to sobie szukam. Najczęściej po niedzieli jest poniedziałek, potem wtorek, środa i tak dalej.

Oj, Eefje Brand, raczej nie znajdziesz tutaj wielu przyjaciół, ale z całego serca polecam siebie.

Czwartek, 7 lutego

Evert chciałby poznać panią Brand i zaproponował, żebym zaprosił ją i jego na herbatę. Obiecał, że z tej okazji będzie pił tylko herbatę. No, sam nie wiem... Może nie przypadną sobie do gustu. On jest oschły i gburowaty, a Eefje sprawia na mnie wrażenie subtelnej i delikatnej. Trochę się obawiam, czy uda mi się zręcznie lawirować między nimi. No, ale przynajmniej ładnie brzmi: Evert i Eefje. Może zostaniemy Trzema Muszkieterami tego ośrodka?

x

„Nasz” przewodniczący rady nadzorczej, Eelco D., znowu w wiadomościach. Musi wprowadzić program oszczędnościowy. To oznacza zwolnienie tysiąca pięciuset pracowników opieki domowej. Parę lat temu gość dostał premię sześćdziesiąt tysięcy euro do swojej pensji wynoszącej dwieście dwadzieścia tysięcy za to, że uchronił przed bankructwem amsterdamską organizację pomocy społecznej Cordaan. A ja myślałem, że taki był właśnie cel jego pracy. Niewielu znam przewodniczących rad nadzorczych, których zatrudnia się po to, żeby doprowadzili firmę do upadłości.

Eelco mocno wtedy zaoszczędził między innymi na wynagrodzeniu dla opiekunów uczących się zawodu. Dostają teraz tylko pięć tysięcy euro rocznie za podkładanie basenów i mycie pomarszczonych genitaliów, co stanowi jedną pięćdziesiątą czwartą tego, co ich szef przelewa sobie na konto z gabinetu odświeżonego ostatnio kosztem czterdziestu tysięcy euro. Biada gościowi, który uważa, że jest pięćdziesiąt cztery razy więcej wart od kobiety, która z oddaniem wykonuje brudną robotę.

Piątek, 8 lutego

Niepokój w naszym domu spokoju. Na tablicy pojawiła się kartka z ogłoszeniem, że pensjonariusze mogą zgłaszać się do lekarza po opaskę „Proszę nie reanimować”. Nie wiadomo, kto jest jej autorem. Większość pensjonariuszy dawała przy kawie wyraz swojemu oburzeniu na taką akcję promocyjną.

– Chcą się nas pozbyć.

– Za dużo ich kosztujemy.

Gruby pan Bakker jeszcze jakoś sobie wyobraża, że mogłaby go reanimować kobieta, ale absolutnie nie życzyłby sobie reanimacji przez mężczyznę.

– To już wolę umrzeć.

Ciekawe, czy na coś takiego będą osobne opaski?

Po kawie kartka zniknęła. Nikt nie wie, kto ją usunął.

Mam nadzieję, że taka opaska nie za bardzo rzuca się w oczy, bo inaczej przez cały dzień musiałbym wysłuchiwać złośliwych komentarzy. Spróbuję się jakoś sprytnie dowiedzieć u lekarza.

Zaprosiłem na jutro w południe Eefje i Everta. Na herbatę. Tak trochę po angielsku, z kanapeczkami z szynką, takimi z białej bułeczki bez skórki, poprzycinanymi ukośnie. No i słodkości: czekoladki, ciasteczka i jakiś tort. I coś z kremem. Muszę się skądś dowiedzieć, jak to jest naprawdę z tym angielskim *high tea*. Na piątym piętrze mieszka taki człowiek z Anglii o pakistańskim nazwisku. Być może zna tylko pakistańskie zwyczaje herbaciane, mimo to spróbuję i zaraz do niego pójde.

W korytarzu spotkałem tę nieśmiałą pracownicę socjalną, którą lekarz nasłał na mnie, żeby wybiła mi z głowy eutanazję.

– Jeszcze żyję! – powiedziałem i mrugnąłem porozumiewawczo.

Szczerze się roześmiała. Nie przypominam sobie, kiedy po raz ostatni puściłem do kogoś oko. Pewnie jeszcze do córki.

Muszę przyznać, że trochę jestem zdenerwowany tą wizytą, która mnie zaraz czeka. Zawsze sobie powtarzam, żeby wszystko robić normalnie, ale tymczasem posprzątałem pokój, wymyłem podłogę, trzy razy wyprasowałem koszulę i kupiłem trzy rodzaje ciastek. A potem i tak musiałem jeszcze raz iść do sklepu po inną herbatę niż zwykle torebki English breakfast. Wskazówki miłego pana z Pakistanu całkowicie zignorowałem, ponieważ dał mi piękną i grubą księgę na temat herbacianych zwyczajów z całego świata. W języku urdu.

W Tybecie dziewięćdziesiąty dziewiąty Tybetańczyk podpalił się w ramach protestu. Setnego to już chyba uczczą jakoś specjalnie. Również w świecie arabskim zaczyna się przyjmować moda na takie wyrażanie niezadowolenia. Trzeba przyznać, że jak najbardziej przyciąga to uwagę, ale na krótko.

Ja też podchodzę do wielu spraw w naszym ośrodku dość krytycznie, ale żeby się z tego powodu od razu podpalać, to jednak lekka przesada.

Jak napisali w „Volkskrant”, Holandia ma najlepszą na świecie, obok Skandynawii, opiekę społeczną nad osobami w podeszłym wieku. Wczoraj delikatnie podrzuciłem ten temat przy popołudniowej kawie. Nie powiem, żeby wzbudziło to jakiś entuzjazm. Albo nie uwierzyli, albo uznali, że to nieprawda.

– Skoro tutaj tak na nas oszczędzają, to jak musi być w innych krajach – zastanawiali się ze współczuciem.

To, że lekko licząc, pół miliarda osób w podeszłym wieku nawet nie słyszało o czymś takim jak emerytura z urzędu, większość uznała za w najwyższym stopniu nieprawdopodobne.

Niedziela, 10 lutego

Herbatka u mnie wcale nie okazała się katastrofą, ale gdybym próbował twierdzić, że byłem wyluzowanym, błyskotliwym i inteligentnym gospodarzem, to mocno rozminąłbym się z prawdą.

Eefje przyszła pierwsza. Pokazałem jej swój „dom”, a ona z właściwą sobie uprzejmością stwierdziła, że jest „przytulnie”. Cóż, może to oznaczać wszystko.

Potem wszedł Evert, robiąc przy tym sporo hałasu. Ma zapasowy klucz do mojego pokoju i odmawia używania dzwonka. Wkroczył z szerokim uśmiechem na twarzy i trochę za głośnym „cześć”. Kiedy go spytałem, jaką życzy sobie herbatę, zdziwił się głośno: od kiedy to mam do wyboru coś więcej niż tylko zwykłą English breakfast. A kiedy chwilę później chciałem niepostrzeżenie postawić na stole cały asortyment ciastek, zauważył, że nigdy dotąd się nie zdarzyło, żebym go podjął tak po królewsku.

– A może to z powodu wizyty tej oto królowej? – spytał, ostentacyjnie puszczając do mnie oko.

Coś mi się wydaje, że nawet się zaczerwieniłem. Eefje roześmiała się i powiedziała, że czuje się zaszczycona.

Rozmawialiśmy sobie o różnych mało ważnych rzeczach i o pogodzie. Potem czas dojrzał, żeby ostrożnie podpytać Eefje, jak jej się podoba w naszym przybytku. Jej odpowiedź była wielce dyplomatyczna.

– Nie chcę pochopnie wyrokować, ale widzę zarówno pozytywne strony, jak i pewne punkty wymagające działań naprawczych, jak to się dzisiaj mówi po menedżersku.

– Mianowicie? – zaciekał się Evert.

– W tym momencie jestem jeszcze w trakcie inwentaryzacji. Może będzie to jakaś okazja, żeby niedługo spotkać się ponownie na herbacie i ciasteczkach.

– Albo nawet na czymś mocniejszym.

Evert najwyraźniej przymawiał się o jenevera, a to oznaczało alarm najwyższego stopnia, ponieważ kiedy pije, niekoniecznie wpływa to dodatnio na jego subtelność.

Eefje jednak znowu elegancko znalazła się na wysokości zadania.

– A tak, czemu nie. Może następnym razem ja was zaproszę na koniaczek. Ale na razie niczego nie obiecuję – dokończyła z uśmiechem.

– Może być jenever?

Jak widać, Evert wcale nie musi się napić, żeby stracić subtelność.

– Nie wiem dlaczego, ale coś mi się wydaje, że jeśli idzie o picie, to u ciebie, Evert, ilość jest ważniejsza niż jakość. A u Henka dokładnie odwrotnie.

– Eefje, będę cię zapraszał częściej – obiecałem, uśmiechając się do obojga.

Pół godziny później pożegnała się. Kolejna oznaka klasy: nie siedzi w nieskończoność.

Za to Evert nadrobił to z nawiązką. Dwie godziny i pięć jeneverów później dałem mu do zrozumienia, żeby już sobie poszedł.

Poniedziałek, 11 lutego

Ostatnio pensjonariusze lekko wychodzą ze skóry z powodu pogody. Kiedy popatrzą przez okno na niebo, wygląda na to, że jest wspaniała pogoda na spacer, a gdy pięć minut później doczłapią się do wyjścia, wychodzą na śnieżycę. Tymczasem my nie lubimy niespodzianek, podobnie jak zmian.

Na tablicy ogłoszeń wiszą sprawozdania z zebrania rady mieszkańców. „W najbliższym czasie rada dopilnuje, żeby w czasie bingo na stołach była woda i słone paluszki”.

Paluszki będą pewnie stały w szklankach. I na pewno znajdzie się co najmniej jedna osoba, która powie:

– Phi, a pamiętacie, jak dawniej przy okazji urodzin na stołach stały w takich właśnie szklankach papierosy?

– Tak, to prawda. Jedna szklanka z filtrem i jedna bez.

Jeśli nie usłyszę takiego dialogu, jestem gotów zjeść moje cygaro. Albo przynajmniej banderolę. Bo dawniej, kiedy wszystko było lepsze, to się je zbierało.

„Składka na radę mieszkańców ma być podniesiona o dziesięć centów”. Dobrze czytam: o dziesięć.

Sprawa organizowanej raz na pół roku wycieczki została zawieszona do czasu uzgodnienia jej celu. Od momentu, kiedy nie udało się znaleźć kompromisu w sprawie przeniesienia bingo na inny dzień, w łonie rady panują głębokie podziały. Na następnym zebraniu mają ponownie spróbować dogadać się co do celu i daty podróży. Jeśli się to nie uda, rada rozpisze nowe wybory, żeby wybrnąć z impasu.

Nie żyje Peter Gilmore, aktor, który w latach siedemdziesiątych grał w serialu *The Onedin Line*. Niejedna starsza pani uroniła po kryjomu łezkę. To dopiero były bokobrody! To dopiero była nieustraszoność! A potem, jakieś czterdzieści lat później, patrząc na tego, który siedzi obok nich na ławce, dochodzą do wniosku, że jednak lepszy rydz niż nic.

Wtorek, 12 lutego

Ludzie w podeszłym wieku zaczynają się ostatnio cieszyć coraz większym zainteresowaniem. Nie tylko w Holandii. W Niemczech też się dzieje to i owo. Spore poruszenie wywołała książka *Mamo, kiedy*

ty wreszcie umrzesz? niejkiej Martiny Rosenberg. Autorka przez kilka lat opiekowała się rodzicami cierpiącymi na postępującą demencję. W gazetach pisano również, że niektóre niemieckie dzieci oddają swoich potrzebujących pomocy rodziców do znacznie tańszych domów opieki na Ukrainie, Słowacji, a nawet w Tajlandii. U naszych wschodnich sąsiadów obowiązuje *Elternunterhalt*, czyli zasada, że jeśli emerytura, różne dodatki z opieki społecznej i zaskórniaki rodziców nie wystarczą na comiesięczną opłatę za dom opieki, to dzieci muszą się do tego dołożyć. Przy odrobinie pecha możliwa jest sytuacja, że ktoś musi płacić alimenty zarówno na rodziców, jak i na dzieci.

Zważywszy na te wszystkie przerażające oszczędności związane z wydatkami na opiekę nad ludźmi w podeszłym wieku, w naszym ośrodku nie jest jeszcze aż tak źle. Większość pensjonariuszy ma państwową emeryturę i jakąś drobną rentę. Jeśli się prawie nic nie wydaje, może nawet jeszcze coś zostać. A jak oni tutaj oszczędzają! Większość pieniędzy idzie na ciasteczka, czekoladki, fryzjera i podstawiany na telefon autobus. Prawie nikt nie wyjeżdża na wakacje. Nikt już nie ma samochodu. Drogie meble i ubrania widzę z rzadka. Jedzenie w restauracjach uważa się za grzech ciężki, a zamówienie taksówki – za wyrzucanie pieniędzy w błoto. Starzy ludzie sami sobie wszystkiego odmawiają.

Tymczasem średnia wieku w domach seniora ciągle rośnie. Ludzie coraz dłużej mieszkają samodzielnie i coraz później trafiają do takich ośrodków. Ja, przy moich osiemdziesięciu trzech latach, jestem jednym z najmłodszych.

Jeśli się już człowiek tu dostanie, nie ma powrotu. Nikt przecież nie zacznie nagle znowu mieszkać sam. Nigdy też nikogo się z ośrodka nie wyrzuca, dlatego że nie ma z czego płacić. Ale dzieci narzekają, i to jak! Trudno im ścierpieć, że tatuś i mamusia przejadają ich spadek. Im dłużej staruszkowie żyją, tym mniej zostaje dla nich. Ująłbym to tak: drogie dziecko, to już nie moje zmartwienie.

Biedy wśród osób w podeszłym wieku jest mniej, niż się powszechnie uważa. Ostatnie badania wykazały, że wśród osób powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia biednych jest jedynie dwa i sześć dziesiątych procent, natomiast sześćdziesiąt trzy procent uważa, że całkiem dobrze im się powodzi.

Awantury z powodu rzekomej biedy wśród seniorów robi młodsza frakcja partii 50PLUS, wykorzystując swoich trzynaście wirtualnych miejsc w parlamencie. To właśnie Henk Krol i jego koledzy, którzy pociągają za wszystkie sznurki i chcą jeszcze trochę korzystać z niemałych parlamentarnych uposażeń. Pięćdziesiątka jako granica to dziwactwo. Pięćdziesięciolatkowie to najpotężniejsza i najbogatsza grupa wiekowa w Holandii.

Sześćdziesiąt pięć, a wkrótce pewnie sześćdziesiąt siedem – to byłaby bardziej logiczna dolna granica. Jestem za stworzeniem partii 67PLUS, 77PLUS i 87PLUS. 97PLUS pewnie nie przekroczyłaby już progu wyborczego.

Środa, 13 lutego

Papież zepchnął skandal z końskim mięsem z pierwszego miejsca w rankingu rozmów przy kawie. Większość uznała, że to całkiem rozsądne ze strony papieża, że wybrał emeryturę. Zdania na temat czarnoskórego papieża były podzielone. Pan Schut powiedział, że to nie byłby najlepszy pomysł, gdyby nagle Czarny Piotruś został Świętym Mikołajem. To już Berlusconi byłby dla niego lepszym kandydatem.

Na szczęście znacznie więcej było takich, którzy nie widzieli zasadniczych przeszkód, żeby czarnoskóry kardynał został papieżem. Większość jednak miała zastrzeżenia do papieża w ogóle. W zasadzie nasz ośrodek jest katolicki z odchyłami w stronę Politycznej Ligi Protestantów i Politycznej Partii Protestantów. Napięcia między katolikami, ewangelikami reformowanymi i protestantami nigdy do końca nie wygasły. A papież to już prawdziwy kamień niezgody.

Przebieg przeciętnego dnia. Część I

Około wpół do dziewiątej wstaję. Potem idę do naszego minisupermarketu i przynoszę sobie dwie świeże bułeczki. Przy śniadaniu czytam „Volkskrant”. W ostatnim czasie wydają ją szmatławie. Potem piszę swój tajny dziennik. Zajmuje mi to około godziny. Następnie idę na dół na kawę i wypalam cygaro. Jak się już wykaszłę, czyli około wpół do dwunastej, robię sobie gimnastykę w formie spaceru po ośrodku albo na dworze. Zwykle idę w stronę mieszkania Everta, ale ostatnio przyłapuję się na tym, że często próbuję, niby przypadkiem, wpaść na Eefje. Odnoszę wrażenie, że ona nie ma nic przeciwko temu. A że obydwójce trochę pomagamy przypadkowi, często siedzimy gdzieś razem przy drugiej kawie.

Zaprosiłem ją na południowy koncert w ratuszu. Przyjęła zaproszenie z przyjemnością i zastrzeżeniem, że schody to dla niej przeszkoda nie do przebycia.

O pierwszej jem posiłek w naszej ośrodkowej restauracji i często przychodzi wtedy Evert na mielonego w kajzerce. Decyzję o tym, że chce się zjeść na dole, trzeba zgłosić tydzień wcześniej. W tym celu każdy pensjonariusz otrzymuje formularz, w którym trzeba zaznaczyć na każdy dzień, czy przyjdzie się jeść w południe i/lub wieczorem i co się będzie jadło. Na wieczór są do wyboru trzy główne dania, dwie przystawki i dwa desery. Wystarczy tylko powstawić krzyżyki. Nazwisko danej osoby jest już wydrukowane w nagłówku, podobnie jak wszelkie zalecenia dietetyczne.

Evert na lunch zawsze zakreśla sześć razy „mielony w kajzerce”, obojętne, czy ma przyjść, czy nie. Od swojej informatorki w sekretariacie wiem, że szef kuchni już się skarżył do dyrektorki na marnowanie bułek i mielonych, kiedy Evert nie przychodzi, ale, jak na razie, pani Stelwagen nie mogła znaleźć w regulaminie żadnego przepisu, który pozwoliłby jej interweniować.

Czwartek, 14 lutego

Dzisiaj z samego rana Evert wsunął pod drzwi Eefje kartkę walentynkową. O ósmej przyszedł mi o tym zameldować. Trochę jeszcze było czuć od niego alkoholem i na sto procent nie odbył jeszcze porannej toalety.

– Teraz już o tym wiesz i możesz dać jej do zrozumienia, że to ty. To kartka z dwoma łabędziami. Bardzo romantyczna. Teraz wracam jeszcze na trochę do łóżka. Dobranoc, Henk.

Normalnie aż mnie zatkało.

Kiedy wczoraj zaszedłem do pobliskiego minimarketu, żeby kupić nową szczotkę do zmywania, za kasą siedziała młoda dziewczyna, na oko osiemnastoletnia. Chciałem zapłacić, ale nie mogłem tak od razu dokopać się do portmonetki.

Kasjerka popatrzyła na mnie poirytowana i chciała w tym czasie obsłużyć kobietę stojącą za mną, ale ta powiedziała:

– Nie, nie, ten pan był pierwszy. – A do mnie: – Proszę spokojnie poszukać.

Wreszcie znalazłem portmonetkę i wyciągnąłem dziesięć euro.

– Proszę.

Kasjerka położyła resztę na ladzie.

– Dziękuję.

Nawet nie zaszczyliła mnie spojrzeniem.

Są ludzie, którzy czują głęboką odrazę do wszystkiego, co stare, zniedołężniałe i powolne.

Ta smarkula z minimarketu taka właśnie była. Trudno się uodpornić na kompletny brak szacunku.

x

Pani Van Diemen ma nadzieję, że papież, którego teraz wybiorą, przyjedzie w swoim czasie do Amsterdamu, żeby koronować Willema Alexandra. Najlepiej, żeby to był holenderski papież. Pani Van Diemen jest na najlepszej drodze do oddziału zamkniętego.

Piątek, 15 lutego

Evert dostał liścik od Eefje „Z całego serca dziękuję za wspaniałą kartkę. Niechcący zobaczyłam, jak wsuwasz ją pod drzwi. Bardzo chętnie poznałabym cię bliżej”.

Był tak zmieszany, że nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Sam się o to prosiłeś, przyjacielu. Wtedy rzucił we mnie bananem, ale trafił w wazon z kwiatami, który od tego pękł.

– Przed południem pójdę kupić dla ciebie bukiet tulipanów.

x

Wszyscy tu wariują z powodu kolejnych opadów śniegu!

x

Wpadłem na chwilę do Anji, żeby się dowiedzieć, czy są jakieś nowe plotki o dyrektorze, która akurat wyszła załatwić coś ważnego. Jej dodatek na odzież biurową został podwyższony o dwa tysiące euro rocznie! O, przepraszam, nie został podwyższony, tylko zindeksowany.

Pani Stelwagen jest u nas ogromnie poważana. W ogóle jak wszystkie szychy.

Ja tam wolę patrzeć, jak szychy spadają na ziemię.

Parę lat temu trzech najpotężniejszych ludzi na ziemi znalazło się niemal jednocześnie w czołówkach wiadomości. Borys Jelcyn był zbyt pijany, żeby zejść po schodkach samolotu, papież Jan Paweł II nie był w stanie powiedzieć: „Dziękuję za kwiaty z Holandii”, nie zapadając w trąskę w drzemkę, a Bill Clinton wsadził cygaro pod sukienkę pewnej stażystki. Oczywiście cygaro nie będzie się od tego lepiej paliło, ale co gorsza, nie udało mu się przeszkodzić, żeby wiadomość o tym osobliwym sposobie palenia cygar przedostała się do wszystkich gazet. A skoro już jestem przy takich wypadkach: indyjski minister niechcący odczytał na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa przemówienie swojego portugalskiego kolegi po fachu, które ten przez nieuwagę zostawił na mównicy. Nic nie wzbudziło jego podejrzeń i dopiero ktoś z jego delegacji zwrócił mu na to uwagę.

Chcę przez to tylko powiedzieć, że postawionym wyżej od nas można zarzucić prawdziwy brak

Sobota, 16 lutego

– Czuję koninę! – zawołał gruby Bakker na całą stołówkę. I od razu niemal wszyscy, którzy zamówili mielone, potwierdzili, że oni też czują końskie mięso. Zaraz wezwano kucharza, ale ten powiedział:

– Nie, to niemożliwe. Mięso mamy zawsze od tego samego certyfikowanego dostawcy.

– No i co z tego? Jakie to ma znaczenie? On też może mieć wołowinę razem z koniną. Wyczuwam końskie mięso, i tyle. Jeszcze nie zwariowałem! – rozdarł się Bakker.

Problem w tym, że Bakker naprawdę jest wariatem, i to mało przyjemnym.

Ściągnięto szefową administracji, ale ona też wygłaszała same komunały, więc nic się nie wyjaśniło. W końcu wszystkie mielone zamieniono po prostu na smażoną flądę. Ryzyko, że tam też będzie końskie mięso, większość uznała za mało prawdopodobne.

Od lat już wiadomo, że w mielonym mięsie są też zmielone świńskie uszy czy krowie wymiona i nikt nigdy nie robił z tego problemu, a teraz nagle, tylko dlatego, że w hamburgerach eksportowanych z Irlandii do Wielkiej wykryto końskie DNA, takie halo, że ktoś dodał kawałek koniny.

Na dole, w pomieszczeniu, gdzie pije się kawę, od dziesiątej do dwunastej zawsze jest nastawione radio. Możemy słuchać specjalnego programu dla chorych przebywających w szpitalach. Nikt nie wie, dlaczego akurat tego. Większości podoba się ten repertuar, w którym przeważają holenderskie melodie.

W zeszłym roku w okolicach Wielkanocy ktoś odważył się nastawić program z muzyką klasyczną: wszyscy klaskali do *Pasji według świętego Mateusza* Bacha.

Próbuję się wprawiać w ignorowaniu muzyki puszczonej w tle. Najważniejsze, to nie siadać za blisko głośników. O godzinie dwunastej przestają nadawać. Względna cisza jest wystarczająco piękna, by się w nią wsłuchiwać.

Niedziela, 17 lutego

Świadomość, jaki to dzień tygodnia, zanika, kiedy człowiek przestaje chodzić do pracy i wszystkie dni stają się do siebie podobne. Personel oczywiście pracuje, ale codziennie robi to samo.

Jedyny dzień, który różni się od innych, to niedziela. Rano dlatego, że trzy czwarte pensjonariuszy idzie do kościoła, a w południe dlatego, że przychodzą w odwiedziny dzieci i wnuki. Dla niektórych jest to jedyny kontakt z zamieszkanym światem. I chociaż taka wizyta czasem bywa śmiertelnie nudna, to im więcej odwiedzających, tym wyższy status pensjonariusza. Niesympatyczny pan Pot przez pierwszą połowę tygodnia opowiada, kogóż to u niego nie było, a przez drugą, kto to do niego ma przyjść. Ma jedenaścioro dzieci. Pot to człowiek z rodzaju tych, którzy czekają z przejściem przez pasy, aż zobaczą zbliżający się samochód.

Do mnie nikt nie przychodzi. W niedzielne południe najczęściej oglądam jakiś wypożyczony film. Jeśli idzie o kinematografię, to jestem na bieżąco. W moim pokoju stoi średniej wielkości płaski telewizor. Kiedy jest wyłączony, zasłaniam go podróbką chińskiego parawanu. Czasem oglądam coś u Everta, ale on lubi filmy akcji i katastroficzne, a to nie dla mnie. Czasem przychodzi do niego syn, zdarza się też, że wpadnie wnuczka. Co do Eefje, to właściwie nie wiem.

Przebieg przeciętnego dnia. Część II

Jeszcze tylko chłopci gdzieś w Groningen i pensjonariusze domów seniora spożywają w południe ciepłe posiłki. Ale nie my. Nie pytajcie, dlaczego stanowimy wyjątek, ale mnie to odpowiada.

Po lunchu często, w ramach przygrywki do południowej gimnastyki, ucinam sobie piętnastominutową drzemkę. Lubię wychodzić na dwór, ale uczciwość każe mi przyznać, że od kiedy zacząłem niedołączyć, jest to dla mnie coraz trudniejsze. Chodzę marnie, a jeśli chcę się udać do miasta, jestem „skazany na busa”. A to nic przyjemnego. Nie chodzi mi już o te dwa euro, ale firma, która je obsługuje, czyli Connexxion, powinna się nazywać raczej „Disconnexxion”. Naprawdę trzeba włożyć dużo wysiłku, żeby to wszystko aż tak źle działało. Wystarczy powiedzieć, że punktualność i firmę Connexxion łączy bardzo trudna relacja. Natomiast starość i niecierpliwość idą ręką w rękę.

Poniedziałek, 18 lutego

Ze wszystkich zmysłów najlepiej funkcjonuje jeszcze mój węch. Nie zawsze jest to dobre. Wszędzie czuć starymi ludźmi. Pamiętam, że już w dzieciństwie zapach babci i dziadka wydawał mi się dziwny. Taki nieokreślony, z domieszką dymu z papierosów. Jakby ktoś przez długi czas trzymał mokre ubrania w plastikowej reklamówce.

Nie wszystkich dotyczy to w równym stopniu. Ale kiedy pewne osoby mają wpaść do mnie z wizytą, wkładam sobie do nosa watę. Tak dosyć głęboko, żeby nikt nie widział.

Odnoszę wrażenie, że skoro wiele osób tutaj całkiem straciło powonienie, to wydaje im się, że mogą się podcierać byle jak, a i higiena jamy ustnej pozostawia wiele do życzenia. Zupełnie jakby dostawali do jedzenia odpadki.

Sam okropnie się boję, że wskutek tego popuszczania na każdym kroku czuć ode mnie mocz, więc dwa razy dziennie zmieniam majtki, obficie skrapiam się wodą po goleniu, na dole też, i jem dużo pieprzu.

Zamiast wody po goleniu używam też czegoś, co nazywa się „The new fragrance for old men”. Idę z duchem czasu. Kiedy pytałem w drogerii, czy są perfumy dla osób w podeszłym wieku, zrobili wielkie oczy. A potem próbowali mi wcisnąć coś po pięćdziesiąt euro za flakonik.

Wielu pensjonariuszy wciąż trzyma się wody kolońskiej. Zapachy sprzed pięćdziesięciu lat snują się tu w najlepsze.

Przebieg przeciętnego dnia. Zakończenie

Zmuszam się do co najmniej – jeśli nie da się inaczej – jednego spaceru dziennie, nawet w ulewnym deszczu.

Po południu dużo czytam. Gazety, czasopisma i książki. Biorę próbne darmowe prenumeraty

wszystkiego, co dają. Nie tyle ze skąpstwa, ile dla sportu.

Pod koniec dnia trochę oglądam telewizję, parę razy w tygodniu jest winko u Everta. Albo on przychodzi na drinka do mnie. Zawsze dba o dobre trunki w nieograniczonych ilościach. Ja piję raczej z umiarem, inaczej już przed kolacją muszę iść spać.

Po drinku trochę się odświeżam i schodzę na dół na kolację. I mimo tych ogólnych narzekań mnie tam przeważnie smakuje. Regularnie proszę o przekazywanie podziękowań kucharzowi.

Po kolacji kawa. Po kawie telewizja. Po telewizji do łóżka. Nie brzmi za bardzo ekscytująco czy budująco, ale nic na to nie poradzę.

Wtorek, 19 lutego

Wczoraj w południe, całkiem przypadkowo, powstał klub buntowników.

W trzeci poniedziałek miesiąca w świetlicy często są jakieś zajęcia kulturalne. Zwykle jest to jakiś żalosne przedstawienie dla starszych ludzi, podczas którego mogą sobie poklaskać w rytm zakurzonych szlagierów, czasem jednak zdarza się koncert muzyki klasycznej. Ale i tak zawsze wszyscy przychodzą na wszystko, bo to za darmo – wiadomo.

Wczoraj grało trio: skrzypce, wiolonczela i fortepian. Często przyjeżdżają do nas chałturnicy bez polotu, którzy załapują się już tylko u staruszków albo u upośledzonych, ale tym razem wykonawcy byli naprawdę zaangażowani w to, co robią. Dwie ładne panie i jeden pan, wszyscy około trzydziestki. Nie dali się zbić z tropu ani pani Snijder, która o mało nie zadusiła się ciasteczkami, ani panu Schipperowi, który zsunął się z krzesła i do połowy wylądował w donicy z kwiatami. Trio przerywało wtedy, a kiedy problem został rozwiązany, grało dalej. (Zupełnie inaczej, niż pewien pianista, który po prostu grał dalej, kiedy na sali reanimowano panią Haringę. Ktoś z personelu poprosił go w pewnym momencie, żeby jednak przestał grać, chociaż dla pani Haringi i tak było już bez różnicy).

Po występie przy stole zostali: Evert Duiker (który raczej nie przepada za klasyką), Eefje Brand (znana wam już), Edward Schermer, Grietje de Boer, Graeme Gorter oraz Hendrik Groen (czyli ja). Rozmowa zesłała na chroniczny brak wydarzeń w naszym życiu. Graeme zaproponował więc, że skoro brak jest atrakcji w ośrodku, to może trzeba ich częściej szukać poza nim.

– Zwyczajnie. Dwa razy w miesiącu zamawiamy busa pod drzwi i gdzieś jedziemy. Zakładając, że zgłosi się te sześć osób, które siedzą teraz przy stole, i każda będzie miała cztery pomysły, to mamy dwadzieścia cztery szkolne wycieczki rocznie. To chyba niezła perspektywa?

Musieliśmy mu przyznać rację i na zakończenie postanowiliśmy, na wniosek Grietje, że dziś wieczorem spotkamy się w sali rekreacyjnej w celu odbycia zebrania założycielskiego stowarzyszenia Stary, ale Jeszcze Żywy, w skrócie StaŻy.

Bardzo jestem tym przejęty.

Środa, 20 lutego

Moje oczekiwania były wyśrubowane i nie zawiodłem się: to było naprawdę burzliwe zebranie założycielskie. Naprawdę się uśmialiśmy, entuzjazm był wielki i polało się z tej okazji sporo alkoholu. Evert przyniósł wino, białe i czerwone, i jenevera.

Po długich i wesołych obradach przyjęliśmy, bez jawnego głosowania, następujący regulamin:

1. Celem stowarzyszenia jest uprzyjemnienie sobie starego życia wycieczkami.
2. Wycieczki zaczynają się po godzinie jedenastej w poniedziałek, wtorek, czwartek i piątek.
3. Uczestnikom nie wolno marudzić.
4. Należy uwzględnić choroby i niedomagania poszczególnych uczestników.
5. Należy uwzględnić wysokość emerytury poszczególnych uczestników.
6. Organizator nie udziela przed wycieczką więcej informacji, niż to absolutnie konieczne.
7. W grę wchodzi wszystko – z uwzględnieniem punktów od 2. do 6.
8. Zamykamy budkę. Na razie żadnych nowych członków.

x

W razie potrzeby Eefje ma udostępnić swojego laptopa osobie organizującej i w krótkim czasie załatwi kurs „Googlowanie dla początkujących”, żeby każde z nas umiało szukać informacji. Pierwszą wycieczkę wziął na siebie Graeme, potem ma być Eefje, Grietje, ja, Evert i Edward.

Co do roli przypadku w życiu człowieka zdania są wprawdzie podzielone, ale to, że właśnie te sześć osób spotkało się w poniedziałek przy stole, z pewnością było wyjątkowo szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Wszyscy kulturalni i inteligentni, a co najważniejsze: nienarzekający.

Czwartek, 21 lutego

Wracając do naszego zebrania, które trochę wymknęło się spod kontroli, to siedzieliśmy na dole chyba mniej więcej do jedenastej i pewnie trochę za głośno się śmialiśmy. W każdym razie wczoraj w południe na tablicy ogłoszeń pojawił się następujący komunikat.

W wyniku licznych skarg do dyrekcji na hałasy postanowiono, że od tej chwili świetlica będzie czynna maksymalnie do godziny 22.30. Chodzi o zagwarantowanie wszystkim pensjonariuszom ciszy nocnej. Ponadto zwraca się uwagę, aby nie przekraczać umówionej konsumpcji dwóch porcji alkoholu na osobę.

Nigdy w życiu z nikim się tu nie umawiałem co do dwóch drinków. To pachnie prohibicją, więc Evert natychmiast zadeklarował gotowość odegrania roli Ala Capone i zorganizowania przemytu alkoholu. Klub buntowników StaŻy był rozżłoszczony i zmotywowany. Bez zamieszek, gazu łzawiącego czy Twittera – zwyczajną karteczką na tablicy ogłoszeń. Dzięki ci, dyrekcjo.

Zupełnie niespodziewanie na forum wystąpił Edward Schermer. Zazwyczaj mało mówi, ponieważ trudno go zrozumieć. Ale teraz, przy herbacie, kiedy było akurat wielu pensjonariuszy, wstał i zapytał głośno i niewyraźnie, kto się poskarżył na hałas.

Zaległa niezwykła cisza.

W tej sytuacji Edward powoli i z trudem oświadczył – co zrobiło jeszcze większe wrażenie – że jest

mu przykro, że ci, którym coś przeszkadzało, nie zwrócili się bezpośrednio do niego albo do którejś z osób, które wtedy do późna siedziały na dole.

I znów cisza.

– W tej sytuacji musimy chyba przyjąć, że był to ktoś, kto akurat jest teraz nieobecny – powiedział i usiadł.

Eefje popatrzyła po wszystkich z przyjaznym uśmiechem.

– Rzeczywiście szkoda, że nie potrafimy traktować się nawzajem jak dorośli. – Zatrzymała wzrok na pani Surmann, a ta zrobiła się bardzo nerwowa.

– To nie ja – rzuciła niepytana.

– Co nie pani?

– No, nie ja się poskarżyłam.

– No to całe szczęście – powiedziała Eefje, uśmiechając się przyjaźnie.

Jestem pewien, że musiała coś zobaczyć albo usłyszeć. Zastanawiam się, czy ją o to zapytać, czy jednak lepiej nie.

Piątek, 22 lutego

Uderzenia meteorytów, samozapalające się panele słoneczne, lasagne z koniny, powrót Berlusconiego – tego typu rzeczy na pewno będą się nieraz zdarzały. Ale od dwóch dni prawdziwe przerażenie budzi wiadomość, że jeśli nie jesteś wystarczająco niesamodzielny, to będziesz się musiał pożegnać z miejscem w domu seniora. Zapowiedź, że do roku 2020 aż osiemset z dwóch tysięcy domów opieki będzie musiało zamknąć podwoje, wywołuje powszechny niepokój. Osoby o „niewielkim stopniu zniechęcenia” same będą mogły się domyślić. Kilkoro spośród nas zaczęło od razu, dla pewności, przesadnie podkreślać swoją niesamodzielność, tak żeby za siedem lat mogli zostać na dawnym miejscu. Moi drodzy, chciałbym was wszystkich uspokoić: za siedem lat każde z was albo będzie już na łonie Abrahama, albo kompletnie zniechęceni, a więc wymagające stałej opieki! Aż mam to ochotę wykrzyknąć.

Ech, te kompletnie irracjonalne lęki, które czasem dopadają starszków...

A jeśli ktoś nadal nie chce spokojnie czekać, aż mu odbiorą pokój, to niech się zapisze do 50PLUS na szkolenie kadr politycznych. Właśnie szukają ludzi do rad gminy, władz prowincji, Pierwszej i Drugiej Izby Parlamentu i do Parlamentu Europejskiego, bo 50PLUS ciągle rośnie w sondażach. Byłby niezły ubaw, gdyby akurat tacy absolutnie nieznający się na polityce ludzie mieli do końca życia zawodowo współdecydować o wszystkim.

x

Mój lekarz to dziwny człowiek. Kiedy go zapytałem, jak tam ze mną jest, odpowiedział pytaniem na pytanie:

– A co pan chce usłyszeć?

– No cóż, oczywiście najchętniej, że jestem zdrow jak ryba, ale wracając do rzeczywistości, to: jak długo mniej więcej jeszcze pociągnę?

– Jak dobrze pójdzie, to może pan z powodzeniem żyć jeszcze długie lata, ale równie dobrze może się pan zwinąć za kwartał.

Kto w tym kontekście używa słowa kwartał? Nikt poza moim doktorem Oomesem. A w dodatku,

mówiąc to, jeszcze się śmiał.

Kiedy zwróciłem mu uwagę, że to nie jest zbyt konkretna odpowiedź, znowu się roześmiał. A ponieważ wyraźnie był w wyśmienitym humorze, odważyłem się go zapytać, czy to on nasłał tę pracownicę socjalną, żeby wysondowała mnie w związku z planami samobójczymi. To też uznał za wielce zabawne.

– Owszem, pomyślałem, że nie zawadzi się zainteresować. A swoją drogą, sympatyczna kobitka, nie? – powiedział, po czym rzucił jakby mimochodem: – To do następnego razu.

I nawet nie wiem, kiedy znalazłem się za drzwiami.

Stara lekcja odrobiona na nowo: Jak się idzie do lekarza, trzeba sobie zapisać na kartce wszystkie pytania i zadawać je punkt po punkcie.

Sobota, 23 lutego

Dzisiaj wieczorem klub buntowników ma kurs Google'a u Eefje. Trochę się już rozniosło o tym po korytarzach. Pani Baken próbowała się wprosić.

– Znakomita sprawa, też zawsze chciałam się tego nauczyć.

Ale przy drzwiach jest ścisła selekcja i pani Baken nie przejdzie. Jest podejrzenie, że to ona swego czasu zdradziła obecność starego jamnika, który był nielegalnie trzymany przez kogoś w pokoju. Oczywiście istnieje coś takiego jak zasada domniemania niewinności, ale u nas przy najmniejszym podejrzeniu – odmowa dostępu.

Spytałem Eefje, czy wie, kto na nas doniósł z powodu hałasów w zeszły wtorek. Powiedziała, że słyszała, jak pani Surmann mówiła do sąsiadki, że złożyła zażalenie u dyrektorki.

– Stuprocentowej pewności nie będziemy mieli, dopóki się nie dowiemy, czego ta skarga dotyczyła, ale to już jakiś powód do nieufności.

x

Wczoraj do kuchni wpłynęła prośba, żeby w jadłospisie pojawił się befsztyk z koniny. *Najchętniej ze źrebięcia i zależałoby nam, żeby nie z konia z intensywnego chowu* – można było wyczytać w anonimowym liście. Przynajmniej taka poszła plotka. A plotka znowu wywołała ożywioną dyskusję przy stole na temat zwierząt, których nie powinno się zjadać. Evert rzucił pytanie o małpie mięso. I znowu minął nam kwadrans.

Ja tam idę się zaraz położyć. Jestem zmęczony, nie pytajcie dlaczego, a wieczorem chcę być w miarę w formie.

Niedziela, 24 lutego

Odsuwając dzisiaj rano zasłony w oknach, wszyscy klęli na czym świat stoi: znowu śnieg. Przekleństwa były wprawdzie lekkiego kalibru, najwyżej coś w rodzaju „O psia kostka”, ale my już mamy dosyć zimy. Ciepłe słońeczko dla starych kości – to bardzo chętnie. Ale też nie za ciepło, maksymalnie jakieś dwadzieścia dwa stopnie. Margines jest niewielki.

Zmarła łyżwiarka Atje Keulen-Deelstra. Miała ledwie siedemdziesiąt pięć lat. Takie rzeczy mocno

się tu przeżywa. Najzwyczajniejsza mistrzyni olimpijska, jaką kiedykolwiek mieliśmy! Ona i Fanny Blankers Koen. Te dwa nazwiska nieźle zresztą razem brzmią. Starzy ludzie żyją starymi bohaterami. Nie lubimy zmieniać dawnych idoli.

Przez chwilę nie uważałem, a tu Henk Krol Zbawca ma już w sondażach dwadzieścia cztery miejsca. 50PLUS musi szybko zapobiec dalszemu oskubywaniu osób w podeszłym wieku i nakładaniu na nich zbyt wielkich obciążeń podatkowych.

– Musicie mieć kogoś takiego jak my, bo my nic nie możemy. Chodzi o strajkowanie i inne takie. Nikt nic dla nas nie robi.

Starej wierzbie płaczącej rola ofiary jest przypisana od zawsze. Na szczęście nie wszyscy tylko narzekają razem z tłumem.

Panie w ośrodku wciąż uważają, że Henk Krol jest atrakcyjny. I rzeczywiście – często ma na szyi piękny szal. Pewnie do końca życia byłby dla nich idealnym zięciem, gdyby nie to, że jest homoseksualistą.

x

Wczoraj spędziliśmy bardzo przyjemny wieczór z Google'em. Evert wymawia holenderskie „googelen”, czyli „googlowanie”, tak że brzmi jak „goochelen”, czyli „czarowanie”, i wielu pensjonariuszy jest przekonanych, że zorganizowaliśmy sobie kurs czarowania. Pojawiają się pytania, kiedy będzie nasz pierwszy występ.

– Jak tylko dostaniemy królika – odpowiada Graeme.

Doskonale dobrany catering i znakomite towarzystwo. A Eefje to urodzona gospodyni. Evert, beczelny, ale nie tak do końca, no i pił z umiarem. Edward, który nie mówi za dużo, ale jak już powie, to warto go posłuchać. Graeme, obserwator rzeczywistości, lecz jakiś taki onieśmielony. No i wreszcie Grietje, wielkie odkrycie wczorajszego wieczoru w związku ze znajomością komputera, którą nam zaprezentowała. Po ustaleniu tego z Eefje sama przejęła inicjatywę i przez dwie godziny ćwiczyliśmy wyszukiwanie informacji. Każdy z nas nie omieszkął szukać czegoś związanego z planowanymi wycieczkami. Evert poprosił o wyszukanie, jakie są możliwości skakania w Amsterdamie na bungee. Edward powiedział, że nie weźmie w tym udziału, bo skakał już mniej więcej rok temu. Szkoda, że nikt tego nie usłyszał.

Poniedziałek, 25 lutego

Udało mi się usunąć owczym serem brązową plamę z dłoni. Naprawdę, miałem jeszcze kawałeczek owczego sera, który zdążył się już zrobić strasznie twardy, i spróbowałem nim zdrapać sobie z ręki plamę. (Jeśli widzicie, że ktoś robi coś takiego kawałkiem owczego sera, to lepiej nie patrzcie). Moją nagrodą była krew cieknąca z nasady kciuka.

Musiałem szybko pójść do pielęgniarki na opatrunek, bo trudno samemu jedną ręką obwiązać sobie drugą. No i usłyszałem:

– Panie Groen, panie Groen, przecież pan wie, że to niebezpieczne!

x

Pani Stelwagen zaprosiła Eefje do swojego gabinetu. Rozmowa ma się odbyć jutro, w środę. Eefje zupełnie się tym nie przejęła. Może naprawdę jest taka twarda, a może tylko nie chce nic po sobie pokazać. Ja to bym był porządnie zdenerwowany po takim zaproszeniu. Nie wyobrażam sobie, żeby pani Stelwagen chciała się tylko dowiedzieć, czy jej się tu podoba. Nasza dyrektorka to kuty na cztery nogi babsztyl, z pozoru sympatyczna, ale strasznie żądna władzy. Niby zawsze rozumiejąca, „no, ale bardzo mi przykro... zasady, sami państwo rozumiecie”. Przeważnie są to jej własne zasady. Ma się przynajmniej czym zasłaniać. A jeśli jest taka potrzeba, zaraz pojawia się nowa zasada „dla dobra mieszkańców”. Pani Stelwagen jest dostatecznie sprytna, by zadbać, żeby nie było nieprawidłowości. Drobne niedociągnięcia jakoś się wygładzi albo zwali na kogoś innego. Mając plecy w zarządzie, siedzi pewnie na swoim tronie. Tymczasowym, ale będzie go trzymała tak długo, aż zwietrzy szansę dostania się wyżej. Jestem o tym święcie przekonany.

Zawsze nienagannie ubrana, uprzejma, spokojna i miła. Słyszy i kontroluje wszystko. Ma swoich zaufanych współpracowników. O niektórych wiemy, ale musi też mieć parę osób pracujących pod przykryciem.

Całkiem niepostrzeżenie torpeduje wszystko. Wszelka inicjatywa własna, wszystko, co odbiega od rutyny, zostaje przez nią z uśmiechem zneutralizowane.

Spytałem Eefje, czy chce, żebym z nią poszedł.

– A to dlaczego? – zdziwiła się.

– No, wiesz, to twarda sztuka. Potrafi wykończyć człowieka z uśmiechem na ustach.

– Zobaczymy. Dzięki za ostrzeżenie. Wezmę to pod uwagę.

Wtorek, 26 lutego

Evert zapytał, czy nie czas zrobić znowu jakąś akcję, podobną do ciasta w akwarium. Najwyraźniej znowu ma ochotę na protest.

– Przydałoby się trochę rozruszać tę budę.

Trudno nie przyznać mu racji, ale obawiam się, że takie ludyczne akcje nie dotyczą sedna sprawy.

Bo problem jest nie do rozwiązania.

Moja analiza: starzenie się to proces odwrotny do rozwijania się od noworodka do osobnika dorosłego. Fizycznie przechodzi się od samodzielności do coraz silniejszego bycia zależnym. Sztuczne biodro, bajpas, pigułka na to i na tamto. Byle nakarmić i dopilnować, żeby było sucho. A kiedy śmierć każe na siebie za długo czekać, człowiek kończy jako bełkoczący stary dzidzius w pieluszcze i z ciekącym nosem. Droga od zera do lat osiemnastu jest pełna wyzwań, wspaniała i ekscytująca, człowiek sam decyduje o swoim życiu. Koło czterdziestki jest silny, zdrowy i wszystko od niego zależy. Szczytowy okres. Niestety, świadomość tego przychodzi najczęściej wtedy, kiedy już od jakiegoś czasu trwa schyłek, kiedy powoli i niepostrzeżenie perspektywy stają się coraz mniejsze, a życie – coraz bardziej puste. Aż wreszcie najważniejsze cele dnia przybierają formę kawałka ciasta i filiżanki herbaty. Grzechotka dla osoby w podeszłym wieku.

Przepraszam. Trochę się zagalopowałem.

A przecież sam wykonałem właśnie kilka doniosłych kroków, by jeszcze mieć coś z życia, zanim zejdem z tego świata. W gronie nowych przyjaciół i snując szalone plany. Juhuuu!

Środa, 27 lutego

Piszę trochę później niż zwykle, bo chciałem się dowiedzieć, jak poszło Eefje na audyencji u dyrektorki. Wcześniej byliśmy razem na kawie i życzyłem jej, żeby się nie dała. Wróciła niecały kwadrans później. Ma w sobie coś takiego zdecydowanego, nie pytajcie mnie, po czym to widzę. Może po oczach?

– Dziękuję za przenikliwą analizę, Henk. Zgadza się co do joty.

I opowiedziała, jak to pani Stelwagen najpierw spytała ją o zdrowie i samopoczucie, a potem, jakby mimochodem, rzuciła, że „w naszym domu” nie ma zwyczaju przyjmować gości późnym wieczorem.

– Czy pani pije do mnie? – spytała wtedy Eefje.

– To oczywiście nic osobistego, ale w związku z koniecznością zachowania ciszy nocnej niechętnie widzimy, kiedy po godzinie dwudziestej drugiej ktoś jeszcze chodzi po korytarzu.

– Zapewniam panią, że nie zauważyłam, żeby były tutaj jakiegokolwiek hałasy.

– Ale inni zauważyli.

– To bardzo dziwne. Czy to ma coś wspólnego ze mną?

– Doszło do moich uszu, że kilka dni temu miała pani gości.

– Owszem. Bardzo spokojne i kulturalne osoby. Dla pewności uprzedziłam dzień wcześniej sąsiadów, ale nikt się nie skarżał na jakiegokolwiek hałasy. Na szczęście.

To było genialne. Przybiłem z Eefje piątkę. Pierwszą w życiu. Tak jakoś wyszło, sam nie wiem.

Pani Stelwagen przez moment była zbита z tropu, ale potem bardzo grzecznie się pożegnała, zupełnie jakby nic się nie stało.

– To jeszcze nie koniec, Henk – powiedziała Eefje. – Czuję to.

Poszliśmy jeszcze na mały spacer po parku. W powietrzu czuło się nieśmiałą zapowiedź wiosny. Przebiśniegi kwitną wśród plastikowych śmieci i pustych puszek.

Czuliśmy, że jesteśmy gotowi do walki. Wydaje mi się, że mogę to powiedzieć także w imieniu Eefje.

Czwartek, 28 lutego

Wziąłem sobie z dołu folder reklamowy o skuterach elektrycznych. Muszę zwiększyć swój promień działania, bo jeszcze trochę i będę najśłabszym ogniwem naszego klubu.

Graeme zapowiedział, że w czwartek, jedenastego marca, odbędzie się pierwsza wycieczka. Zbiórka przy wyjściu o godzinie 13.00.

Bez przerwy myślę, co tu zaproponować, jak przyjdzie moja kolej. Poza Rijksmuseum nic jeszcze nie wymyśliłem, i na pewno nie jest to szczyt oryginalności. Zresztą, to muzeum częściej jest zamknięte niż otwarte. Ale bez paniki, mam jeszcze sześć tygodni, żeby wymyślić coś lepszego.

Eefje puściła mi kawałek płyty *Top 100 śpiewających ptaków*. Na miejscu szóstym była pokrzewka ogrodowa (nigdy o takiej nie słyszałem ani nie słyszałem, jak śpiewa), na piątym strzyżyk zwyczajny, na czwartym rudzik (myślałem, że rudziki tylko ćwierkają), na trzecim drozd śpiewak, na drugim słowik (ma świetną reputację w wierszach i piosenkach), a złoty medal otrzymał kos – nareszcie jakiś ptak, którego znałem i słyszałem, jak gwizdże. Dalej było jeszcze dziewięćdziesięciu czterech innych śpiewaków. Każdy ma jakieś hobby.

Po dziesięciu ptakach Eefje zorientowała się, że moja uwaga znacznie osłabła.

– Nie nudzi cię to? – spytała podstępnie.

Zrobiłem się cały czerwony na twarzy.

– Ależ skąd!

– Pozwolę sobie nie uwierzyć, Henk.

– No dobrze, przepraszam, ale tak naprawdę ptactwo interesuje mnie tylko w formie upieczonej. A wtedy raczej już nie śpiewa.

Na szczęście się roześmiała.

A może dobrym pomysłem będzie ogród kwiatowy Keukenhof? Jest duża szansa, że ktoś inny wpadnie na ten sam pomysł. Ponieważ jest to ogród wiosenny, za sześć tygodni byłby na to najlepszy czas.

Piątek, 1 marca

Pan Kuiper znalazł w bibliotece, w teczce z wycinkami, artykuł z gazety i przykleił go do tablicy ogłoszeniowej: „Lekarze są za pobieraniem nerek od żyjących pacjentów w stanie terminalnym”.

Pani Brandsma natychmiast zrezygnowała z pójścia do szpitala, co miało nastąpić za kilka dni.

– To już wolę zostawić sobie tego guza w brzuchu. Nie pozwolę się wypatroszyć. W końcu wszyscy tutaj jesteśmy w stanie terminalnym! – zawołała i tym ostatnim zdaniem trafiła w dziesiątkę.

Powodem pobierania organów od żyjących pacjentów jest to, że są one świeższe. Chociaż z drugiej strony, nie wiem, czy w naszym przypadku można mówić o jakiegokolwiek świeżości. Tutejsze nerki mają średnio po osiemdziesiąt dziewięć lat. Nie mam pojęcia, jak się rzecz ma z datą przydatności ludzkich narządów.

Trzeba przyznać, że artykuł przejmuje lekką grozą. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby zdarzył się medyczny cud i pacjent w stanie terminalnym po ataku serca jednak by się wybudził – ale już bez nerek, które lekarze zdążyli od niego pobrać.

x

Sprawa ze skuterem elektrycznym wcale nie jest taka prosta, jak by się mogło wydawać. Występują one w wielu odmianach i rozmiarach. O dużym i małym promieniu skrętu na przykład, co jest istotne, bo warto wiedzieć, czy da się wjechać do własnego pokoju.

O dużym i małym zasięgu. Jak daleko chcesz jeździć?

Na trzech albo czterech kołach. Jak łatwo się wywracasz?

No i też nie bez znaczenia: jaką chcesz osiągać prędkość?

A na koniec najczęstsze pytanie u Holendra: ile to kosztuje?

Niedługo pójde jeszcze raz porozmawiać z panem Hoogdalenem. On się na tym zna. I w dodatku uprzejmy z niego człowiek.

Sobota, 2 marca

Kobieta, która jakiś czas temu w Bredzie wydrążyła łyżką tunel i uciekła z więzienia, wciąż przebywa na wolności. To wspaniałe, że takie rzeczy dzieją się naprawdę. Byłoby jeszcze wspanialej, gdyby któryś z pensjonariuszy uciekł takim sposobem z tego ośrodka. Oczywiście mówię symbolicznie, bo on czy ona spokojnie może sobie wyjść przez drzwi. Ale potem już zaczynają się trudności, ponieważ większość pensjonariuszy nie ma po prostu dokąd pójść. Już widzę, jak przychodzą do swoich dzieci!

– Witaj, synku, będę u ciebie mieszkać.

– No nie, tato, to naprawdę zły pomysł!

Takiego uciekiniera z domu opieki czeka co najwyżej krótka chwila w jakimś prowincjonalnym pensjonacie. Potem, kiedy już skończą się pieniądze, nie pozostaje nic innego, jak wrócić z podkulonym ogonem do ośrodka albo szukać pomocy w Armii Zbawienia.

Nawiasem mówiąc, w Holandii jest około trzynastu tysięcy „poszukiwanych”, którzy właściwie powinni siedzieć w więzieniach. To naprawdę coś. Najwidoczniej policja nie umie dobrze szukać.

x

Z pamięcią coraz gorzej. Alzheimer *light* przechodzi w Alzheimera *medium*. Próbowałem przypomnieć sobie kolejność na płycie *Top 10 śpiewających ptaków*, ale nie doszedłem dalej niż do czwartego miejsca.

Co mnie niezmiennie zdumiewa, to fakt, że niektórzy nie są w stanie zapamiętać listy zakupów obejmującej trzy produkty, za to znają setki piosenek i mogą sobie śpiewać, gdy słyszą je w radiu. Albo przynajmniej nucić. Wszystkie te melodie są gdzieś tam bezbłędnie przechowywane! Pamięć i muzyka – jedno musi mieć z drugim coś wspólnego. Niemieckie słówka powtarzane do muzyki albo prawo zachowania energii. Musical ze wszystkimi datami z historii Holandii.

Niedziela, 3 marca

Na dole w recepcji pojawił się wczoraj obrotowy stojak jednej z sieci aptek, na którym było pewnie z pięćdziesiąt różnych folderów reklamowych. Zacytuję parę co bardziej radosnych tematów: biegunka, brodawki, czyraki gromadne, egzema, grzybica stóp, hemoroidy, nietrzymanie moczu, robaki, wszy i zaparcia. Wszystkie dolegliwości pięknie uszeregowane w porządku alfabetycznym. I to bez uwzględnienia specyfiki miejsca, ponieważ widziałem też ulotki na temat trądziku młodzieńczego i opieki okołoporodowej, a to z pewnością nie jest tutaj na porządku dziennym.

Jakby w tym ośrodku za mało się mówiło o chorobach i dolegliwościach.

No cóż, szczerze mówiąc, sam jak najdyskretniej włożyłem sobie do kieszeni ulotkę o nietrzymaniu moczu. Wygląda na to, że jestem w towarzystwie mniej więcej miliona popuszczających Holendrów. A to oznacza, że każdego dnia w majtkach i wkładkach mieszkańców tego kraju zbiera się cały basen moczu! Hurra!

Wszyscy intensywnie deliberują, jaki będzie cel pierwszej wycieczki dla członków klubu StaŻy. Organizator Graeme nie puszcza pary z ust. Evert zastanawia się, czy nie zacząć robić zakładów, w których można będzie zgadywać, dokąd pojedziemy.

Nastrój przypomina trochę podniecenie, jakie czuliśmy w dzieciństwie przed szkolną wycieczką. O ile dobrze sobie przypominam to uczucie.

Pani Schreuder (ta od kanarka w odkurzaczu) zastanawia się, kto jest teraz szefem Państwa Watykańskiego. Stary papież ustąpił, nowy jeszcze nie został wybrany.

– Jesteśmy kościołem bez głowy – uznała.

– To zupełnie jak kura bez głowy – zauważyła jedna z sióstr Slothouwer, które nigdy nie przepuszczają okazji, żeby kogoś wkurzyć.

Wyobrażam sobie konklawe: stu piętnastu leciwych kardynałów w jednym pomieszczeniu, którzy nie mogą z niego wyjść, dopóki z komina nie wydobędzie się biały dym, co wcale nie jest takie łatwe do osiągnięcia. W roku 1978 komin nie ciągnął za dobrze i cały czarny dym cofał się do sali. Gromada

kaszlących Świętych Mikołajów z czarnymi śladami popiołu na twarzach.

Poniedziałek, 4 marca

Wielka panika: pani Schaar uciekła z oddziału dla zdemencjalnych. Udało jej się przekonać nową stażystkę, że wolno jej bez opieki wyjść na ulicę. Pewnym wytłumaczeniem jest IQ stażystki na poziomie 55. Pani Schaar dostojnie wyszła sobie przez drzwi. Ona uważa się za arystokratkę. Przedstawia się jako hrabina Schaar. Cały czas szuka swoich wiejskich dóbr. Kompletnie stuknięta i ma cukrzycę.

Spora część personelu wypadła na ulicę, żeby jej szukać. Ktoś spytał dyrektorkę, czy nie trzeba włączyć policji, ale powiedziała:

– Nie, nie ma takiej potrzeby, poradzimy sobie bez pomocy z zewnątrz.

Dyrektorka jak ognia boi się negatywnego rozgłosu i zamiata pod dywan, co tylko się da.

Chwilę potem oddziałowa zgłosiła, że pani Schaar się znalazła. Było to kłamstwo mające uspokoić trochę nastroje, ponieważ po pani Schaar nigdzie nie było ani śladu. Evert postanowił to sprawdzić i niby niechcący powiedział do jednej z pielęgniarek, że widział panią hrabinę Schaar na przystanku autobusowym. Chwilę później dwie osoby z personelu pognały w stronę przystanku. A więc wszystko jasne.

Po trzech kwadransach przyszła siostra „Compostella”, cudowna kobieta o hiszpańskim nazwisku nie do wymówienia, i powiedziała, że znaleziono panią Schaar.

– Ale przecież podobno dawno się już znalazła? – zdziwił się pan Brentjens.

– No tak, ale teraz znalazła się naprawdę – powiedziała siostra, uśmiechając się promiennie.

Pięć minut później pani hrabina została wprowadzona do ośrodka tylnymi drzwiami. Cała ubłocona. Twierdziła potem, że była w swojej wiejskiej posiadłości i trafiła na polowanie z nagonką. Wyglądało na to, że padła jak długa w grząskie błoto w parku jakieś dwa kilometry od nas i nie mogła się wydostać o własnych siłach. Znalazł ją jakiś człowiek, który był akurat na spacerze z psem, i powiadomił policję. Policjanci, którzy ją przywieźli, spędzili w biurze pani Stelwagen dobre dwadzieścia minut. Potem poproszono wszystkich pensjonariuszy ośrodka, żeby dla własnego dobra nie mówili nikomu o incydencie. Dyrektorka poszła też osobno do Everta, żeby mu powiedzieć, że pani Schaar wcale nie pojechała autobusem.

– Nigdy nic takiego nie twierdziłem, siostrze. Powiedziałem tylko, że widziałem ją na przystanku.

– Po pierwsze nie jestem siostrą, a po drugie nie wierzę w to, co pan mówi. Radzę panu na przyszłość być nieco uważniejszym.

Evert, który do każdego pracownika ośrodka zwraca się zawsze „siostrze” lub „bracie”, był bliski tego, żeby jej powiedzieć:

– Już bardziej uważnym niż ja nie da się być, pani siostrze.

Stelwagen zawahała się przez moment, a potem odwróciła się na pięcie i sobie poszła.

Później personel rozpytywał na prawo i lewo, czy pan Duiker wychodził dzisiejszego dnia z ośrodka. Wychodził. Pan Evert Duiker nie jest przecież głupi.

Wtorek, 5 marca

Wczoraj w południe kulturalna rozmowa przy herbatce w nawiązaniu do informacji, że naukowcom udało się połączyć ze sobą mózgi dwóch szczurów. Szczury były oddalone od siebie o wiele kilometrów.

Pytanie brzmiało, z czym mózgiem każde z nas chciałoby się połączyć, gdybyśmy mieli wybór. Wielu rodziców chciałoby się połączyć z mózgami swoich dzieci. Nie wydaje mi się, żeby odwrotnie było tak samo, to znaczy żeby jakieś dziecko chciało się rozejrzeć po puszcze mózgowej rodzica. Pani Brandsma zdecydowała się na piosenkarza Ronniego Tobera. Gruby Bakker miałby ochotę skorygować parę rzeczy u prezydenta Obamy.

Mnie jakoś nikt nie przychodził na myśl. Przerazający pomysł, mieć kogoś drugiego w głowie.

x

Wielkie rozczarowanie pensjonariuszy, którym nie udało się zarezerwować miejsca w busie na plac Dam na koronację trzydziestego kwietnia. Tego dnia Connexion nie podstawia busów na Dam. Zapaleńcy będą próbowali dostać się jakoś na brzeg rzeki IJ w nadziei, że zobaczą przepływającą parę królewską. Pani Hoogstraten kupiła już sobie nawet piekielnie drogą lornetkę. Modliła się i zanosila błagania do Boga, żeby jeszcze dożyła do trzydziestego kwietnia i do nowego papieża. Spytała też mnie, czy zechciałbym się o to pomodlić. Na nieszczęście dla pani Hoogstraten, Pan Bóg i ja mamy taką umowę, że nie zawracamy sobie nawzajem głowy.

Przeczytałem, że był napad na bank i że dokonali go dwaj przebrani za staruszków bandyci. Kompletne maski z lateksu. Byłoby niesamowicie, gdyby się okazało, że pod tym przebraniem kryją się prawdziwi staruszkowie.

Środa, 6 marca

Pierwsze słońce w roku jest zawsze najpiękniejsze. Wczoraj w południe przez trzy kwadransy siedziałem sobie na ławeczce pod ośrodkiem. Siadłem tam pierwszy. Chwilę później ławka była pełna. Paru spóźnialskich z zazdrością dreptało naokoło. Było mi ich żal.

W miarę jak przybywa lat, wszystko człowiek zaczyna robić wolniej. Chodzić, jeść, mówić, myśleć. Także czytać. Na przeczytanie grubej niedzielnej gazety – jeśli nie chcę przy tym zaniedbać wydań codziennych – potrzebuję do trzech, czterech dni. Wczoraj przeczytałem cały dodatek o starzeniu się. Już wcześniej wspominałem, że starość jest teraz w modzie. Dzieci urodzone niedługo po wojnie właśnie poszły na emerytury, pokolenie hipisów pójdzie za parę lat. To pokolenia, które teraz są bogate i potężne i które nauczyły się jednego: dobrze o sobie zadbać. O nich nie ma się co martwić przez następne piętnaście lat. Ci przedstawiciele 50+ w niczym nie przypominają przedstawicieli 80+, którzy znaleźli w naszym ośrodku swoje przedostatnie miejsce spoczynku. Ci drudzy to najczęściej ludzie, którzy nauczyli się dbać przede wszystkim o innych, a głównie o swoje dzieci, którym dzisiaj wiedzie się tak dobrze. A sami zostali na łasce losu. Wiele osób przyszło do tego ośrodka, bo zmusiły ich do tego okoliczności: są za starzy i zbyt potrzebujący pomocy, żeby mieszkać samodzielnie, i za biedni, by zapłacić za indywidualną pomoc. Pogodzeni z myślą, że życie każdego człowieka musi znaleźć swoje radosne zakończenie w domu starców.

Samo słowo „dom starców” zaczęło stopniowo budzić nieprzyjemne skojarzenia. Z domu starców zrobił się więc dom spokojnej starości. Potem dom opieki. A od niedawna jesteśmy częścią działu usług zapewniającego – w ramach pomocy życiowej – przystosowany do indywidualnych potrzeb serwis. No to ja się już nie dziwię, dlaczego koszty opieki tak rozsadzają budżet.

Czwartek, 7 marca

Kiedyś to policzyłem: w naszym ośrodku mieszka mniej więcej sto sześćdziesiąt starszych osób. Dodatkowo przy ośrodku jest też oddział opieki stacjonarnej, w którym przebywa około osiemdziesięciu obłożnie chorych w bardzo zaawansowanym wieku. Dokładnych danych podać nie mogę, ponieważ odbywa się tutaj ciągła wymiana żywych i umarłych. Na moje oko ludzie, którzy tu przychodzą, mają przed sobą średnio pięć lat życia, co oznacza dla ośrodka i oddziału opieki stacjonarnej około pięćdziesięciu nieboszczyków rocznie. Jak się dożyje późnego wieku i człowiek jest jeszcze na chodzie, to w ciągu ostatnich lat życia można wziąć udział w około pięciuset pogrzebach i kremacjach. Wspaniała perspektywa!

Dziś rano nigdzie nie mogłem znaleźć kluczy. Przewróciłem do góry nogami cały mój nie za wielki pokój z aneksem sypialnym. Na szczęście nie musiałem się spieszyć. Szukałem prawie godzinę, nawet nie za bardzo przeklinając, i wreszcie znalazłem. Klucze były w lodówce. Cóż, roztrzępanie. Ludzie starsi, podobnie jak dzieci, ciągle coś gubią, tyle że oni nie mają już mamy, która zawsze wie, gdzie co leży.

Piątek, 8 marca

Dopiero co wczoraj mówiłem o śmierci i właśnie przyszła z wizytą na zajęcia „zdrowego ruchu dla seniora”.

– Nie czuję się za dobrze – powiedziała pani De Leeuw i dwie minuty później już się nie ruszała. Siedziała lekko pochylona i nie złapała piłki, którą do niej rzucono.

– Trochę więcej zaangażowania, droga pani De Leeuw – zdążyła jeszcze powiedzieć nasza instruktorka Tina, a wtedy pani De Leeuw osunęła się z krzesła na podłogę.

Próbowano ją jeszcze reanimować, poszedł w ruch defibrylator, ale wszystko na próżno. Głupie siostry Slothouwer gapiły się na nią jak sroka w gnat, zanim ktoś kazał im się odsunąć. A potem przy kawie opowiadały wszystko ze szczegółami. Jestem przekonany, że gdyby była taka możliwość, to pierwsze pobiegłyby na publiczną egzekucję.

Odejście pani De Leeuw zgasiło trochę nastrój ożywienia, jaki panuje u nas po kilku dniach wiosennej pogody. Kiedy jest zimno i mokro, niektórzy pensjonariusze całymi tygodniami nie wystawiają nosa na dwór. Zapowiedź, że być może za cztery dni wrócą opady śniegu, spowodowała wczoraj jeszcze większy wysyp amatorów spacerów.

Chętnie wybrałbym się na spacer z Eefje, ale akurat nie ma jej w ośrodku. Zostaje mi więc tylko Evert. Kiedy wszedłem do jego pokoju, akurat wycinał sobie małymi nożyczkami włosy z nosa. Trochę to było dla mnie krępujące, ale on zupełnie się nie przejmował, tylko robił swoje. Dopiero kiedy wyciął sobie też włoski z uszu, mogliśmy wyjść.

– Nigdy nie wiadomo, kogo się po drodze spotka – brzmiało jego wyjaśnienie.

Sobota, 9 marca

Jestem chory. Oszczędzę wam niesmacznych szczegółów. Mam nadzieję, że do czwartku mi się polepszy, bo to jest dzień naszej pierwszej wycieczki.

Jakoś się wykaraskałem. Członkowie klubu pytali, czy może przełożyć wycieczkę na później, ale nie będzie to konieczne. Do czwartku stanę na nogi.

Wczoraj był lekarz. Coś tam napomknął, że mu to przypomina grypę meksykańską. Parę lat temu cała Holandia była poruszona masowymi przypadkami grypy, w radiu i telewizji pojawiły się ostrzeżenia przed epidemią, a teraz, kiedy ja prawdopodobnie mam to samo, mój lekarz nawet nie zadaje sobie trudu, żeby postawić porządną diagnozę.

Później pielęgniarka poprosiła mnie, żebym w rozmowach z innymi pensjonariuszami mówił tylko, że mam grypę, i nie używał przymiotnika „meksykańska”.

– Kto pani kazał zwrócić się z tym do mnie?

Nie chciała powiedzieć.

To daje do myślenia. Czyżby pani Gans umarła w zeszłym miesiącu na ptasią grypę?

„Oni” bardzo się boją wybuchu nowej histerii grypowej wśród starszków.

Wczoraj wpadł Evert z koszem owoców, czyli opakowaniem po jajkach, w którym były trzy kiwi i trzy mandarynki.

Eefje przyniosła mi książkę *500 wierszy, które każdy powinien przeczytać*. Zrobiłem postanowienie, że każdego dnia przeczytam jeden, i mam nadzieję, że będzie mi dane tych pięćset dni.

Idąc za radą lekarza, umówiłem się na wizytę u geriatry. Jego zdaniem, mój „zestaw leków” jest typowym wskazaniem do wizyty u jego „kolegi po fachu”. Napisał do niego liścik, który mi przeczytał, i który niniejszym streszczam: „Zobacz, proszę, czy możesz coś jeszcze zrobić dla tego miłego starszego pana”.

Zostałem umówiony już na przyszły tydzień. Być może jest to zasługa komercyjnego myślenia: ludzi w podeszłym wieku trzeba przyjmować szybko, bo inaczej zejdą, zanim zdążysz zarobić na nich choćby centa. Jak wiadomo, nieboszczyk ma jakąś wartość tylko dla przedsiębiorcy pogrzebowego.

Mój „wyjątkowy” lekarz mówi, że ten geriatra to wyjątkowy człowiek. A to już coś znaczy.

Piątek, 15 marca

O 12.55, tylko pięć minut przed planowanym wyjazdem (!), zajechał busik firmy Connexion i wsiadło do niego nasze rozchichotane towarzystwo. Po trzech minutach każdy dostał po pastylce miętowej. Kwadrans później wysiadaliśmy już przy Centraal Station, gdzie czekała na nas taksówka wodna.

Po paru minutach Evert zaczął nader realistycznie udawać, że cierpi na chorobę morską, a potem powiedział nam, że znał kogoś, kto dużo podróżował i kolekcjonował torebki na wymioty ze wszystkich możliwych linii lotniczych. Chwilę później poszedł w ślady Jasia Fasoli, który wziął taką torebkę i nawet nie sprawdzając, czy nie była używana, nadmuchał ją i z niej strzelił.

Eefje spojrzała na niego z dezaprobatą i zaproponowała głosowanie, czy wykluczyć go z naszego klubu. Evert przestraszył się nie na żarty, a Eefje aż zaczęła chichotać na widok jego miny. Trochę mi się to nie spodobało, ale jak na razie to jedyny mały minusik.

Po godzinnym rejsie wysiedliśmy przy muzeum Hermitage nad Amstelą. Tam zostaliśmy oprowadzeni przez wielce szykownego pana przewodnika, który miał ogromną wiedzę o sztuce i wyszedł z założenia, że my też chcemy jak najwięcej się dowiedzieć.

Potem piwo, wino i bitterballen⁴ w kafejce na rogu przy moście Amstelbrug. Gdzieś około wpół do

szóstej znowu podjechał busik z nieco zdumionym kierowcą, który przywykł do wożenia narzekających staruszków do szpitala albo ze szpitala, a tu musi wyciągać rozbawione towarzystwo z kawiarni.

Punktualnie o godzinie 18.00 siedzieliśmy już w jadalni, przy endywii i mielonych. Nasza wesoła szóstka trochę się wyróżniała spośród innych obecnych.

Kiedy wróciliśmy do ośrodka, pani Stelwagen właśnie wychodziła z gabinetu lekarza. Gdy ją mijaliśmy, uniosła brwi ze zdziwienia. Mogę się mylić, ale wydawało mi się, że widziałem w jej oczach lekką dezaprobatę.

Edward wypowiedział do Graemego jakieś niezrozumiałe słowa, które miały być podziękowaniem za to, że już przy pierwszej wycieczce tak wysoko zawiesił poprzeczkę:

– Ton osta nhaadhaany.

– Ton został nadany. – Graeme sam przystąpił do tłumaczenia symultanicznego, bo jemu najlepiej wychodziło zrozumienie Edwarda. Wzruszające współbrzmienie.

– Dękuję.

– Ja też wam wszystkim dziękuję.

O godzinie ósmej członkowie klubu StaŻy rozeszli się do swoich pokoi, a po ośrodku zaczęły krążyć pierwsze plotki.

Sobota, 16 marca

Nabraliśmy ochoty na więcej. Powstał plan, żeby obok StaŻy zorganizować jeszcze osobny klub kulinarny. Nasza stała szóstka minus Evert plus pan i pani Travemundi z chęcią upichci raz w miesiącu jakieś szykowne jedzonko dla wszystkich. Państwo Travemundi, czyli Ria i Antoine, całe lata prowadzili restaurację i uwielbiają gotować oraz degustować, zwykle więc odchodzą od stołu nieszczęśliwi. Wiele się po nich spodziewam. Ja będę bardziej pomocnikiem, takim od krojenia i mieszania.

Siedzieliśmy sobie wczoraj przy stole, rozkoszując się wspomnieniami z naszej pierwszej wycieczki, kiedy podeszli Ria i Antoine i spytali nieśmiało, czy mogą się przysiąść. Oczywiście, że tak.

Uznali, że nasze wycieczkowe stowarzyszenie to znakomity pomysł. Nie żeby od razu chcieli się wprosić na członków, ale czy nie byłibyśmy zainteresowani, żeby w wybranym towarzystwie od czasu do czasu wspólnie coś ugotować i zjeść. Na przykład raz w miesiącu. I takie raczej bardziej wyszukane potrawy.

Większości zebranych zaświeciły się oczy.

Tylko Evert powiedział bez ogródek, że jemu tam wystarczą najprostsze dania i że nie cierpi robić czegoś, co jest bardziej skomplikowane niż usmażenie jajek.

Pięcioro innych członków klubu przegłosowało go i oznajmiło, że z przyjemnością piszą się na takie „eksperymentalne gotowanie”, jakie zaproponował Antoine.

Ustaliliśmy więc, że Antoine, Ria oraz ja w poniedziałek udamy się na audiencję do pani Stelwagen, żeby ją zapytać, czy moglibyśmy raz w miesiącu skorzystać z urządzeń naszej ośrodkowej kuchni.

Czeka mnie mnóstwo roboty.

Niedziela, 17 marca

Mamy nowego papieża. Według niezbyt wiarygodnego źródła, czyli sióstr Slothouwer, rano w salce medytacyjnej odbyła się modlitwa za niego i za lepszą pogodę. Część modliła się tylko o lepszą pogodę.

Nie zamierzam wychodzić przed szereg i na wszelki wypadek jeszcze nie chowam zimowej kurtki.

A co do nowego papieża, to na razie cieszy się moją sympatią, ponieważ jeszcze jako kardynał jeździł do pracy autobusem. Albo metrem, ale na jedno wychodzi. Wyobrażam sobie, jak zdejmuje mitrę przy wsiadaniu i wysiadaniu. (A tak przy okazji, to w przypadku osób wysoko postawionych podejrzliwość wciąż nie idzie w odstawkę: brytyjski polityk James Cameron jeździł do Izby Gmin na rowerze, ale aktówkę kazał sobie dowozić służbową limuzyną).

Pensjonariusze cieszą się, że papieżem został Argentyńczyk, przede wszystkim ze względu na siostrę Maximę. I chyba oczekują od niego, że pojawi się na koronacji.

x

Dla bezodwiedzinowych, czyli kasty, do której należę i ja, niedziele nie są szczytami przyjemności. Plusy, które kiedyś sprawiały, że niedziela była tak atrakcyjna, a więc możliwość wyspania się, celebrowania śniadania, przeczytania gazety i słuchania muzyki, przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Niedziela różni się od pozostałych dni tylko tym, że do innych pensjonariuszy ktoś przychodzi w odwiedziny.

Często odwiedzający pojawiają się tylko w jednym celu: żeby o odpowiedniej porze wyjść. Tego dnia poświęcenie uwagi któremuś ze współmieszkańców jest dla pensjonariuszy stratą czasu. Pozdrowienie na korytarzu czy w świetlicy to maksimum tego, czego można się spodziewać.

x

Jeszcze nie tak dawno w niedzielne południe przeważnie wychodziłem, ale teraz już nie daję rady.

Poniedziałek, 18 marca

Pani Stelwagen uważa, że klub kulinarny to „jakiś pomysł”. Naszą prośbę, żeby raz w miesiącu pozwolono nam korzystać z kuchni, musi jednak przedyskutować z paroma osobami, których to będzie dotyczyło. Obiecała, że wrócimy do sprawy w jak najkrótszym terminie. Potem zaserwowano nam kawę i ciasteczka. Po rzuceniu kilku nieistotnych frazesów pani Stelwagen spojrzała na zegarek.

– Ojej, to już tak późno?

Co oznaczało: wasz czas minął.

Chwilami się zastanawiam, czy taki klub kulinarny to nie cudaczenie? Ale z drugiej strony nie ma co wybrzydząć na coś, co nawet jeśli nas nie bardzo interesuje, to jednak daje jakąś szansę. Przynajmniej coś się dzieje.

Jeszcze trzy przespane noce i będę mógł powiedzieć, że znowu doczekałem wiosny. W najbliższe dni poświęcę trochę czasu na wielkie sprzątanie. Rozmrozić lodówkę, posprzątać szuflady w kuchni. Schować ubrania zimowe, a wyciągnąć letnie. Rękawiczki i grube spodnie będę jeszcze przez chwilę trzymał pod ręką.

Wczoraj wieczorem byłem z wizytą u Everta. Zaprosił mnie na drinka, ale kiedy wszedłem do niego o czwartej, okazało się, że dał sobie duże fory. Pół godziny później zasnął w fotelu. Przykryłem go kocem, wyszedłem na spacer z Mo i dałem mu jeść, a potem położyłem liścik na komodzie pełnej zdjęć zmarłych krewnych: *Było bardzo uroczo. Jeszcze raz dziękuję za sto euro.*

Wtorek, 19 marca

Ten geriatra sam się nadaje do geriatry: grubo po sześćdziesiątce i grubo za gruby, daję mu tak ze sto dwadzieścia kilo żywej wagi. Sprawia bardzo miłe wrażenie, co u lekarza zapisuję na plus. Złe wiadomości gorzej się przyjmuje, gdy ktoś obwieszcza je grobowym głosem.

Nie, żebym się od razu spodziewał złych wiadomości od pana doktora Jonge, ale dobre też nie były: część podzespołów zbliża się do daty przydatności, a część ją nawet przekroczyła. Stawy wykazują oznaki wytarcia, prostata już nie do naprawy, płuca porządnie zniszczone dymem z cygar i pracują tylko na pół gwizdka, a serce też słabe. Dobra wiadomość: ani śladu Alzheimerera, co najwyżej zapominalstwo, co w tym wieku jest jak najbardziej dopuszczalne.

Dziękuję, panie doktorze.

Patrzył na mnie dobrotliwie, od czasu do czasu pozwolił sobie na jakiś żarcik przy tym smutnym podsumowaniu i zakończył słowami, że doskonale rozumie moją sytuację, ponieważ sam ma mniej więcej tyle samo dolegliwości. Powiedział to z gromkim śmiechem. Gdyby nie ten śmiech, byłoby to jednak trochę dziwne: lekarz, którzy skarży się na swoje zdrowie pacjentowi.

Przepisał mi trochę nowych pigułek, tyle że jeszcze nie powiedział, żebym sam decydował, ile których mam brać.

– Lekarze są dzisiaj tak dobrzy, że już prawie nie spotyka się zdrowych ludzi – powiedział na koniec wizyty.

Będę się musiał zastanowić nad jego słowami.

Już niemal w progu odważyłem się zapytać, czy nie ma może jakiejś ożywiającej pigułki, takiego drobnego dopingu na smutniejsze godziny. Teraz to on z kolei będzie się musiał zastanowić.

W tej sytuacji od razu umówiłem się na następną wizytę.

Środa, 20 marca

Dzisiaj rano dyrektorka zakomunikowała nam (mnie, Antoine'owi i Rii Travemundi), że z powodu wymogów BHP, niestety, nie może się zgodzić na nasz klub kulinarny.

– Szkoda, wielka szkoda! – dodała, ciężko wzdychając.

Dziwne, ale ani przez moment nie wierzyłem, że jest jej przykro.

– Jakie wymogi BHP? – spytałem.

Nastąpił skomplikowany wykład na temat tego, co komu w naszym ośrodku wolno robić, a czego nie. Potem wspomniała, że nie wolno nam korzystać z urządzeń kuchennych. Jeżeli byśmy to jednak zrobili, to ośrodek nie jest ubezpieczony od wypadków. Zaprotestowałem, że przecież nie zamierzamy korzystać z żadnych kuchennych urządzeń. Parę patelni, garnków i noży w zupełności nam wystarczy.

– No cóż, to nie jest takie proste.

Wystarczy, że będziemy się znajdować w tym samym pomieszczeniu co kuchenne urządzenia, a już będzie to niedopuszczalne ryzyko, jak stwierdziła pani Stelwagen.

– Czy mógłbym zajrzeć do tych przepisów BHP? – spytałem możliwie niewinnie.

– Czyżby mi pan nie wierzył, panie Groen.

– Ależ skąd! Chciałbym tylko sprawdzić kilka rzeczy.

– Sprawdzić?

– Jak to mówią nowocześni menedżerowie: kontrola nie jest wyrazem braku zaufania. Mam rację?

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Bardzo będę pani zobowiązany.

Ria i Antoine przysłuchiwali się temu z otwartymi ustami i dopiero teraz je zamknęli.

Później, przy herbacie, wrócili jeszcze na chwilę do sprawy. Powiedzieli, że do tego momentu mieli niezachwiane zaufanie do naszej pani dyrektor, ale po tym, co usłyszeli, to zaufanie zaczyna się trochę chwiać. Byli zdania, że bardzo dzielnie dopominałem się o swoje prawa, i ja też tak uważam.

Zdałem później z tego sprawę Eefje, mam nadzieję, że bez zbytniego przechwalania się.

– Dobra robota, Groen! – rzuciła.

Nasunęło mi to pewien pomysł związany z wycieczką naszego klubu. Otóż znalazłem w internecie siedem różnych kursów gotowania odbywających się w bezpośredniej bliskości naszego ośrodka. Niewykluczone, że będzie wśród nich chociaż jeden, któremu przepisy BHP pozwolą przyjąć osoby w zaawansowanym wieku. Potem rozgłaszalibyśmy wszędzie, że jeszcze nigdy nie spędziliśmy tak bezpiecznie wolnego czasu, nawet gdybyśmy mieli poobcinane wszystkie palce, nosy i uszy.

Czwartek, 21 marca

Udało się! Doczekałem wiosny!

Teraz czas obrać ambitny kurs na pierwsze truskawki z zamrożonego gruntu, a potem spróbujemy jeszcze dotrzeć do Tour de France, świeżych śledzi, pierwszego śniegu, sylwestra i następnej wiosny. Grunt to wytknąć sobie jasne cele.

Jest sezon ogórkowy. Niewiele się dzieje na świecie. Nowy papież już został wyeksploatowany i z braku czegoś lepszego na pierwsze strony wraca Syria, bo zamordowano tam jakiegoś Holendra. No i jeszcze sześć tygodni nudzenia o uroczystościach koronacyjnych. Na starą królewską pelerynę królowej Beatrix poszło coś około trzystu sześćdziesięciu gronostai, ale na wielką pelerynę dla księcia Aleksandra pójdzie ich pewnie z sześćset. Działaczko ekologiczna Marianne Thieme, zrób coś! Walcz o ich małe życia!

W naszym ośrodku często jest sezon ogórkowy. Pod koniec dnia człowiek stwierdza wówczas, że nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Ale wtedy przychodzi refleksja: a co jest godne uwagi? Są tacy ludzie, którzy uważają dzień za szczęśliwy, kiedy mają dodatkowego herbatnika do kawy. Dobrodziejami są niektóre pielęgniarce, które dają to drugie ciastko, jakby to była główna nagroda w Loterii Państwowej.

– A cóż nam szkodzi, dzisiaj jest taki piękny dzień, więc cieszymy się nim pełną piersią, weźmy sobie jeszcze jedno ciasteczko!

Gruby pan Bakker bynajmniej dobrodziejem nie jest. Jego rekord to półtora limburgskiego placka z jabłkami i kruszonką do jednej filiżanki kawy. Nikt nie dostał ani kawałka. Połówkę, która została, zabrał ze sobą do pokoju. Pan Bakker jest powszechnie znienawidzony.

W tak zwanym międzyczasie wymyśliłem cały szereg różnych możliwości, jeśli idzie o naszą wycieczkę: warsztaty kulinarne, giełda zjawisk paranormalnych, kręgle, skansen wiatraków, kurs robienia cukierków, mecz Ajaksu, no i ogrody Keukenhof. Na następnym zebraniu muszę zapytać, czy możliwe jest ewentualne dostosowanie się do daty.

Specjalnie na sezon ogórkowy wiadomość z kategorii „jak to w ogóle możliwe”:

Kilka dobrych lat temu Berlusconi otrzymał nagrodę za zasługi w dziele obrony praw człowieka z rąk... Kaddafiego.

Piątek, 22 marca

Wczoraj pani Langeveld opowiedziała coś, co wzbudziło zainteresowanie. Najczęściej siedzi w takim miejscu, że jej nie widzę, ale czasem potrafi zaskakująco się ujawnić. Przypadkowo siedzieliśmy obok siebie przy filiżance kawy. Po krótkim zagajeniu, że kawa jest letnia, powiedziała, że przypuszcza, że nasz dom seniora nie znajduje się zbyt wysoko na liście dobrych ośrodków.

– Inaczej na pewno by się tym przechwalali na prawo i lewo.

Spytałem, o jakiej liście mówi, a ona odpowiedziała mi swoimi bezzębnymi usteczkami, że co roku przeprowadza się ankietę dotyczącą jakości domów opieki i domów seniora.

– Skoro podają tu taką kawę, to możemy być pewni, że jesteśmy gdzieś na szarym końcu!

Nie miała pojęcia, o jaką to ankietę chodzi. Poszukam w internecie.

Wycieczka na wyścigi konne to też jakaś możliwość. Czy tor Duindigt jeszcze istnieje? A takie konie jak Jojo Buitenzorg czy Quicksilver S... Chyba ich nie przerobili na jakieś nielegalne... A ten sprawozdawca sportowy Hans Eijvogel, czy on w ogóle jeszcze żyje?

Nie żebym kiedykolwiek był na wyścigach, ale to brzmi tak pięknie nostalgicznie.

Nowym najstarszym człowiekiem w Holandii jest Tjeerd Epema, sto sześć lat. To by znaczyło, że ja, żeby dojść do takiego wieku, musiałbym mieszkać tutaj jeszcze dwadzieścia trzy lata. Niezbyt atrakcyjna myśl. Najstarsza kobieta na świecie miała sto dwadzieścia dwa lata. Żeby osiągnąć taki wynik, musiałbym tu spędzić jeszcze czterdzieści lat.

Sobota, 23 marca

Wpisujemy „ranking domów opieki”, przelatujemy kilka linijek i proszę bardzo! Mamy listę rankingową 350 ośrodków opieki i 1260 domów seniora. Miejsce domu na liście określa ocena samych pensjonariuszy, do której dodaje się obiektywną ocenę obejmującą jakość opieki. Nasz ośrodek w obydwu przypadkach zajmuje miejsce w okolicach tysiąca! To stwarza imponujące możliwości awansu aż o 1100 miejsc w górę.

To są dane z roku 2009, więc może stoimy jeszcze niżej. Albo wyżej, zależy jak na to spojrzeć.

Dlaczego nigdy dotąd nie słyszałem o istnieniu tej listy? Trudno się nie domyślić, dlaczego pani dyrektor nie przypięła jej na naszej tablicy ogłoszeń. W Hofkamp lista wisi prawie na każdych drzwiach: numer jeden w całej Holandii!

Muszę kiedyś zapytać przyjaciół, czy przypadkiem nie wiedzą, jak dzisiaj ogłasza się taki ranking. Może powinniśmy go jakoś spopularyzować?

Nawiasem mówiąc, z tego rankingu można się dowiedzieć różnych ciekawych rzeczy. I tak na przykład dom opieki Boże Miłosierdzie w Herten znajduje się na miejscu 1230. Najwidoczniej bardzo dużo rzeczy zostawiają tam w rękach Pana Boga.

Inna ciekawa rzecz: Huize Angeli Custodes w opinii pensjonariuszy zajmuje dumne drugie miejsce, ale w świetle obiektywnych norm jest zaledwie na miejscu 702. Niewykluczone, że dyrekcja pomogła temu i owemu w wypełnianiu ankiety. Zawsze lepiej dmuchać na zimne.

A ośrodek Spathodea? Mieszkańcy oceniają go na miejsce 1058, podczas gdy inspektorzy przyznali mu miejsce 4. Czyżby mieszkały tam najniewdzięczniejsze pod słońcem pierniki w całej Holandii?

x

Wczoraj policzyłem, jak często w najróżniejszych formach powiedziano, że jest bardzo zimno jak na tę porę roku. Trzydzieści pięć razy.

Eefje ma segregator z artykułami na temat różnych dramatycznych sytuacji w domach opieki i domach seniora. W niektórych domach opieki pensjonariusze częściej leżą we własnych odchodach, niż nie leżą.

Po tych wszystkich opowieściach na temat zaniedbań i przypadków zastraszania zaczynam trochę bardziej doceniać nasz ośrodek. Co jest trochę dziwne, bo przecież tu nie jest lepiej przez to, że gdzieś jest gorzej. Zupełnie, jakby człowiek powinien się cieszyć, że nie leży trzy dni w obranej pielusze.

O segregatorze zgadało się, kiedy spytałem Eefje, czy słyszała kiedyś o rankingu ośrodków opieki. Okazało się, że słyszała. Długo rozmawialiśmy o tym, co jest u nas dobrego, a co złego. Wniosek: czas na kuchenne rewolucje. Powinniśmy ostrożnie i niepostrzeżenie wziąć się za to, co się tutaj dzieje.

x

Centralny Urząd Planowania przedstawił plan, żeby w opiece społecznej wprowadzić współczynnik obrazujący zysk na zdrowiu w zestawieniu z kosztami leczenia. U osób w podeszłym wieku raczej trudno o jakiś spektakularny zysk na zdrowiu. Udana operacja często daje nie więcej niż dodatkowy rok wegetacji, a potem i tak do piachu. A więc jeśli komuś bardzo zależy, żeby za wszelką cenę go podreperowali, to można na tym sporo zaoszczędzić, bo wtedy musiałyby zapłacić z własnej kieszeni. Ale przy mnie nie będzie żadnego korowodu chirurgów, nawet gdybym miał na to pieniądze. Jedno zmartwienie mniej.

x

Starzy ludzie zasypiają gdzie popadnie. Pani Bregman dała tego znakomitą próbkę: zasnęła w trakcie jedzenia, trzymając łyżkę w ustach. Budyń powoli ściekał jej po brodzie.

Sam to znam: w ciągu dnia człowiek nie ma siły otworzyć oczu, a w nocy nie śpi. Wyjątkowo niewygodne. Na szczęście w moim przypadku zmęczenie rzadko objawia się w trakcie jedzenia.

Pani Bregman ocknęła się gwałtownie, kiedy łyżka spadła z brzękiem na talerz. Rozejrzała się zdumiona, wytarła bluzkę z budyniu, czy raczej bardziej go wtarła, i zaczęła jeść dalej, jak gdyby nigdy nic.

Poniedziałek, 25 marca

„My” nigdy nie mówimy tu o cudzoziemcach, tylko wyłącznie o „obcokrajowcach”. Czy są obywatelami Holandii, czy nie są, nie ma to nic do rzeczy. Poprawność polityczna jest rzadkością.

Holandia to społeczeństwo apartheidu: biali z białymi, Turcy z Turkami, biedni z biednymi, głupi z głupimi.

U nas dochodzi jeszcze jeden podział: starzy ze starymi.

W naszym ośrodku mieszkają przeważnie biali, biedni, niespecjalnie wykształceni starzy ludzie. A ponadto dwie panie z Indii oraz jeden pan z Pakistanu.

Z resztą Holandii nie mamy nic – albo bardzo niewiele – wspólnego, co najwyżej z personelem. Bo

wśród nich jest wielu cudzoziemców.

– Naprawdę wspaniali ludzie, więc nie o to chodzi, ale jednak wolałabym holenderską pielęgniarkę – słyszy się na każdym kroku. Im kto starszy, tym bardziej reakcyjny w poglądach. Mamy tu całe mnóstwo najzwyczajniejszych rasistów; komentarze, jakie słyszy się przy kawie, raczej nie kłamią.

Nastolatki nie kwapią się do przychodzenia tutaj, no, chyba że zostaną w mniej lub bardziej ostry sposób przymuszone przez rodziców, żeby wreszcie raczyły odwiedzić babcię czy dziadka. Ożywcze wizyty z rozmowami, które się nie kleją. Nastolatki czują się niezręcznie w towarzystwie starych ludzi. Bo oni nic nie rozumieją, źle słyszą, nie korzystają z komputera, są powolni, nie mają bladego pojęcia o modzie i muzyce i nic, tylko częstują ciasteczkami. Dwa różne światy.

Z małymi dziećmi jest o niebo lepiej. Gaworzą sobie wesoło i jeszcze nie nauczyły się uważać, że coś jest żenujące. Małe dzieci i staruszkowie doskonale się dogadują.

x

Evert założył kantor bukmacherski, gdzie za jedno euro można obstawiać, dokąd pojutrze uda się wycieczka klubu StaŻy. Cała stawka idzie do tego, który prawidłowo wytypuje. Jeśli nikt nie zgadnie, pieniądze przepadają na rzecz banku. Bank nazywa się Evert. Stary jajcarz. Jeszcze nikt nic nie obstawił.

Napięcie rośnie. Eefje nie puszcza pary z ust.

Wtorek, 26 marca

Celem tego pamiętnika było również to, aby po mojej śmierci stał się może skromnym objętościowo, ale jednak docenionym poradnikiem. Ten pomysł zszedł trochę na drugi plan.

Zauważyłem, że pisanie ma doskonałe działanie terapeutyczne: jestem bardziej odprężony i mniej sfrustrowany. Może zacząłem pięćdziesiąt lat za późno, ale tego w żaden sposób nie da się już zmienić.

x

Pani Slag ma bardzo irytującą córkę, która raz w miesiącu w niedzielne południe przychodzi do niej z łaski na pół godziny na herbatę i przy tej okazji raz za razem po chamsku zwraca jej uwagę, że znowu się powtarza, bo to już mówiła. Zupełnie jakby był jakiś sens marnować te nędzne pół godziny tylko na to, żeby upokarzać dziewięćdziesięcioletnią prawie matkę. Nawet jeśli to prawda, co mówi, bo pani Slag nie jest może najmądrzejsza, to w sumie wszystko z nią jest w porządku.

A tak przy okazji: córka pani Slag lepiej by zrobiła, milcząc i nie zwracając na siebie uwagi, ponieważ jest nieprawdopodobnie otyłą kobietą w kształcie gruszki. A ten kształt znacznie lepiej pasuje gruszkom.

Środa, 27 marca

Siedzę w odświeżonym ubraniu i czekam, aż przyjdzie czas na wycieczkę. Jeszcze dwie godziny. Dziecinne podekscytowanie.

Nie potrafię się skupić. Chodzę bez celu w kółko i od czasu do czasu wypuszczam coś z ręki.

Już dwa razy musiałem wyciągać odkurzacz. Z powodu sucharków posypanych czekoladowymi granulami, które spadły mi z talerza, i cukiernicy, którą niechcący straciłem ze stołu. Nie mam pojęcia, co to oznacza, jak się rozsypie czekoladowe granulki, ale cukier oznacza gości. Na to nie mam najmniejszej ochoty, schodzę więc na dół pochodzić po dworze, zanim przyjedzie bus.

Czwartek, 28 marca

Zakładając kantor bukmacherski, Evert nawet nie przypuszczał, jak blisko był odgadnięcia celu naszej wycieczki: kasyno.

Mieliśmy się stawić na dole około 13.00 w eleganckich w miarę ubraniach i z pustym żołądkiem. Takie były wskazówki Eefje. Tuż przed wyjazdem uprzedziła nas, że każdy musi mieć ze sobą dokument tożsamości.

Busik firmy Connexion przyjechał tym razem punktualnie i zawiózł nas przed Holland Casino na placu Leidseplein. Zostaliśmy tam uprzejmie powitani przez lekko zdziwionego przystojnego młodego człowieka.

– No, widzę, że średnia spodziewana długość życia w naszym społeczeństwie jest znacznie wyższa, niż przyjęło się uważać, spodziewam się zatem także wyższego od średniej rozsądku podczas gry.

Eleganckie otwarcie jak na takiego smarkacza.

Jak hrabiowie suniemy po grubych dywanach. Dostajemy bardzo przyjemny lunch, a następnie opis zasad gry w ruletkę, blackjacka oraz – jak mówi organizatorka wycieczki – bardzo modny poker Texas Hold'em. Przy tej ostatniej grze czuliśmy się trochę nie na miejscu z naszymi siwymi włosami, ponieważ grali niemal wyłącznie młodzi ludzie w czapeczkach albo bluzach z kapturem i w okularach przeciwsłonecznych.

Nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu na widok toru wyścigów konnych, na którym małe zabawkowe koniki pędziły do mety. Grietje wrzuciła dwa euro do otworu, wcisnęła na klawiaturze swoją datę urodzenia i kiedy koń, na którego postawiła, pierwszy dobiegł do mety, z automatu dwadzieścia cztery razy wysypało się z wielkim hałasem po dwa euro. Niczym Święty Mikołaj rozdzieliła pieniądze między nas i chwilę później każdy z oddaniem wrzucał monety w jakieś niepojęte maszyny albo grał w ruletkę, ponieważ do każdego zaproszenia dołączony był mały woreczek z żetonami.

Przy wejściu ustaliliśmy, że cała wygrana idzie do budżetu klubu StaŻy i kiedy półtorej godziny później przy barze każde z nas opróżniło kieszenie, wyszło na to, że wygraliśmy w sumie dwieście osiemdziesiąt sześć euro. Wszyscy wokół nas promienieli, obsługa także. Najwidoczniej uznali nas za miłą odmianę po tych wszystkich modnych młodzieńcach i nieprzeniknionych Chińczykach.

– Kolejka od firmy dla grupy Wieczorne Zorze! – zawołał barman.

Po trzech whisky Evert koniecznie chciał postawić całą wygraną kwotę na trzynastkę i był przekonany, że wrócimy do domu z dziesięcioma tysiącami euro.

– Trzynaście! Czuję to!

Ale byliśmy nieczuli na jego błagania.

O 17.15 przyszedł menedżer kasyna we własnej osobie, by nas powiadomić, że bus już czeka. Dwie starszki, które przy tym były, patrzyły na nasze towarzystwo z nieskrywaną pogardą. Graeme dał każdej z nich po jednym euro. A one wzięły, no bo dlaczego nie?

Po powrocie znaleźliśmy się w centrum uwagi. Wokół nas szmer głosów: mieszanina zazdrości, niechęci i podziwu.

Wskutek kryzysu bankowego do łask wróciła skarpeta. Z komentarzy po wydarzeniach na Cyprze wnoszę, że niejedyn z tutejszych starszków wyjął pieniądze z banku i trzyma pod materacem albo w jakimś innym miejscu, w którym każdy włamywacz szuka w pierwszej kolejności.

Byłem na chwilę u Anji, mojej wtyczki w sekretariacie, żeby zapytać, czy mogłaby się dowiedzieć, jak dyrekcja traktuje ranking domów opieki i domów seniora.

– Z wielką przyjemnością, Henk – powiedziała rozpromieniona.

Byłoby fajnie, gdyby jej się udało podwędzić jakieś zatajone raporty z biurka Stelwagen.

– Tylko uważaj, Anju, nie ryzykuj niepotrzebnie – kładłem jej do głowy. Widok tej złotej kobiety pod pręgierzem byłby nie do zniesienia. Nigdy bym sobie tego nie wybaczył. Powiedziałem jej to zresztą.

– To miłe, że mnie ostrzegasz, Henk, ale sama odpowiadam za to, co robię. Jeszcze kawy?

I zanuciła słowa piosenki Astrid Nijgh *Robię, co robię*.

x

Wielki Piątek. Dawniej o godzinie trzeciej trzeba było stanąć nieruchomo i pomyśleć o biednym Panu Jezusie. Gdyby dzisiaj w Holandii jakiś ojciec pozwolił przybić swojego syna do krzyża, to ci z kliniki psychiatrycznej Pieter Baan Centrum nie mieliby pojęcia, co zrobić z takim psychopatą. W każdym razie na pewno nie daliby mu ani jednego dnia warunkowego zwolnienia, gdyby miał jeszcze inne dzieci. No i miałby też gwarantowany zakaz handlu drewnem.

Postanowiłem dać Panu Bogu jeszcze jedną szansę: jeśli dzisiaj punkt trzecia znowu uda mi się przebiec sto metrów w 12,4 sekundy, wracam na łono Świętego Kościoła Rzymskokatolickiego. Daję słowo!

Sobota, 30 marca

Mój najlepszy czas na sto metrów wynosi obecnie minutę i dwadzieścia siedem sekund. Zmierzony wczoraj, w Wielki Piątek, z wybiciem godziny 15.00. Może było sekundę więcej albo metr mniej lub więcej, ale to przecież bez różnicy.

Po tym półtoraminutowym sprincie musiałem potem pięć minut odpoczywać na ławce.

O godzinie, o której Jego Syn wyzionął ducha, Pan Bóg nie uczynił dla mnie cudu i nie przywrócił mi dawnej szybkości. A więc nici z mojego powrotu na łono Kościoła.

Mniej więcej o godzinie trzeciej po południu Bóg wziął do siebie panią Schinkel. Była głęboko wierząca; jestem przekonany, że specjalnie wydała z siebie ostatnie tchnienie razem z Jezusem. Nie miałem z nią za wiele kontaktu, ale chyba była przyzwoitą kobietą. Pogrzeb odbędzie się w wąskim kręgu rodzinnym. Wygląda na to, że taka była jej wola.

x

Pensionado brzmi całkiem niezłe, prawie chciałoby się nim być. Trzeba by wtedy całą zimę spędzić w hiszpańskim Benidorm, grając w *jeu de boules* z innymi holenderskim *pensionados*. I przez dwa

miesiące mieszkać w najbrzydszych hotelach świata. Costa Blanca ma holenderskich fryzjerów, bary, hydraulików, a od paru lat także holenderski szpital. Gdybym co roku musiał tam spędzać zimę, z miejsca poszedłbym do tego szpitala na oddział eutanazji.

Wczoraj przy herbacie państwo Aupersowie, którzy wrócili w zeszłym tygodniu z Hiszpanii, nie mogli się nachwalić spędzania tam zimy. Utrzymujące się w Holandii zimno dodatkowo wzmocniło promocję statusu *pensionado*.

Gdyby w tym momencie w świetlicy rozłożyło się objazdowe biuro podróży, to w ciągu godziny mogłoby sprzedać dwieście biletów tam i z powrotem do Benidorm na przyszłą zimę.

Byłoby tu wtedy tak spokojnie i cicho.

x

Dzisiaj mam taki dzień, kiedy człowiek budzi się śmiertelnie zmęczony, cały czas wypoczywa i śmiertelnie zmęczony tym wypoczywaniem kładzie się znowu do łóżka. Gdybym tak miał w swojej apteczce parę tych zakazanych tabletek, po których dzisiejsza młodzież potrafi tańczyć przez dwadzieścia cztery godziny. Nie muszę od razu tańczyć, ale parę godzin spaceru bez zmęczenia też by mi wystarczyło.

Niedziela Wielkanocna, 31 marca

Nie mam co ze sobą specjalnie zrobić w Wielkanoc. W klubie majsterkowicza przygotowali pisanki, które będzie się jadło w pierwszy dzień Wielkiej Nocy w czasie czegoś w rodzaju uroczystego brunchu. Zaczyna się punktualnie o jedenastej, ale większość pensjonariuszy nie da się odwieść od swoich przyzwyczajień co do jedzenia i picia. Kiedy muszą zjeść śniadanie w porze, gdy normalnie piją kawę, to potem przez tydzień są nieżywi. Dlatego najpierw zjedzą normalne śniadanie, potem o wpół do jedenastej wypiją kawę i zjedzą dwie pisanki, a godzinę później znowu zasiądą do stołu na południową kanapkę.

Osoby starsze obowiązują takie same zasady jak małe dzieci: spokój, czystość i regularność. Z tą czystością nie zawsze jest tak jak trzeba, ale spokój i regularność to fundament ich życia.

Jutro ma być wielkanocny turniej belotki. A jakie nagrody! Biorę udział tylko dlatego, że nikt nie chce być z Evertem. Nie dopuszczę, żeby bojkot im się udał.

Niektóre pary zachowują się tak, jakby ten turniej to była sprawa życia lub śmierci. Evert niespecjalnie się wtedy hamuje przed dolewaniem oliwy do ognia i komentuje na głos każdą rzuconą kartę. Aż ktoś już dłużej nie wytrzymuje i mówi, żeby się zamknął. Ja w tym czasie udaję Greka.

Ciekaw jestem, jak będzie wyglądała dzisiejsza kolacja wielkanocna. Trzeba uczciwie przyznać, że ogólnie rzecz biorąc, jedzenie przy takich okazjach dają pyszne. Ale mamy nowego kucharza i wszystko jest jeszcze bardziej rozgotowane niż dotychczas.

Poniedziałek, 1 kwietnia

Zawiść była wielka. Wczoraj z Evertem zajęliśmy drugie miejsce w grze w belotkę: zestaw solniczka-pieprzniczka na nas dwóch. Evert zaproponował, żebyśmy na zmianę brali solniczkę albo pieprzniczkę i raz w tygodniu, na dole przy kawie, wymieniali się nimi w obecności zazdrosnych fanatyków belotki. Moim zdaniem, to już lekka przesada.

Na zasadzie wielkanocnej niespodzianki ktoś podziurawił opony trzech cant zaparkowanych pod bramą ośrodka. Z jednej strony doskonały temat do rozmów, ale z drugiej zadziwiający przejaw żądy zniszczenia.

– Zamach na mobilność Holendrów w podeszłym wieku! – zakrzyknęła pani Quint, królowa patetycznych bzdur.

Przyjechała policja. Drugi raz w krótkim odstępie czasu. I znowu dwa błyskotliwe umysły.

Stanęli przy samochodach i patrzą.

– No, przebite – mówią i rozglądają się, czy przypadkiem nie zobaczą kogoś z nożem w ręce znikającego za rogiem.

Nie, funkcjonariusze nie mogli od razu spisać protokołu. Poszkodowani mieli możliwość złożenia wniosku przez internet. Funkcjonariusze bardzo żalowali, że tamci nie mają komputera. Wreszcie Grietje zaproponowała, że pomoże poszkodowanym złożyć taki wniosek na swoim komputerze, a funkcjonariusze po tym imponującym pokazie zdecydowania w działaniu się wycofali. Jeszcze na progu dla pewności rozdawali ulotki z informacją o pomocy ofiarom przestępstw każdemu, kto wyciągnął rękę. W końcu nikt im nie może zarzucić, że nic nie zrobili.

Strach przed kolejnymi tego rodzaju atakami jest wielki. Właściciele cant najchętniej parkowaliby swoje samochodziki koło łóżka. Trwają spekulacje, kto też może się kryć za tym aktem terroru. Już niemal wszyscy doszli do wspólnego wniosku, że najbardziej podejrzani są muzułmanie. Może to i było nieco mniej groźne niż zamach na World Trade Center, ale jednak policja nie powinna tego tak bagatelizować.

– To doskonała okazja, żeby włączyć do akcji drony – powiedział pan Bakker.

Wtorek, 2 kwietnia

Wczoraj w czasie lunchu pan Dickhout odczytał list od dyrekcji, w którym było napisane, że od tej chwili za każdą kawę trzeba zapłacić jedno euro, a ciasteczko kosztuje dwadzieścia centów. Rozpętała się prawdziwa burza... Co ja mówię?! Tajfun oburzenia. To skandal! Nikt już nie ma szacunku dla nas, starszych! Zaczęto przywoływać czasy wojny i nawet stary pan Drees się dołączył.

– Będę przynosić swoją kawę i sam sobie gotować! – wrzasnął na całą salę Gompert, na co Dickhout przypomniał mu ten fragment listu, w którym jest mowa, że nie będzie już wolno korzystać z prywatnych produktów spożywczych w miejscach publicznych. Kiedy po tej uwadze Gompert tak się wściekł, że wydawało się, że zaraz pęknie albo co najmniej dostanie ataku serca, Dickhout uznał, że wystarczy.

– Prima aprilis – rzucił lakonicznie i obszedł wszystkich, częstując ich ciasteczkami.

Nie wszyscy przyjęli ten dowcip równie lekko, co było widać po wielu ponurych minach. Niektórzy na znak protestu demonstracyjnie odmawiali przyjęcia ciasteczka. Inni brali od razu po dwa.

Pan Gompert zrobił się całkiem siny.

Jeśli o mnie chodzi, to za żart dałbym osiem, a za wykonanie dziewięć. Może powinniśmy zaprosić Dickhouta na próbę na tymczasowego członka naszego klubu?

Poniedziałek Wielkanocny, szczytowy dzień, jeśli idzie o liczbę odwiedzin. Słońce, sześć stopni Celsjusza i wschodni wiatr o sile czterech stopni, można nawet wybrać się na spacer z mamą czy tatą, byle nie za długi. W związku z masowymi powrotami w świetlicy zabrakło miejsc siedzących. Wstałem ze swojego miejsca i poszedłem na górę. Na ile mogłem się zorientować, byłem jedyną osobą, do której nikt nie przyszedł w odwiedziny, i tym razem wyjątkowo zrobiło mi się trochę przykro. Już w pokoju postanowiłem otworzyć sobie najlepszą butelkę, jaką mam, i po trzech godzinach, lekko wstawiony, zszedłem na kolację. Doszło jeszcze parę kieliszków wina i z tego wszystkiego ledwie zjadłem deser. Mam nadzieję, że nikogo nie uraziłem.

Środa, 3 kwietnia

Nie trzeba go wyprowadzać, nie śmierdzi i nie zdycha: Paro.

Wskaźnik urodzeń w Japonii wynosi 1,3. Proporcjonalnie jest coraz więcej osób starych i coraz mniej dzieci, które mogłyby je odwiedzać. Dlatego jakiś czas temu Japończycy wprowadzili na rynek Paro, robocika w ciele pluszowej foczki przeznaczonego specjalnie do tego, by dotrzymywać towarzystwa osobom w podeszłym wieku. Doradzam holenderskim importerom Paro zmienić go w tłustego machającego ogonkiem kundla, którego można napychać ciasteczkami.

Nawiasem mówiąc, wskaźnik urodzeń we Włoszech też wynosi 1,3. Gdzie te czasy, kiedy katolicy mnożyli się jak króliki?

Mniej dzieci dzisiaj oznacza za czterdzieści lat zmianę proporcji i błyskawiczny przyrost odsetka ludzi starych. Na szczęście to już nie moje zmartwienie. Już dziś osoba stara ma niewielką wartość społeczną, ale kiedy w przyszłości będzie jeszcze więcej, to najprawdopodobniej będą proponować osobom powyżej siedemdziesiątki jakiś bonus za dobrowolne zakończenie życia.

Świat na pewno nie zrobi się od tego ładniejszy, kiedy na ulicach pojawią się dwa miliardy utrudniających ruch skuterów elektrycznych.

Moja rada dla przedsiębiorczych dwudziestolatków: wykupujcie udziały w firmach produkujących pieluchy dla nietrzymających moczu.

x

Wczoraj wieczorem u Graemego odbyło się zebranie klubu StaŻy. Z chablis i smażonymi owocami dostarczonymi z pobliskiego baru, bo smażenie w naszym ośrodku jest zabronione regulaminem. Nie ma nic lepszego niż taki gorący kawałek owocu do chłodnego winka. Było bardzo przyjemnie.

Umówiliśmy się, że jeśli wypadnie jakaś wycieczka, to nie przesuwamy wszystkich pozostałych i że można zamieniać się datami.

Było wiele zgłoszeń, żeby się dostać do naszego klubu, ale po starannym rozpatrzeniu uznaliśmy, że na razie liczba członków pozostanie niezmienną. Organizacyjnie jest to wygodne, a poza tym wszyscy mają dla siebie czas. Pojawiło się parę kandydatur, które umieściliśmy na liście oczekujących. I jakichś ośmiu nudziarzy, których zwyczajnie udało się spławić.

Czwartek, 4 kwietnia

Jest w Amsterdamie taki dom seniora dla lepiej sytuowanych osób, gdzie mają brydża zamiast bingo, Bacha zamiast szlagierów, befszyk zamiast mielonego. No i... zapewniają nieograniczoną ilość pieluch. Ubezpieczenie pokrywa tylko koszty opieki, a za pobyt każdy musi sam wyłożyć cztery tysiące euro miesięcznie. W moim przypadku oznaczałoby to, że po trzech miesiącach pobytu musiałbym spać na ulicy pod kartonami.

Są też ośrodki dla starych wegetarian, dla starych artystów, starych antropozofów, no i też dla starych bezdomnych, o których, moim zdaniem, nie można już wtedy mówić, że są bezdomni. Nie wiem, czy chciałbym zamienić ten ośrodek na któryś z tamtych. Wegetariańskie i antropozoficzne zrędy to chyba jeszcze coś gorszego niż nasi nudziarze. Chętnie widziałbym taki ośrodek, gdzie nikt nie zrędzi, nie marudzi i nie biadoli. Trochę gderania może być, bo inaczej sam nie miałbym tam wstępu.

Nie wydaje mi się, żeby u nas zaplątał się jakiś wegetarianin, nie mówiąc o antropozofie. Są natomiast panie, które robią piękne robótki, i kilku panów całkiem przyzwoicie grających w bilard.

Spytałem Anję, czy mogłaby dla mnie skopiować regulaminy i przepisy obowiązujące w naszym ośrodku. I wszelkie inne, które mogą się przydać, jak na przykład przepisy BHP. Te ostatnie, żebym mógł sprawdzić, czy pani Stelwagen miała prawo zabronić nam korzystania z kuchni. Mam przeczucie, że „my z klubu” jeszcze nieraz wejdziemy w konflikt z „tą z dyrekcji”, wobec czego rozeznanie w gąszczu przepisów, którymi się zasłania, jest jak najbardziej wskazane.

Wtajemniczyłem Graemego i Eefje i przyrzekli, że przestudiują wszystko razem ze mną. Evertowi się nie chce, ale „jak trzeba będzie jeszcze kiedyś wrzucić ciasto do akwarium, to ja bardzo chętnie”.

Piątek, 5 kwietnia

Wciąż jeszcze słyhać echa artykułu „Prawo fiskalne a osoby po sześćdziesiątym piątym roku życia”. Dzisiaj doszedł „Program zapobiegania demencji – zatrzymać falę”. Trochę za dużo jak na jedno posiedzenie przy kawie.

Głównie zajmowaliśmy się obciążeniami podatkowymi, bo wygląda na to, że w nowym uproszczonym prawie podatkowym są jakieś kruczki, które drenują powszechną ustawę emerytalną.

x

Do spodziewanego demencyjnego tsunami jeszcze wrócę. Nie może być za dużo smutnego naraz.

x

I ciągle jest za zimno jak na tę porę roku. Po trzech tygodniach wiatru od wschodu o sile sześciu stopni ludzie są apatyczni. Już prawie lato, a tu ciągle „jaja człowiekowi zamarzają”, żeby przytoczyć słowa Everta. Naprawdę nie lubię tego ciągłego gadania o pogodzie, ale nawet najbardziej pozytywnie myślący ludzie są tylko ludźmi i w końcu zaczynają narzekać razem z innymi, czy tego chcą, czy nie. Muszę przyznać, że sam robię się od tego nieprzyjemny.

Sobota, 6 kwietnia

Starzy ludzie często stękają i pojękują. Czasem z nerwów albo z bólu, ale najczęściej z przyzwyczajenia. Przeprowadziłem małe badania na ten temat.

Mistrzem w stękaniu jest pan Kuiper, którego zresztą niespecjalnie lubię. Czy wstaje, czy wkłada marynarkę, coś podnosi, nawet jeśli jest to tylko filiżanka herbaty, zawsze towarzyszy temu stękanie, zupełnie jakby przejeżdżał go walec.

Kiedy zacząłem zwracać na to uwagę, od razu zaczęło mnie bardziej denerwować. A nie o to przecież chodzi. „Nie złościć się, tylko się przyglądać”, powtarzał mi zawsze ojciec. Wskazówka dla innych, bo sam z dużym zaangażowaniem złościł się dosłownie na wszystko.

Dziś rano zebrałem się na odwagę i spytałem Kuipera, czemu, siadając, tak stęka.

– Kto, ja? – spytał, autentycznie zdziwiony.

Następnie przez pół godziny nie wydał z siebie ani pół dźwięku, ale potem wszystko stopniowo wróciło. Czułem się, jakbym oglądał tenis kobiet. Jeśli dobrze pamiętam, dawniej tego nie było, ale teraz, oglądając mecze w telewizji, muszę przyciszać dźwięk, bo wszystkie tenisistki stękają. I w dodatku jest to zaraźliwe, bo zaczęło się przenosić na mężczyzn.

No i zrobił się problem, bo słyszę teraz najcichsze nawet stęknięcie Kuipera i zaczynam czuć do niego obrzydzenie. I nie tylko do niego. Do całego mnóstwa pensjonariuszy też. A najgorsze, że od czasu do czasu nawet do siebie samego. Jak się teraz od tego uwolnić?

Zwierzyłem się z tego problemu Evertowi. Uznał, że jak na każde stęknięcie będzie reagował jeszcze głośniejszym, to powinno pomóc. Parę godzin później wypróbował swoją teorię w praktyce. Stękający patrzyli na niego zdziwieni i pytali, czy dobrze się czuje.

Niedziela, 7 kwietnia

Pan Schaft z oddziału dla pensjonariuszy z demencją wymknął się przez niezamknięte drzwi i przyczłapał do nas na kawę. Z dumą pokazał nam swoją nową opaskę. Dostał podobno od teściowej, jak nas zapewniał. Było na niej napisane: „Proszę nie reanimować”.

– Wie pan, co to znaczy? – spytała z ciekawości Eefje.

Nie wiedział. Wydawało mu się, że to ma coś wspólnego z jakimiś kobietami.

– Aha, ma pan na myśli pielęgniarki, które reanimują?

– Tak, coś takiego.

Spytałem, czy jest pewny, że dostał tę opaskę od teściowej.

Wtedy roześmiał się na cały głos i ten śmiech przeszedł w kaszel, od którego omal się nie udusił. Zwrócił tym uwagę siostr, a te zaprowadziły go z powrotem na oddział zamknięty, tak że nadal nie wiemy, kto rozdaje takie opaski.

Evert zrobił poważną minę i powiedział, że widzi w tym interes.

Od razu zamówiłem u niego jedną opaskę. Popatrzył na mnie jakoś tak dziwnie.

To był żart z mojej strony, ale tak nie do końca. Coś mi się wydaje, że mi ją jednak robi.

Mam zamiar się zorientować, czy są jakieś podstawy prawne dla takiej opaski. Zakładam, że są, podobnie jak w przypadku oświadczenia o chęci poddania się eutanazji w razie utraty władz umysłowych, bo jedno i drugie to śliska sprawa. O tym też niedawno rozmawialiśmy.

– Słowo na „eu” wciąż jeszcze jest wielkim tabu – ogłosił Graeme uroczyście i prowokująco, kiedy wyszła ta sprawa z opaską. Rozległo się niespokojne szuranie krzesłami, każdy w skupieniu wpatrywał się w swoją filiżankę.

– Samobójstwo to nie jest ulubiony temat w tej grupie – dolał jeszcze oliwy do ognia Evert.

Poniedziałek, 8 kwietnia

Wiosna. Każdy, kto jako tako się porusza, był wczoraj na spacerze. Nawet jeśli tylko do ławki przed wejściem. Czwórka naszych pensjonariuszy siedziała już tam sobie i rozmawiała o pięknej pogodzie, kiedy nagle na ostatnim wolnym miejscu usiadł jakiś kompletnie obcy człowiek. Pani Blokker nie dała rady przyspieszyć na tyle, żeby go ubiec. Popatrzyła na niego z niechęcią.

- Siedzi pan na naszej ławce.
- Nie widzę, żeby było gdzieś napisane, że to państwa ławka – odparł i otworzył gazetę.
- Zawsze tu siedzimy – wsparli panią Blokker pozostali.
- Przez najbliższe pół godziny będę tu siedział ja – oznajmił niewzruszenie.

Pani Blokker poszła po pomoc, ale był tylko portier.

- To jest ławka należąca do ośrodka – spróbowała znowu.
- Ta ławka stoi przy drodze publicznej i jest dla każdego – brzmiała odpowiedź.

Po półgodzinie czytania w lodowatej ciszy ów człowiek wstał, powiedział wszystkim do widzenia i oddalił się.

Opowieści tej musiałem wysłuchać czterokrotnie, w różnych tonacjach świętego oburzenia. Było to najważniejsze wydarzenie dnia.

x

Wycieczka numer trzy została przesunięta o dwa dni, żeby Grietje mogła się wyleczyć do końca z lekkiego zapalenia płuc. Wycieczka miała się odbyć pojutrze, a została przesunięta na piątek.

Byłem nieco rozczarowany. Bez przesady, Groen! Przecież wiesz aż za dobrze, że członkowie klubu są podatni na różne choroby i dolegliwości. Przyjęte na początku założenie, żeby w razie niemożności odbycia wycieczki nie przesuwając wszystkiego od razu o jeden cykl, daje pierwsze owoce.

x

Co do wycieczki, którą ja mam zorganizować, to już się zdecydowałem: będzie to kurs gotowania. Wytypowałem w internecie cztery, sprawdzając ceny i lokalizację. Dzwoniłem w każde miejsce co najmniej trzy razy, żeby sprawdzić, czy mają cierpliwość do starszych osób. Dwa z nich odpadły. W końcu zdecydowałem się na studio gotowania Pod Patelniami, ponieważ zapewniono mnie, że u nich w czasie zajęć jest też czas na śmiech. Nie za serio, to lubię. Zbyt wielu jest ludzi, którzy uważają się za bardzo ważnych przez to, co robią. A tak naprawdę to każdy jest zwykłym ziarnkiem piasku na pustyni i małym pyłkiem we wszechświecie.

No, teraz to już naprawdę przesadziłeś, Henk.

Wtorek, 9 kwietnia

Wreszcie znów jakiś sławny nieboszczyk przy kawie: Margaret Thatcher. Niewielu ich było w tym roku. Rzadko kto budził tak skrajne emocje jak żelazna Maggie. Pan Bakker uważa, że to była fantastyczna kobieta:

- Ta to przynajmniej wiedziała, o co jej chodzi!
- Spytałem go, o co takiego jej chodziło.
- No, o to, co chciała osiągnąć.
- A tak konkretnie? – naciskała Grietje.
- To jakieś przesłuchanie czy co?

x

Wczoraj wieczorem było walne zebranie pensjonariuszy, na którym poinformowano nas o planach zarządu dotyczących remontu budynku, mającego dopasować go do wymogów nowoczesności. Nie mam pojęcia, co to są te „wymogi nowoczesności”, ale często za czymś takim kryje się niewypowiedziana głośno myśl, że trzeba na czymś oszczędzić. Takie oszczędności nazywają potem cięciem kosztów lub zwiększeniem efektywności.

Dyrektorka trzy razy podkreślała jak najdobitniej, że nie ma jeszcze żadnych decyzji i to zebranie ma na celu zapoznanie się z życzeniami pensjonariuszy. Piękny miraż współdecydowania. Efektem tych wszystkich zapowiedzi był powszechny niepokój. Znowu jest nad czym myśleć. Tego samego dnia ludzie zaczęli potajemnie zbierać kartony na przeprowadzkę.

– Starych drzew się nie przesadza – mówiła pani Schaap każdemu, kto chciał jej słuchać.

To, że porównuje siebie do drzewa, świadczy o samoświadomości, której się po niej raczej nie spodziewałem. Wypowiada bowiem niby jakieś słowa, ale poza tym w dużej mierze wie o żywocie rośliny.

Ja jestem za gruntowną przebudową z mnóstwem niedogodności. Im więcej się będzie działo, tym lepiej, i im wcześniej, tym bardziej mi się będzie podobało. Zwłaszcza że zanim wymogi nowoczesności znajdą swój konkretny wyraz w nowej formie, ma minąć prawie rok, a nigdy nie wiadomo, czy człowiek jeszcze tego doczeka.

x

Wyobraźmy sobie taką sytuację: Załoga karetki widzi twoją opaskę „Proszę nie reanimować” po tym, jak już silnym uderzeniem prądu przywróciła ci akcję serca. I co wtedy? Mają cię dereanimować? Ktoś, kto by wszedł w tym momencie do karetki, nie wiedziałby, co o tym myśleć.

Albo inna sytuacja: Mążonek tego, który nie chce być reanimowany, upiera się, żeby zrobić wszystko, żeby przywrócić go do życia. Więc jak? Opaska czy jednak nie?

Z taką myślą obudziłem się dzisiaj rano.

Środa, 10 kwietnia

Mój kret w dyrekcji doniósł, że inspekcja zapowiedziała swoją niezapowiedzianą wizytę. Były bowiem jakieś skargi. Wszystkie ośrodki są na cenzurowanym. Ośrodki grupy Cordaen i Osira już wcześniej to przerabiały. W Osira dwadzieścia siedem domów poddano ostrzejszej kontroli. „Pensjonariusze maltretowani”, donosiła niedawno jakaś gazeta. Wszyscy zaszokowani. Ci „wszyscy” powinni może chociaż raz zajrzeć do tych ośrodków, żeby się przekonać, do czego potrafi doprowadzić wykorzystywanie słabo wyszkolonego, przeciążonego i nisko opłacanego personelu. Wystarczy policzyć

wielopoziomowe struktury zarządów połączonych fuzjami gigantów na rynku opieki społecznej i od razu staje się jasne, że stworzono tym samym wszelkie przesłanki, by maksymalnie zwiększyć możliwość nieszczęścia. Po latach usprawniania efektywności przez rady nadzorcze jedyne, co pozostaje na właściwym poziomie, to ich własny pakiet płacowy. Dla zatrudnionych bezpośrednio przy potrzebujących ustalono, że mają maksymalnie dwie minuty i piętnaście sekund, żeby takiego zniedołężniałego pensjonariusza posadzić na basen i potem z powrotem ubrać. Bywa więc, że na skuteczne podtarcie nie starcza już czasu.

Ech, chyba mam wielką ochotę porządnie sobie pogderać.

Druga strona medalu: Niektórzy starszankowie u nas są tak upierdliwi, że człowiek miałby ochotę, żeby jeszcze dłużej poleżeli we własnych odchodach.

Ostatni skandal tu u nas: Jeden z pensjonariuszy uderzył pielęgniarkę, a ten mu oddał. Był to niewinny, przywołujący do porządku klaps, z którego zrobiło się dużo szumu. Tak zwana ofiara była bardziej rozwydrzona niż małe dziecko. Niemniej jednak pielęgniarka wyleciała, spokój powrócił.

Czwartek, 11 kwietnia

Możecie mówić, co chcecie, ale są takie dni, kiedy po prostu kompletnie nic się nie dzieje.

Mogę oczywiście pleść trzy po trzy o jedzeniu czy o pogodzie, ale to jest ulubione zajęcie większości moich współpensjonariuszy. Jakiejś dobrej rozmowy o filozofii raczej tu z nikim nie odbędę. Twarda rzeczywistość, bo sam nie mam o filozofii najmniejszego pojęcia.

Wystarczy, że nikt w mojej obecności nie zrzędzi, a od razu mam powód do radości.

Dlatego trzeba bardzo uważać, przy kim się siada w świetlicy. Większość miejsc jest przydzielona na stałe dla tych, co mają abonament, dla tych, którzy zawsze siadają na „swoim” miejscu i od razu się awanturują, jak ktoś ich podsiądzie. Jeśli idzie o pozostałe wolne miejsca, to najważniejsza jest właściwa pora. Jak się przyjdzie za wcześnie, nie ma co wybierać, a jak za późno – też nie. Jak się z kimś przesiądziesz do innego stolika, bo przecież jest dosyć miejsca, to wychodzisz na mało towarzyskiego. Sprawa jest niby błaha, ale oburzenie, że nie chcesz się gnieść w tłoku, wielkie. Zachowują się tak, jakby człowiek ich unikał niczym trędowatych.

Chociaż więc najchętniej siadam z Eefje, Edwardem – czy Evertem, kiedy chce mu się przyjść – to często zdarza mi się siedzieć, energicznie potakując głową, obok jakiejś pani, która recytuje mi listę swoich dolegliwości albo relacjonuje wydarzenia w ulubionym serialu. Wtedy życzę im w duchu, żeby straciły mowę, i moczę ciasteczko w herbacie.

x

Jutro o godzinie 12.00 zameldować się przy wyjściu – klub buntowników jedzie na wycieczkę.

x

Na przyszły czwartek zarezerwowałem warsztaty kulinarne dla sześciu osób w podeszłym wieku w studiu Pod Patelniami. Po zastanowieniu zrezygnowaliśmy z przystawki i skupiamy się na daniu głównym i deserze. Inaczej wszystko trwałoby za długo i byłoby za drogie. Nie mam pojęcia, co będziemy gotować, dla mnie też będzie to pewnego rodzaju niespodzianka.

– A co do wymagań dietetycznych, to coś wymyślimy – powiedziała pani organizatorka. – Dla szczególnie opornych zawsze może być kotlecik mielony.

Trochę mnie to uspokoiło, bo widać, że mają elastyczne podejście.

Bus zamówiony, uprzedziłem też, że nie będzie nas na kolacji. Kucharz uniósł brwi ze zdziwienia.

Piątek, 12 kwietnia

To już naprawdę woła o pomstę do nieba. Pani De Roos, kierowniczka oddziału, przyszła do mnie w imieniu dyrekcji, żeby dowiedzieć się, jaka jest przyczyna zapowiadanej absencji sześciu osób na kolacji w przyszły czwartek. Przyznałem, że mamy wycieczkę.

– O! – powiedziała.

– No właśnie. Mamy taki klub i od czasu do czasu coś sobie organizujemy – dodałem od niechcienia.

– Czyżby pan uważał, że to, co my organizujemy, to za mało? – spytała pani De Roos.

– Ależ skąd! – pospieszyłem z odpowiedzią.

– Personel kuchni nie jest zbyt zadowolony, że sześć osób tak po prostu sobie nie przyjdzie.

A czy my jesteśmy tutaj dla przyjemności personelu kuchni? To oni są dla nas, a nie odwrotnie. To ich praca. Więc mało nas interesuje, co uważa na ten temat personel kuchni! – chciałem odpowiedzieć, ale nie miałem odwagi. Zamiast tego wydukałem tylko, że mamy już coś zarezerwowane.

– A co państwo macie zamiar robić, jeśli wolno zapytać?

Kiedy jej powiedziałem, że idziemy na warsztaty kulinarne, zaniemówiła. A potem rzuciła:

– Aha...

I znowu zapadła cisza.

Wreszcie pani De Roos się odezwała:

– No to powodzenia życzę.

Skinęła głową i wyszła. Pewnie od razu do dyrektorki, żeby jej zdać relację.

Jestem coraz bardziej zły, ale nie mogę nic nikomu powiedzieć, bo zdradziłbym swoje plany.

Spokojnie, Groen! Nie daj się zwariować. Wyjdź sobie po prostu na spacer. I koniecznie weź ze sobą płaszcz przeciwdeszczowy.

Sobota, 13 kwietnia

Członkowie klubu StaŻy zwiedzili wczoraj jeden z największych i najsłynniejszych rezerwatów przyrody dla osób w podeszłym wieku w Holandii: ogród wiosenny Keukenhof. Oczywiście nie tylko dla osób w podeszłym wieku, ale też dla Niemców, Japończyków i innych.

– Czyżby Japończycy już całkiem posprząтали u siebie po tsunami, że tak sobie tu wesoło chodzą i fotografują? – zastanawiał się Evert.

Szacowana średnia wieku zwiedzających: 65 plus.

Nie ma tu żadnej zniżki dla seniorów, więc zapowiadało się drogie wejście. Ale okazało się, że osoby pchające wózki inwalidzkie wchodzi gratis. Nie było to nigdzie wyraźnie napisane, ale Grietje przypadkiem o tym wiedziała. W tej sytuacji Evert poszedł po wózek inwalidzki dla mnie, a Graeme dla Eefje. Trzy osoby na wózkach inwalidzkich mogły się już wydać trochę podejrzane. Za zaoszczędzone czterdzieści euro kupiliśmy dla wszystkich po kawie z tartą. I każdy z nas po kolei pozwalał się pchać na wózku.

Jest to niezwykle wypielegnowany i wygracowany park. I jednego mają pod dostatkiem: kwiatów. I to naprawdę pięknych, chociaż w tym roku wszystko jest trochę opóźnione. Pogoda była w kratkę: deszcz-słońce-deszcz-słońce. Na dworze-pod dachem-na dworze-pod dachem. W hali kasowej panowało przyjemne ciepło, a kiedy się zapomniało o hordach turystów, było naprawdę przepięknie.

Ale nawet z kwiatami można przesadzić. Przy białym winie i bitterbollen zastanawialiśmy się wspólnie, jaki jest sens hodowania siedemsetnej odmiany tulipanów.

Grietje bardzo sprytnie wszystko zorganizowała. Jej wnuczek Stef, bardzo miły, ma busa. Za parę euro na benzynę był gotowy poświęcić dzień na wycieczkę z babcią i jej przyjaciółmi. Bardzo przyjemny młodzieniec, ciekaw ludzi i tego, co mają do powiedzenia. Był bardzo zadowolony, że mógł sobie z nami porozmawiać. Trochę nawet byliśmy z tego dumni.

Pod koniec dnia Stef zaproponował, że chętnie będzie częściej służył nam za taksówkarza. I to po godzinie stania w korku. Widocznie Grietje spodziewała się długiego powrotu, ponieważ poczęstowała nas w busie wyjętym z lodówki turystycznej francuskim serem, kanapeczkami z łososiem i kieliszkiem wina. Jeszcze nigdy nie stało mi się w korku tak przyjemnie.

Tyle tylko, że spóźniliśmy się na kolację. Przy akompaniamencie ciężkich westchnień szef kuchni zgodził się odgrzać nasze porcje w mikrofalówce. Z taką miną, jakby odejmował sobie to jedzenie od ust.

Niedziela, 14 kwietnia

To się nazywa wyjątkowy dzień w ośrodku! Wczoraj, pod naszą nieobecność: jeden udar, jedno złamane biodro i jedna osoba, która o mało nie udusiła się ciasteczkiem maślanym. Karetka jeździła tam i z powrotem: trzy razy jednego dnia. Aż nie do wiary – tyle tematów do rozmowy przy kawie i herbacie! Chociaż wśród poszkodowanych nie było żadnych naszych bliskich znajomych, to jednak rzeczywistość znowu dobitnie nam przypominała, że do powalenia starych drzew wcale nie trzeba wichury. Wystarczy pierwsza lepsza bryza, na przykład w postaci herbatnika maślanego, i sprawa załatwiona. Każdy z nas powinien w zasadzie żyć tak, jakby to miał być ostatni dzień jego życia, tymczasem my marnujemy bezcenne ostatnie godziny na kwękanie i narzekania.

Nawiązując do wzmożonego ruchu karetek, pani Sitta poinformowała nas, że bingo jednak się odbędzie.

– Niewinni nie muszą przecież cierpieć za winnych – stwierdziła bez mrugnięcia powieką. Miałoby się jej ochotę życzyć, żeby w czasie tego bingo dostała udaru, złamała sobie biodro i o mało się nie udusiła ciasteczkiem maślanym.

x

Dla odmiany coś weselszego: zaraz idę do mojej przyjaciółki Eefje na filiżankę herbaty i zapraszam ją na wieczór do restauracji. Udało mi się zarezerwować miejsce w bardzo eleganckim lokalu.

Trzeba żyć tak, jakby każdy dzień miał być ostatni.

Poniedziałek, 15 kwietnia

Moja leciwa księżniczka z chęcią dała się zaprosić. Umalowała się nawet: trochę pomadki na usta

i kolorki na policzkach. Muszę się przyznać, że przed wyjściem specjalnie jeszcze raz wzięłem prysznic i włożyłem pieluchę. To ostatnie to, niestety, żadna przesada. Na najbliższej wizycie muszę spytać geriatrę, czy da się jeszcze coś zrobić z tym popuszczaniem, czy też muszę się już całkiem przestawić na pieluchy. Jeszcze nie tak dawno byłem zdania, że wraz z koniecznością noszenia pieluch osiąga się dolną granicę ludzkiej godności, ale coś mi się zdaje, że przesunąłem tę granicę trochę bardziej w dół. Człowiek do wszystkiego potrafi się przyzwyczaić.

O godzinie siódmej wsiedliśmy do busa i pojechaliśmy do restauracji, gdzie zjedliśmy wspaniałą kolację za połowę mojej miesięcznej emerytury.

Eefje czuła się zaszczycona i bardzo jej się podobało. Powiedziała, że pozwoli się zapraszać, ale pod warunkiem, że nie wprowadzę zwyczaju, że zawsze ja będę za wszystko płacił.

– To jest zwyczaj, na który, niestety, nie mogę sobie pozwolić – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

To naprawdę fajne uczucie, kiedy człowiek sobie zaszaleje. Nawet nie myślałem, że tak łatwo mi pójdzie. No, ale to z pewnością także zasługa towarzystwa.

Taksówką z powrotem.

Przy pożegnaniu całusy w oba policzki. Aż mi się ciepło od tego zrobiło. Dobry Boże, przecież ja mam osiemdziesiąt trzy lata!

Wtorek, 16 kwietnia

W ośrodku powoli zaczyna się koronacyjne szaleństwo. Rada mieszkańców przeprowadziła burzliwe zebranie na temat, w jaki sposób uczymy koronację. Skończyło się na tym, że i w tym roku dostaniemy do kawy tompoezen z pomarańczowym lukrem. Ponadto całą transmisję będzie można oglądać na dużym ekranie telewizora w świetlicy.

Uroczysty rejs po rzece IJ odbędzie się praktycznie za rogiem, ale to dla nas żadna pociecha. Wszyscy są z tego powodu bardzo niezadowoleni. Tak do końca nie wiem, ale chyba trzeba by tam być o dwunastej w południe, żeby jakieś sześć godzin później z odległości stu metrów przez dwie minuty widzieć przepływającą parę królewską.

Przez ostatnie kilka lat w Dzień Królowej obowiązywały strefy bezpieczeństwa 1, 2 i 3. W niektórych miejscach nie pozwalali nawet zostawić auta we własnym zamkniętym garażu. Skuterów elektrycznych też oczywiście nie dopuszczano. Ludzie do dzisiaj są z tego powodu oburzeni.

Mimo tych środków bezpieczeństwa (samo wynagrodzenie agentów wynosi siedemset tysięcy euro) i tak wszyscy będą czekali w napięciu, czy znowu jakieś czarne suzuki swift nie przebije się przez zapory i publiczność, jak w czasie zamachu z 2009 roku.

Chętnie zobaczyłbym scenariusz przygotowany dla królowej w celu zapewnienia jej bezpieczeństwa.

Siostry Slothouwer oczywiście wiedzą na pewno:

– Coś się stanie. Nie wiem co, ale to czuję.

Ktoś powiedział, że pewnie Kim Dzong Un, ten nabzdyczony błazen z Korei Północnej, dokładnie trzydziestego kwietnia wystrzeli w naszą stronę którąś ze swoich rakiet. Wczorajszy zamach bombowy w czasie maratonu w Bostonie też niespecjalnie się przyczynił do uspokojenia nastrojów.

Ci nasi panikarze już teraz psują trochę całą przyjemność.

Z nostalgią wspominam wspaniałe parady przed pałacem Soestdijk. Nikomu do głowy by wtedy nie przyszło, żeby sprawdzać pod kątem materiałów wybuchowych półtorametrowe placki korynckie domowego wypieku.

Jako anonimowy republikanin nie mam jeszcze pojęcia, jak spędzę ten dzień.

Trochę jestem zdenerwowany przed jutrzejszą wyprawą. Ciekawe, czy mój pomysł z warsztatami kulinarnymi się spodoba.

W każdym razie wszyscy po kolei wpadali do mnie na chwilę, zagadując na rybkę o różne rzeczy, żeby ze mnie wyciągnąć, co zaplanowałem.

À propos rybek: wreszcie są nowe w obu akwariach zaatakowanych jakiś czas temu ciastem i ciasteczkami.

Przy każdym wisi karteczka, że dyrekcja po raz ostatni kupuje nowe rybki. Jeśli jeszcze raz coś się stanie, akwaria zostaną definitywnie zlikwidowane. Takich rzeczy się nie mówi naszemu ośrodkowemu anarchiście Evertowi. Od razu oczka mu się zaświeciły. Musiałem wymóc na nim uroczyste przyrzeczenie, że zostawi rybki w spokoju. Przysięgał mi „na światło oczu mojej matki”. Te oczy już od dwudziestu pięciu lat spoczywają pod ziemią.

Evert wciąż szuka. Zamach na rośliny doniczkowe nie wydaje mu się zbyt interesujący. Zastanawia się nad windą...

x

Dziś wieczorem w telewizji wywiad z przyszłym królem i królową. Od razu wiedziałem, że najlepsze miejsca przed telewizorem będą zarezerwowane. Na krzesłach pierwszego rzędu leżały karteczki z nazwiskami. Taki odpowiednik ręczników, które o ósmej rano ludzie kładą na leżakach hotelowego basenu. Chyba dam cynk Evertowi o tych rezerwacjach. Będzie miał jak znalazł do swoich planów.

Są takie panie, które przyjdą oglądać wywiad telewizyjny z Wilhelmem i Maximą w najlepszych sukienkach. Z szacunku. Taka najlepsza sukienka nie zawsze już o tym świadczy. Czasem jest stara i znoszona. Pensjonariusze naszego domu seniora często przesadzają z oszczędnością. Uważają za grzech kupowanie sobie nowych ubrań, bo może się przecież zdarzyć, że umrą, zanim zdążą je znieść. To już lepiej w wyblakłych sukienkach i z dziurami w skarpetach i butach.

Ja też nie jestem wolny od tej przypadłości. Nie lubię kupować sobie drogich ubrań.

Czwartek, 18 kwietnia

Bardzo mi się podobał ten niebieski kolor. Bluzka Maximy przyciągała mój wzrok przez cały wywiad. Część oglądających z kolei najbardziej była przejęta opatrunkiem na małym palcu przyszłego króla. Przyciął sobie w drzwiach? Zastrzał? Zdarty paznokieć?

Prowadzący nie zajaknęli się na ten temat ani słowem. Za to mnóstwo sztucznego rozdymania rzeczy, które w sumie były mało istotne.

Z powodu zamachu bombowego w Bostonie pan Schipper postanowił, że nie będzie w przyszłym roku oglądał maratonu w Amsterdamie, mimo że ma biec jego wnuk. W trudny do powtórzenia sposób Evert wyliczył mu, że istnieje nieporównanie większe prawdopodobieństwo, że wyląduje swoją cantą do góry nogami w rowie z wodą niż że zostanie ranny przy okazji maratonu, więc może lepiej, żeby sprzedał samochód. Zwłaszcza że zna kogoś, kto chętnie kupi taką używaną cantę.

Zaraz przejdę się do każdego z członków klubu StaŻy, żeby powiedzieć, że mogą być w zwykłych

ubraniach. Raczej bez powiewających elementów, bo mogą się zająć od kuchni gazowej. Tego ostatniego oczywiście nie powiem.

Piątek, 19 kwietnia

Skończyło się wielkim sukcesem. Nie mała w tym zasługa znakomitego wina, hojnie dolewane pod koniec przygotowań. Kucharz był dokładnie taki, jaki powinien być kucharz: gruby i pogodny. Ale też surowy. Nie pozwolił odwalać fuszerki, tak jak to próbował robić Evert, byle jak krojąc bakłażana. Remi – tak się nazywał nasz kucharz – od razu przywołał go do porządku. Z jedzenia się nie żartuje. Można się śmiać przy nim, ale nie z niego.

Z wysuniętym językiem każde z nas karmelizowało, blanszowało, podpiekało i zasmażało. A potem wszystko to uroczyście zjedliśmy. Remi był z nas dumny i zarządził po kieliszeczku koniaku do kawy. Pani organizująca warsztaty wpadła zobaczyć, czy nie ma ofiar, i też się z nami napiła.

Bus znowu podjechał za wcześnie, jak dla nas, i zaczął trąbić. Okazało się, że minęło już pięć godzin, od kiedy zaczęliśmy pichcić. W drodze powrotnej miło mi się słuchało tych wszystkich komplementów, no i jakoś nikt nie narzekał na koszty.

Mam wrażenie, że żadne z nas nie ma szans na przygotowanie w domu czegoś choćby zbliżonego do tamtych dań. Chyba tylko Edward coś z tego zapamiętał, ale jego nie da się zrozumieć, więc nawet nie było jak tego sprawdzić.

Kiedy wchodziliśmy do ośrodka, pani dyrektor z surową miną przyglądała się naszej rozbawionej szóstce. Normalnie o siódmej dawno jej już nie ma. Zainteresowanie pozostałych pensjonariuszy, którzy właśnie skończyli przeżuwać kolacyjną endywię, też było jej najwyraźniej nie w smak. Pozytywnie nastawieni pytali, co takiego jedliśmy, malkontentów interesowało tylko, ile coś takiego mogło kosztować.

Chwilę później pani Stelwater bez słowa wyszła z budynku.

Sobota, 20 kwietnia

Pani Hoogendijk była oburzona: nie pozwalają wjeżdżać skuterem elektrycznym do nowego Rijksmuseum. Miała nawet w planie przedefilować swoją cantą wzdłuż *Straży nocnej* Rembrandta, ale – jak powiedziała – „na pewno też by się nie dało”. Rzecznik muzeum słusznie zwrócił jej uwagę, że skuter elektryczny to środek lokomocji, a nie pomoc w chodzeniu. W nowej ekspozycji jest dużo gablot i pojedynczych eksponatów, wyjaśnił. Gdyby się pozwoliło seniorom jeździć po salach, to oprócz strażnika w każdej musiałby rezydować ekspert od wyceny szkód i ktoś od sprzątnięcia, bo właściciele takich skuterów raczej nie są wybitnymi mistrzami kierownicy.

Nareszcie dostałem wyniki kilku dodatkowych badań po wizycie u wesołego geriatry. Dobra wiadomość: żadnych nowych chorób.

Załączony liścik od lekarza: *Proszę się pocieszać myślą, że nie ma pan żadnych dodatkowych niedomagań poza tymi co zwykle. Zapraszam za pół roku.*

Dla uczczenia faktu, że nie mam raka płuc, zapaliłem sobie dodatkowe cygaro. „Oni” nie lubią, jak się pali przed ośrodkiem, ale ja to chrzańię. Kącik palacza w budynku niezbyt mi się podoba. Człowiek jest tam zmuszony do biernego palenia, a to bardzo niezdrowe. Personelowi wolno palić tylko w pomieszczeniu, gdzie stawia się rowery.

Wczoraj wieczorem pod ośrodek zajechał karawan. A raczej za ośrodek, bo tam jest tylne wejście, używane wyłącznie do dyskretnego wyprowadzania zwłok. Tym razem szczęściarą jest pani Tuinman. Jak słyszałem, już od jakiegoś czasu nie miała chęci żyć. Prawie jej nie znałem.

W razie śmierci pensjonariusza obowiązują ściśle procedury. Edward nawet kiedyś o to zapytał, ale powiedziano mu, że to „nie jest rzecz do ogólnego wglądu”, co tylko zwiększyło jego ciekawość. Wiem, że stara się wymyślić jakiś sposób, żeby jednak dostać w ręce ten dokument. Próbował nawet podpytać siostrę, z którą się dosyć lubią, ale nie chciała mu nic zdradzić. Ja pokładam wielkie nadzieje w Anji. Powiedziała z uśmiechem, że zrobi, co w jej mocy.

Szczerłość i otwartość nie są w naszym ośrodku najpowszechniejszymi cnotami. Najzwyczajniejsze sprawy są tutaj poufne. Na przykład, na co dana osoba umarła. Personel ma zakaz udzielania pensjonariuszom takich informacji. Nawet o tym, czy ktoś się przeziębził w czasie wizyty u lekarza.

Przez jakiś czas Evert wysyłał wszystkie swoje listy w żałobnych kopertach. Nie przyklejał wtedy znaczka, ponieważ wychodził z założenia, że chcąc uszanować żałobę, nikt nie będzie naliczał karnej opłaty pocztowej, a w dodatku można być pewnym, że list dojdzie na czas.

Wszystko było dobrze, dopóki nie wysłał w takiej kopercie pisma do urzędu skarbowego...

Niektórzy mają jeszcze lepsze pomysły. Jego brat na przykład kupił kiedyś używany karawan i zawsze miał ze sobą własnoręcznie zbitą z desek trumnę, dzięki czemu parkował, gdzie chciał.

Eefje zauważyła przy kawie, że byłoby zabawnie, gdyby Willem Aleksander na dzień przed koronacją powiedział:

– A wiecie co, ja wcale nie mam na to ochoty. Odmawiam.

– Naprawdę tak powiedział? – zareagowały zdumieniem trzy czy cztery osoby w pobliżu. Ludzie tutaj nie dość, że źle słyszą, to jeszcze nie słuchają.

Poniedziałek, 22 kwietnia

Dzisiaj rano Evert poszedł do szpitala.

– Zostanę tam na jedną nockę – rzucił nonszalancko, kiedy przyszedł wczoraj wieczorem zapytać, czy mógłbym zająć się przez dwa dni jego psem.

Nie chciał powiedzieć, o co chodzi.

– Nic specjalnego, jakieś parę badań.

– Jakich badań?

– Henkie, nie chce mi się teraz wchodzić w te wszystkie medyczne detale. Mam jakiś problem z nogą, okay? Chcą zobaczyć, czy coś da się zrobić.

Nie mogę nawet do niego zadzwonić. Na wszelki wypadek nie podał mi numeru pokoju („nie wiem jeszcze dokładnie”), nie zamówił sobie aparatu telefonicznego do pokoju i nie zabrał komórki. Wyraźny sygnał, że nie chce, żeby mu przeszkadzać.

Wcale mnie to nie uspokaja.



uczuciami. Tekst w zasadzie większości się podobał, na tyle, na ile go zrozumieli, ale wiele osób było bardzo rozczarowanych, że nie wszyscy piosenkarze i piosenkarki z dawnych lat zdecydowali się wziąć udział w nagraniu.

– Sami młodzi ludzie, to przecież nie jest przekrój przez społeczeństwo! Jej Wysokość Królowa sama ma przecież ponad siedemdziesiąt lat!

Nasz ośrodkowy chór odetchnął z ulgą, bo zdecydowano, że zaśpiewa tylko hymn Holandii, zamiast uczyć się nowej pieśni w tak krótkim czasie. Wszyscy strasznie się buntowali, zwłaszcza przeciwko części hiphopowej.

No, ale jednak oznaczało to usunięcie jednego z trzech filarów uroczystości koronacyjnej.

Sezon ogórkowy do kwadratu czy może cała Holandia nagle stetryczała?

Wtorek, 23 kwietnia

Pies Everta też chodzi trochę osowiały, od kiedy jego pan jest w szpitalu. Kiedy zakładałem mu obrozę i smycz, żeby go wyprowadzić, zrobił wielką, dość rzadką kupę na wycieraczkę z napisem WITAMY. Przy okazji patrzył na mnie niewinnie tymi swoimi wielkimi smutnymi oczami. Dwadzieścia minut zajęło mi usuwanie kupy ze szczeciniastej wycieraczki. W końcu i tak wyniosłem ją na dwór, bo śmierdziała tak, że nie dało się wytrzymać.

Po południu Evert wraca do domu. Godzinę temu jednak sam zadzwonił, żeby powiedzieć, że dzisiaj wieczorem sam wyjdzie z Mo.

– Tak, wszystko w porządku, nic specjalnego nie znaleźli.

Więcej nie dało się z niego wydusić.

x

Niedawno oglądałem w telewizji odcinek programu, w którym pięć znanych holenderskich osobistości życia publicznego przeniesiono na tydzień do odizolowanego od świata domu, w którym wszystko działało tak, jak w latach siedemdziesiątych. Chodziło o to, czy takie nostalgiczne przeżycie pozwoli im się poczuć młodziej.

Parę dni później natknąłem się na odcinek filmu dokumentalnego o chórze seniorów. W sobotę z kolei leciał serial o buncie w domu opieki. Nie da się o „nas” zapomnieć.

Niektóre z tych seriali nie wydają mi się tak do końca reprezentatywne dla „starej” Holandii. Na przykład najstarszy z uczestników tego eksperymentu z domem z lat siedemdziesiątych miał sześćdziesiąt dziewięć lat. Tymczasem średnia wieku w naszym ośrodku wynosi grubo ponad osiemdziesiąt.

W ostatnich latach strumień nowych pensjonariuszy napływających do ośrodków to głównie zgrzybiali starcy, którzy naprawdę nie mogą już mieszkać samodzielnie. Żeby od razu dostać miejsce, trzeba mieć „wskazanie numer 3” czy jakoś tak. Taki człowiek nie umie sobie nawet ugotować jajka i najczęściej od razu ląduje na oddziale stałej opieki. Ze „wskazaniem numer 2” w wielu ośrodkach jest się przez parę lat na liście oczekujących. I czasem okazuje się potem, że miejsce jest już niepotrzebne. Takie samoczynzące się listy.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych do domów seniora szły zdrowe, funkcjonujące małżeństwa koło siedemdziesiątki, żeby beztrudnie cieszyć się złotą jesienią. Teraz trafiają tu głównie wraki, które w każdym momencie mogą kipnąć.

– Przez prawie półtora dnia w szpitalu byłem praktycznie o suchym pysku. Muszę dotankować.

Evert miał już za sobą parę głębszych, kiedy poszedłem do niego zobaczyć, jak się miewa. Nie dowiedziałem się od niego wiele więcej niż to, że w szpitalu musiał pić ukradkiem z butelki po wodzie mineralnej.

x

Kiedy człowiek jest młody, to koniecznie chce szybko dorosnąć. Jak jest dorosły, tak mniej więcej do sześćdziesiątki, chce być młody. A kiedy się jest starym piernikiem, to niczego się już nie chce. To kwintesencja pustki, jaką jest wypełnione życie tutaj. Nie ma żadnych celów. Żadnych egzaminów do zdania, żadnej kariery do zrobienia, żadnych dzieci do wychowania. Jesteśmy za starzy nawet na to, żeby opiekować się prawnuczkami.

Trudno jest wyznaczać sobie cele w tym wielce inspirującym otoczeniu. W oczach ludzi wokół mnie widzę już tylko obojętność. To oczy ludzi, którzy od filiżanki kawy przechodzą do filiżanki herbaty, a potem od filiżanki herbaty do filiżanki kawy.

Może to już nawet kiedyś mówiłem.

Może nie powinienem tak narzekać.

Zamiast tego bardziej się przyłożyć, by każdy następny dzień był wart przeżycia. Albo przynajmniej jeden na dwa dni. W końcu nawet w Tour de France mają dzień odpoczynku.

Czwartek, 25 kwietnia

Byłem wczoraj na południowym koncercie w Ratuszu. Kiedy przeczytałem swój wczorajszy lament na temat pustki życia, postanowiłem coś dla siebie zrobić. Muzyka klasyczna to nie dla Everta, Eefje źle się czuła, a mnie się już nie chciało dalej szukać towarzystwa, więc pojechałem na koncert sam, ponieważ miasto oferuje wstęp wolny.

Niestety, nie wystarczy zrobić „coś”, żeby przyjemnie spędzić czas. Muzyka była dosyć nudna, utwory długie, więc zasnąłem, aż sąsiadka musiała mnie ostro szturchnąć w bok. Boję się, że mogłem chrapać. Wszyscy na mnie patrzyli. Wstydzilem się, jak nie wiem co. Kiedy po zakończeniu koncertu próbowałem oddalić się niepostrzeżenie, wciąż czułem na plecach pogardliwe spojrzenia.

– Daj spokój, Henk, nie zamartwiaj się. Tylko jak się nic nie robi, nie popełnia się błędów. Nie smuć się tym drobnym niepowodzeniem. Następnym razem dokleisz sobie brodę.

Tak pocieszała mnie Eefje, kiedy ją odwiedziłem. Nie bardzo mogła się poczęstować truflami, które przyniosłem. Nie skarżyła się, ale powiedziała rzeczowym tonem, że jej przewód pokarmowy dość często odmawia posłuszeństwa.

– A wtedy nie pozostaje mi nic innego, jak spędzić dzień w pokoju.

Jeśli jej się poprawi, jestem zaproszony jutro przed południem na białe wino i trufle w czekoladzie.

Piątek, 26 kwietnia

Zrędlivy pan Dieudonné Titulaer – trzeba przyznać, że nazwisko piękne – spożywając swój deser o smaku waniliowym, przeczytał nam wycięty z gazety artykuł, w którym „wydział włamań” policji informował, że ostatnio notuje się gwałtowny wzrost liczby włamań do domów osób starszych. Dieudonné aż zatarł ręce, zupełnie jakby chciał nam dać do zrozumienia, że jednak lepiej sobie siedzieć tutaj, w tym bezpiecznym rezerwacie, niż narażać się na niebezpieczeństwa świata zewnętrznego. Z wąsów zwisał mu spory glut deseru.

Z artykułu wynikało też, że stosowane są coraz brutalniejsze metody zmuszania starszków, żeby się przyznali, gdzie schowali skarpety z pieniędzmi. Jedną z przyczyn wzrostu napadów ma być właśnie fakt, że ludzie starsi czują lęk przed PIN-em i trzymają w domu stosunkowo dużo gotówki. Ja tam uważam, że przyczyna jest inna: taki starszek jest za wolny, żeby zdążyć sięgnąć po kij bejsbolowy w obronie swojej własności. Złodzieje wolą bezbronne ofiary.

Te informacje dostarczyły potem tematu do dyskusji przy kawie. Zasiały strach. A strach to ziarno, które pada tutaj na bardzo podatny grunt. Więcej niż połowa pensjonariuszy boi się wieczorem wyjść sama z ośrodka.

Poszedłem do Eefje. Obejrzeliliśmy sobie film na DVD. Komedia romantyczna. Zazwyczaj na takich filmach natychmiast zasypiam. Tym razem nie.

Sobota, 27 kwietnia

Dzieci śmieją się mniej więcej sto razy dziennie. Dorośli jeszcze około pięćdziesięciu razy. Potem gdzieś po drodze śmiech nam przechodzi. To dane z badań. Osoby w podeszłym wieku nie stanowiły tu osobnej kategorii, ale z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że zanik uśmiechu postępuje wraz z upływem lat. Oczywiście w ramach mojej grupy wiekowej są duże różnice. Przez ostatnie kilka dni zwracałem na to uwagę, ale pośród osób, które spotykam regularnie, jest pięć, które już od trzech dni się nie uśmiechnęły. Na drugim biegunie są cztery panie, które śmieją się bardzo często. Tak często, że aż staje się to irytujące, jeśli zacznie się zwracać na to uwagę. Czyli że nie powinno się tego robić, znaczy, zwracać uwagi, ale kiedy się zacznie, to jest już za późno. Wtedy nie da się tego tak po prostu skończyć.

Średnią stanowi duża grupa osób, które rzadko kiedy śmieją się na całe gardło, ale za to regularnie się uśmiechają. Próbowałem liczyć uśmiechy, robiąc kreseczki, ale przestałem, bo to strasznie utrudniało konwersację. Wiedziałem wprawdzie, ile razy uśmiechnęły się cztery siedzące ze mną osoby, ale za to nie miałem pojęcia, o czym była rozmowa. Nawet ktoś mnie zapytał, czy dobrze się czuję.

Teraz próbuję liczyć, jak często ja sam się uśmiecham, ale to też jest trudniejsze, niż się zdaje. Po godzinnej herbatce i godzince bilardu z Graemem i Evertem doszedłem do trzech śmiechów (z dźwiękiem) i jakichś dziesięciu do piętnastu uśmiechów. Całkiem niezły wynik.

Oczywiście mam przykrą świadomość, jak wiele z tych uśmiechów – zarówno u mnie, jak i u innych – jest wymuszonych przez względy towarzyskie. Tu uśmiech, tam uśmiech, wszystko w jednym tylko celu: żeby kogoś zadowolić. Drobne zadośćuczynienie za to, że jesteś zbyt oklapnięty, żeby ci się chciało dać do zrozumienia, że to wcale nie jest śmieszne. Uśmiechasz się po to, żeby uniknąć rozmowy.

Niedziela, 28 kwietnia

Dobrze jest czasem dowiedzieć się z gazety, że zmarła jakaś leciwa i znana osoba. Człowiek myśli sobie wtedy: O rany, to on jeszcze żył? Co oznacza, że taki ktoś nie wiadomo kiedy popadł w zapomnienie. Zdarzają się też sytuacje odwrotne, gdy jakąś zapomnianą osobistość z dawnych lat próbuje się znowu postawić w świetle reflektorów. Bywa to żałosne.

Czemu ci łowcy trupów z telewizji z takim niedwuznacznym upodobaniem odzierają tych ludzi z godności? Dlaczego żaden z „fantastycznych kolegów” nie powie otwarcie, że to obrzydliwe i pozbawione szacunku pokazywać wielkich kiedyś ludzi jako bezwolne kukły?

Za każdym razem, gdy coś takiego widzę, wyłączam telewizor, ale obraz na długo pozostaje mi w pamięci.

x

Zbliża się dzień koronacji. Narasta irytacja, że wszystko i wszyscy w całym Amsterdamie muszą się podporządkować tej szopce. Pan Schaft, jeden z niewielu, którzy jeszcze jeżdżą rowerem, był wręcz wściekły. W zeszyły wtorek policja „ukradła” mu rower na promie tylko dlatego, że za tydzień jakiś facet w koronie będzie przepływał sto metrów stąd. W całym mieście sprzątanie i porządkowanie, a jak tylko ten cały cyrk się skończy, będzie mogło spokojnie zarastać brudem, jak dawniej.

Z takimi poglądami nie ma teraz czego szukać wśród pensjonariuszy naszego ośrodka. Dzisiaj nie wolno powiedzieć ani jednego złego słowa na temat rodziny królewskiej.

Poniedziałek, 29 kwietnia

Źle się czuję. Mam zawroty głowy i jakieś bóle. Chyba nic złego się z tego nie wyklucze?

Tak sobie myślę, że mam już za dużo różnych dolegliwości, żeby jeszcze leczyć się z guza mózgu.

Piątek, 3 maja

Dla republikanina to nie taki zły moment, żeby się rozchorować. Prawie nic do mnie nie dotarło z tego całego zamieszania wokół koronacji. W sam „wielki dzień” miałem przeraźliwy ból głowy, a do tego grypę żołądkową. Piłem więc wspaniałą mieszankę aspiryny z węglem i leżałem w łóżku. Evert zajrzał, podobnie jak Edward, Grietje i Eefje, ale udawałem, że śpię.

Drugiego dnia wydało mi się, że śmierzę, i wziąłem prysznic. I wtedy się poślizgnąłem. Z okropnym bólem i trudem dowlókłem się do łóżka. Przecież nie będę od razu wzywał pomocy. Uniemożliwiła to mieszanka dumy i wstydu.

Wreszcie przysłała pielęgniarza zaalarmowana przez moją sąsiadkę, która usłyszała jakiś dziwny huk. Siostra wezwała lekarza, a ten stwierdził silne stłuczenie żeber i powiedział, że i tak miałem szczęście. Jak sobie człowiek złamie biodro, mogą minąć i cztery miesiące, zanim znowu zacnie suwać

nogami z pomocą balkonika.

Teraz czuję ból, tylko kiedy oddycham. Na szczęście lekarz nie robi ceregieli ze środkami przeciwbólowymi, więc właśnie po raz pierwszy od trzech dni byłem na dole na kawie. Kilka osób szczerze się ucieszyło na mój widok. Bardzo dobrze mi to zrobiło.

Przez parę dni nie będę się jeszcze eksploatował. W poniedziałek muszę być w najwyższej formie, ponieważ wycieczkę organizuje teraz Evert. Ufundował butelkę koniaku dla tego, kto za pierwszym razem odgadnie, co będziemy robić. Nie wygrałem. Nie idziemy na gimnastykę artystyczną w basenie.

Sobota, 4 maja

Pani Stelwagen zaprosiła mnie wczoraj w południe do swojego biura. Przede wszystkim zapytała ze współczuciem, czy zesłała mi już opuchlizna z kolana.

– Hm... z moim kolanem wszystko w porządku, tylko stłuczone żebra wciąż bolą – odpowiedziałem.

Zacząła się tłumaczyć, że pomyliła dwa różne nieszczęścia dwóch różnych osób. Nasza dyrektorka doskonale udaje empatię, ale czasem brak jej dokładności.

Tak właściwie to zaprosiła mnie, by mi zakomunikować, że przeanalizowała z zarządem moją prośbę o możliwość wglądu w regulamin i zarząd uznał, że regulamin nie jest dokumentem jawnym, a zatem nie mogę go przeczytać.

– A dlaczego jest niejawnny?

– Na ten temat zarząd się nie wypowiedział.

– A więc?

– A więc nic. Bardzo mi przykro, że nie mogę panu pomóc. Pan wybaczy, ale czeka już następna osoba. Życzę miłego dnia.

Wyszedłem jak zmyty. A przynajmniej mam nadzieję, że tak to wyglądało. Mam zamiar poskarżyć się potem przynajmniej pro forma, jeśli nie udostępnią mi tych regulaminów.

x

Ria i Antoine Travemundi znają wiele osób, a wśród nich jest pewien sympatyczny emerytowany adwokat. Antoine poinformował mnie o tym poufnie przed moją wizytą u dyrektorki. Powiedział, że zadzwoni do tego znajomego i będę się mógł do niego wybrać, żeby dowiedzieć się, jak to naprawdę jest z jawnością dokumentów zarządu. O koszty mam się nie martwić.

Tak więc niedługo się z nim spotkam.

Niedziela, 5 maja

W zasadzie można by się spodziewać, że w okolicach czwartego i piątego maja ludzie będą sobie opowiadać różne szokujące historie na temat wybuchu wojny, a tymczasem wszyscy milczą albo wspominają, że cukier był wtedy na kartki.

To zadziwiające, jak mało ludzie tutaj wiedzą jeden o drugim. Uświadomiłem to sobie wczoraj w czasie minuty ciszy. Popatrzyłem wokoło i stwierdziłem, że nie mam bladego pojęcia, jak każda z zebranych w sali osób przeżyła wojnę. Dotyczy to także tych, z którymi utrzymuję stałe kontakty.

Całkiem sporo wiem o Evercie. W końcu znam go już dwadzieścia lat. Był z zawodu drukarzem i po raz pierwszy zetknąłem się z nim na gruncie zawodowym. Kontakt nigdy się już nie urwał. Evert miał żonę, która nie żyje już od dziesięciu lat. I ma dwójkę dzieci, z którymi rzadko się widuje. Nie ma pieniędzy, nie ma towaru. Od lat z dużym zaangażowaniem wciela się w rolę szlachetnego pirata. Typowy szorstki facet o złotym sercu.

Anję Appelboom znam już od lat czterdziestu. Jest starą panną. Być może za długo czekała na tego jedynego. Mądra, miła i godna zaufania. Myślę, że czuje się samotna.

Evert i Anja to ostatnie pozostałości tego, co było kiedyś moim społecznym życiem, z żoną, dziećmi i gronem przyjaciół.

Jeszcze trzy lata temu mieszkalem w zadbanym szeregowcu z małym ogródkiem. Pierwotny plan był taki, żeby w odpowiednim czasie spokojnie w nim umrzeć. Ale stało się inaczej.

Moja żona od czterdziestu lat cierpi na stany maniakalno-depresyjne. Zwariowała tuż po tym, jak utopiła się nasza córeczka. W środku nocy pojechała samochodem do Groningen, żeby zwiedzić wieżę kościoła Świętego Marcina, oddała samochód jakiemuś menelowi i wróciła taksówką do Amsterdamu. Przepuła grube tysiące guldenów. Któregoś razu została przyłapana na drobnej kradzieży w sklepie i psychiatra zaaplikował jej końską dawkę środków uspokajających. Potem długie miesiące w zakładzie, w głębokiej depresji. Wróciła do domu w chwiejnej równowadze podtrzymywanej lekami. Powtórzyło się to pięć razy. Za ostatnim razem nasz dom częściowo spłonął, kiedy byłem na zakupach. Wtedy została definitywnie zamknięta w zakładzie. Po pożarze dostałem miejsce w tym domu seniora.

Żonę odwiedzam mniej więcej raz na pół roku. Prawie mnie nie poznaje, ale bierze mnie za rękę i głaszcze. Nigdy nie miałem do niej żalu.

Zobaczyłem na kalendarzu, że od mojej ostatniej wizyty upłynęło już ponad sześć miesięcy.

Życie jest puste jak skorupka orzecha.

x

Przez ostatnie dwa lata pustka stawała się dla mnie powoli nie do zniesienia, a tu patrzcie państwo... nagle mam Eefje, Graemego, Grietje, Edwarda, Antoine'a i Rię. I znowu jest powód, żeby jeszcze nie umierać.

Poniedziałek, 6 maja

Uświadomiłem sobie wczoraj, że czytelnik powinien mieć trochę więcej informacji na temat naszego domu, żeby łatwiej mu było wszystko zrozumieć. W końcu szansa, że ktoś trafi akurat do takiego albo podobnego, żeby tam dożyć swoich dni, wydaje się niewielka. Dlatego przez następne dni zwrócę baczniejszą uwagę na wystrój i przebieg dnia codziennego.

Masowy wysyp domów seniora nastąpił pod koniec lat sześćdziesiątych. Upiększona forma budynków magazynowych była do zaakceptowania i przede wszystkim korzystna w cenie. Staruszkowie z tamtych czasów nie byli jeszcze przyzwyczajeni do wielkich luksusów. Wszyscy mieli za sobą wojnę i łatwo ich było zadowolić.

Architekt naszego ośrodka zdecydował się na szary betonowy blok o siedmiu piętrach, po dwa skrzydła na każdym, a pośrodku windy. W każdym skrzydle jest długi korytarz bez dostępu dziennego światła, a po obu jego stronach po osiem jednostek mieszkalnych, jedno- lub dwupokojowych z aneksem kuchennym. W części kuchennej są cztery szafki, dwie u góry i dwie na dole, blat długości jednego metra

i dwupalnikowa kuchenka gazowa, której wolno używać wyłącznie do podgrzewania kawy, herbaty i mleka. Na gotowanie jajek personel łaskawie przymyka oko. Jest też kabina prysznicowa i WC. O tym, że budowniczowie myśleli o konkretnej grupie docelowej, mają świadczyć uchwyty w miejscach, gdzie można się przewrócić, oraz brak progów.

Każde takie mieszkanko ma balkon, na którym zmieści się co najwyżej kosz na śmieci, ewentualnie można tam powiesić doniczkę z geranium, żeby przy niej posiedzieć.

Na końcu każdego skrzydła jest coś w rodzaju wykusza z miejscem do siedzenia. Chociaż rzadko kto z tego korzysta – większość pensjonariuszy woli dużą świetlicę na dole – to jednak mieszkańcy mają za złe, jeśli „przypadkiem” zapędzi się tutaj ktoś z innych pięter.

Ciąg dalszy nastąpi. Powinienem oszczędzać siły.

x

O drugiej muszę się zameldować w wygodnym ubraniu na dole, gdzie będzie czekał nasz dzisiejszy przewodnik, Evert, żeby nas zabrać na niewątpliwie niezapomnianą wycieczkę.

Wtorek, 7 maja

Kto by pomyślał, że akurat Evert wybierze dla nas warsztaty z tai-chi? Coś, co tak kompletnie do niego nie pasuje? Na szczęście instruktor powiedział, że wolno się śmiać, i często korzystaliśmy z tego pozwolenia. Przy okazji jednak wykonywaliśmy jak najbardziej serio różne ćwiczenia zaczerpnięte z przeprowadzanych w zwolnionym tempie technik ataku, chociaż obawiam się, że w razie prawdziwego napadu niewielki byłby z tego pożytek. Tai-chi to sport, który można uprawiać nawet z balkonikiem, więc doskonale nadaje się dla osób w podeszłym wieku. Stłuczone żebra natomiast niezbyt pomagają. Ćwiczyłem bardzo ostrożnie i cierpiałem w milczeniu. Niestety, większość ładnych nazw poszczególnych ruchów, których próbowali nas nauczyć mistrz tai-chi i jego urocza asystentka, już zapomniałem.

Graeme, próbując naśladować pozycję bociana, przewrócił się przez nieuwagę i odjęto mu trochę punktów, ale jego dyplom nie był przez to zagrożony.

Potem poszliśmy coś zjeść do Chińczyka, żeby było w tym samym stylu. Grietje bez mrugnięcia okiem zamówiła „numel cztekdzieści czteły z białym lyżem”. Takie sobie, ale zabawne. Na szczęście Chińczycy lubią starszych ludzi. Szacunek dla starszych mają wpojony od swojej chińskiej kołyski. W kulturze zachodniej obowiązuje raczej zasada: stary to uciążliwy. Trzeba przyznać, że czasem się to zgadza.

Evert próbował nie promienieć, kiedy w drodze powrotnej został zasypany komplementami za wspaniały dzień. W dodatku coś mu przy okazji wpadło do oka.

– Tak, tak, znamy to.

Od czasu pierwszej wycieczki już szesnaście osób pytało, czy mogłoby się zapisać do naszego klubu. Niestety, na razie StaŻy nie przewidują przyjęć nowych członków.

Środa, 8 maja

Na tablicy ogłoszeń od dzisiaj widnieją zalecenia w sprawie dręczenia. Siedem wskazówek, jak

ukręcić łeb problemowi. To dosyć stare zalecenia, bo zobaczyłem datę sprzed dwóch lat. Zupełnie jakbyśmy byli w szkole podstawowej dla starszuchów.

Wskazówka 1: należy wyznaczyć męża zaufania. Wskazówka 2: należy meldować o przypadkach dręczenia. I tak dalej, i tak dalej. Im-po-nu-ją-ce! Z takimi wskazówkami sprawę dręczenia załatwi się natychmiast. A może coś takiego zrobić dla Syrii? Albo Afganistanu? Na całym świecie ludzie się dręczą. Takie wskazówki ogólnoświatowe! To jest to, czego nam potrzeba! Z mężami zaufania i meldowaniem.

To było słabiutkie, Groen.

x

Tak, to prawda, mamy tu obgadywanie, odrzucanie i wyśmiewanie, zupełnie jakby to były najzwyczajniejsze rzeczy pod słońcem. Bo najwyraźniej są. Nic, co dziecinne, nie jest nam obce. Niezwracanie na to uwagi to najlepsza rzecz. Albo, jak komuś przeszkadza, powiedzieć, co się o tym myśli, ewentualnie się przesiąść. Albo walnąć, jak zaproponował Edward. Tego się po nim nie spodziewałem.

Przyznam, że mnie to łatwo mówić, bo rzadko kiedy bywam ofiarą. Mamy w naszym koszu naprawdę parę porządnie zgniłych jabłek, które trzeba mieć na oku. Zupełnie jak rasowe drapieżniki, wybierają sobie na łup najszabszą ofiarę i nie przestają, dopóki jej całkiem nie rozszarpią, jeśli się im na to pozwoli. Najzabawniej jest wtedy, kiedy z braku ofiar dręczyciele sami skaczą sobie do gardeł. Mamy tu parę interesujących wrogości. Panie Duits i Schoonderwalt mogłyby wypić z siebie nawzajem krew z powodu głupiej plamki od kawy na szydełkowanej serwetce, chociaż to sprawa sprzed trzech lat. Dopóki ich śmierć nie rozłączy.

Czwartek, 9 maja

Rzecz wielce uspokajająca: kto się tu raz znajdzie, ten już zostaje aż do ostatniej podróży na cmentarz lub do krematorium.

Gazety są pełne doniesień, że wydatki na opiekę nad ludźmi w podeszłym wieku rozsadzają budżet. Rozwiązania są dwa: albo podwyższy się granicę, od której przysługuje opieka państwa, albo sami zainteresowani będą musieli sporo dopłacić.

x

Ad 1: Mamy tu sporo pensjonariuszy, którzy przy tych nowych normach w ogóle nie mieliby prawa tu mieszkać, bo są jeszcze za sprawni. Poszła plotka, że takie osoby będą musiały znowu mieszkać samodzielnie, żeby zrobić miejsce dla cięższych przypadków. Spowodowało to z miejsca lawinowy wzrost zgłaszanych dolegliwości. Tak na wszelki wypadek.

Można odetchnąć: dyrekcja przekazała wszystkim pensjonariuszom pisemne zapewnienie, że nie muszą się obawiać utraty miejsca, żeby nie wiadomo jak dobrze nagle się poczuli. „W wyjątkowych wypadkach zastrzegamy sobie możliwość innych rozwiązań”.

Niby niewinne zdanko, a strach.

Ad 2: Z prowadzonych przyciszonymi głosami rozmów przy kawie wiem, że niektórzy pensjonariusze wycofali z banków wszystkie oszczędności i trzymają je w skarpecie. Albo w poduszce.

Wszelka pomoc dla nas powinna być gratis, pracowaliśmy na to przez całe życie – taka panuje ogólna opinia. Dwa euro za podstawienie busa Connexion to też rozbój w biały dzień.

Opowiadano też sobie szeptem o kilku smutnych przypadkach, jak to dzieci na wszelki wypadek, bez pytania, oczyściły konta rodziców. Żeby nie stracić spadku.

– Każdy dzień twojego życia to wyrzucane garściami pieniądze – powiedział żartem syn pani Schipper. Jego żona, która w ogóle nie ma poczucia humoru, tylko siedziała, potakując. Miłego wniebowzięcia.

Piątek, 10 maja

Jest projekt „Na spacer z babcią”. W jego ramach dzieci wychodzą na spacer z nieznaną starszą osobą, która inaczej przez cały dzień siedziałaby sama w domu. Wydaje mi się, że dotyczy to także dziadków. Ośmioosobowe grupy chłopców i dziewczynek z kilkoma seniorami idą sobie na przykład do odnowionego muzeum Madurodam, gdzie na świeżym powietrzu można obejrzyć makiety najslawniejszych budynków świata. Nawet gdybym miał przez to wyjść na gburowatego starego pierdziela, to uprzedzam: zostawcie mnie w spokoju. Po pierwsze, Madurodam już mnie specjalnie nie bawi, a po drugie, wielogodzinne towarzystwo kompletnie mi nieznanymi jedenasto- i dwunastolatków też nie za bardzo mi odpowiada.

Nie bądź taki negatywnie do wszystkiego nastawiony, Groen, to bardzo dobra inicjatywa. Zwłaszcza że wiele dzisiejszych dzieci uważa, że nie trzeba się zajmować starszymi, ponieważ wszystko załatwia opieka społeczna. Oczywiście wielu dorosłych jest tego samego zdania.

Gazeta, która zwróciła uwagę na akcję „Na spacer z babcią”, przytoczyła zatrważające dane Centralnego Urzędu Statystycznego: otóż w Holandii jest około półtora miliona samotnych osób w podeszłym wieku, z których ponad trzysta tysięcy jest samotnych w sposób ekstremalny. To naprawdę dużo.

Ale niektórzy staruszkowie sami są sobie winni, to też trzeba jasno powiedzieć. W samym tylko naszym ośrodku mieszkają dziesiątki osób, których trzeba unikać jak ognia, ponieważ są nieprzyjemnymi, nudnymi i ograniczonymi malkontentami. Przepraszam za szczerość, ale tak to właśnie wygląda.

Często słyszy się: „Tutaj przynajmniej masz do kogo usta otworzyć”. To rzeczywiście duży plus w porównaniu z samodzielnym mieszkaniem. Bo wtedy człowiek ma co najwyżej kanarka albo kota, żeby z nim omówić kwestie pogody.

Kto więc miałby się czuć samotnie w takim ośrodku?

Sobota, 11 maja

Zastanawiałem się, czy skoro uroczym amerykańskim dzieciom na piąte urodziny dostają pierwszą broń, *my first rifle*, na ostrą amunicję, to w amerykańskich domach seniora staruszkowie chodzą z załadowanymi *my last rifle*. Przy zaawansowanej parkinsonie mogłoby to nie raz i nie dwa doprowadzić do nieszczęścia. Nigdy wprawdzie nie słyszałem o jakiejś masakrze w takiej instytucji, ale

nie wyobrażam sobie, żeby tu i ówdzie jakiś zgrzybiały kłótliwiec nie został postrzelony przez współmieszkańca w obronie prywatnej własności, na przykład kawałka ciasta.

Plusem takiej wszechobecności broni jest to, że człowiek nie musi się przejmować trudnościami w dostępie do odpowiednich pigułek do odebrania sobie życia. Wystarczy, że może ruszać choćby jednym palcem, a rozwiązanie leży w futerale.

x

Także w tym roku nie możemy się nagadać o wiosnie, która przewraca przyrodę do góry nogami. „Widać, jak wszystko się zieleni”, słyhać co najmniej trzy razy dziennie. Tylko Evert mówi: „Słyhać, jak wszystko się zieleni”. Czasami ktoś zaczyna mocno nasłuchiwać. I czasem rzeczywiście to słyszy.

Dwa razy dziennie wychodzę do parku. Raz z Eefje, raz z Graemem, Edwardem czy Evertem. Osiem minut tam, kwadransik na ławce, osiem minut z powrotem. Nie ma żadnego pośpiechu, a wiosna nigdy mnie nie nudzi. Czasem drepczę w ulewnym deszczu.

– Co ten stary pierdziel wyprawia? – słyshę nieraz stojących w bramie za rogiem wyrostków, którym zdarza się za głośno myśleć. Wykonuję wtedy gest szacunku w ich stronę, czyli przykładam zaciśniętą dłoń do serca. Dla mnie to zabawne, oni pewnie nie mają pojęcia, o co chodzi.

Niedziela, 12 maja

Chociaż oddział pełnej opieki jest oddzielony od naszego ośrodka, to czasem widuje się pacjentów z demencją na naszych korytarzach w towarzystwie pielęgniarki lub pielęgniarza. Niektórzy pensjonariusze chowają się wtedy w pokojach, bo im się wydaje, że demencja jest zaraźliwa. Albo może i nie, ale nigdy nic nie wiadomo. W każdym razie powszechne nastawienie jest takie, że nie zaszkodzi na wszelki wypadek zejść z drogi. I dotyczy to nie tylko demencji. Pacjenci z rakiem, homoseksualiści, muzułmanie – unika się wszystkich. Im kto starszy, tym bardziej strachliwy. A przecież bardziej naturalne w naszym wieku byłoby niczego się nie bać, skoro człowiek i tak nie ma nic do stracenia.

Przyjemność można przecież czerpać z drobnych rzeczy. Chociaż czasem małe jest trudne. Wieczny problem – opakowania. Puszki z zawleczką, do której nie dajesz rady włożyć palca, plastikowe opakowania próżniowe ze zbyt małym rozkiem, żeby go pociągnąć, zakrętki zabezpieczające przed otwarciem przez dzieci na pojemnikach środków chemicznych, odporne zakrętki słoików z dżemem, korki od prosecco, blistery – wszystko specjalnie zaprojektowane, żeby stare trzęsące się i słabe ręce miały jak najtrudniej.

Dzisiaj rano wypadł mi z ręki słoik, kiedy daremnie próbowałem odkręcić zakrętkę. Cały pokój śmierdział ogórkami. Wszędzie kawałki potłuczonego szkła, ostatni znalazłem w kapciu.

Ktoś powinien zaskarżyć przemysł opakowaniowy za tysiące wypadków i szkód fizycznych. Nie ma innego wyjścia, inaczej dalej będą robić to samo. Skoro potrafiliśmy wysłać człowieka na Księżyc, to chyba potrafimy wymyślić jakąś przyzwoitą nakrętkę? Przyznaję – trochę dzisiaj marudzę.

Poniedziałek, 13 maja

Dziś rano Evert trafił nagle do szpitala. Zadzwoił do mnie już stamtąd z pytaniem, czy nie mógłbym

wyprowadzić Mo. Parę dni temu szerniały mu dwa palce. Kiedy dziś rano poszedł do naszego ośrodkowego lekarza, ten natychmiast wezwał karetkę.

Stało się to, czego się tak obawiał – podążyła tą samą drogą co jego dawny przyjaciel, któremu amputowano wszystko, kawałek, po kawałku.

Zadzwoił z łóżka.

– Czemu nic nie powiedziałaś? – nie mogłem się powstrzymać od pytania.

– Bo wtedy musiałbym wysłuchiwać różnych rad, do których i tak bym się nie zastosował.

Też racja.

Operacja jutro i jeśli wszystko pójdzie dobrze, to obudzi się, mając po prostu parę palców u nogi mniej.

Po zakończeniu rozmowy pojechałem taksówką do szpitala, żeby zawieźć mu kilka rzeczy: gatki, piżamę, szczoteczkę do zębów.

To on mnie pocieszał, zamiast ja jego. Dopiero potem to sobie uświadomiłem i zrobiło mi się wstyd.

Evert bierze rzeczy takimi, jakimi są. Rozważył wszystkie za i przeciw i zdecydował się żyć pełnią życia, jak długo się da, zupełnie jakby nie miał cukrzycy. Z wielką przyjemnością i dużą dozą bufonady. No i wylądował w szpitalu.

Po powrocie zawiadomiłem o wszystkim członków naszego klubu i personel. Reakcje pracowników ośrodka były uderzająco życzliwe. Najwyraźniej większość go jednak lubi, chociaż pewnie znalazłby się i taki, który życzyłby mu więcej amputacji, łącznie z głową.

Dwójka pensjonariuszy nie mogła się powstrzymać, żeby niemal triumfalnie obwieścić, że nieraz go już ostrzegali.

Co za parszywy dzień!

Wtorek, 14 maja

Właśnie jestem po rozmowie z Evertem. Godzinę temu wybudził się z narkozy. Dziś rano miał operację, amputowano mu trzy palce u prawej stopy, w tym duży. Będzie miał kłopoty z chodzeniem, przynajmniej na początku. Lekarze przewidują sześć tygodni rehabilitacji. Był wyraźnie przygaszony.

Powiedział, żebym ustalił grafik odwiedzin dla zainteresowanych.

Zaraz pójde poinformować członków naszego klubu i kilka osób z personelu.

Środa, 15 maja

Rano byłem z wizytą u Everta. Wrócił mu dawny humor. Zapytał pielęgniarkę, czy mógłby dostać obcięte palce, bo chciałby je trzymać w specjalnym pojemniku na serwantce. Spojrzała na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Wydaje mi się, że pańskie palce zostały już dawno zutylizowane – odpowiedziała w końcu, nieco zbita z tropu.

Na to Evert:

– Zaraz, przecież one nadal są moją własnością! W tej sytuacji chyba wystąpię do sądu o odszkodowanie... Nie, nie, to tylko żart!

Leży na sali z jeszcze dwoma starszymi panami. Jeden cały czas rzezi i kaszle, a między jednym

a drugim narzeka na wszystko i wszystkich. Drugi z kolei leży jak martwy i umiera. Tak przynajmniej przypuszcza Evert, który też nie wygląda specjalnie kwitnąco. Zmęczony i blady, ale wciąż puszczający oko do pielęgniarek.

– Jeszcze dziesięć dni i będę pomykał za chodzikiem jak łania – zapewnił mnie.

Musiałem przyrzec uroczyście, że nie będziemy na niego czekać z wycieczkami. Tylko żebyśmy najpierw zorganizowali wypad do zakurzonych muzeów, a takie naprawdę zabawne pomysły zachowali na potem. Obiecałem, że postawię to na porządku dziennym następnego zebrania.

Czy operacja się udała, Evert nie był w stanie powiedzieć. Chirurg miał wpaść wczoraj wieczorem, ale wizyta została nagle odwołana. Zastępcy nie było, a pielęgniarki nic nie wiedziały. Albo udawały, że nie wiedzą. Podobno lekarz może wpaść dzisiaj.

W szpitalach pacjentami nikt się specjalnie nie zajmuje. W końcu liczą się lekarze.

x

Przynajmniej jedna trauma mniej: nasza reprezentantka Anouk dotarła do finału Eurowizji. Wprawdzie wszyscy woleli, żeby reprezentował nas kto inny, ale najważniejszy jest honor kraju. Ogólna opinia w naszym ośrodku jest taka, że staliśmy się festiwalowym karłem z winy tych wszystkich skorumpowanych krajów byłego bloku wschodniego, i dlatego trzeba jak najszybciej opuścić z powrotem żelazną kurtynę.

– I trzeba pamiętać, żeby odesłać za nią wszystkich tych ulicznych akordeonistów z Rumunii – dorzucił jak zawsze subtelny pan Bakker.

Czwartek, 16 maja

– Jeden dzień pobytu tutaj kosztuje pięćset euro i za te pieniądze muszę już o siódmej rano wcinać sucharki, dostaję trzy lurowate kawy, jedzenie jest letnie, a chleb czerstwy. Cena jak w pięciogwiazdkowym hotelu, a warunki jak w zerogwiazdkowym. No, okay, dwa razy dziennie przychodzi pielęgniarka mierzyć temperaturę.

Evert Duiker znowu gada jak najęty, zjadając przy okazji całą puszkę bezcukrowych cukierków rumowych. Nie chciał kupować alkoholu w szpitalu, a w ten sposób miał nadzieję napić się chociaż trochę. Specjalnie do mnie zadzwonił z tym zamówieniem. Mogły też być z likierem wiśniowym.

– No i jeszcze butelkę wody mineralnej. Firmy Bols, rozumiesz, co mam na myśli.

Po upływie półtora dnia pojawił się chirurg i powiedział, że operacja się powiodła.

– Jak to się powiodła? – zdziwił się Evert.

– Udało się skutecznie amputować zainfekowane palce.

– No to, jak dla mnie, niespecjalnie się powiodła.

– Innych opcji nie było – odrzekł niewzruszenie lekarz i już szykował się do wyjścia.

– I co dalej?

– Jeśli nie będzie komplikacji, za cztery dni może pan wyjść do domu. Tylko trzeba się jeszcze umówić na wizytę kontrolną i do fizjoterapeuty. Żegnam.

I już go nie było. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zajrzeć pod opatrunek.

Mój dziennik na chwilę zmienił się w dziennik Everta.

Piątek, 17 maja

Wczoraj wieczorem odbyło się zaległe zebranie klubu StaŻy. Główny punkt porządku obrad: stan zdrowia Everta. Postanowiliśmy przygotować dla niego jakieś miłe powitanie, przypuszczalnie na poniedziałek lub wtorek. Edward obiecał, że następna wycieczka będzie dostosowana do tych, co poruszają się na wózkach inwalidzkich. To ostatnia wycieczka z pierwszej serii. Entuzjazm nie osłabł i będziemy organizować następną serię w tej samej kolejności. Za to właśnie oraz za zdrowie Everta trochę za dużo wypiliśmy po zakończeniu zebrania.

Wchodząc do pokoju, potknąłem się o wycieraczkę i wylądowałem jak długi na podłodze. Nie mogę narzekać na brak szczęścia. Od tego białego wina byłem do tego stopnia gibki, że zupełnie nic sobie nie zrobiłem. No, tyle że następnego dnia zauważyłem potężnego guza na głowie. Wyrzuciłem wycieraczkę i muszę sobie zrobić wolny dzień, żeby dojść do siebie.

W naszym ośrodku jest sporo upadków. Takich jak mój albo wskutek potknięcia o dywan, albo takich zupełnie bez przyczyny. Albo jak ktoś usiądzie obok krzesła. Pani Been dla odmiany, chcąc się podnieść z krzesła, oparła się o stolik na kółkach, który nie miał włączonego hamulca. Stolik wywrócił się z piekielnym hałasem, a pani Been leżała wśród ciasteczek, kostek cukru i pojemniczków ze śmietanką. Na szczęście termosy były porządnie zakręcone. Zapadła cisza i w tym momencie leżąca na podłodze pani Been wybuchła głośnym śmiechem. Z uprzejmości wszyscy zaczęli się śmiać, tylko że wtedy jej śmiech przeszedł w płacz, więc jednak ktoś wezwał pielęgniarkę. Nie było mnie przy tym, ale widok musiał być mocno surrealistyczny.

Sobota, 18 maja

W związku z czasowym zatrudnieniem na etacie wyprowadzaczka psów muszę codziennie zrobić trzy rundki. Na szczęście Mo chodzi jeszcze wolniej ode mnie. Trudno tu nawet mówić o chodzeniu, to bardziej wleczenie się przed siebie w zwolnionym tempie. Nie ma wielkich szans, żeby Mo się zgubił w czasie spaceru wokół domu, więc spokojnie mógłbym go puścić, ale jemu bardziej chodzi o towarzystwo. Gdyby nie był taki stary i leniwy, to w momencie, kiedy wchodzę do domu Everta, na pewno skakałby i skowyczał z radości. A on gramoli się powoli ze swojego koszyka z warczeniem wydobywającym się z głębi brzucha, liże mnie parę razy na powitanie i staje przy drzwiach.

Na dworze Evert czasami woła go na cały głos, używając pełnego imienia. Nie dlatego, żeby to było konieczne, bo Mo nigdy nie oddala się na więcej niż dziesięć metrów. Evert robi to tylko wtedy, kiedy widzi w pobliżu Marokańczyków albo ludzi, którzy mu ich przypominają.

– Mohamed, do nogi! – mówi Evert i w duchu ma nadzieję, że któryś z Marokańczyków też ma na imię Mohamed. Taka szansa jest całkiem spora. Kiedy już powstanie odpowiednio duże zamieszanie, Evert robi usprawiedliwiający gest, wskazując na psa, pozdrawia wszystkich i idzie dalej.

Trochę się wstydzę, kiedy muszę zbierać kupy Mohameda łopatką i wkładać je do plastikowej torebki. Nie podnoszę wzroku, bo wiem, że wielu ludzi podgląda zza firanek. Czytałem nawet czyjąś propozycję, żeby pozostawione nielegalnie psie kupy badać pod kątem DNA, żeby było wiadomo, który to pies, i żeby można było wlepić mandat jego panu. Nie było tam napisane, czy psy będą musiały dobrowolnie dostarczać próbki śliny.

Niedziela, 19 maja

Dzisiaj rano odbyłem jazdę próbną na skuterze elektrycznym pana Dickhouta, tego od żartu primaaprilisowego. Proponował mi to już parę razy, ale przez grzeczność i z braku pewności siebie zawsze odmawiałem. Teraz miałem właśnie wyjść na spacer, kiedy pan Dickhout wjechał do holu.

– To co, spróbujesz, Henk?

Zgodnie z przepisami, skuter elektrycznego nie można wypożyczyć i żeby móc nim samodzielnie jeździć, trzeba najpierw odbyć na nim oficjalnie trzy lekcje jazdy, ale pan Dickhout gwizdże na przepisy i nigdy nie robi z niczym trudności. W ciągu pięciu minut wyjaśnił mi co trzeba, życzył mi dobrej jazdy i poszedł na kawę.

Głęboki wdech, a potem baaaaaaardzo ostrożnie wyjechałem na ścieżkę. Wreszcie mogłem sobie pojeździć prawie pół godzinki po ścieżkach rowerowych i po parkach w okolicy. Pierwszy dzień Zielonych Świątek, wczesnie rano, więc nigdzie żywej duszy. Na początek tylko „ślimak”, co ledwie pozwala prześcignąć pieszego, ale po paru minutach, klik, i przełączyłem na „zając”. Producent wyszedł z założenia, że staruszkowie są już nieco debilni i dlatego łatwiej im będzie pojąć oznaczenia „ślimak” i „zając” niż na przykład „bieg 1” i „bieg 2”. Hm... może i ma rację.

Trzeba powiedzieć szczerze, taka jazda robi wrażenie. Pojazd jest niemal bezgłośny, człowiek siedzi jak król, nie męczy się i nie bołą go nogi. Chyba się przekonałem. Tyle że trochę złapał mnie kurcz w prawą rękę, bo cały czas trzeba trzymać wciśniętą dźwignię gazu. A więc producenci – czas na tempomat.

Trochę zbyt nonszalancko wjechałem do holu, więc omal nie potrafiłem portiera, który właśnie wychodził z windy z wózkiem pełnym bielizny pościelowej. Nic poważnego, ale widać, że promień skrętu jest większy, niż mi się wydawało. Na szczęście nasz portier nie jest najmądrzejszy.

Skuter elektryczny Capri pro 3 można mieć już za trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć euro. Ale ja szukam czegoś mocniejszego. Muszę sam zapłacić, bo jeszcze za dobrze chodzę.

Poniedziałek, 20 maja

Cierpiący na demencję pensjonariusz włożył sobie wczoraj do ust kulę bilardową i nie było sposobu, żeby ją wyciągnąć. Wydawał z siebie cienkie piski, kiedy dwóch opiekunów próbowało wydobyć bilę łyżką. Po kwadransie bezowocnych prób zaprowadzono go do gabinetu pierwszej pomocy. Nie była to pewnie pełnowymiarowa bila, ale kiedy ją sobie przyłożyłem do ust, i tak wydała mi się za duża, żeby można ją było włożyć. Trochę się zdziwiłem.

Pan Kloek był zły, bo musiał grać dalej tylko dwiema bilami.

Dzisiaj wraca Evert. Poprosił, żebym wstawił mu do lodówki ładną flaszkę starego jenevera. Dla siebie też miałem coś wyszukać. Wszyscy członkowie klubu sformowali komitet powitalny, uzupełniony o Rię i Antoine’a, którzy przygotowali uroczystą herbatkę. Ria spytała dyrektorę, czy w drodze wyjątku może ugotować parę przekąsek w pokoju. Niestety, pani Stelwagen było „straszenie” przykro, ale zarząd uznał, że nie będzie się robić żadnych wyjątków.

– Od tej pory nie będziemy już o nic pytać – powiedział zagniewany Antoine godzinę później. Nastawił wyciąg kuchenny na maksimum i zaczął przygotowywać ragoût cielęce.

Na stole stoją kwiaty, a Mo dostanie odświętną kokardę.

Wtorek, 21 maja

Wczoraj o godzinie 14.00 Evert został dostarczony na wózku inwalidzkim pod drzwi swojego mieszkania na terenie ośrodka. Jeden z pracowników wwiózł go do środka, gdzie czekał już komitet powitalny: Eefje, Grietje, Graeme, Antoine, Ria, Edward i ja w imprezowej czapeczce przy odświeżeniu nakrytym stole. Evert nagle odczuł gwałtowną potrzebę wydmuchania nosa.

– Przeziębilesz się w szpitalu? – spytała Eefje przewrotnie.

– Przede wszystkim okropnie jestem spragniony od czasu, jak tam trafiłem – odparł, nie chcąc się przyznać, że jest wzruszony, ale głos lekko mu drżał.

– To co, najpierw szklaneczkę mleczka? – spytał Edward.

– Raczej zrób mi jakiegoś drinka, jeśli to dla ciebie nie problem.

– Przyniosłem pyszne paszteciki – powiedział Antoine i odsłonił szeroki asortyment pikantnych i słonych przekąsek. Do tego była herbata i szampan.

Zrobiło się bardzo miło. Evert kategorycznie zakazał nam wspomniania o chorobach i o szpitalu.

O godzinie 16.00 pacjent zasnął przy stole. Chwilę później leżał już na swoim łóżku z uśmiechem zadowolenia na twarzy, co było bardzo miłym widokiem. Wypiliśmy po ostatnim kieliszeczku i sprzątnęliśmy cały bałagan. Teraz trzeba się tylko modlić, żeby u Everta skończyło się na trzech palcach u nogi. Takie przyjęcie powitalne jest miłe tylko raz.

x

Wycieczka Edwarda ma się odbyć dwudziestego ósmego maja. Przy odrobinie szczęścia Evert może się czuć wystarczająco dobrze, żeby wziąć w niej udział. Mam problem z Antoine’em i Rią. Chociaż nie mówią ani słowa, czuję, że chętnie przyłączyliby się do naszych wycieczek. Spróbuję trochę za nimi polobbować.

Środa, 22 maja

Czasem człowiekowi nic nie przychodzi do głowy, jak tu sobie poprawić nastrój. Rozmowy toczą się dzisiaj na zmianę o dwóch zamordowanych chłopcach, których znaleziono w kanale ściekowym, o reumatyzmie, przepuklinie i uszkodzonych stawach biodrowych, a także o maksymalnej temperaturze na dworze, wynoszącej jedenaście stopni. Koniec maja, a kaloryfery wszędzie chodzą pełną parą, termostaty ustawione na dwadzieścia trzy stopnie. Stare kości zimno złości. No i wciąż trzeba się ciepło ubierać! Wszyscy wzdychają, sapią i narzekają. A tu jak na złość wzrosty ostatnio tylko na giełdzie.

Przeczytałem gdzieś, że zainicjowano ogólnokrajową kampanię przeciwko narzekaniu. Inicjatorów jak najserdeczniej zapraszam, żeby do nas zajrzeli. Można zacząć od rzeczy prostych: dzień bez mówienia o chorobach. Za każdym razem, jak ktoś zacznie dzień od opowiadania o dolegliwościach, wrzuca do wspólnej puszki dziesiątaka. Z ubieranych pieniędzy urządzi się potem imprezę z szampanem.

Antoine dał mi numer tego swojego przyjaciela, emerytowanego adwokata. Dzisiaj do niego zadzwonię, żeby spytać, jak można się dobrać do tych naszych statutów i regulaminów.

– Będzie zabawnie – powiedział Antoine.

Poproszę Eefje, żeby była przy rozmowie.

Czwartek, 23 maja

Pan Bakker dostał ostrzeżenie od oddziałowej, pani Gerstadt: musi powściągnąć język. Bakker powoli przestaje wiedzieć, co robi. Alzheimer. Może już niedługo zostanie przeniesiony „na drugą stronę”? Nie będzie to wielka strata. Nigdy nie był zabawnym gościem, a teraz robi się wręcz chamski. Przeklina i wrzeszczy bez specjalnego powodu. Gdy pani Gerstadt go zagadnęła, dlaczego bez przerwy mówi o jakichś „syfiastych ciasteczkach”, wściekły patrzył pod nogi. Ale kiedy tylko oddaliła się na tyle, że nie mogła usłyszeć, zwrócił się do wszystkich siedzących przy stole:

– Co za głupia cholera! Łazi, jakby miała ogórek w dupie.

Szczerze powiedziawszy, bardzo mi się chciało z tego śmiać, ale pięć osób przy stole zaniemówiło i było prawie w szoku. Zasłoniłem usta chusteczką, że niby mam czkawkę, ale i tak patrzyli na mnie ze złością. Jestem pewien, że ktoś zaraz po kawie powtórzy pani Gerstadt ten tekst, może z jakimiś drobnymi cięciami cenzury.

Kiedy opowiedziałem to Evertowi, tak się śmiał, że o mało nie spadł z wózka inwalidzkiego. Może i u mnie zaczyna się alzheimer, bo coraz bardziej podobają mi się świńskie żarty. Jestem coraz mniej grzeczny.

Wczoraj w południe rozmawiałem przez telefon z tym adwokatem, którego polecił nam Antoine. Spytałem, jak się dobrać do regulaminów i statutów naszego ośrodka. Pan adwokat („Proszę mi mówić Victor”) od razu się zapalił do sprawy i powiedział, że z powołaniem się na „prawo o przejrzystości organów władzy” powinna to być bułka z masłem. Zaprosił nas, żebyśmy kiedyś wpadli na dłuższą rozmowę. Telefon był nastawiony na tryb głośnomówiący. Eefje skinęła głową, że tak.

Umówiliśmy się na czwartek, trzydziestego maja, w barze Tolhuis. Miły staroświecki lokalik z serwetkami na stołach i bułką z mielonym.

Zważywszy na okoliczności, Evert ma się całkiem dobrze.

Piątek, 24 maja

– Na byle wróbla wytaczają od razu armaty – powiedziała pani Pot po wiadomościach na temat ostatnich ataków gazowych w Syrii.

– Ta arabska wiosna jest trochę jak nasza: wygląda bardziej na jesień – dorzuciła swoje trzy grosze jej sąsiadka, maczając herbatnika w kawie.

Subtelny pan Bakker oświadczył, że dopóki Arabowie wyrzynają się między sobą, jego to nie rusza.

Analiza wiadomości przy stolikach nie jest specjalnie błyskotliwa, a rozumienie spraw tego świata nie zawsze ma dużo wspólnego z rzeczywistością. Oczywiście to samo dotyczy drobnych spraw naszego domu seniora. Przez cały ośrodek przetoczyła się fala oburzenia, bo mały sklepik na dole przez cały dzień był zamknięty z powodu pogrzebu w rodzinie. To skandal, żeby przez cały dzień nie można było kupić ciasteczek serowych i lakieru do włosów. Czy my jesteśmy w Europie Wschodniej? Pół dnia na pogrzeb w zupełności wystarczy!

Ten sklepik, który ma asortyment spokojnie mieszczący się w trzech kartonach do przeprowadzki, bez przerwy odsądzają od czci i wiary, bo odświeżacz do WC kosztuje u nich parę centów więcej niż w Rossmannie.

Wczoraj wieczorem byłem na winku u Eefje. Zastanawialiśmy się wspólnie, czy w nawiązaniu do zaleceń w sprawie dręczenia nie byłoby warto zająć się na serio opracowaniem zaleceń, jak uprzyjemnić pobyt w domach seniora. Mamy wątpliwości. Czy nie szkoda wysiłku? Czy to w ogóle dotrze do kogokolwiek ze współpensjonariuszy? Może lepiej wykorzystać naszą ograniczoną energię na uprzyjemnienie sobie własnych ostatnich lat? Albo dni, bo nigdy nie wiadomo. Skłaniamy się raczej ku temu drugiemu, ale decydujemy w końcu, że jeszcze raz to przemyślimy. W każdym razie będzie dzięki

temu okazja, żeby niedługo znowu się spotkać i porozmawiać.

Sobota, 25 maja

Trumna się zaklinowała, przez co drzwi krematorium nie chciały się zamknąć. Trumna się zapaliła i dym wypełnił salę. Kto jeszcze nie miał łez w oczach, teraz to nadrobił. Trzeba było opróżnić salę. To się nazywa spektakularne odejście! Takie coś rzeczywiście się wydarzyło parę lat temu.

Wymyśliłem, żeby w mojej trumnie ukryć mały odtwarzacz CD ze zdalnym sterowaniem, żeby nagle rozległ się mój głos:

„Hej, hej, wy tam! (stuk, stuk) To jakaś pomyłka. Wypuście mnie stąd! Jeszcze żyję... Eee, tylko żartowałem, jestem zimny trup”.

Szkoda tylko, że już nie będę mógł zobaczyć reakcji zebranych.

Muszę oczywiście całkiem serio zająć się sprawą moich ostatnich życzeń. Nie będzie tego dużo, ale paru rzeczy zdecydowanie nie chcę. Jeszcze nic nie zapisałem. To jest zadanie, które człowiek zawsze stara się jakoś odwlec.

x

Już niedługo biedni amsterdamscy staruszkowie będą mogli jeździć za darmo tramwajami i autobusami. Biedni jesteśmy niewątpliwie, ale, niestety, nikt już prawie nie ma odwagi wsiąść do autobusu czy tramwaju.

– Tramwaje są pełne kieszonkowców i złodziei!

Jeśli idzie o kieszonkowców, to wystarczy trzymać portfel przy sobie, ale na nieuprzejmych i gwałtownie hamujących kierowców nie ma lekarstwa. Z bólem serca muszę przyznać rację współmieszkańcom tego ośrodka: komunikacja miejska i osiemdziesięciolatekowie mało do siebie pasują. Panuje za duży tłok, wszystko dzieje się za szybko i wymaga fizycznej sprawności, której już brakuje. Człowiek w podeszłym wieku tylko wszystko opóźnia, a to sprawia, że staje się bojaźliwy i bezbronny. Zauważyłem, że zaczynam się czuć niepewnie, i wcale mi się to nie podoba. Tak więc, dziękujemy bardzo miastu, ale chyba wolimy jeździć naszymi busami.

Niedziela, 26 maja

Na porządku dziennym przesuniętego zebrania rady mieszkańców znajduje się tylko jeden punkt: poruszanie się na skuterach elektrycznych. Bezpośrednim pretekstem było czołowe zderzenie dwóch takich pojazdów, które skręcały jednocześnie z dwóch przeciwnych kierunków korytarza. Poważna stłuczka i jedna osoba lekko ranna. Oczywiście winny był ten drugi.

Rada mieszkańców wniosowała u dyrekcji o rozmieszczenie znaków drogowych i zamontowanie luster.

W zeszłym tygodniu, jak głosi plotka, ktoś z pensjonariuszy trafił po wypadku do szpitala. Pani Schaap wcale nie upadła – jak oficjalnie podają – tylko została potrącona przez skuter elektryczny. Prowadzący pojazd, który teraz chce zachować anonimowość, trochę za szybko wracał z zakupami. Co się zdarzyło naprawdę, wie tylko dyrektorka. Ewentualni świadkowie dostali zakaz mówienia o sprawie

– oczywiście „dla dobra mieszkańców”.

Dwa skutery elektryczne ledwie mijają się na korytarzu. W dodatku trzeba się liczyć z tym, że wielu pensjonariuszy chodzi bardzo niepewnie i jest głuchych jak pień, albo ma parkinsona, a czasem nawet wszystko naraz. A jeszcze kiedy jest jakiś kiermasz... Aż dziw, że nie ma więcej ofiar, zwłaszcza jeśli się uwzględni opóźniony czas reakcji.

Gdyby ci jeżdżący na skuterach potrafili zachować jaki taki spokój, to przy prędkości pięciu kilometrów na godzinę nie powinno się nic stać, ale panika, jaka ich ogarnia przy pojawieniu się najmniejszej przeszkody, powoduje całkowitą nieprzewidywalność reakcji wszystkich uczestników ruchu.

Życzę wielkiemu sternikowi tej placówki dużo roztropności przy ustalaniu zasad poruszania się po ośrodku.

Poniedziałek, 27 maja

Dostałem dzisiaj pocztę reklamową z hasłem *Libid Cristal Shots sprawi, że twój penis będzie jak stal, a wytrysk godny wulkanu*. Aż się do siebie uśmiechnąłem. Czyżby dowcip Everta?

Miałem kiedyś wujka, który w każde urodziny przechwalał się, że jest w stanie swoim taranem rozwalić każde drzwi. A skoro już jesteśmy przy takich tematach, to miałem drugiego wujka, który zawsze śpiewał taką piosenkę z niezapomnianym refrenem: *A ciotka Maryjka ma takiego ryjka, że się tam zmieści konia łeb i szyjka*. Chyba jest jeszcze w radiu ten program, w którym zgłaszają się ludzie szukający dawno zapomnianych piosenek. W tym celu śpiewają na antenie słowa, które udało im się zapamiętać. Może ja też powinienem...

Muszę się trochę pospieszyć, bo nasza klubowa wycieczka została niespodziewanie przełożona z wczoraj na dziś. Jest to związane z prognozą pogody, ponieważ dzisiaj zapowiada się pierwszy piękny wiosenny dzień od tygodni.

Edward osobiście odwiedził wczoraj każde z nas, żeby się dowiedzieć, czy wszyscy mogą. Okazało się, że nie ma problemu. Nasze terminarze są puste na dziś, jutro i wszystkie pozostałe dni w roku. Mamy całe morze czasu. Dawniej człowiek miał zajętą każdą chwilę, a dzisiaj cieszy się jak dziecko, jeśli od czasu do czasu ma w planie wizytę u lekarza.

Za pół godziny muszę się zgłosić na dole w wygodnym wierzchnim ubraniu.

Wtorek, 28 maja

Nie musieliśmy nigdzie daleko jechać: po pięciu minutach powolnego człapania byliśmy u celu: na placyku do gry w *jeu de boules*, na który wychodzą południowe okna naszego ośrodka. Odbyły się tam pierwsze zamknięte mistrzostwa w *jeu de boules* w kategorii wiekowej 79 plus. Wszystko przygotowane do ostatniego szczegółu: dwanaście błyszczących kul, miarka, wielki puchar dla zwycięzców, sześć wygodnych ogrodowych krzeseł, stolik, obrus, termosy z kawą i herbatą, placek limburski, świeże bułeczki, krem przeciwsłoneczny, prawdziwe sztuczce, lodówka z zimnymi napojami, łosoś i węgorz do tostów i parasol. Wszystko pod palącym wiosennym słońcem.

Edward wynajął Stefa, wnuka Grietje, żeby razem z nim wszystko pozałatwiać, i z samego rana załadowali cały kram do busika chłopaka i po dwóch minutach jazdy wyładowali w parku i starannie porozstawiali.

O godzinie dwunastej doczłapaliśmy zdumieni na miejsce, z przodu Evert na wózku. Na początek była kawa z ciastem, potem losowanie, a potem turniej. Trzy zespoły po dwóch graczy. Stef był sędzią.

W połowie rozgrywek był lunch, a po zakończeniu, przy rozdaniu nagród – szampan. Zwycięzcami zostali Graeme i Grietje. Znakomite drugie miejsce przypadło Eefje i Evertowi, który zawołał, że bez palców u nóg wyraźnie lepiej mu się rzuca, a brąz trafił do Edwarda i do mnie. Graeme został ogłoszony Arjenem Robbenem turnieju *jeu de boules*, bo po zwycięstwie trochę się popłakał, tak jak tamten.

Edward jako organizator zupełnie nie przewidział, że pod koniec turnieju będzie nam kibicowało pół ośrodka. Znakomita reklama naszego klubu. Tyle że nie potrzebujemy nowych członków.

Środa, 29 maja

Jakiś osiemdziesięciolatek zdobył Mount Everest. A ja mam problem, żeby wejść na jeden schodek. To niesprawiedliwe. Poprzedni najstarszy wspinacz, dzisiaj osiemdziesięcioletni Min Bahadur Sherchan, natychmiast ogłosił, że za tydzień odzyska rekord. Jest też kobieta bez nogi, która weszła na szczyt. Ale chyba wolno jej było mieć protezę i nie musiała kuśtykać na osiem tysięcy metrów?

Pierwszy człowiek bez rąk też już podobno tam był. Dzisiaj na Everest ciągnie osobliwa karawana zdobywców. Jeszcze tylko czekam, kiedy pierwsza nietrzymająca moczu zakwefiona muzułmanka bez głowy zatknie na Mount Evereście flagę Polinezji, i wtedy pójde ją.

Dzwoniłem do mojego ubezpieczyciela i mają sprawdzić, czy kwalifikuję się do przydzielenia skutera. Spotkanie mogą wyznaczyć na nie wcześniej niż za sześć tygodni. Tak myślę, że może zrobię sobie przyjemność i zwyczajnie kupię skuter w sklepie? Muszę sprawdzić w czasopiśmie dla konsumentów, czy są jakieś najnowsze testy skuterów.

Są trzy kategorie kupujących. Pierwsza i największa grupa wybiera drogę środka: nie najtańszy, ale też nie najdroższy produkt. Druga, o wiele mniej liczna, bierze zawsze to, co najdroższe, a ostatnia zawsze najtańszy wariant. W każdym razie pieniądze mam już odłożone. Oczywiście rzecz tania może się potem okazać bardzo droga, ale czasem ta droga okazuje się jeszcze droższa.

Przypadek czy nie przypadek, ale wczoraj w gazecie był artykuł o terenowym skuterze elektrycznym Action Trackchair na gąsienicach. Można na nim jechać przez lasy i pustynie, a nawet przez śnieżne zasy. Szkoda tylko, że kosztuje dziesięć tysięcy euro.

Czwartek, 30 maja

Z Evertem nie jest najlepiej. Rana nie chce się goić. Codziennie przychodzi do niego pielęgniarka i zakłada mu świeży opatrunek, ale niewiele to pomaga.

– Skarb nie dziewczyna! Nie mam nic przeciwko temu, żeby dłużej do mnie przychodziła.

Jak zawsze musi sobie pogadać. Ale kiedy dzisiaj rano przyszedłem wyprowadzić Mo (nadal jestem pełnoetatowym wyprowadzaczem), Evert nie usłyszał, jak wchodzę, za to ja usłyszałem, jak mówi do swojego psa:

– Twój pan może niedługo wyciągnąć kopyta, Mo, a wtedy naprawdę nie wiem, co z tobą będzie.

Zakaszlałem dyskretnie, żeby dać znać, że już jestem.

– Czy przypadkiem usłyszałeś, co mówiłem, Henk?

– Tak.

– Jak uważasz, czy w takim razie powinienem kazać go uspić? Takiego staruszka nie oddaje się do schroniska. Nie wolno robić schroniskom takiego świństwa.

– Spokojnie, jeszcze za wcześnie o tym mówić.

– No, wiesz...

Mogę się zajmować Mo, ale tylko wtedy, kiedy Evert żyje. Jeśli umrze, to jego mieszkanie musi zostać zwolnione w ciągu tygodnia i psa nie może już być. W samym ośrodku psy są zabronione.

Piątek, 31 maja

Wczoraj w południe byliśmy na spotkaniu z emerytowanym panem adwokatem, Victorem Vorstenboschem (lat siedemdziesiąt jeden). Dość afektowany, zarozumiały gość, który – jak sam mówi – „nudzi się śmiertelnie w domu”. Bardzo się ucieszył perspektywą pokazania, co potrafi. Z kancelarii, w której pracował, już do niego nie dzwonią z propozycjami, a to – trzeba nam wiedzieć – jest mu bardzo nie w smak. Z przyjemnością pokaże, jaki z niego wciąż szczywany lis. Jednym słowem, ma ochotę się tym zająć. Jeszcze w tym tygodniu poprosi dyrekcję o wydanie wszystkich dokumentów, które mają jakikolwiek związek z funkcjonowaniem naszego ośrodka, i powoła się przy tym na prawo o przejrzystości organów władzy. Prośba będzie opatrzona jego nazwiskiem. Eefje napomknęła ostrożnie, że nasz dom seniora nie jest instytucją państwową, więc być może to prawo nie ma zastosowania. Victor przyznał, że może mieć rację i że on musi to uwzględnić przy zwracaniu się o wydanie dokumentów.

Zaprosił nas za kilka dni, żebyśmy zapoznali się z projektem pisma. Nie chciał go wysłać, ponieważ z biegiem czasu jego wiara w człowieka upadła niemal całkowicie.

– Tajemnica korespondencji w domach dla seniorów nie do końca jest przestrzegana, a o bezpiecznym e-mailowaniu to już w ogóle nie ma co mówić.

Znaleźliśmy się w środku powieści szpiegowskiej! Teraz tylko pozostaje mieć nadzieję, że wydobędziemy na światło dzienne jakieś smakowite skandale.

x

Pan Schansleh, kulturalny pan z trzeciego piętra, zanim znalazł się w ośrodku, był zapalonym gołębiarzem. Nie mógł sobie darować, kiedy przeczytał wiadomość, że jakiś Chińczyk dał trzysta dwadzieścia tysięcy euro za belgijskiego czempiona.

– Nie do wiary! Nie do wiary! – powtarzał bez przerwy.

Edward zastanawiał się, czy taki bezcenny gołąb nie może sobie nagle postanowić, że jednak woli mieszkać ze swoimi kumplami gdzieś na jakimś placu w mieście. Albo że jakiś myśliwy ze śrutówką upoluje go na pasztet.

– Chyba małe szanse, że się wtedy odzyska te trzysta koła, no nie?

– Tak, zdarza się, że gołębie znikają bez śladu – przyznał pan Schansleh ponuro. Podobno stracił ich dziesiątki.

Sobota, 1 czerwca

Zła wiadomość.

Byłem wczoraj na spacerze z Grietje. Po pięciu minutach musieliśmy odpocząć na ławce, którą w swej dobroci gmina postawiła przy ścieżce. Słoneczko świeciło. Rozmawialiśmy sobie

niezobowiązująco o tym i owym, a potem Grietje powiedziała, że ostatnio często jej się zdarza zagubić – dosłownie i w przenośni.

– Potrafię to jeszcze całkiem zręcznie zakamuflować, ale to się powtarza. Jestem bardzo zaniepokojona. Stoję na przykład nagle w windzie i nie mam pojęcia, jak się tam znalazłam albo co miałam zrobić.

Nie bardzo wiedziałem, co na to powiedzieć. Po chwili milczenia zaproponowałem, że może powinna pójść do naszego lekarza i zrobić testy, czy nie ma alzheimera. I że, kiedy ma taką chwilę, że nie wie, co się z nią dzieje, powinna poprosić o pomoc kogoś, komu ufa. Taki ktoś zawsze pomoże.

– W każdej chwili możesz do mnie zapukać, Grietje. Z przyjemnością pomogę, na tyle, na ile będę potrafił.

Grietje, chodząca uprzejmość, ale zawsze troszkę zamknięta w sobie i na dystans. Byłem zdumiony, że akurat u mnie szukała pocieszenia. I trochę dumny. I smutny. Jednym słowem, mnóstwo emocji naraz.

Z Evertem znowu chyba trochę lepiej. Naprawdę się stara u fizjoterapeuty. Objawia się to głównie tym, że strasznie przeklina w czasie ćwiczeń. Jedna z asystentek, która ma poczucie humoru, tuż przedtem, zanim wszedł na bieżnię, ostentacyjnie włożyła sobie do uszu dwa kłębki waty. W odpowiedzi Evert włożył sobie wielki kłęb waty do ust.

Niedziela, 2 czerwca

Źle spałem po tej rozmowie z Grietje. Wszystko wskazuje na alzheimera. Rano spytałem, czy rozmawiała o tym z kimś jeszcze. Powiedziała, że nie.

– Nawet z lekarzem?

– Nie, to nie jest miły człowiek.

– Będzie ci przeszkadzało, jak spróbuję się poradzić pozostałych?

Obiecała, że się nad tym zastanowi.

Poczytałem trochę w internecie. W Holandii jest około dwustu pięćdziesięciu tysięcy osób dotkniętych demencją, najczęściej – bo w siedemdziesięciu procentach – w wyniku alzheimera. Co piąty człowiek ma szansę go mieć. No i rzecz najbardziej przerażająca: średnio żyje się z tym jeszcze osiem lat.

Oczywiście dysponujemy w tej dziedzinie sporym doświadczeniem. W naszym ośrodku jest wystarczająco dużo starych ludzi, którym w miarę przybywania lat luzuje się wtyczka. A po pierwszej obluźwanej wtyczce pojawiają się następne. Aż w takiej starej głowie jest już tylko jeden wielki chaos niepodłączonych do niczego końcówek. Jeśli człowiek ma szczęście, jest to radosny chaos, ale przy pechu napawa przerażeniem albo wywołuje agresję. Ostatniemu stadium – na szczęście – nie musimy przyglądać się z bliska. Ci biedacy są już wtedy „po drugiej stronie”, czyli przenosi się ich na oddział zamknięty. Kiedy ktoś zaczyna mieszać zupę ręką albo rzucać własną kupą, to znak, że czas się pożegnać.

Nie chciałbym tego przeżywać z Grietje.

Poniedziałek, 3 czerwca

– Już od lat się tego obawiałem – powiedział Evert. – Nasza śliczna fotograficzka i prezenterka telewizyjna Sacha de Boer ma teraz wielkie dupsko.

Zupełnie jakby chciał udowodnić, że przez chorobę stracił wprawdzie parę kilogramów, ale nie specyficzne poczucie humoru.

W telewizji tak tego nie widać, ale patrząc na zdjęcia do artykułu w jakimś starym piśmie o fotografiach Sachy, wyraźnie można się było przekonać, że Evert ma rację.

Zarząd ośrodka przesłał wszystkim pensjonariuszom pismo, w którym jest mowa o „reorganizacji” opieki w tym i innych ośrodkach. Jak tylko kierownictwo zaczyna używać tego słowa, trzeba się mieć na baczności, „reorganizacja” oznacza bowiem głównie cięcia i oszczędności. Chociaż oni piszą:

W dłuższej perspektywie reorganizacja opieki powinna doprowadzić do podwyższenia jakości.

Tak, tak. Brakuje jeszcze tylko sformułowania „oddać dom seniora w ręce samych seniorów”. Spin doktorzy organizacji opieki Evean, której podlega nasz ośrodek, przegapili znakomitą okazję.

Nasz premier Rutte też obiecywał, że zwróci Holandię Holendrom. Zauważyliście jakieś rezultaty?

Chociaż nikt nie potrafił wyczytać z tego pisma nic konkretnego, zdania były podzielone. Te same słowa dla jednych były drogą prosto do piekła, podczas gdy dla innych była to jutrzienka na horyzoncie zapowiadająca raj. Nic, co ludzkie, nie jest staruszkom obce.

Jednego można być pewnym: wszelkie plany z pewnością doprowadzą w ostatecznym rozrachunku do podwyżki pensji członków zarządu.

Wtorek, 4 czerwca

A jak to się skończyło z najbardziej anarchistycznym domem seniora w Holandii, w małej miejscowości Onderdendam koło Groningen? Dwa lata temu postanowiono tam, na zasadzie eksperymentu, na trzy miesiące unieważnić wszystkie nakazy i zakazy. Naprawdę wszystkie? Na ile znam średni poziom pensjonariuszy, musiałyby to oznaczać ogólną masakrę i codziennie wieczór z bingo.

Dyrekcja domu w Onderdendam chciała sprawdzić, czy pracownicy i pensjonariusze będą zadowoleni z braku jakichkolwiek regulacji. Eksperyment „opieka bez zasad” miał się odbyć pod auspicjami naukowców z Królewskiego Uniwersytetu w Groningen.

Szukałem w internecie, ale nie znalazłem żadnych wyników.

Tak sobie o tym pomyślałem, bo u nas właśnie wprowadzono nakaz, że wolno nam w pokojach używać wyłącznie żarówek energooszczędnych. Wiadomo, ochrona środowiska.

Byłem w domu u adwokata Victora, żeby zapoznać się z projektem pisma, w którym domaga się wglądu w regulaminy i przepisy dotyczące naszego ośrodka. Wszystko brzmiało niezwykle prawniczo, tak prawniczo, że nie bardzo wiedziałem, o co chodzi. W każdym razie budziło zaufanie. Szkoda, że Eefje nie mogła ze mną pójść, bo ona lepiej się orientuje. Ale źle się czuła.

Chociaż była dopiero druga w południe, Victor poczęstował mnie wielkim kieliszkiem bardzo drogiego koniaku i cygarem, które wypaliłem z wielką ostrożnością. Nasz pan adwokat to trochę taka karykatura afektowanego notabla – odgrywa tę rolę z wielkim zapałem. Sztuka teatralna i życie przenikają się w sposób doskonały i nawet się nie gryzą.

Czwartek, 6 czerwca

Jeśli się gdzieś widzi amsterdamskich strażników miejskich, to można być pewnym, że okolica jest bezpieczna. Bo oni jak ognia unikają miejsc, gdzie mogą być problemy. Dlatego też przy ładnej pogodzie przesiadują na ławeczce pod naszą bramą. Pewnie przy ich zarobkach trudno mieć nawet pretensje, że nie

ma ich w ogniskach zapalnych, gdzie rządzi chuliganeria. Nie widzę też, żeby zatrzymywali motorowerystów, którzy gnają siedemdziesiątką po ścieżkach rowerowych. Strażnicy miejscy emanują smutną bezradnością. Mundury też mają zawsze jakieś takie przyciasne.

Zawsze oczywiście może być gorzej, bo przeczytałem ostatnio w gazecie, że w Hadze przeciętny parkingowy wypisuje jeden bilet dziennie. Najwyraźniej nie pracuje na prowizji.

x

No tak, wczoraj już słyszałem pierwsze narzekania na upały.

– U nas w Holandii zawsze od razu robi się duszno! – powiedział gruby Bakker. Jego marudzenia, jak to jest potwornie zimno, ucichły zaledwie dwa dni temu. Czasem mam ochotę gościa udusić.

Włożyłem swój najładniejszy i w pewnym sensie letni garnitur. Staroświecki słomiany kapelusz mam już przygotowany. Chciałbym wyglądać trochę jak Maurice Chevalier. Po lunchu mamy się zgłosić przy wyjściu, bo jedziemy na wycieczkę zorganizowaną przez Graemego. Już od paru dni mówi, że w taką piękną pogodę nie może się nie udać.

Piątek, 7 czerwca

Punkt 13.00 zajęchały trzy riksze. Przy każdej silny młody człowiek, tak że nie musieliśmy mieć wyrzutów sumienia. Jeden z nich był kolegą syna Graemego, który wszystko załatwiał. Z uprzejmą pomocą kierowców weszliśmy na pokład i cała karawana ruszyła, odprowadzona mnóstwem zaintrygowanych spojrzeń. Siedziałem z Evertem, który natychmiast zaczął podśpiewywać stary szlagier *W małej rikszy*. Głos ma jak zmęczony życiem kruk.

Objechaliśmy malowniczy rejon Waterland pod Amsterdamem, pełen wspaniałych starych wiosek rybackich, w których czas się zatrzymał, ale też – jak można się było zorientować po nowoczesnych i piekielnie drogich rowerach typu cargo na podjazdach – w dużej mierze zamieszkanym przez bogatych amsterdamskich yuppies.

Evert opowiadał, jak tu było dawniej, od czasu do czasu dobiegały nas śmiechy z pozostałych riks, czasami zatrzymywaliśmy się, żeby Eefje mogła się przyjrzeć ptactwu wodnemu. Ja rozpoznałem szlamika rycyka, bo był kiedyś na pudełku z zapałkami, ale na tym koniec.

W Zuiderwoude była sprzedaż win. Ze zwykłego winiarza zrobił się sommelier. Zorganizowano dla nas degustację z małymi przekąskami. Zdaniem Everta, przekąski były za małe, żeby dało się przy nich dużo wypić. W zasadzie przy degustacji nie powinno się połykać próbowanego wina, tylko je wypluwać, ale są pewne granice dostosowywania się. Plujemy, owszem, ale kiedy jesteśmy chorzy. Riksarze nie chcieli uczestniczyć w degustacji, żeby nie wylądować w drodze powrotnej w rowie – tak mówili.

Na podstawie degustacji zaprezentowanych nam na miejscu próbek zakupiliśmy dwa tuziny butelek wina. Nastrój był bardziej niż znakomity.

W drodze powrotnej najpierw gromko śpiewaliśmy, ale potem wszyscy zapadli w drzemkę.

Odwieziono nas elegancko pod same drzwi, każdy z riksarzy otrzymał w ramach napiwku butelkę doskonałego wina i pomachaliśmy im wesoło na pożegnanie.

Rozliczenie wycieczki z organizatorem odbywa się zawsze dzień później i bardzo dyskretnie. Drogo? Powiedzmy, że osiągamy wyśmienity stosunek jakości do ceny.

Sobota, 8 czerwca

Jest taki test „zrób to sam” na alzheimera. Nazwa trochę myląca, ponieważ jest to test, którym się sprawdza, czy ktoś inny jest chory na alzheimera. Ja wykonałem go jednak na sobie i otrzymałem uspokajający wynik: nie masz alzheimera.

Przyszło mi to do głowy, bo w czasie wycieczki przyglądałem się Grietje. Doskonale się bawiła, ale też od czasu do czasu była jakby nieobecna i niekiedy wyglądała na zaskoczoną. Nie znam jej zbyt długo i za dobrze, żeby przeprowadzić na niej ten test, lecz widzę wiele objawów świadczących o tym, że zaczyna się u niej demencja. To, co mi opowiedziała, też nie uspokaja.

Nie jest przyjemnie uświadamiać sobie, że w sposób nieodwołalny tracimy kontakt z rzeczywistością. W przeciwieństwie do tej żaby, która włożona do stojącego na gazie garnka z zimną wodą nie zauważa, że woda robi się coraz gorętsza, i w końcu ginie ugotowana, człowiek przez jakiś czas boleśnie zdaje sobie sprawę z pogarszania się swojego stanu. Coraz częściej zapada się w czarną dziurę. Na coraz krótsze chwile się z niej wydostaje, i to ze świadomością, że zaraz znowu w nią wpadnie. Ma wystarczająco dużo czasu, by zdać sobie sprawę, dokąd to prowadzi: zdezorientowany, zgorzkniały, przerażony straszną perspektywą stary człowiek. Pomijając nieliczne przypadki pogodnych ofiar demencji. Najpierw niezmordowanie szukający czegoś, czego już nie ma. Potem apatycznie wegetujący w fotelu lub w łóżku. A jak już nie ma innego wyjścia, to przywiązany pasami. Pozbawiony wszelkiej godności.

Biedna Grietje. Jak tu ją pocieszyć?

Niedziela, 9 czerwca

Pani Suurman próbowała wysuszyć mokre kapcie w mikrofalówce. Nastawiła na dwadzieścia minut, a potem poszła oglądać telewizję. Kapcie nie nadają się już do chodzenia, a poza tym włączył się alarm przeciwpożarowy.

Wcale bym się nie zdziwił, gdyby dyrekcja wykorzystała ten incydent, żeby nam zabronić korzystania z mikrofalówek.

Ta sama dyrekcja obwieściła w okólniku, że dla naszego dobra w korytarzach zostaną rozmieszczone kamery. Dla wielu pensjonariuszy tego już za dużo. Padło nawet słowo gestapo.

– Czy ta Stelwagen już całkiem zwariowała? Kamery?! Pewnie po to, żeby wyszpiegować, kto wrzuca ciasto do akwarium albo który skuter nie ustąpił pierwszeństwa wózkowi z lekarstwami.

Graeme był niespotykanie radykalny. Stwierdził, że osobiście zneutralizuje kamery. Evert natychmiast zaoferował współpracę.

Mam wrażenie, że pani Stelwagen za dużo sobie pozwala.

Większość z nas nie życzy sobie monitoringu. Kamery prawdziwej telewizji natomiast owszem, bardzo chętnie. Kiedy pojawiła się amsterdamska stacja telewizyjna AT5, żeby nakręcić program o stultku, to ze szczęścia ludzie nie wiedzieli już, co robić, żeby się dostać przed kamery. Pensjonariusze, którzy przez całe lata tylko coś mamrotali pod nosem, nagle zaczęli śpiewać na całe gardło. Panie, które chodziły w jednej i tej samej byle jakiej szarej sukieneczynie, nagle pokazały się w krzyżących kolorami sukniach w kwiaty i w urodzinowych czapeczkach na głowie.

Na szczęście z prawie godzinnego materiału, jaki wtedy został nagrany, wyemitowano dokładnie piętnaście sekund. Wszyscy byli rozczarowani, a niektórzy nawet obrażeni.

Poniedziałek, 10 czerwca

Wczoraj miałem taki dzień, że cztery razy zapadałem w drzemkę nad gazetą i przed telewizorem, a potem przez pół nocy przewracałem się na łóżku. Najpierw wypróbowałem szklankę ciepłego mleka z miodem, potem wziąłem dwie tabletki nasenne.

Według ekspertów od uzależnień z instytutu Trimbosa, znalazłem się tym samym w gronie dziewięciuset trzydziestu tysięcy osób w wieku powyżej pięćdziesięciu lat, które sięgają po tabletki, kiedy nie mogą zasnąć w sposób naturalny. Wygląda na to, że w domach seniorów roi się od ćpunów. Są wiecznie zaspani po tabletkach nasennych z benzodiazepinami. O! Benzodiazepiny są też przeciwlękowe. Groźne skutki uboczne: złamane biodra. Jak wyliczono, było ponad dwadzieścia przypadków. Wszystko staruszkowie, którzy obudzili się w nocy zbyt przymuleni, żeby iść do łazienki, i łubudu, na podłogę.

Wtorek, 11 czerwca

Evert był wczoraj gospodarzem zebrania klubowego. Dość słabo to wypadło. Podał przypalone na czarno bitterballen i nuggetsy z kurczaka. Ma dobry wyciąg kuchenny, bo nikt nic nie wyczuł. Stare nochale. Wątrobianka wyglądała na przeterminowaną. Jedliśmy więc tylko ser i wypiliśmy morze wina.

Ostatnio spędzaliśmy tyle czasu z Rią i Antoine'em Travamundi – leciwymi mistrzami patelni naszego ośrodka – że nie można było tego dłużej ignorować. Zostali przyjęci na nowych członków klubu StaŻy. Wysłaliśmy delegację w osobach Grietje i Edwarda, żeby od razu ich zaprosili. Przyszli natychmiast, byli niezwykle wzruszeni i wylewnie wszystkim dziękowali. Antoine miał łzy w oczach.

– Mamy nadzieję, że jeszcze dacie radę – rzuciła Eefje z lekką ironią.

Antoine skinął głową. Ria stała obok niego, uśmiechając się nieporadnie. Przynieśli ze sobą trochę francuskich serów, hiszpańską szynkę serrano i wędzonego łososia, żeby uczcić to nagłe członkostwo.

– Właśnie dlatego was dokooptowaliśmy!

Żebyśmy mogli regularnie odbywać zebrania, nie omawiamy zbyt wielu spraw naraz. Tym razem jedynym punktem programu była pierwsza zakończona właśnie pełna runda wycieczek. Same pochwały. Wszyscy o mało nie popękali z dumy.

Ustaliliśmy nową listę wycieczek, z nowymi orientacyjnymi datami.

Koniec czerwca – Ria i Antoine (jako nowi członkowie chwilowo liczą się jak jeden)

Połowa lipca – Graeme

Koniec lipca – Eefje

Połowa sierpnia – Grietje

Koniec sierpnia – moja skromna osoba

Połowa września – Evert

Koniec września – Edward

Brzmi nieźle: do końca lata zagwarantowana rozrywka i miłe spędzanie czasu.

Środa, 12 czerwca

Grietje wpadła do mnie na kawę. Nie bez przyczyny. Zasięgnęła informacji u swojego lekarza i poczytała w internecie, i już wie na pewno, że cierpi na postępującą demencję.

– Oczywiście nie jestem z tego powodu szczęśliwa, ale nic się nie da zrobić. Postaram się to powstrzymać, jak długo się da.

Poprosiła mnie, żebym jej w tym pomógł, i z tą samą prośbą zwróciła się do paru innych osób, między innymi do członków naszego klubu. Warunek najważniejszy jest taki, żebyśmy byli wobec niej otwarci i szczerzy. Żadnego bezproduktywnego współczucia. Musiałem uroczyście przyrzec, że kiedy już stanie się dla nas kulą u nogi albo nie będzie z nią kontaktu, przekażę ją w ręce najlepszych opiekunów z oddziału demencji. Przy tych ostatnich słowach nie mogła się powstrzymać od lekkiego ironicznego uśmiechu. Wiedziała, że i tak tylko tam może się znaleźć, i już się z tym pogodziła. Zanim to jednak nastąpi, chce ze wszystkich sił, jakie jej jeszcze zostały, pożyć pełnią życia „jako myślący człowiek”.

Rozmawialiśmy o tym, jaką formę miałyby mieć ta pomoc, co nie jest takie proste. Mamy to jeszcze dokładniej przemyśleć.

Czwartek, 13 czerwca

Czasami widzę u niektórych pensjonariuszy wrogie zachowania. Wiem, że regularnie rozmawiają o naszym klubie. Mówią o nas „odszczępieńcy”. „Niewdzięcznicy”, bo niby uważamy, że przyjemności, jakie nam tutaj proponują, to za mało.

I jesteśmy też „zarozumialcami”.

U niektórych rozczarowanie, że nie mogą być z nami, przerodziło się w niechęć i zazdrość. Niechęć i zazdrość, które mają tutaj nieskończenie dużo czasu, by zapaść korzenie.

Nie wolno nie doceniać nienawistników, intrygantów i obmawiaczy. Ze zdumiewającą wytrwałością potrafią zarazić swoją postawą wszystkich łagodnych, obojętnych czy nieświadomych. Przyczyna jest najczęściej niewinna, lecz jej następstwami na dalszą metę są pogarda, brak zrozumienia i nienawiść. Jeśli ktoś przez cały dzień nie ma nic ważnego do roboty, małe rzeczy urastają do rangi wielkich. Czas człowieka musi być czymś wypełniony, a uwaga na czymś skupiona. Złe cechy charakteru szukają ujścia. Wbrew temu, czego można by się spodziewać, z upływem lat ograniczoność przybiera na sile, a szerokość horyzontów się zwęża. Stary i mądry to raczej wyjątek od reguły.

Czasami czuję to napięcie. Kiedy się zbliżam, zaczyna się odchrząkiwanie. Rozmowy cichną. Ludzie wymieniają spojrzenia.

Dziś rano przy kawie, kiedy nasz stolik dziwnym trafem był pusty, rozmawiałem o tym z Edwardem i Graemem. Potwierdzili, że też mają czasem takie wrażenie. Nie jest to może przyjemne, ale nie mam innego wyjścia, jak tylko się z tym zmierzyć.

Piątek, 14 czerwca

Nie jest za dobrze z najśłynniejszym starym człowiekiem na świecie, Nelsonem Mandelą. Jednego dnia czuje się trochę lepiej, drugiego znów gorzej. Wszyscy u nas niezwykle się nim przejmują. Przypuszczalnie to najmniej kontrowersyjny bohater ostatnich dwudziestu lat. Ale nawet bohaterowie umierają. Gazety szykują się już na ten moment, kiedy trzeba będzie zamieścić nekrologi. Wielcy tego świata mają nadzieję, że pogrzeb wypadnie w jakiś wygodny dla nich dzień.

Na szczęście w ostatnim czasie Mandela nie pokazuje się już publicznie, tak że jako ostatni zachowamy w pamięci obraz kruchego, lecz godnego i mądrego człowieka. Właśnie na tym polega jego wielkość.

Rada mieszkańców właśnie ogłosiła, że można się zapisywać na obchody dnia słuchacza rozgłośni MAX w teatrze, na razie nie wiadomo jakim.

Przeznaczone dla słuchaczy 50 plus radio zachęca: „Podejmiemy was kawą, herbatą i czymś słodkim”. Czyli raczej nie może się nie udać. Kolejny ważny element tego wyjątkowego dnia: można wygrać świetne nagrody. A wisienką na torcie będzie recital kultowego, siedemdziesięcioletniego już dziś, Ronny’ego Tobera.

Imprezy radia MAX zawsze były wykupione do ostatniego miejsca. Tym razem rada mieszkańców zadbała, żeby powiadomić o koncercie odpowiednio wcześniej. Miejsce imprezy nie jest jeszcze znane. Kto wie, może trzeba będzie jechać autobusem aż do Groningen?

Sobota, 15 czerwca

Grietje, Eefje i ja ułożyliśmy wspólnie plan podejścia do demencji Grietje. Z danych komisji Alzheimer Nederland wynika, że siedemdziesiąt procent osób z demencją mieszka w domu. Wprawdzie w przypadku Grietje określenie „w domu” jest trochę nie na miejscu, ale jednak pocieszający jest fakt, że niewielka jest szansa, że tak zaraz zostanie przeniesiona na specjalny oddział. Przy odrobinie pomocy będzie mogła jeszcze przez długi czas mieszkać w swoim pokoju. Pierwszy konkretny krok polega na tym, że każdego dnia w południe któreś z nas pójdzie do Grietje sprawdzić, czy nie zamknęła swojego chomika w zamrażarce. Ten przykład pochodzi od samej Grietje, która tak naprawdę nie ma chomika. Następnie sporządziliśmy listy, dużo list. Jedną listę z nazwiskami osób, ich funkcjami i numerami telefonów. Drugą z rzeczami, które są codziennie do zrobienia. Listę tego, czego nie wolno robić. Listę zakupów. Listę zatytułowaną „Co gdzie leży” i szczegółowy terminarz zajęć na każdy dzień. Tam gdzie będzie trzeba, pomożemy. Jeśli czegoś nie będzie rozumiała, zapisuje to na kartce i potem to omawiamy. Jeśli sprawa jest pilna – dzwoni do któregoś z nas.

Mamy też przeczytać jakąś książkę o demencji, na wypadek gdyby się okazało, że zdrowy sąsiedzki rozsądek już nie wystarczy.

To miłe, że można zrobić cały szereg konkretnych rzeczy. Jedząc przy tym wędzonego węgorka ze starej gazety. Z łyżkiem czerwonego wina. Grietje to znakomita gospodyni. Przynależymy, że jej powiemy, jeśli zacznie serwować wodę i suchy chleb.

Niedziela, 16 czerwca

Jest Dom Seniora dla Psów, w którym stare, schorowane albo niepełnosprawne psy mogą dożyć swych dni w domowych warunkach. Poświęca im się tam dużo osobistej uwagi, a jak trzeba, pomaga im się odejść. Niektóre z tych zakładów prowadzi fundacja Djimba. Na ich stronie internetowej widnieje emblemat fundacji, w którym jest między innymi niewidomy pies przewodnik dla niewidomych, z laską i w ciemnych okularach. Ja bym czegoś takiego nie wymyślił.

Ciekawe, czy opieka opiera się na jakichś specjalnych budżetach dla psów?

Przyszła odpowiedź na nasze podanie o udostępnienie regulaminów, statutów i innych istotnych dokumentów naszego ośrodka. Znaczący tylko potwierdzenie wpłynięcia takiej odpowiedzi, przysłane przez naszego adwokata Victora.

Zaczął się wielkie odliczanie, napisał w krótkim liście przewodnim. W liście poleconym wyznaczyłem ostateczny termin na 1 sierpnia i zagroziłem rozprawą w trybie przyspieszonym, jeśli do tego czasu nie otrzymam odpowiedzi. Pomyślałem sobie, że od razu wytoczę ciężkie działa, ponieważ nie chciałbym, żeby inkryminowane dokumenty zostały udostępnione, kiedy wszyscy już będziemy nieżywi albo w stanie daleko posuniętej demencji!

Dobra robota, Victor.

Poniedziałek, 17 czerwca

– To będzie dla mnie śmierć!

Słyszałem już wiele osób, które z całym przekonaniem tak mówiły. Nie mam pojęcia, na ile w tym wypadku można trzymać ludzi za słowo. W każdym razie mam na oku parę osób, którym we właściwym czasie pomogę sobie o tym przypomnieć. Fala plotek o zamykaniu domów seniora dominuje wszelkie rozmowy.

Jak informuje biuro doradcze Berenschot, w najbliższych latach zostanie zamkniętych osiemset siedemdziesiąt placówek opiekuńczych dla osób starszych. Liczba nowych pensjonariuszy ma gwałtownie spaść wskutek zapowiadanego zaostrzenia kryteriów przyjęć. Pomysł jest więc, ogólnie rzecz biorąc, taki: samodzielne życie aż do momentu, kiedy już naprawdę się dłużej nie da, a potem od razu do zakładu pełnej opieki. Oczywiście w tak zwanym międzyczasie staruszkowie z domów seniora będą wymierać. Nie jest więc żadną sztuczką rachunkową prognoza, że wkrótce pojawi się dużo pustych miejsc. Wówczas kierownictwa tych domów nie będą oczywiście czekać z zamknięciem, aż ostatni pensjonariusz umrze, tylko się ich przeniesie.

A wtedy będzie to dla nich śmierć, jak rozgłaszają niektóre z potencjalnych ofiar. Część pensjonariuszy jest święcie przekonana, że będą zmuszeni znowu mieszkać samodzielnie. A to jeszcze gorsze!

Strach przed koniecznością przeprowadzki jest wielki. Żeby trochę podnieść temperaturę dyskusji, pan Bakker woli używać słowa „deportacja”.

Widać po tym wszystkim, że większość pensjonariuszy, zamiast umrzeć, woli nigdy się nie ruszać ze swojego pokoju, skoro już dostała ten przydział.

Dla mnie to bez różnicy, czy będę mieszkał w tym ośrodku, czy gdzieś parę kilometrów dalej. Pod warunkiem że moi przyjaciele też zostaną przeniesieni i na czas przeprowadzki ktoś nam zaproponuje podróż po Renie.

Wtorek, 18 czerwca

Przepraszam, że zacznę od pogody, ale wczoraj był piękny letni dzień. Nie za gorący, nie za zimny. W południe siedziałem sobie w parku z gazetą i książką. Najpierw z Eefje, a kiedy ona po godzinie wróciła do siebie – z Evertem, który mniej więcej o tej porze wypija coś mocniejszego. Przydreptał ze swoim nowym chodzikiem na kółkach. W torbie na zakupy miał dwa termosy: jeden z whisky, drugi z białym winem. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął dwa kieliszki, starannie opakowane w papier toaletowy.

– Mniej piję – oznajmił. – Mówię serio.

Spojrzałem na niego podejrzliwie, więc skinął głową i dodał, że zaczął kupować coraz droższe

alkohole. A zatem smaczniejsze. Wydało mi się to całkiem przekonujące i rzeczywiście wino, które przyniósł, było całkiem niezłe, chociaż trochę zalatywało termosem. Siedzieliśmy sobie jak dwa prawdziwe menele na ławeczce w parku, popijając wino, aż w końcu w lekko różowych humorach i trochę niepewnie trzymając się na nogach, wróciliśmy do ośrodka, z chodzikiem między nami. Każdy trzymał jedną rękę na sterach. Edward powiedział nam dzisiaj rano, że widział nas z balkonu i widok był imponujący. Może taki dwuosobowy chodzik to prawdziwa luka rynkowa?

W domu zasnąłem na kanapie i obudziłem się dopiero o jedenastej. Nie pojawiłem się na kolacji, więc zajrzała do mnie pielęgniarka. Sprawdziła tylko, czy żyję, bo uznała, że budzenie mnie nie ma sensu.

Środa, 19 czerwca

Przy ciepłej pogodzie śmiertelność wśród osób w podeszłym wieku wzrasta ponad przeciętną. W telewizji zapowiadają trzydzieści trzy stopnie. Mam nadzieję, że dociągnę jakoś do wieczora.

Wstąpiłem do Anji z administracji, by poinformować ją, że jesteśmy już na dobrym tropie. Dyrektorka była na jakiejś konferencji na temat zmian w opiece społecznej, więc całe królestwo było nasze.

Przeprowadzono podobno wewnętrzne śledztwo mające wyjaśnić, skąd wyszła inicjatywa, żeby wymóc upublicznienie regulaminów i statutów. Dyrektorka wyraziła wobec zarządu przypuszczenie, że prawdopodobnie stoi za tym „niewielka, ale aktywna grupa niezadowolonych pensjonariuszy”. Mowa o nas.

Rada nadzorcza trochę się przestraszyła groźby przyspieszonego postępowania sądowego i dlatego próbowała się dowiedzieć, jakie jest tło całej sprawy. Fakt, że zarządzający instytucjami opiekuńczymi ostatnio – wprawdzie niechętnie, ale jednak – wypowiadają się na łamach gazet, działała na ich korzyść – w ten sposób zapobiegają negatywnemu rozgłosowi. W każdym razie pani Stelwagen dostała za zadanie zrobić wszystko, co konieczne, żeby zapobiec eskalacji. Obiecała, że jak najszybciej skontaktuje się z adwokatem, który przesłał pismo.

Zastanawialiśmy się później razem z Eefje, co robić z informacjami, które przekazuje nam Anja. Postanowiliśmy utrzymać nasze źródło w tajemnicy przed adwokatem oraz innymi członkami klubu, żeby nie obciążać ich tą niebezpieczną wiedzą. Nie chcielibyśmy, żeby nazwisko Anji Appelboom wymieniano jednym tchem z nazwiskami takich osób, jak Julian Assange, Edward Snowden czy Bradley Manning.

Muszę przyznać, że trochę się tym zdenerwowałem.

Czwartek, 20 czerwca

Wczoraj było włamanie do pani Van Gelder. Biegała z płaczem po korytarzu, skarżąc się każdemu, że kiedy zeszła na dół na herbatę, ktoś ukradł jej zegarek z szuflady szafki nocnej. Zegarek był prezentem ślubnym od męża.

Sprawa szybko rozniosła się po całym ośrodku. Złodziej musiał mieć klucz, ponieważ pani Van Gelder zawsze zamyka drzwi.

Pensjonariusze mają nakaz zamykania pokoi na klucz, kiedy wychodzą. Zarządzenie wydano po tym, jak jeden z roztargnionych pensjonariuszy wszedł do cudzego pokoju i położył się do łóżka. Prawowita właścicielka łóżka tak się przestraszyła, kiedy odchyliła kołdrę, że upadła i złamała sobie nadgarstek.

W związku ze zniknięciem zegarka zaczęto wysuwać nieokreślone, wypowiedane mimochodem

podejrzenia pod adresem kogoś z personelu sprzątającego czy osób zaopatrujących ośrodki. Generalnie obowiązuje zasada, że im bardziej brązowy, tym bardziej podejrzany. No i jeszcze:

– To musiał być mężczyzna, bo kobiety czegoś takiego nie robią.

Czy szkolenie z zakresu logiki argumentowania ma jeszcze jakiś sens u ludzi po sześćdziesiątce?

W każdym razie atmosfery to nie oczyściło.

Dyrektorka nie była zadowolona. Wiem z wiarygodnego źródła, że chodzi jej nie tyle o sam zegarek, ile o dobre imię ośrodka.

Piątek, 21 czerwca

Dociągnąłem do lata! Chociaż na dworze jest dzisiaj raczej jesienne.

– Pogoda dla samobójców! – zawołał kilkakrotnie przy herbacie zgryźliwy pan Bakker.

Za trzecim razem Evert powiedział:

– Jak pan chce, chętnie zaprowadzę pana na dach. – Zaproponował też, że może zaopiekować się jego portfelem.

Jak mówią statystyki, odsetek samobójstw wśród osób w podeszłym wieku zaczął w ostatnich latach gwałtownie rosnąć.

W naszym ośrodku nie podaje się informacji na temat przyczyn śmierci pensjonariuszy. Tutaj samobójstwo po prostu nie istnieje. Tymczasem, już choćby statystycznie rzecz biorąc, w ostatnich latach musiały się zdarzyć jakieś przypadki. Ale taka informacja mogłaby wywołać niepokój i podsuwać ludziom różne pomysły.

Wczoraj zdumiałem się, kiedy zobaczyłem własną żalostną nagość w lustrze w gabinecie lekarskim.

Człowiek to chyba jednak strasznie nieudane i brzydkie zwierzę. Poza paroma wyjątkami ludzie w ubraniach są ładniejsi niż bez. Tylko dzieci ładnie wyglądają na golasa. Dlatego obowiązuje zasada: im kto starszy, tym powinien łaskawie mieć na sobie więcej ubrań. I to możliwie luźnych.

Widok różnych pań o gruszkowatych kształtach, które w poniedziałki w drodze na gimnastykę paradują po korytarzach w legginsach, odbiera ochotę na wszystko.

Uwzględniając oczywiście wszystkie moje niedomagania, lekarz bardzo pochlebnie wypowiadał się o mojej formie fizycznej. Tyle że z popuszczaniem moczu nic się nie da zrobić.

– Cóż, panie Groen, bez pieluch już się nie da, niestety. Ma to swoje wady, ale i zalety.

Niezamierzony rym sprawił, że trochę łatwiej było mi to znieść.

Sobota, 22 czerwca

Znalazł się zegarek pani Van Gelder. Sprzątaczką znalazła go w rzeczach wyjętych z pralki. Był pięknie wyprany, ale przestał chodzić. Pani Van Gelder przypuszcza, że złodziej się przestraszył i chcąc się pozbyć zegarka, wrzucił go do pralki. Dlaczego ktoś miałby specjalnie schodzić do pralni, żeby wrzucić zegarek do pralki, nie potrafiła wyjaśnić.

– A bo to mało dziwnych rzeczy dzieje się na świecie?

Ewentualność, że sama niechcący wrzuciła zegarek do kosza z brudną bielizną, była, jej zdaniem, „wykluczona”.

Uczciwy znalazca dostał od niej pięćdziesiąt centów.

Lekarz zwrócił mi przedwczoraj uwagę na pewnego profesora od starzenia się, który przyjął sobie za cel znaczne przedłużenie życia ludzkiego, i to bez żadnych dolegliwości. Profesor jest bardzo optymistyczny i osiągnął już znakomite rezultaty w eksperymentach z myszami. Chodzi o jakieś ulepszenia DNA.

Trochę za późno dla mnie i moich przyjaciół; na to jestem już za bardzo chory. Nie mam zamiaru dożyć dwustu lat, ale nie miałbym nic przeciwko temu, żeby w miarę w dobrym zdrowiu przeżyć samą końcówkę.

Oczywiście zapomniałem raz jeszcze zapytać lekarza, co sądzi o eutanazji.

Niedziela, 23 czerwca

Nowe wieści w sprawie przebudowy. Dyrektorka zachęca w okólniku do powołania komitetu mieszkańców, który przekaze komisji budowlanej różne wskazówki dotyczące „komfortu mieszkania”.

Jak widać, jest już jakaś komisja budowlana i plany są bardziej zaawansowane, niż nam mówiono. Złudzenie współdecydowania ma to trochę zakamuflować.

Z drugiej strony duża ulga dla pensjonariuszy: skoro mają robić gruntowną przebudowę ośrodka, to przecież nie po to, żeby go zamknąć. A więc my nie będziemy musieli się przemieszczać. Z drugiej strony, znaczna przebudowa oznacza prawie na sto procent konieczność przemieszania, nawet jeśli tylko na jakiś czas. Już na samą myśl o tym średnia ciśnienia niebezpiecznie rośnie. Niepewność i zmiany to dwa gwoździe do trumny każdego człowieka w podeszłym wieku. Pani Pot, ta wstrętna intrygantka, nie wyklucza, że cała ta przebudowa jest tylko po to, żeby pozbyć się niektórych mieszkańców.

– Oni to robią specjalnie! Mnóstwo ludzi tego nie przeżyje!

Zawsze znajdzie się parę osób przy kawie, które będą gorliwie przytakiwały, obojętnie, jak głupie będzie to, co ktoś powie.

Duża przebudowa wzniesi sporo kurzu dosłownie i w przenośni, a więc proszę bardzo. Im więcej się będzie działo, tym lepiej. Chyba chciałbym się znaleźć w komitecie, który będzie doradzał komisji budowlanej.

Poszedłem za radą Eefje i poprosiłem naszego adwokata Victora, żeby wysłał pismo uzupełniające z prośbą o udostępnienie też planów przebudowy ośrodka.

Poniedziałek, 24 czerwca

Pani Aupers jest nowa. Co rano czyta na głos wszystkie nekrologi z gazety. Ciekaw jestem, kiedy ktoś jej coś powie. Nie każdy lubi taki radosny początek dnia.

Oczywiście zdarzają się i tacy, co uwielbiają czytać o czyjejś śmierci. Człowiek wręcz słyszy ich myśli: „No i proszę, tego też przeżyłam/przeżyłem!”. Lubią zobaczyć nazwiska znajomych w czarnych ramkach w gazecie. To daje jeszcze większą satysfakcję.

Mnie poruszają tylko nekrologi zmarłych dzieci. Przypominają mi wtedy o córce. Ważni truposze, mający po dziesięć nekrologów od każdej instytucji, w której zasiadali w radzie nadzorczej albo w zarządzie... to mnie zupełnie nie rusza, tak jak i oni się już nie ruszają. Do piachu i spokój. Dopiero teraz widać, jacy tak naprawdę byli ważni.

Nowi członkowie naszego klubu, Ria i Antoine, wynajęli na najbliższy piątek kuchnię i mały pokój w sąsiednim budynku. W skrzynce znalazły się ładne zaproszenia na małe przyjęcie powitalne z okazji ich przystąpienia do klubu.

W zaproszeniu jest też prośba o zadbanie o jakieś intermezzo pomiędzy poszczególnymi daniami w postaci przemówienia, opowieści czy piosenki. Niemal słyszę, jak trzeszczą moje stare szare komórki.

Zaniósłem do pralni parowej smoking, którego nie nosiłem pewnie od dwudziestu pięciu lat, a jutro pójdę kupić nową koszulę.

Wtorek, 25 czerwca

Kiedy pani Aupers nie odczytuje na głos nekrologów, rozpacza po kocie, którego musiała oddać do schroniska. Wywaliła na tego zwierzaka ze trzy i pół tysiąca euro. Jakaś skomplikowana operacja złamanej tylnej nóżki. Weterynarz z uśmiechem wsadził do kieszeni całe jej oszczędności. Pomimo jęków pani Aupers jednak jej współczuję. Tak bardzo kochała tego swojego kotka. No, ale cóż, zasady są jasne: żadnych zwierząt domowych. Najchętniej z tego właśnie powodu mieszkałaby dalej samodzielnie, ale dzieci stanowczo się temu sprzeciwiły. Zdawały sobie sprawę, co to znaczy długotrwała opieka.

x

Sprzedawczyni w C & A nie miała ochoty za bardzo się wysilić, żeby mi pomóc w wyborze koszuli. Lekko już przywiedła pani w nieco przyciasnym stroju firmowym wskazała mi kilka pudeł stojących dziesięć metrów dalej.

– Tam leżą.

– Ogromnie pani dziękuję za okazaną pomoc.

Moja uwaga wywołała u niej najpierw zdumienie, a potem irytację.

W sklepie Vroom en Dreesmann obsługa nie była lepsza. Starsi bezradni panowie nie są specjalnie cenni jako klienci. Ostatecznie kupiłem trochę na oko jasnoniebieską koszulę, która teraz wydaje mi się o wiele za duża. Jutro muszę zwrócić. Jeśli dobrze pamiętam, to personel sklepów niespecjalnie lubi starszych ludzi, którzy przychodzą z rzeczami do wymiany.

Środa, 26 czerwca

Z Evertem nie jest dobrze. Był dzisiaj rano na kontroli w szpitalu i chcieli go od razu zatrzymać, ale Evert odsunął to do poniedziałku, zasłaniając się czymś pogrzebem.

– Ileż to ja już pogrzebów w życiu wymyśliłem! – powiedział. – Jak przyjdzie co do czego, to nic innego nie przychodzi mi do głowy. Ale jeśli nie wymawiasz się pogrzebem parę razy u tej samej osoby, to nie zdemaskują cię tak szybko.

Nie chodzi o to, że Evert coś zyska przez te parę dni zwłoki, ale potrzebuje czasu, żeby się przygotować psychicznie na kolejną operację. No i nie chciałby opuścić piątkowego przyjęcia organizowanego przez Rię i Antoine'a.

Kiedy do niego zaszedłem, wyglądał na przybitego. Miał w ręce filiżankę herbaty, co też nie było pocieszające. Kiedy mu na to zwróciłem uwagę, powiedział, że wlał sobie kropelkę rumu. To z kolei budziło nadzieję.

Razem poinformowaliśmy Mo, że przez cały przyszły tydzień znowu będzie pod moją opieką. Kiedy pies to usłyszał, postawił jedno ucho i puścił bąka.

W czasie poruszenia po kradzieży zegarka plan dyrektorki, żeby rozmieścić kamery na korytarzach, mocno zyskał na popularności, ale potem znowu, kiedy się okazało, że zegarek przez przypadek trafił do pralki, pomysł spadł w rankingu. Usłyszałem od Anji, że pani Stelwagen niemal żałowała, że najwyraźniej nie było kradzieży. To tyle od naszej kobiety na pierwszej linii frontu.

Czwartek, 27 czerwca

Starsi ludzie wyglądają czasem okropnie. W poplamionym płaszczu przeciwdeszczowym i z tłustym kołnierzem. Albo już tego nie widzą, albo przestaje ich to obchodzić. Wydać pieniądze na nową kurtkę to grzech, bo już się nie zdąży jej do końca znosić. Dlatego donaszają sukienki i garnitury sprzed czterdziestu lat, rozczłapane buty i dziurawe skarpetki. Początek utraty godności. Kiedy przestaje ich obchodzić własny wygląd, nie przejmują się też i tym, że upaprają się przy jedzeniu, bezwstydnie drapią się między nogami i tylko raz w miesiącu myją głowę.

– Jak mi się skończą czyste majtki, to zakładam któreś z tych mniej brudnych – bez żenady obwieściła przy kawie jedna z pensjonariuszek.

Na szczęście mamy też zadbanych, ładnie pachnących i eleganckich panów i panie. Eefje, Edward, Ria, Antoine i ja, mimo problemu z popuszczaniem moczu. Mili starsi państwo w ładnych ubraniach i z włosami lekko skropionymi wodą toaletową.

To dla mnie wielka przyjemność pójść raz na dwa miesiące do fryzjera i kazać sobie dwukrotnie umyć tę resztkę włosów, jaka została mi na głowie.

– A jak szanownego pana ostrzyc?

– Chciałbym jakoś nowocześnie. I proszę się nie spieszyć.

– Postaram się wymyślić coś odpowiedniego.

Od lat chodzę do tego samego fryzjera i ten drobny dialog nigdy nam się nie nudzi.

Piątek, 28 czerwca

Jest dwudziesty ósmy czerwca, a w piecach kaflowych huczy jak złoto. Mówię oczywiście w przenośni, bo mamy centralne ogrzewanie. W większości pokoi termostaty ustawione są na maksymalne dozwolone dwadzieścia trzy stopnie i widziano już pierwszą osobę zmierzającą do wyjścia w zimowej kurtce. Wczoraj najwyższa zanotowana na dworze temperatura wynosiła czternaście stopni.

Dzisiaj w ramach przygotowań do naszej odświeżonej kolacji jem mało albo w ogóle. Nawet nie jest to dla mnie specjalnie trudne. Im człowiek robi się starszy, tym mniej chce mu się jeść. Czasem się wręcz zmuszam, żeby coś wrzucić na ruszt. Na szczęście produkują dzisiaj coś takiego jak śniadanie do wypicia. W razie potrzeby można je wykorzystać jako lunch do wypicia. Przynajmniej nie trzeba żuć. Stan Everta nie wpływa na polepszenie apetytu.

Stary smoking jest na mnie trochę za duży. Ale przynajmniej porządnie wyczyszczony. Jeśli idzie o za dużą koszulę, to wszystko dobrze się skończyło. Kiedy poszedłem ją wymienić, zajęła się mną miła marokańska sprzedawczyni, która zmierzyła mi obwód klatki piersiowej oraz długość rękawów i wyłowila z pudła właściwy rozmiar.

Tak czy inaczej wyglądam jeszcze całkiem atrakcyjnie, chociaż to tylko moje zdanie.

Kupiłem też wodę kolońską. Wypróbowałem kilka zapachów na nadgarstku, ale od tego bardzo szybko zrobiła się kompletnie nieodróżnialna mieszanina. Było to zupełnie niepotrzebne, bo zapach sprawdza się na specjalnym papierku. W końcu sprzedawczyni wybrała coś, co jej zdaniem doskonale do mnie pasowało. I do mojego portfela również.

Sobota, 29 czerwca

Chylę głębooko czoło przed Antoine'em i Rią z przenośnej restauracji Chez Travemundi. Od lat nie jadłem nic tak pysznego. Sześć dań! Podawanych z całkowitym spokojem, ładne porcje dla starszych osób w przemyśłym towarzystwie. Superwieczór. Od piątej do dziesiątej wieczorem przy stole, potem zmywanie ze wspólnymi śpiewami, a na koniec podreptaliśmy wszyscy razem do ośrodka. Na szczęście piłem rozsądnie, bo inaczej pewnie w tym momencie zaliczyłbym śmierć mózgową.

Po koktajlu powitalnym zabrał głos Evert. W żarliwym przemówieniu naświetlił wszystkie przyjemności życia i radości przyjaźni. Zrobił z tej przemowy prawdziwe dzieło sztuki. Na koniec wspomniał mimochodem, że od poniedziałku udaje się na kilka dni urlopu do szpitala, i podał godziny odwiedzin.

– Jeśli ktoś chociaż słowem wspomni o tym w trakcie dzisiejszego wieczoru, to wrzucę mu na głowę carpaccio z langustynek – zagroził.

Na moment zapadła cisza.

W tym momencie Graeme wznosił toast za Everta i atmosfera się oczyściła.

Wczoraj wieczorem padło wiele pięknych słów, śpiewaliśmy, rozmawialiśmy i był mały quiz o jedzeniu. Szkoda, że znowu tyle z tego zapomniałem.

x

Dziś zaczyna się Tour de France. Przez trzy tygodnie w południe siedzę kamieniem w domu. Uwielbiam te niekończące się przekazy na żywo. Na pierwsze godziny wybieram komentarz belgijski, a na koniec, kiedy wszystko się decyduje, nastawiam do obrazu w telewizji Radio Tour de France.

Niedziela, 30 czerwca

No i jestem w połowie. Po dzisiejszym dniu pierwsze sześć miesięcy mam za sobą. Chyba tylko pięć czy sześć dni opuściłem z powodu choroby. Nieźle, co?

A to nie taka prosta sprawa. Nie zawsze tematy przychodzą same i muszę starannie dobierać słowa. No, ale obowiązek notowania wyostrza spojrzenie i zmusza do obserwacji. Kiedy ktoś powie albo zrobi coś dziwnego, muszę to zapisać, a tymczasem pamięć jest jednym ze słabszych ogniw w tym wątłym życiu. Pewną pomoc przynosi mały notesik, ale nie chcę, żeby za bardzo rzucał się w oczy. Ciekawskie spojrzenia czyhają na każdym kroku.

– Co ty tam tak ciągle piszesz, Henk. Daj przeczytać.

– Pracuję nad wspomnieniami. Dopiero kiedy skończę, wszyscy będą mogli przeczytać.

Wtedy pytający zwykle chce wiedzieć, czy też się w tych wspomnieniach pojawia, a ja potwierdzam, obojętnie, czy tak jest, czy nie.

– Ale same pozytywne rzeczy – dodają zawsze uspokajająco. Wówczas są zadowoleni, chociaż pewnie i tak uważają, że się tylko przechwalam tymi pamiętnikami.

x

Zaczynam się trochę bać oglądania Tour de France. W zeszłym roku i dwa lata temu tylu skłębionych zawodników, w tym paru Holendrów, leżało na asfalcie, że odeszła mi cała przyjemność oglądania. Pierwszy etap nie przyniósł wielkiej nadziei, że w tym roku będzie inaczej.

Szkoda, że udało się na czas uwolnić busa, który zaklinował się pod łukiem na mecie. Inaczej byłby niezły skandal.

Poniedziałek, 1 lipca

Evert pojechał dzisiaj rano taksówką do szpitala. Właśnie do niego dzwoniłem. Leży w łóżku i czeka na chirurga, który go operował poprzednim razem.

– Nie jest to mój najlepszy kumpel, ale lekarza się nie wybiera.

Wolny rynek nie ma zastosowania do lekarzy. Przynajmniej nie wtedy, kiedy za leczenie płaci ubezpieczenie. Jeśli ma się na imię Beatrix, to sprawa wygląda oczywiście inaczej. A swoją drogą, ciekawe, czy królowa ma zwykłe ubezpieczenie?

Jakiś nieznany Belg, który jeszcze nigdy dotąd nie wygrał żadnego znaczącego wyścigu, wyprzedził wczoraj finiszujący peleton o dziesięć metrów i wygrał etap w Tour de France. Nawet jeśli człowiek nie ma bladego pojęcia o kolarstwie, i tak będzie się cieszył, kiedy Dawid pokona Goliata. Uwielbiam takich niby-skazanych na porażkę! Pod warunkiem że nie mażą się, kiedy przegrają.

Grietje napisała sama do siebie długi list i przykleiła do szafki w kuchni. Wyjaśnia sobie w nim, że choruje na alzheimera i że pewnie będzie miała związane z tym problemy. Doradza sobie różne rzeczy i dodaje otuchy na ten czas, kiedy prawdopodobnie nie będzie już sobie dawała rady z niektórymi rzeczami. List kończy się słowami: „Nie wszystko musi być pod sznurek. Serdeczności, Grietje”. Bardzo mnie wzruszył sposób, w jaki siebie pożegnała. Podchodzi do swojej choroby niezwykle oryginalnie.

Powiedziała mi, że jest ciekawa, jak będzie reagowała na własny list. Kiedy poznam odpowiedź na to pytanie, prawdopodobnie nie będzie już jak do niej z tym dotrzeć. Surrealistyczna sytuacja.

Wtorek, 2 lipca

Evert ma obawy, że straci kolejne kilka palców. Chirurg tak jakoś dziwnie na niego patrzył.

– Nie jest pan zadowolony ze swojego dotychczasowego dzieła? – spytał Evert.

Doktor powiedział, że tak by tego nie ujął, i wolał mówić o nieprzewidzianych komplikacjach. Pierwszy lekarz, który z własnej woli przyzna się do błędu, jeszcze się chyba nie urodził. Jeśli piekarzowi przypali się chleb, da się z tym jakoś żyć, ale kiedy chirurg amputuje nie tę nogę co trzeba, to znaczy, że... pielęgniarka w złym miejscu postawiła krzyżyk na formularzu. Wysokie drzewa łapią dużo wiatru, ale też zawsze dbają o dobre ubezpieczenie od szkód. Jak takie drzewo zostanie zdmuchnięte, to w krótkim czasie stanie wyprostowane gdzie indziej. Z zachowaniem poziomu wynagrodzenia.

Evert ma mieć operację w czwartek. Do tego czasu będą go trzymać jako obłożenie łóżka. Ma

nadzieję, że chirurg nie żywi do niego urazy i nie zrobi mu operacji tęym nożem.

Trochę mi było dziwnie po tej naszej rozmowie. Jutro pójde go odwiedzić. Na jego prośbę zaniose mu butelkę wody mineralnej marki Bols.

Muszę zabrać ze sobą trochę kartek z życzeniami powrotu do zdrowia od pensjonariuszy. Przynajmniej stare skapiradła zaoszczędzą na znaczkach.

Środa, 3 lipca

Odwiedziłem Everta. Nie było łatwo. W końcu trzeba choć trochę emanować optymizmem, a mnie trudno się na to zdobyć, kiedy tak czarno to wszystko widzę.

Słaby byłby ze mnie klaun do rozśmieszania pacjentów.

Na pocieszenie siebie mogę powiedzieć, że w porównaniu z drugą odwiedzającą osobą byłem jak promienne słoneczko. Dwa łóżka dalej żona odwiedziła męża, świeżo po operacji. Przez całe pół godziny mówiła wyłącznie o sobie i o tym, jakie to ma dolegliwości.

Zrobiłem coś, na co dawniej nigdy bym się nie odważył.

– To może się państwo zamienicie miejscami – zaproponowałem.

Everta to rozbawiło, natomiast kobieta popatrzyła tylko na nas podejrzliwie i nic nie zrozumiała.

– Mój przyjaciel chciał przez to powiedzieć, że pani wrośnięty paznokieć to o wiele poważniejsza sprawa niż operacja na otwartym sercu, którą przeszedł pani mąż, i że byłoby lepiej, żeby to pani się położyła, a on sobie posiedział – wyjaśnił jej bez mrugnięcia powieką.

– Niech się pan lepiej zajmie swoimi sprawami.

x

Oprócz tego busa, który zaklinował się pod łukiem na mecie, zawodnicy uniknęli znacznie większej katastrofy. W powtórce w telewizji pokazali, że w końcówce trzeciego etapu na ulicę tuż przed finiszującym peletonem wyskoczył mały biały foksterierek. Kiedy peleton rozjechał pieska na strzępy, Tour de France nagle zaczął się cieszyć masowym zainteresowaniem, zwłaszcza pań. Złamania kości i wstrząsy mózgu dziesiątek kolarzy nie mają szans ze śmiercią słodkiego zwierzaczka. Podobno ludzie z obrzydzeniem bez końca oglądali powtórki w zwolnionym tempie.

Czwartek, 4 lipca

Według prognoz Evert powinien dojść do siebie w sali wybudzeń dziś o godzinie siódmej wieczorem. Przyjemne słowo: sala wybudzeń. Obiecał, że zadzwoni, jak tylko będzie w stanie. To będzie długi dzień.

Zmarł piosenkarz, artysta kabaretowy i autor piosenek. Maarten van Roozendaal. Nigdy o nim nie słyszałem. Żyjemy tutaj na marginesie społeczeństwa, gdzie nic już nie dociera. Specjalizujemy się głównie w przeżuwananiu odgrzewanych kotletów.

Grietje pożyczyła mi płytę CD Van Roozendaala. Powiedziała, żebym koniecznie posłuchał piosenki *Zbyt późny koniec*.

Jeszcze nigdy nie słyszałem tak pięknej piosenki o starości. Spytałem Grietje, jak to jest: słuchać

czegoś takiego, będąc u progu alzheimera.

– Może to głupio zabrzmieć, ale mnie to uspokaja. Albo może raczej: daje ukojenie. Ale z zachowaniem energii do życia.

Na płycie jest więcej takich pięknych piosenek. Ciekawe, kto napisze dla Maartena *Zbyt wczesny koniec*?

Egipski prezydent Morsi został odsunięty od władzy w wyniku wojskowego zamachu stanu. No cóż, zamach stanu... „Tym samym wojsko zdecydowało się samo pokierować procesem zmian”, oświadczył nasz minister spraw zagranicznych, Timmermans.

– Nie, panie władzo, ja nic nie ukradłem. Ja tylko zdecydowałem się sam pokierować procesem zmiany właściciela.

Także nasza pani dyrektor nie robi na nas żadnych oszczędności, tylko współdziała w procesie zmian.

Piątek, 5 lipca

Dziś rano o dziewiątej telefon od Everta. Amputowali mu nogę prawie do kolana.

Z pisania dzisiaj nici.

Sobota, 6 lipca

Musiałem się zmusić, żeby coś znowu napisać. Dobrze mi to robi. Kiedy już coś przeleję na papier – to znaczy wpiszę do komputera – mogę spojrzeć na to potem z dystansem i znowu stać się bardziej do życia. Tak jest lepiej dla ludzi, którzy znajdą się w moim towarzystwie.

Wczoraj w południe złożyłem jeszcze spontaniczną wizytę Evertowi. Pierwszy szok miał już za sobą. Zwierzył mi się, że w czwartek wieczorem był po prostu załamany.

Powiedziałem, że doskonale to rozumiem i że bardzo byłem zaniepokojony, że nie ma od niego żadnych wiadomości.

Aby dać mi do zrozumienia, że jest już taki jak dawniej, w którymś momencie zaczął się zastanawiać, czy jeśli muzułmanie poddają się operacji, to według zasad *halalu*, czyli bez znieczulenia.

Obawiam się, że nie skończy się na nodze do kolana i że mojemu przyjacielowi jeszcze to i owo w nogach czy rękach obumrze, zanim przyjdzie czas na całą resztę.

Wszystkie drobne wydarzenia w ośrodku, rozmowy przy kawie i inne takie przechodzą tak jakby obok mnie.

Mam pewne oparcie w Eefje. Ona jest zawsze taka trzeźwa w sądach, silna, a zarazem miła i rozumiejąca. Wspiera mnie bardzo w czasie naszych niemal codziennych wzajemnych odwiedzin. Chyba zaczynam być nią coraz bardziej zainteresowany.

Niedziela, 7 lipca

Prawie nikt z tutejszych pensjonariuszy nie wyjeżdża na wakacje.

Może powinienem ostrożnie podpytać, jakie byłoby zainteresowanie na przykład jakąś trasą po

słynnych winnicach? Nie mylić z rejssem po Renie. W przypadku rejsu widzę już oczami wyobraźni barwną karawanę chorych i niepełnosprawnych pchaną przez radosne osoby towarzyszące po trakcie wycieczkowego statku Czerwonego Krzyża *Henri Dunant*. Jeśli w ogóle dostalibyśmy na to pieniądze!

Myślę, że nie byłoby trudno wynająć dla niewielkiej grupy komfortowego busa i wybrać się nim w trasę po winnicach, w których wytwarzają prawdziwego szampana, a potem pomieszkać kilka dni w jakimś miłym *château*. Dobrze sobie pojeść i popić, parę degustacji, jakaś zagubiona katedra na odludziu i żadnych starych i marudnych osób wokoło. Oczywiście wszystko musi być dostępne dla wózków inwalidzkich.

Myśl o wakacjach pojawiła się u mnie dlatego, że po smutnych wydarzeniach ostatnich dni zapragnąłem czegoś pozytywnego. Pójdę do Eefje wysondować, co ona sądzi o pomysśle, żebyśmy się wybrali z klubem na krótkie wakacje.

Dziś wieczorem mamy się zastanowić, co można zrobić dla Everta. My, to znaczy Grietje, Eefje, Graeme, Edward i ja. Ria i Antoine mają bilety do teatru. Najchętniej zostaliby z nami na zebraniu, ale jakoś udało nam się wybić im ten pomysł z głowy. Ria uparła się, że musi jeszcze przedtem przynieść dla nas do Edwarda jakieś przekąski. Aż dwa razy powiedzieliśmy pro forma, że przecież nie ma takiej potrzeby.

– No, ale oczywiście, skoro musisz – poddał się Graeme w odpowiednim momencie i sprawa była już załatwiona. Graeme zachichotał.

Poniedziałek, 8 lipca

– Robi pan postępy – powiedział lekarz.

– Wie pan, z jedną nogą to trochę trudne! – odrzekł Evert.

Dzisiaj rano odwiedziłem go w szpitalu. Za kilka dni zostanie przeniesiony do ośrodka rehabilitacji na ponad tydzień. Jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, zaraz potem wróci do domu.

Wczorajsze zebranie było bardzo owocne. Podjęliśmy kilka koniecznych praktycznych decyzji.

Edward załatwi sprawę elektrycznego wózka inwalidzkiego. Eefje ma dobre kontakty w opiece domowej i załatwi Evertowi kogoś do prowadzenia domu. Graeme ma skonsultować z naszym lekarzem zakres pomocy medycznej. Grietje przez jakiś czas będzie robić Evertowi zakupy.

– No i znowu będę musiała robić listy, skoro już teraz nie mogę zapamiętać moich dwóch sprawunków na krzyż...

Ria i Antoine zadbają o wyżywienie Everta, a ja zajmę się psem. To się dopiero nazywa pomoc sąsiadka!

Taki mamy plan na pierwsze dni po jego powrocie, tak żeby miał trochę czasu na zastanowienie się, w jaki sposób poradzić sobie z trudnościami, które wynikają z faktu posiadania połowy nogi. Ostatecznym celem jest to, żeby nadal mógł mieszkać samodzielnie w mieszkaniu przy ośrodku. Zgodziliśmy się bowiem co do jednego, że przeprowadzka Everta do samego ośrodka doprowadziłaby do wojny ze sporą częścią pensjonariuszy. I zdecydowanie więcej by na tym stracił, niż zyskał.

Nasze starania nie są bynajmniej na wyrost. Anja powiedziała, że mieszkanie Everta znalazło się już na liście powierzchni, które niedługo się zwolnią. Nie udało jej się dowiedzieć, kto coś takiego zasugerował.

Wtorek, 9 lipca

W bok cauty pani Groenteman wjechał z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę motorowerysta. Na obronę tego młodego człowieka trzeba powiedzieć, że pani Groenteman jechała ulicą i nagle przyszło jej do głowy, że zawróci na pasach. Zakrawa na mały cud, że nikt nie został ranny. No, co do cauty, to pewnie już nie będzie się nadawała do użytku. Chłopak z motoroweru przeleciał nad samochodziem i ma tylko parę zadrapań. Pani Groenteman jęczała, jakby zaraz miała umrzeć, ale skończyło się na tym, że zwichrzyły jej się włosy.

Naoczny świadek, pan Ellroy (ten od poroża łośia), w zabawny sposób złożył nam relację przy herbacie.

Pani Groenteman jest zdania, że w kwestii winy ma żelazny argument.

– Każdy, kto jest na pasach, ma bezwzględne pierwszeństwo – stwierdziła całkiem serio. Na szczęście ma ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków.

Wszyscy pensjonariusze mają ubezpieczenia od wszystkiego, a nawet jeszcze więcej.

– Bo nigdy nic nie wiadomo...

Za składki, jakie mieszkańcy naszego ośrodka płacą na polisy na wypadek śmierci, z powodzeniem moglibyśmy wykupić połowę jakiegoś cementarza.

Osoby w podeszłym wieku stanowią zagrożenie na drodze albo w supermarkecie, niezależnie od typu pojazdu, jakim się poruszają, nawet jeśli mogą jechać tylko pięć kilometrów na godzinę.

Ale to wszystko bynajmniej nie powstrzyma mnie przed tym, że wkrótce sam zacznę stwarzać zagrożenie na ulicach i placach moim własnym elektrycznym skuterkim!

Środa, 10 lipca

Jakaś radna z miejscowości Hengelo czy z Almelo powiedziała niedawno, że opieką nad osobami starszymi zagrożonymi niesprawnością doskonale mogliby się zająć bezrobotni. Oczywiście bez utraty prawa do zasiłku. A wtedy zawodowi opiekunowie będą musieli iść na bezrobocie, czy dobrze rozumiem?

Czyli że zamiast fachowej pomocy z dyplomem przydzielą nam, na przykład, bezrobotnego budowlańca, który będzie nam mył tyłek pod prysznicem. Byłoby to kolejne obniżenie granicy szacunku dla osób starszych. Na szczęście wiele osób uważa, że ta pani, która bez cienia żenady ogłosiła swój pomysł, jest po prostu głupia jak but. Ale jeśli się dopuści, żeby każda z czterystu ośmiu gmin w Holandii we własnym zakresie regulowała kwestie pomocy osobom starszym i potrzebującym, to będzie znaczyło, że sami się prosimy o nieszczęścia, marnotrawstwo i nędzę. Głupich radnych wszędzie przecież pełno.

Może już czas na jakąś parlamentarną komisję śledczą?

W Niemczech w dziesiątkach miejsc drobna pomoc, taka jak robienie zakupów czy roznoszenie ciepłych posiłków, jest wykonywana przez innych emerytów, którzy funkcjonują normalnie. W zamian za to dostają tak zwane godziny opieki, które będą mogli wykorzystać, kiedy sami będą już potrzebowali opieki w tym czy owym. Do tego jednak trzeba coraz to nowych sprawnych emerytów, a dodatkowym problemem może być dramatyczne starzenie się niemieckiego społeczeństwa.

Będą więc potrzebni zawodowi opiekunowie, zwyczajnie opłacani za swoją pracę. I o to chodzi!

Czwartek, 11 lipca

Dzisiaj rano pojechałem autobusem do centrum rehabilitacyjnego, żeby odwiedzić Everta. Wygląda na

to, że mu się tam podoba.

– W każdym razie długo się czeka na miejsce. Oczywiście nie dotyczy to tych półinwalidów i całkowitych inwalidów, którzy tu ze mną są. Ale trzymając się terminów kolarskich: morale jest w porządku.

Lekarze i fizjoterapeuci zapewnili go, że za osiem dni całkiem samodzielnie wyjdzie przez drzwi ośrodka. Jest do czego dążyć i Evert robi, co się da. Powiedział mi, że sam się ogranicza do czterech porcji nielegalnej wody mineralnej dziennie.

Tęskni za psem. Mam wrażenie, że tęsknota jest wzajemna, chociaż przy tych minimalnych wysiłkach, jakie mimo ładnej pogody podejmuje Mo, żeby zaliczyć kolejny dzień, trudno to zauważyć. Nigdy nie słyszałem, żeby pies tak narzekał, kiedy musi wstać. Gdy już jesteśmy na dworze, to nawet określenie „wlec się noga za nogą” sugeruje znacznie więcej ruchu. Zawsze tak było, ale wygląda na to, jakby chodzenie przychodziło mu z jeszcze większym trudem. Regularnie muszę się zatrzymywać i na niego czekać, a to już coś znaczy.

Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy o następnych klubowych wycieczkach. Zgodnie z wolą Everta przesunięcie terminów, czy w ogóle rezygnacja, nie wchodzi w grę. W tej sytuacji zdecydowaliśmy, że będziemy nadal organizować wycieczki, chociaż animuszu jakby trochę mniej. Ale nie bardzo nam się uśmiecha ściągać na siebie gniew Everta.

– Okay, ale skoro już mamy to robić, to na całego – powiedział uroczyście Graeme, pierwszy organizator nowej rundy. Był trochę tajemniczy i spytał, czy nie mamy fobii czystości i czy wszyscy jesteśmy zaszczepieni na choroby tropikalne. Po czymś takim od razu powróciła dawna atmosfera klubu Staży.

Piątek, 12 lipca

Ostrożnie wybadałem, czy jest jakieś zainteresowanie krótkim letnim wyjazdem klubowym. Na początek u mojej przyjaciółki Eefje. Jeśli uzna, że to misja bez szans powodzenia, nie będę więcej marnował energii na ten pomysł. Ona jednak, po dłuższym namyśle (co kosztowało mnie mnóstwo nerwów), odniosła się do tego raczej pozytywnie.

– Nigdy mi to wcześniej nie przyszło do głowy, ale kto wie, może to całkiem dobry pomysł – powiedziała po chwili zastanowienia. – Muszę się z tym jeszcze chwilę przespać, Henk.

Spytałem, ile to jest „chwilkę”.

– Myślę, że tak ze dwa dni. Masz jeszcze tyle czasu?

x

Może zostało nam niewiele czasu, lecz z drugiej strony mamy cały czas tego świata.

W zasadzie powinniśmy się spieszyć, ale praktycznie nie ma już dla nas nic, co byłoby jeszcze warte jakiegokolwiek pośpiechu.

x

Bardzo złośliwe siostry Slothouwer podobno niechcący przewróciły wazon z chryzantemami pani Van Diemen. Edward widział całe zdarzenie i przysięga, że zrobiły to umyślnie. Siostry nie znoszą pani

Van Diemen. Jak zresztą każdego, kto otwarcie wypowiada się na temat ich aspołecznego zachowania. Najchętniej czepiają się słabszych. Są szurnięte i krwiożercze. Tyle szumu było ostatnio, że do Holandii wrócił jeden wilk, a tymczasem u nas grasują aż dwie hieny, i nic. Dyrekcja patrzy na to przez palce. Nie ma specjalnie wiele możliwości, żeby wpłynąć na zachowanie osób o sadystycznych skłonnościach. Nie można im, na przykład, dać kopa w tyłek. Natychmiast w prasie podniósłby się raban: *Dwie siostry w podeszłym wieku – 87 i 85 lat – ofiarami znęcania się!* Nie ma mowy, żeby pojawił się nagłówek w rodzaju: *Dwie siostry w podeszłym wieku – 87 i 85 lat – JAK NAJBARDZIEJ SŁUSZNIE poturbowane!*

Sobota, 13 lipca

Byłem wczoraj w południe odwiedzić żonę. Jest w zakładzie zamkniętym w Brabancji. Dwie godziny w jedną stronę. Czas na rozpamiętywanie tego, co było.

Nie jestem pewien, czy mnie poznaje, ale chyba tak. Pogoda była ładna, trzymałem ją pod rękę i zrobiliśmy sobie mały spacer po pięknym ogrodzie. Jak zawsze, byłem bardzo przejęty. Trudno mówić o jakiegokolwiek rozmowie. Chociaż prawie nie ma z nią kontaktu, pozostaje głębokie przywiązanie. Bardzo przyjemne, ale zarazem takie smutne.

Niedziela, 14 lipca

Z Evertem jest zupełnie nieźle, zważywszy na okoliczności oczywiście. Rehabilitacja postępuje szybko.

– Upadłem tylko trzy razy.

Uczy się chodzić o kulach, a w tym czasie przygotowują dla niego protezę, ale będzie ją mógł wypróbować dopiero, kiedy rana się zagoi.

Jak sam mówi, prawie przestał pić.

– W zasadzie piję już tylko wyłącznie dla towarzystwa.

Kiedy byłem u niego wczoraj, spytał, czy miałbym ochotę wyjechać z nim na tydzień do Brabancji. Syn go zaprosił do siebie na drugi tydzień sierpnia.

– Moim zdaniem, trochę na siłę – rzucił Evert jakby mimochodem. – Ma poczucie winy, że przez te wszystkie lata do mnie nie zaglądał.

Evert i jego bardzo poprawna synowa niezbyt się tolerują, pomyślał więc, że gdybym mu tak przez ten tydzień dotrzymał towarzystwa, to oczyściłoby to trochę atmosferę i dałoby się jakoś wytrzymać. Miałbym osobny pokój, a pies własny kąt.

– Moja synowa nie dość, że doskonale sprząta, to jeszcze świetnie gotuje, a jakbyśmy tak ich trochę przycisnęli, to pewnie wybraliby się z nami na jeden dzień do parku rozrywki Efteling. Przejechalibyśmy się razem na rollercoasterze Python.

Zgodziłem się. Tydzień wydał mi się za długo, więc zgodziliśmy się na pięć dni. A zatem szykują mi się małe wakacje.

Poniedziałek, 15 lipca

Dziewięćdziesięciolatki coraz dzielniejsi, głosi nagłówek w gazecie „Trouw”. Jeszcze dzielniejsi? No tak. Tak mówią duńskie badania.

Chodzi o lepszą sprawność mentalną i kognitywną, czyli mówiąc po prostu: o głowę. Ciało raczej za tym nie nadąża. Porównano stan obecny ze stanem sprzed dwunastu lat. Jeśli ta tendencja się utrzyma, to za te dwanaście lat jeszcze coś ze mnie będzie. Znow zaświtała jutrzienka nadziei dla osiemdziesięciolatek.

Spytałem pozostałych członków naszego klubu, czy byliby zainteresowani wspólnym wyjazdem na krótkie wakacje. Reakcje były entuzjastyczne. Tylko Grietje nie chciała się z góry deklarować.

– Wszystko zależy od tego, w jakim będę stanie w danym momencie – powiedziała. – Zauważyłam, że w obcym otoczeniu łatwiej wpadam w dezorientację.

Oczywiście doskonale ją rozumiem. Jak na razie Grietje radzi sobie ze swoją demencją ze zręcznością tancerki na linie. Zgrabnie omija luki, które w najmniej spodziewanych momentach pojawiają się w jej pamięci, i okrasza swoją niepewność zgrabną ironią.

– Na razie jeszcze tak – skwitowała, kiedy jej o tym powiedziałem.

Co do terminu wycieczki, to wszyscy wolą wrzesień. Taniej i spokojniej. W końcu jesteśmy holenderskimi staruszkami. No i najchętniej niezbyt daleko. Padła propozycja, żeby to był raj dla leciwych turystów, czyli Luksemburg. W grę wchodzi też Maastricht.

Wtorek, 16 lipca

„To spokojnie może jeszcze poczekać”, brzmi dość odważnie w ustach dziewięćdziesięciolatka, który nic, tylko siedzi w swoim pokoiku i czeka na śmierć.

Wielkie wydarzenia omijają wielu. Tylko drobne cierpienia zawsze znajdują do nich dostęp.

– Pewnie nie będzie już tylu wspaniałych nagród w bingo, jeśli Grecja zbankrutuje – brzmiała analiza kryzysu euro zaprezentowana przez panią Schouten.

Dla ludzi, którzy przez całe życie dwa razy obracali każdy grosz, zanim go wydali, dług publiczny USA wynoszący szesnaście bilionów dolarów jest czymś nie do pojęcia. Dla wszystkich innych oczywiście też. Za kilkadziesiąt miliardów można by zlikwidować głód na świecie i każdy miałby czystą wodę do picia. Tymczasem Amerykanie są zadłużeni na tysiąc miliardów euro i regularnie dopożyczają jeszcze pięćdziesiąt.

Postanowiłem, że umrę zadłużony. Nie jest to takie proste. Mam jeszcze wprowadzić na koncie osiem tysięcy euro, ale nie wiem oczywiście, na jak długo musi mi to starczyć. Na razie mam taki plan, żeby napędzać gospodarkę Holandii moimi ekstra wydatkami w kwocie tysiąca euro rocznie. Jeśli nie wyjdziemy z kryzysu, to na pewno nie przeze mnie.

Środa, 17 lipca

Człowiek siedzi sobie na dole przy kawie, jest w trochę melancholijnym nastroju i nagle słyszy:

– No i wtedy poszłam do piekarza, ale było już dość późno, bo mi się przeciągnęło robienie pedikiuru, i proszę o pół bochenka krojonego żytniego, a okazuje się, że mają tylko z siemieniem, za czym akurat specjalnie nie przepadam, przez te ziarenka, ale coś przecież jeść trzeba, znaczy normalnie to zawsze mam popakowane po dwie bułki w zamrażarce, ale akurat wnuczek mi wyjadł, wszystkie sześć bułek, ten chłopak to naprawdę je za czterech...

– No, moi chłopcy też nie gorsi. Po osiem naleśników z syropem, i to musi być Van Gilse, bo inne nie bardzo im smakują. Boże, jak tu zawsze duszno...

– Dawniej to się tego nie miało, znaczy zamrażarki, w domu zawsze musieliśmy najpierw zjeść czerstwy chleb, więc w zasadzie jedliśmy tylko czerstwy, a nigdy świeżego, moja mama kupowała trochę za dużo chleba, bo przecież nigdy nie wiadomo, i dopiero jak zaczynał pleśnieć, wolno było nakarmić nim kaczkę.

Niekończące się kaskady niepotrzebnych słów pleniących się niepowstrzymanie jak chwasty. Wszystko bez cienia refleksji. Bez znaczenia. Na zasadzie jakiegoś wewnętrznego przymusu. Wypowiadane tylko po to, żeby otoczenie wiedziało, że jeszcze nie odeszliśmy z tego świata i jak najbardziej wciąż mamy coś do zakomunikowania. Rzadko kiedy zastanawiamy się, czy kogokolwiek interesuje to, co mamy do powiedzenia, bo inaczej ludzie o wiele częściej trzymaliby gęby na kłódkę.

Czwartek, 18 lipca

W jednym z dawnych „Przewodników Konsumenta” Edward znalazł wyniki badań nad higieną w domach opieki społecznej. Poproszono o możliwość sprawdzenia pod tym kątem stu dwudziestu z około trzystu ośrodków. Połowa z nich, w tym także nasz, odmówiła udziału. Ostatecznie badania przeprowadzono na próbcie trzydziestu sześciu ośrodków. Wynik: osiemnaście niedostatecznych, jedenaście dostatecznych, osiem zadowolających i ani jednego dobrego. Czyżby kontrola okazała się tak surowa, czy raczej wszędzie był taki brud? Ci, którzy się nie zgodzili, pewnie byliby nie lepsi.

Spytałem Anję, czy może gdzieś znaleźć list do „Przewodnika Konsumenta”, w którym dyrekcja uzasadniała, dlaczego nie chce wziąć udziału w badaniu.

Większość naszych sprzątaczek i sprzątaczy porusza się po korytarzach w milczeniu, ponieważ w ogóle nie mówią po niderlandzku albo bardzo słabo. Ale potrafią uprzejmie kiwać głową. Część z nich nie wygląda na specjalnie szybkich. Można powiedzieć, że doskonale dopasowują się do tempa pensjonariuszy. Jak oceniam: średnie utrzymanie czystości za minimalne wynagrodzenie. Od czasu do czasu trafi się ktoś, kto wybija się ponad przeciętność. Najczęściej długo nie zagrzewa tu miejsca. Albo zostaje podkupiony przez konkurencję, albo wykurzony przez koleżanki i kolegów, którzy nie lubią nadgorliwych.

W poniedziałek kolejna klubowa wycieczka, tym razem organizowana przez Graemego. Evert pytał, czy przysłemy mu kartkę. Od razu kupiłem znaczek.

Piątek, 19 lipca

Pani De Koning, moja skromna, nieśmiała sąsiadka, przysłała do mnie dziś rano z klasycznym problemem: magnetofon kasetowy, który zjadł taśmę. Rozejrzała się strachliwie, zupełnie jakby chciała sprzedać heroinę, i wręczyła mi sprzęt. Musiała być już rzeczywiście zdesperowana, bo przez dwa lata, od kiedy tu mieszka, jeszcze nigdy o nic mnie nie prosiła.

– Tam jest nagrany głos mojego zmarłego męża – oznajmiła.

Udało mi się wydłubać taśmę, a następnie za pomocą ołówka włożonego w otwór w kasecie nawinąć z powrotem na bęben. Podziękowała mi chyba z siedem razy i ciągle się kłaniając, wyszła tyłem.

Od naszego adwokata dostałem kopię listu z odpowiedzią zarządu. Victor przyniósł ją osobiście. Było tam napisane, że rada w związku z ważnymi względami poufności nie ma, niestety, możliwości

udostępnienia żądanych przez nas dokumentów. Była też propozycja omówienia sprawy z adwokatem fundacji. Victor prosił, żebyśmy się zastanowili, jaki chcemy zrobić następny krok.

Umówiłem się razem z Eefje na rozmowę u niego w przyszłą środę.

Sobota, 20 lipca

Po raz pierwszy, od kiedy zacząłem prowadzić dziennik, mam niemoc twórczą.

Niedziela, 21 lipca

Zdarzają się pensjonariusze, którzy mają niepoprawny zwyczaj uskarżania się w czasie kawy na swój stolec. Najczęściej w niedzielę, kiedy przychodzi szczególnie dużo ludzi. Wtedy wszyscy dostajemy kawałek ciasta na koszt ośrodka. Wiem z wiarygodnego źródła, że to ciasto z Aldiego, w cenie dziewięćdziesięciu centów, które na zlecenie administracji musi zostać pokrojone na co najmniej piętnaście porcji, co oznacza, że otrzymujemy prezent wartości sześciu centów na osobę.

No i wtedy właśnie co poniektórzy, wielce się ceregieląc, odmawiają tego marnego kawałka ciasta ze słowami:

– No bo wiecie, państwo, już od czterech dni nie byłem w ubikacji!

Albo po prostu rezygnują, mówiąc:

– Całe rano spędziłem w ubikacji i jestem wypompowany.

JA WCALE NIE CHCĘ TEGO WIEDZIEĆ!

Omówcie to raczej z lekarzem albo udajcie się do kliniki od zaparć (podobno jest coś takiego), zamiast zadrećcać mnie waszymi gównianymi opowieściami, kiedy akurat jem ciasto, bo wtedy mi się go zwyczajnie odechciewa!

Zdumiewający bezwstyd charakteryzujący wiele starszych osób... W połączeniu z dziwnym przeświadczeniem, że obcy ludzie są zainteresowani ich wywodami, no bo przecież inaczej by zaprotestowali.

Małe dzieci mogą się głośno skarżyć na ból brzucha albo obtarte kolana, żeby mama mogła im dać szklankę ciepłego mleka albo nakleić plasterek, ale to wieczne narzekanie ludzi starych kompletnie niczemu nie służy i jest nie do zniesienia.

x

Jutro cały dzionek z nieocenionym klubem StaŻy.

Poniedziałek, 22 lipca

Przerwa w Tour de France została zagospodarowana przez Graemego. To on organizuje nasz pierwszy wolny dzień w nowej turze. Określenie „wolny dzień” może się wydać trochę mylące, bo zważywszy naszą średnią wieku, wynoszącą 82,5 roku, atrakcje, jakie sobie serwujemy, są niczego sobie.

Organizowane raz na pół roku przez radę mieszkańców wycieczki sprowadzają się do tego, żeby na zasadzie niespodzianki napić się kawy gdzie indziej niż w ośrodku (10.30), zjeść lunch gdzie indziej niż w ośrodku (12.30) czy napić się herbaty gdzie indziej niż w ośrodku (15.30), a resztę czasu spędzić w autobusie, przemieszczając się od jednego miejsca do drugiego. Czyli prawie jak przeciętny dzień tu, na miejscu. Za dodatkową atrakcję na tej wycieczce można uznać siedmiokrotne wypuszczanie i wpuszczanie do autobusu czterdziestu pięciu osób w podeszłym wieku i trzykrotne wizyty wszystkich uczestników w toalecie dla inwalidów w każdym z odwiedzanych lokali.

Od ostatnich dwóch takich ośrodkowych wycieczek wymówiłem się chorobą. Za drugim razem patrzono już na mnie bardzo podejrzliwie:

– Znowu? Akurat dzisiaj?

Raz to przypadek, dwa razy to celowa złośliwość. Przy trzecim jesteś już pariasem. Na pewno będę musiał zaliczyć ze dwie kolejne z rzędu.

Jakże inne są odświeżne wycieczki naszego klubu StaŻy! Aktywne aż do kompletnego wycieńczenia i z konsumpcją we właściwym czasie kawy, chleba i wina, bo nic, co ludzkie, nie jest nam obce.

Wtorek, 23 lipca

Na szczęście było miło, że pozwolę sobie na komunał. Z początku bałem się, że nieobecność Everta położy się cieniem na tym dniu, ale wyszło lepiej, niż można się było spodziewać.

Spędziliśmy cały dzień w ogrodzie zoologicznym Artis, z emocjonalną kulminacją w postaci małego goryłatka, które po nieudanej próbie stania na rękach wylądowało w sałatce owocowej przygotowanej dla jego mamy.

Graeme był tutaj wcześniej na rekonesansie i zorganizował coś w rodzaju podchodów z dowcipnymi zadaniami. Nagrody przy drinku. Ria dostała nagrodę pocieszenia, bo kiedy miała oszacować wagę słonia, pomyliła się „tylko” o dwa tysiące siedemset kilogramów. Widocznie waga, którą miała w oku, była jakąś zużytą wagą łazienkową, dla której jeden kilogram w tę czy we w tę nie odgrywa roli.

Zadzwoniliśmy do Everta, by mu powiedzieć, że nam go brakuje, na co on zaordynował przez telefon kolejkę dla wszystkich.

Graeme zabrał ze sobą trzy łatwe w obsłudze aparaty cyfrowe, żebyśmy mogli zrobić fotograficzne safari. Na przykład ja z Edwardem miałem zrobić cykl tematyczny „tyłki”. Inni z kolei mieli sfotografować zwierzaki, które najbardziej przypominają kogoś z naszej grupy.

Graeme obiecał, że na następne zebranie klubowe przygotuje z tego jakąś zabawną prezentację w PowerPoint. Może uda się załatwić, żebyśmy zrobili to wszyscy wspólnie.

O jedenastej wyszliśmy z ośrodka, a o piątej wróciliśmy. Byłem wykończony. Zamówiliśmy dla naszej grupy trzy wózki inwalidzkie, tak że mogłem sobie regularnie przysiąść, ale jak na mnie to i tak bardzo dużo chodziłem, chociaż prawdę mówiąc, od ławki do ławki. Mieliśmy jednak dwie nieocenione osoby do pchania wózków, Antoine’a i Graemego. Inni są znacznie lepsi w byciu pchanym na wózkach.

Środa, 24 lipca

Upał zbiera w naszym ośrodku krwawe żniwo: trzy zgony w ciągu dwóch dni. FALA UPAŁÓW KŁADZIE STARUSZKÓW POKOTEM! Ładny nagłówek. Sam go wymyśliłem.

Wygląda na to, że my, ludzie w podeszłym wieku, wykorzystujemy obeszła upały, żeby po cichutku wynieść się z tego świata.

Dzisiaj rano byłem z Eefje u naszego adwokata. Victor jest przekonany, że odpowiedź zarządu jest obliczona przede wszystkim na zyskanie na czasie i wpędzenie nas w koszty. A chodzi o to, żeby nas odstraszyć.

Cała sprawa coraz bardziej go bawi i jako honorarium zażyczył sobie co tydzień butelkę wina z innego kraju. W miarę trwania sprawy trzeba będzie wybierać kraje coraz mniej znane z winiarskich tradycji. Po roku możemy zacząć od początku.

– Bo wcale bym się nie zdziwił, gdyby zabrało nam to nawet ze dwa lata.

Najwyraźniej Eefje i ja wyglądaliśmy na trochę zasepionych, bo zaraz dodał:

– Oczywiście ze względu na zaawansowany wiek klientów postaram się sprawę maksymalnie przyspieszyć. Nie wspomnę o wieku adwokata.

Obiecał, że natychmiast wysmaży list do wskazanego przez zarząd prawnika, żeby uruchomić całą procedurę prawną.

I przez całą rozmowę ten sam afektowany ton, jak ze złej sztuki teatralnej.

Zaczynamy go coraz bardziej lubić.

Czwartek, 25 lipca

Wielkie poruszenie: poszła plotka, jakoby pan Vergeer, jeżdżący na wózku inwalidzkim, spadł ze schodów. Z niewielką pomocą swojej żony. Leży teraz z licznymi złamaniami w szpitalu, a pani Vergeer kilkakrotnie już była przesłuchiwana na okoliczność wypadku przez panią dyrektor we własnej osobie. Ciekawe, czy tej sprawie też da się ukreć łeb.

Wiadomo już, że dwie osoby widziały na własne oczy, że pani Vergeer zrobiła to specjalnie. Ona twierdzi, że zsunęły się gumy z uchwytów. Chyba miała je nawet w rękach, kiedy reszta wózka leżała już dziesięć stopni niżej. Przeciwno jej tłumaczeniu przemawia fakt, że nie było najmniejszego powodu zjeżdżać schodami, no, chyba że chciała napędzić mężowi stracha. Co z kolei byłoby zrozumiałe, bo pan Vergeer zawsze bardzo źle traktował małżonkę. Jeśli się do niej odzywał, to były to wyszczekiwane komendy. Mimo to pani Vergeer od lat się nim opiekuje z wielką cierpliwością, oddaniem i miłością. W zasadzie to powinno się go już znacznie wcześniej zepchnąć ze schodów.

Ciekaw jestem, czy uda się zapobiec przedostaniu się tego do gazet. Wystarczyłby jeden telefon do „Het Parool”, a od razu ktoś by się tym zainteresował.

Zostaliśmy usilnie poproszeni, aby „dla dobra wszystkich mieszkańców ośrodka” nie rozmawiać między sobą o tej sprawie. Jeśli ktoś ma jakieś pytania, może się zwracać bezpośrednio do pani dyrektor.

Ponieważ moja sympatia leży po stronie domniemanej sprawczyni, nie będę się wypowiadał o tym dziwnym postępowaniu, ale to oczywiście skandal, że można pensjonariusza zupełnie bezkarnie zepchnąć ze schodów tylko dlatego, że pani dyrektor boi się negatywnego rozgłosu.

Postanowiłem na razie wierzyć w nieszczęśliwy wypadek. Za kraty pani Vergeer zawsze jeszcze zdąży trafić.

Piątek, 26 lipca

Evert wrócił dzisiaj rano. Było trochę radosnego zamieszania z tartą i girlandami. Dla podkreślenia odświętności zademonstrował nam, jak się odpina i przypina protezę. Zrobił to z autentyczną i nieskrywaną dumą, ale jednak część z klubowiczów nie mogła się powstrzymać przed odwróceniem wzroku.

Potem rozmawialiśmy szczegółowo o krokach, jakie klub Staży podjął, żeby ułatwić mu pierwsze dwa tygodnie w roli świeżo upieczonego inwalidy.

– Ale po tych dwóch tygodniach nie chcę już nikogo widzieć, bo sam będę załatwiał swoje sprawy – powiedział Evert.

A potem wyjął i otworzył butelkę dobrego wina i wzniósł razem z nami toast za swoją nową nogę. Z dużą ilością lodu białe wino doskonale nadaje się na napój chłodzący. W końcu nie było jeszcze dwunastej.

x

Sprawa pana Vergeera, tego od wypadku na schodach, wciąż jest tematem gorących dyskusji. Czy naprawdę było tak, że żona przyłożyła rękę do jego zjazdu do szpitala? Oficjalna wersja dyrekcji jest taka, że pani Vergeer, poniekąd w wyniku chwilowego zamroczenia panującymi w budynku wysokimi temperaturami, popełniła drobny błąd przy kierowaniu wózkiem męża, ale bezpośrednią przyczyną tego pożałowania godnego wypadku były jednak poluzowane gumy na uchwytach. Świadkowie, którzy w pierwszej chwili twierdzili zgodnie, że pani Vergeer zrobiła to umyślnie, nagle zaczęli przebąkiwać, że może jednak nie widzieli zbyt dokładnie.

– Tak, tak, zwykła fatamorgana z powodu fali gorąca – nie mógł się powstrzymać od złośliwej uwagi pan Bakker.

x

Miałem iść kupić skuter, ale w całym tym zamieszaniu jakoś mi się nie udało. W takim razie jutro.

Sobota, 27 lipca

Stało się: jestem właścicielem *élégance 4*. Stabilny, komfortowy, w pięknym odcieniu czerwieni i mały promień skreću. Oto rezultat mojej wizyty w sklepie ze skuterami. Odbylem jazdę próbną na trzech różnych pojazdach. Odpadł tani capri, który sprawiał wrażenie zabawki, i jeszcze jakiś drugi – zapomniałem jego nazwy – który po prostu za dużo kosztował. Powiedziałem panu ze sklepu, że już od lat jeżdżę na skuterze, co wydawało mi się wskazane dla jego samopoczucia, kiedy zgodził się, żebym odbył jazdę próbną.

Czas dostawy trzy tygodnie, więc zaraz po krótkich wakacjach z Evertem będę mógł zasiać tutaj niepokój moim czerwonym potworem. Muszę się jeszcze tylko dowiedzieć w kwestii ubezpieczenia.

Dziwne, że sprzedawca nic na ten temat nie powiedział. Najczęściej nie jest to dobry znak.

Idę jeszcze do pana Hoogdalena, żeby porozmawiać o różnych akcesoriach, które chciałbym zamówić przez warsztat jego syna. Cieszę się z odzyskanej mobilności.

x

W ramach osuwania demencji Grietje napisała z moją pomocą dwa kolejne liściki, które ma przy sobie nosić.

1. Co zrobić, kiedy zgubię drogę?
2. Co zrobić, kiedy nie będę wiedziała, kto jest kim?

Obydwa liściki zaczynają się od zdania: „Bardzo przepraszam, ale zrobiłam się okropnie zapominalska...”.

Niedziela, 28 lipca

Jeśli ta fala upałów się utrzyma, zgłoszę propozycję, żeby straż pożarna przystąpiła do stałego oblewania osób starszych wodą. Nie dość, że powszechne skargi na upał są równie trudne do zniesienia jak sam upał, to jeszcze znowu zmarł jeden z pensjonariuszy, już czwarty w ciągu tygodnia. O ile wiem, jest to rekord. I tym razem na szczęście rzecz znowu dotyczy osoby mało mi znanej, a więc nie mam obowiązku uczestniczenia w pogrzebie.

Budynek ośrodka liczy jakieś czterdzieści lat i poza żaluzjami w oknach nie zadbano o nic, co pozwoliłoby zachować w środku znośne temperatury.

– Przecież starzy ludzie ciągle marzną – miał podobno powiedzieć architekt.

Istnieje niebezpieczeństwo, że temperatura wewnątrz budynku przekroczy trzydzieści stopni. Zakupiono przenośne klimatyzatory i ustawiono wiatraki, żeby jakoś utrzymać nas przy życiu, ale na wysokość temperatury ma to wpływ na razie niewielki.

Moja przyjaciółka z jaskini lwa doniosła mi, że dyrektorka ma poważne obawy, że jak tak dalej pójdzie, to trafimy do gazet z powodu wysokiej śmiertelności. A do końca przyszłego tygodnia zapowiadają temperatury powyżej trzydziestu.

Poniedziałek, 29 lipca

Zmarła śpiewaczka jazzowa Rita Reys, której muzyka towarzyszyła mi przez całe życie. Zrobiłem test: wszyscy znali nazwisko, ale nikt nigdy nie słyszał żadnej jej płyty. *Dibi-dubi-du-ba, da-da-di-ba-du.*

Jest dużo skarg na jedzenie. Znacznie więcej niż zwykle. Nowy kucharz, zdaniem wszystkich, dodaje do potraw o wiele za mało soli i musi chyba mocno współczuć osobom ze sztucznymi szczękami, bo wszystko jest nawet bardziej niż rozgotowane. Praktycznie każde danie można jeść przez słomkę. Coraz więcej ludzi zamienia naszą ośrodkową kuchnię na gotowe dania z mikrofalówki.

Problem polega na tym, że nikt nie ma odwagi stanąć na czele powstania przeciwko tym praktykom, a prawdopodobieństwo, że ktoś spali się z tego powodu żywcem, jest znikome już choćby dlatego, że większość boi się zapalić zapałkę.

Rozmawiałem w gronie klubowiczów, czy nie powinniśmy wystosować listu do dyrekcji w sprawie jedzenia, ale ostatecznie postanowiliśmy, że na razie damy „innym” szansę się wyróżnić. Poinformujemy o tej możliwości największych narzekaczy.

Dwójka pensjonariuszy – pan Grafdijk i pani Delporte – ma akcje giełdowe. Nie może być tego wiele, bo inaczej by tutaj nie siedzieli, ale udają z tego powodu niezwykle ważnych. Abonują wspólnie „Het Financieel Dagblad” i szukają tam spółek, których akcje mają wystrzelić w górę jak rakietę. Jeśli na czymś tracą, to jest to zwykły pech, jeżeli zdarzy im się zyskać, to jest to wynik ich znakomitej znajomości rynku finansowego. Artykuł w gazecie, w którym pisano, że pewne doświadczenie z małpą wykazało, że chociaż nie dysponowała ona żadną wiedzą, miała równie dobre rezultaty co analityk giełdowy, był dla nich dużym ciosem.

– Małpa miała po prostu szczęście – stwierdził pan Grafdijk kwaśno.

Wtorek, 30 lipca

Dwa tysiące interwencji pogotowia po wypadkach na skuterach elektrycznych. Eefje przyniosła mi artykuł z gazety z tymi twardymi danymi, kiedy z dumą poinformowałem ją o nabyciu élégance 4, prawdziwego saaba wśród skuterów elektrycznych. Większość wypadków odbyła się bez udziału osób trzecich, no, chyba że za taką uznamy na przykład krawężnik. Nieźle się ludziska przewracają.

W zeszłym roku w Holandii było według szacunków trzysta pięćdziesiąt tysięcy skuterów elektrycznych, więc dwa tysiące wizyt w szpitalu to, według mnie, jeszcze nic strasznego, zważywszy na zenujące umiejętności prezentowane przez leciwych kierowców. Zapominanie jest rzeczą ludzką, ale dodawanie gazu i naciskanie hamulca to coś, co można chyba ogarniać. Część jazdy egzaminacyjnej powinna się odbyć w zatłoczonym supermarkecie.

Jeśli o mnie chodzi, to jestem niezłym kierowcą, a przynajmniej tak mi się wydaje. Kiedyś przez rok jeździłem wózkiem widłowym. Mam za sobą wiele wygranych wyścigów z kolegami. Oczywiście było to już dość dawno temu, ale wyczucie się jeszcze ma. W czasie jazd próbnych widziałem, że ludzie z politowaniem patrzą na nasze fotele na kółkach. Nawet to rozumiem.

W markecie Kruidvat jakaś dość gruba i wcale nie tak stara kobieta zaklinowała się na amen w przejściu między kasami. Nie mogła się ruszyć ani w przód, ani w tył. To naprawdę nie jej wina, że przegapiła tabliczkę z napisem SZEROKIE PRZEJŚCIE przy jednej z sąsiednich kas.

Środa, 31 lipca

Parę lat temu pewne belgijskie małżeństwo dokonało na sobie eutanazji. On (83) w ostatnim stadium raka i ona (78) z poważnymi niedomaganiem starczymi i niewidząca sensu w dalszym życiu bez męża. Odeszli, trzymając się za ręce. Jest w tym coś romantycznego.

Ministerstwo wciąż jeszcze prowadzi śledztwo, kto pomógł tym dwojgu kochającym się ludziom łagodnie zapaść w wieczny sen. Mam nadzieję, że nie uda im się wytropić osoby odpowiedzialnej za ten czyn, będący świadectwem miłości bliźniego.

Przypomniałem sobie o tym, kiedy przeczytałem, że – również w Belgii – starsze małżeństwo spadło razem ze schodów. Obydwoje zginęli, chociaż raczej był to przypadek. Pewnie i tak lepsze to niż smutna egzystencja ze złamanym biodrem i zgruchotaną podstawą czaszki. Lata wegetacji, zanim słodka śmierć uwolniłaby jego lub ją od cierpienia.

Co do mnie, to próbowałem już tu i ówdzie zasięgnąć informacji, jak można w prosty sposób i bez specjalnego hałasu skończyć z życiem. Zawsze z solennym zapewnieniem, że nie mam żadnych planów z tym związanych i pytam „tak na wszelki wypadek”. Rezultat: zalęknione spojrzenia, niewiele przydatnych wskazówek. Co mi właśnie przypomniało, że mam o tym porozmawiać z moim geriatrą.

Czwartek, 1 sierpnia

Evert regularnie kokietuje swoją protezą i robi prawdziwe przedstawienie z zakładania i zdejmowania sztucznej nogi.

– Trochę gniecie, muszę na chwilę zdjąć – mówi i kładzie plastikową połówkę nogi na stole między ciasteczkami.

Po wielu upomnieniach ze strony personelu dyrektorka osobiście przysłała mu powiedzieć, że w czasie pobytu w świetlicy nie wolno mu zdejmować protezy.

– Naprawdę? To jest gdzieś napisane? W jakimś regulaminie albo w czymś?

Pani Stelwagen wahała się przez chwilę, czy reagować, a potem spiorunowała go wzrokiem i poszła. Na poziomie taktycznym trudno jej nie docenić. Wyczucie czasu też ma nie najgorsze. Nigdy nie pokazuje kart, okazuje niewiele emocji i brudną robotę zostawia innym. Na razie nie udało mi się odkryć u niej słabych punktów.

Dzisiaj rano Anja wręczyła mi stos dokumentów. Nasze ośrodkowe WikiLeaks. Spróbuję w ciągu najbliższych dni to przejrzeć. Na dogłębniejszą lekturę będę miał czas, jak wyjadę z Evertem do Uden.

x

Dzisiaj rano belotka z Evertem. Opracował skomplikowany system znaków, żeby mnie informować, jaki kolor powinien zostać atu.

– Tylko na wypadek wyższej konieczności i przy konkretnych przeciwnikach – dodawał zawsze usprawiedliwiająco.

Moja uczciwa natura wzbrania się przed tym, ale zgadzam się zrobić wyjątek, kiedy gramy z panem Bakkerem czy panią Pot i grozi nam przegrana. Czasem się zdarza, że ze względu na wyższą konieczność trzeba zapomnieć o zasadach.

Piątek, 2 sierpnia

Dokumenty, które „przebiekły” do mnie z sekretariatu, nie są szokujące, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Szkoda. Niemniej jednak po bardziej szczegółowej lekturze da się pewnie znaleźć parę smacznych kawałków.

Nasz „szpieg” dostarczył:

1. Protokoły z ostatnich pięciu posiedzeń zarządu
2. Regulamin ośrodka
3. Stosik wewnętrznych notatek
4. Protokoły po zgonach pensjonariuszy
5. Przepisy dla personelu

Przyniosłem kopie wybranych dokumentów do Eefje. W czasie kserowania w supermarkecie miałem wrażenie, że wszyscy mnie obserwują, i z nerwów kartki ciągle wypadają mi z rąk. Marny byłby ze mnie szpieg. Nie bardzo wiemy, co zrobić z naszym adwokatem, bo Victor próbuje uzyskać na drodze oficjalnej dokumenty, które my dostaliśmy już nielegalnie z „wiarygodnego źródła”.

W belotkę byliśmy ostatecznie z Evertem gdzieś w ogonie, może nawet lepiej. I tak nie jesteśmy tam zbyt lubiani, a zwycięstwo w turnieju wielkanocnym nie przysporzyło nam przyjaciół. Dziecinna zawiść staje się u niektórych naprawdę chora. Ludzie zazdroszczą innym dosłownie wszystkiego, a co dopiero pierwszej nagrody w turnieju karcianym, nawet gdyby to miała być tylko wątrobianka.

Mottem tej grupy wiecznie niezadowolonych jest chyba: „Jak maksymalnie utrudnić sobie życie”. Zupełnie jakby sam fakt bycia starym nie był już wystarczającym utrudnieniem.

Sobota, 3 sierpnia

Zupełnie jak za dawnych lat jestem trochę przejęty tym moim wyjazdem. Dwanaście lat nie byłem na wakacjach.

Na torbie turystycznej z lat sześćdziesiątych zebrał się ciemnoszary kurz, pewnie też z lat sześćdziesiątych. Chyba najwyższy czas, żebym zaczął żyć tu i teraz, więc przy drzwiach stoi spakowana nowiutka walizka na kółkach. Ładny, stabilny model, na którym można też spokojnie przysiąść, jeśli się człowiek zmęczy.

Jan, syn Everta, będzie tu po nas za godzinę i jedziemy do Brabancji. Evert twierdzi, że Jan cieszy się z naszej wizyty, w przeciwieństwie do synowej, Estery, która już od trzech dni nie może się pozbierać z powodu stresu związanego z wizytą dwóch zgrzybiałych lokatorów.

– Myślę, że przyzwyczajanie się do naszej obecności zajmie jej kilka dni, a więc akurat tyle, ile tam będziemy – powiedział.

Trochę się czułem z tego powodu głupio, ale Evert uważa, że niepotrzebnie.

– Ona zawsze musi się czymś przejmować, jeśli nie nami, to kotem sąsiada.

W tym konkretnym przypadku to i nami, i kotem sąsiada, bo zabieramy ze sobą Mo, a on ma z kotami na pieńku.

Po raz ostatni zastanawiam się, czego to mogłem zapomnieć.

Zgłoszę się tu dopiero w piątek, dziewiątego sierpnia, chyba że zajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności.

Piątek, 9 sierpnia

Uden, każdy powinien tam pojechać! Było miło. Przyjemny przerywnik w nudnej jednostajności. Z przykrością muszę przyznać, że przywiązanie do ciasnego, spokojnego świata domu seniora okazało się większe, niż przypuszczałem. Wraz z upływem lat słabnie zdolność przystosowywania się do nowych okoliczności. Wydawało mi się, że jestem bardziej elastyczny. Ale już po pięciu dniach zatęskniłem za moim małym pokoikiem w domu pełnym starych ludzi. Pocieszam się tylko myślą, że jestem jednak nieco mniej skostniały niż przeciętny pensjonariusz.

Jan, syn Everta, jest uderzająco podobny do ojca. Niesamowicie zabawny gość. Ale po pięciu dniach przychodzi jednak taki moment, że człowiek sobie myśli: już sam Evert jest dostatecznie męczący. No, ale na szczęście mniej więcej wtedy przyszedł czas, żeby się pożegnać.

Dużo się śmialiśmy, codziennie dokądś się wybieraliśmy, jeździliśmy na gokartach, graliśmy w minigolfa i monopol, a dorastający syn i córka Jana pokazali nam podstawy grania na komputerze i na konsoli Wii. Otworzył się dla mnie nowy świat. Niestety, od dzisiaj jest już zamknięty.

Estera, żona Jana, obawiała się, że będzie miała ciężki tydzień. Bałaganiarski teść na spólkę z bałaganiarskim mężem w jej przyzwoitym i olśniewająco czystym domu – to było dla niej duże wyzwanie. Moja rola, tak jak się umówiliśmy z Evertem, miała polegać na łagodzeniu sytuacji. I muszę przyznać, że mi się to udało. Kosztowało mnie jednak trochę wysiłku, żeby w towarzystwie dwóch nieokrzesanych facetów odgrywać rolę kulturalnego, szarmanckiego i sypiącego komplementami starszego pana.

– Przestań już, ty stary wazeliniarzu, bo się porzygam – rzucił mi parę razy szeptem Evert.

Sobota, 10 sierpnia

Wymyśliłem wycieczkę dla klubu: golf clinic, czyli nauka podstaw gry w golfa. Golf wygląda na dyscyplinę sportu doskonale nadającą się dla starszych ludzi, chociaż zastanawiam się, czy dla bardzo starszych też. Moim zdaniem, chyba nie, ale minigolf wydaje się już nieco poniżej naszej godności.

Dzisiaj rano zadzwoniłem na pobliskie pole golfowe. Wyjaśniłem, kim jesteśmy i czego oczekujemy: przyjemnego spędzenia czasu z jakimś lekkim wyzwaniem. Pani przy telefonie wysłuchiwała mnie uprzejmie i powiedziała, że spróbuje coś takiego załatwić. Trochę mnie przeraziła cena pięćdziesięciu pięciu euro od osoby – z kawą i ciastkami, ale bez wina i bez bitterbollen. Sam się zdziwiłem, kiedy usłyszałem swój głos:

– Nie ma najmniejszego problemu.

Nie jestem dobry w targowaniu się. Zdecydowanie nie powinienem się do tego zabierać.

Za te pieniądze przez trzy godziny jesteśmy zaopiekowani, z instruktorem, ćwiczeniami i małą partyjką na pólku dla początkujących. Wydaje mi się to wystarczająco zabawne, żeby zainwestować trochę własnych pieniędzy, tak żeby cała przyjemność była dostępna cenowo dla pozostałych członków klubu. Czas chyba powoli zacząć napocząć moje zaskórniaki na czarną godzinę, czyli osiem tysięcy euro.

Trochę nie byłem pewien, jak to będzie z Evertem, ale pani przy telefonie zapewniła, że bardzo często grają u nich inwalidzi. Zarezerwuje dla nas dwa wózki inwalidzkie. Za trzydzieści euro.

Umówiłem się na czternastego września.

Niedziela, 11 sierpnia

Jutro idę po mój nowiuteńki czerwony skuterek. Jestem przejęty jak dziecko.

x

Grietje wparowała wczoraj do mnie z wielkim bukietem kwiatów i bonem na książki. Kiedy ją zapytałem, czym sobie na to zasłużyłem, pokazała mi książkę o demencji z podkreślonym zdaniem: „Choroba sprawia, że osoba z demencją zupełnie nie zauważa tego, co się dla niej robi”.

– Tak więc z góry ci dziękuję.

- Naprawdę nie trzeba.
- Może i nie trzeba, ale chciałam to zrobić.

Byłem wzruszony.

Książkę *Opieka przy chorobie Alzheimera* też chcę mieć. Już ją kiedyś czytałem i znalazłem parę przydatnych wskazówek.

Grietje zaniósła prezenty kilku osobom. Dowiedziałem się tego przy herbatce u Eefje.

Nasze spotkania przy herbatce u Eefje to bardzo przyjemne chwile. Bez sadzenia się na cokolwiek: zwykła herbatka, coś słodkiego, gadanie o wszystkim i o niczym, a czasem bardzo głęboka i osobista rozmowa. Innym znów razem słuchamy wspólnie muzyki albo dyskutujemy o jakiejś książce albo filmie. Po prostu lubimy swoje towarzystwo.

Poniedziałek, 12 sierpnia

Odebrałem skuter i przyjechałem nim do ośrodka. Dumny jak dziecko z nowego rowerka. Jeździ się świetnie. Wszystko sobie po swojemu wypróbowałem w parku. Wjeżdżanie na krawężnik, zjeżdżanie z krawężnika, ostry skręt w lewo, ostry skręt w prawo. Dodawanie gazu, hamowanie. Kawałek po trawie, kawałek po błocie. Poniedziałek rano, więc nie było żywej duszy. Skuter jeździ całkiem szybko, ale i tak mam zamiar trochę go podrasować. Zdaniem naszego eksperta od skuterów, pana Hoogdalena, to bardzo prosta rzecz. Umówiłem się z nim, że w przyszłym tygodniu podjadę do warsztatu jego syna.

x

Poszukałem trochę w gazetach i w internecie pod kątem wycieczek dla osób w podeszłym wieku. Propozycji jest całe zatrzęsienie. Na przykład *Wycieczki na poziomie dla seniorów* oferują dwunastodniowe wyjazdy autokarem do Szwajcarii za dwa tysiące euro. Pewnie to ten poziom tak wpływa na cenę. Musi być bliżej i taniej. W przyszłym tygodniu spróbuję się dowiedzieć, ile kosztuje wynajęcie komfortowego busa z kierowcą na pięć dni. Potem jeszcze znaleźć jakiś przytulny i atrakcyjny cenowo hotelik w Szampanii, i już mamy pierwsze wakacje w ramach klubu StaŻy.

Poproszę Eefje, żeby była współorganizatorką.

Przyjemne perspektywy są bardzo ważne, żeby cieszyć się życiem.

Wtorek, 13 sierpnia

Zarówno z okazji królewskich radości, jak i królewskiej żałoby nasz ośrodek zawsze staje się cały pomarańczowy. Śmierć księcia Friso, który od lutego był w stanie śpiączki po tym, jak zasypała go lawina, wzbudziła powszechny smutek wśród pensjonariuszy, chociaż w sumie była bardziej wybawieniem. Nikt przecież nie będzie życzył rodzinie wieloletniego patrzenia na cierpienia kogoś, kto już praktycznie nie żyje.

Byłem dziś rano u geriatry. Zadałem mu pytania o objawy alzheimera i o to, co wtedy można zrobić. Odpowiedź na ostatnie pytanie jest mało pocieszająca: w zasadzie nic.

Powiedział, że nie widzi u mnie żadnych symptomów, więc wyjaśniłem, że pytam w związku z moją przyjaciółką. Zasugerował kroki, które w ogólnych zarysach już podjęliśmy. Przynajmniej z tego możemy

być zadowoleni.

Potem mnie zbadał i zawyrokował, że w moim przypadku tempo procesu starzenia utrzymuje się w „pryzwoitych granicach”.

– A jakie są te „pryzwoite granice”? – spytałem.

– Cóż, łagodnie opadająca równia pochyła, pozwalająca domniemywać, że jeszcze przez kilka lata jakość życia będzie zadowalająca.

Poradził mi znowu, żebym całkiem przestawił się na pieluchy.

Spytałem go, jak się zapatruje na jakość życia osoby w podeszłym wieku zmuszonej do noszenia pieluch.

On mi na to, że zna wiele osób, które mimo pieluch są „jak najbardziej” szczęśliwe.

Potem sprawdził różne moje zużyte stawy („niewiele da się zrobić”), a na koniec obejrzał listę moich leków i dokonał pewnych modyfikacji.

Po trzykrotnym przełknięciu śliny zdobyłem się na pytanie o eutanazję.

Usłyszałem, że w zasadzie nie jest jej przeciwnikiem, ale też nie propaguje.

– A czy w takim razie mogę liczyć na pańską pomoc, kiedy już po dogłębnym zastanowieniu poproszę o pomoc w odejściu?

Uff, nareszcie odważyłem się zapytać.

Lekarz namyślał się chwilę, a potem skinął głową.

Zapadła na chwilę cisza. W końcu powiedział, że przy następnej wizycie możemy o tym szerzej porozmawiać.

– To są sprawy, które wymagają czasu.

Zapomniałem jeszcze spytać, jak osoby w podeszłym wieku reagują na kokainę, bo chciałbym jeszcze spróbować.

Środa, 14 sierpnia

W miejscowości Kootsterhilke we Fryzji jakiś emeryt na skuterze elektrycznym wpadł do Kanału Księżniczki Margriet i utonął. Niech to będzie dla ciebie przestrogą, Groen! Nie wyobrażaj sobie, że z ciebie taki Nikki Lauda i że bez przerwy możesz zasuwać z dźwignią na „zajacu”.

Wczoraj w południe zrobiłem sobie przejażdżkę moim nowym ferrari. Obejrzałem fragmenty dzielnicy, w której kiedyś mieszkałem, i gdzie nie byłem od lat. Co za ulga, że już nie jestem skazany tylko na własne nogi i busa. Powinienem kupić skuter już kilka lat temu. Trzeba bardzo uważać, bo niebezpieczeństwo może się pojawić z każdej strony, ale głównie ze strony motorowzystów i rowerzystów. O dziwo, samochodów należy się obawiać najmniej, a piesi muszą uważać na mnie. Ale młodzież na motorowerach i rowerach trzeba cały czas mieć na oku, bo im się wydaje, że są królami ścieżek rowerowych. Pogarda dla skuterów elektrycznych wręcz wyziera im z oczu.

Muszę sobie szybko kupić jakiś strój przeciwdeszczowy, bo wczoraj przez godzinę stałem w tunelu, ponieważ miałem na sobie tylko letnią kurtkę, a zaczęła się ulewa.

Na skrzyżowaniu można zaobserwować ciekawe zjawisko: przy najmniejszej wątpliwości ludzie czekają na wszystko i wszystkich, a potem, kiedy im się wydaje, że to już za długo trwa, ruszają w momencie, kiedy robi się naprawdę niebezpiecznie.

Czwartek, 15 sierpnia

W naszym ośrodku narodziła się Partia Osób Starszych.

Osoby starsze grożą stać się ofiarami oszczędności podejmowanych na szczeblu ogólnokrajowym w opiece, jak też w lokalnych tejsze instytucjach. Ze względu na taki rozwój sytuacji, w naszym domu seniora nieniejszym utwarza się oddział Partii Osób Starszych Amsterdamu, żeby wyjść naprzeciw do lokalnych potrzeb.

Jeśli liczba błędów gramatycznych ma być odzwierciedleniem jakości tego oddziału partii, to nie ma się z czego śmiać.

Panowie Krol i Nagel z partii 50PLUS nie mają specjalnej chęci, żeby ich partia brała udział w wyborach do rad gminnych w marcu 2014 roku. Dobrze wiedzą, co by ich czekało: tłumy kłócących się ze sobą, niekompetentnych oportunistycznych babć i dziadków, panoszące się w salach rad gminnych w całej Holandii. Nie chcą pozwolić, żeby ktoś posługiwał się w tym celu ich partią.

Główny punkt programu naszego oddziału POS: więcej ławek dla osób starszych.

Partia 50PLUS ma szansę stać się istotnym elementem układu sił. Może liczyć na poparcie dużej grupy niezadowolonych, pozbawionych wszelkich perspektyw siedemdziesięciolatków. Oni zapewnią siłę liczebności. Natomiast siłę kierownictwa organizacji zapewni elita, która już dzisiaj trzyma w rękach wszystkie sznurki i ma po pięćdziesiąt i sześćdziesiąt lat. Część z nich całkiem serio chce się zająć problemami ludzi po pięćdziesiątce. Choćby nawet z nudów.

Miarą kultury danego kraju jest sposób, w jaki traktuje swoich starych i słabych obywateli. Głupi i pozbawiony szacunku sposób, w jaki w Holandii podchodzi się do opieki nad osobami starszymi poprzez nakładanie kolejnych ograniczeń, tworzy podatny grunt dla populizmu starców. Żyjemy w jednym z najbogatszych krajów świata, tymczasem co chwila słyszymy, że opieka nad ludźmi starszymi jest nie do sfinansowania.

Piątek, 16 sierpnia

Wjechałem dzisiaj skuterem w krzaki.

Zrobiłem sobie po jedzeniu rundkę po parku i rozglądałem się, podziwiając chyba ze dwadzieścia królików, które jadły kolację na trawniku. Kiedy znowu popatrzyłem przed siebie, zobaczyłem małego króliczka, może z metr od przedniego koła. Musiałem chyba naprawdę szybko zareagować, bo sekundę później zaklinowałem się głową w gałęziach. Najpierw sprawdziłem, czy pod skuterem nie leżą strzępy królika, a potem ostrożnie wyciągnąłem skuter z krzyków, w czym pomogła mi miła pani przejeżdżająca akurat na rowerze, która wyglądała na bardziej przestraszoną ode mnie.

Wczoraj byłem na kawie w biurze Anji. Z trudem nadaża z załatwianiem różnych spraw. Jest dużo dyskusji na temat planowanej przebudowy. Zarząd zastanawia się, czy nie przebudować części ośrodka na oddział pełnej opieki, bo to podobno wschodzący rynek. Anja usłyszała też coś na temat radykalnej podwyżki funduszu reprezentacyjnego pani dyrektor. A przecież ona już teraz w tych swoich pastelowych kostiumach wygląda nawet bardziej niż reprezentacyjnie.

x

W poniedziałek kolejna wycieczka naszego klubu. Wyjazd o godzinie 13.00. Obowiązuje strój taki, jak na czas wolny. Organizatorka: Eefje.

– To coś, co idealnie do mnie pasuje – powiedziała, żebyśmy mieli nad czym główkować.

Najwyższy czas, żeby znowu coś się działo.

Sobota, 17 sierpnia

Sześćdziesiąt cztery procent osób starszych uważa, że ludzie mają prawo do humanitarnego zakończenia życia, kiedy uznają, że nic ich już nie trzyma. Czternaście procent uważa, że miało spełnione życie. Najważniejsze przyczyny rozważania możliwości wcześniejszego zakończenia życia to strach przed demencją, coraz większym bólem i beznadzieją. Na podstawie ankiety rozgłosił Max.

Tak więc statystycznie rzecz biorąc, jeden na siedmiu pensjonariuszy tego ośrodka nie widzi problemu, żeby przyszła po niego kostucha. Ale kiedy potem przy kawie patrzę wokoło, to nie potrafiłbym powiedzieć ze stuprocentową pewnością, kto to mógłby konkretnie być.

x

Wprowadzono nowy przepis wewnętrzny: pensjonariuszom nie wolno używać schodów, chyba że dostaną pozwolenie personelu. Wszystko dlatego, że w zeszłym tygodniu pani Stuiwer spadła ze schodów i złamała obojczyk. W pierwszym momencie, jak o tym usłyszałem, pomyślałem sobie: tylko obojczyk, to fantastycznie.

Wszystkie te przepisy są rzekomo dla naszego dobra. W rzeczywistości jednak służą tylko temu, żeby likwidować wszelkie ryzyko i zapobiegać sytuacji, że ktoś wniesie jakieś oskarżenie.

Może pani Stuiwer rzeczywiście powinna zjechać windą, ale przez pięć lat codziennie pokonywała te cztery schodki i jakoś nic się nie działo. I dopóki nie dopadnie jej demencja, sama może o tym decydować. Personel ma obowiązek dbać tylko o to, żeby schody nie były usiane skórkami od bananów.

Niedziela, 18 sierpnia

Wśród dokumentów są protokoły dotyczące przypadków śmiertelnych wśród pensjonariuszy.

Jest tam między innymi napisane, że zabrania się udzielać informacji na temat przyczyny śmierci. W razie pytań ze strony pensjonariuszy należy ich kierować do dyżurującego lekarza lub do dyrekcji, którzy będą ich odsyłać do siebie nawzajem. Jeśli ktoś okaże się wyjątkowo uparty, należy go poinformować, że w związku z ochroną prywatności takich informacji się nie udziela. Jakikolwiek sugerowanie samobójstwa jako przyczyny jest absolutnie zabronione.

W protokołach tych można też przeczytać, że należy taktownie zwrócić rodzinie zmarłego uwagę na konieczność niezwłocznego zwolnienia pokoju zajmowanego przez nieboszczyka.

Dyrekcja ma zadbać, aby niczego z pokoju nie ukradziono. To nowość. Widocznie w przeszłości to i owo ginęło.

Wiem, że niektórzy pensjonariusze obiecują czasem coś opiekunom, mówiąc na przykład: „Jak umrę, możesz sobie wziąć to czy tamto”. Prowadzi to potem w prostej linii do konfliktów z najbliższymi.

Nie znalazłem w protokole nic na temat zwalniania personelu, żeby mógł uczestniczyć w pogrzebie czy kremacji, jeśli wypadają w ciągu dnia pracy. Myślałem, że jest coś takiego, a tymczasem najwyraźniej wprost przeciwnie: personel nie jest automatycznie zwalniany na czas pogrzebu, tylko musi brać wolne.

No, chyba już dosyć na temat śmierci jak na niedzielę rano.

Poniedziałek, 19 sierpnia

Z samego rana wybrałem się na godzinną przejażdżkę skuterem. Jednym z przyjemniejszych aspektów napędu elektrycznego jest to, że nie robi żadnego hałasu. Ponadto skuter jest dobrze resorowany. Na równym asfalcie człowiekowi się wydaje, że płynie. Tym razem wybrałem się do Lasu Vliegena w dzielnicy Amsterdam Noord, zawdzięczającego swoją nazwę założycielowi, niejakiemu W.H. Vliegenowi, który musiał być ważnym człowiekiem, skoro nazwano jego imieniem cały las.

Nie byłem tam z pewnością z dziesięć lat. Las wygląda pięknie i mogłem sobie poćwiczyć kierowanie, bo nie było żywej duszy, więc nie miałem kogo przejechać. Ale za to były żywe króliki. Znowu zarysowałem sobie lakier na trochę zbyt ciasnym zakręcie. Wgnieceniami i zarysowaniami się nie przejmuję, bo mam ich już całe mnóstwo. Muszę zacząć jeździć trochę spokojniej. Na trasach terenowych mój skuter nie sprawuje się najlepiej.

Spytałem Eefje, czy nie chciałaby się ze mną wybrać na przejażdżkę.

– Nie, to zdecydowanie nie dla mnie. Bardzo chętnie pójdę z tobą na spacer, ale na czymś takim nigdy.

Szkoda.

Nie ma jednak co rozpamiętywać. Muszę się przebrać, bo dziś po południu mamy wycieczkę. Obowiązuję strój taki jak na czas wolny.

Cały nasz czas jest już wolny, ale nie wszystkie ubrania mamy jak na czas wolny. Czy może jest tak, że każde ubranie, które masz na sobie w czasie wolnym, automatycznie staje się ubraniem na czas wolny?

Wtorek, 20 sierpnia

Chociaż zapomniałem zabrać ze sobą zapasową wkładkę higieniczną, to jednak wczorajszy dzień był bardzo przyjemny.

Eefje powiedziała, że ta wycieczka jest jak dla niej stworzona. Już po wszystkim uświadomiłem sobie, że mogłem się domyślić, że nasza domorośla ornitolożka zabierze nas kiedyś do Ptasiego Parku Avifauna w Alphen nad Renem. I chociaż nie przepadam za ptakami (jak dla mnie są zbyt płochliwe i tylko gapią się bezczelnie tymi swoimi paciorkowatymi oczkami), to bawiłem się znakomicie. Evert wrócił już do formy i przy każdym kolejnym ptaku opowiadał, jak najlepiej go przyrządzić i jakie wino by do niego pasowało. Antoine całkiem serio spierał się z nim o kulinarne alternatywy. On i Ria są czasem tacy naiwni i nie zawsze czują, kiedy się ich podpuszcza. Ale nie obrażają się, kiedy się zorientują.

Eefje nie dała się zbić z tropu i napawała się obecnością tylu upierzonych przyjaciół.

Grietje parę razy się zgubiła, ale zupełnie się tym nie przejęła.

Edward był cały rozpromieniony, kiedy dostał specjalną rękawicę, na której mógł potrzymać sokoła, a Graeme był jak to Graeme.

Po oprowadzeniu przez przewodnika poszliśmy coś przekąsić, a potem zrobiliśmy sobie przejażdżkę po zielonym sercu Holandii, znowu z piciem i jedzeniem.

W końcu dotarliśmy do ośrodka, akurat na czas, żeby zasiąść do kolacji.

Środa, 21 sierpnia

Aż nie chce się wierzyć, jak wielka panuje tutaj wzajemna niechęć. Kiedy wracamy z kolejnej udanej wycieczki klubowej, przyjęcie jest chłodne, jeśli nie lodowate. Najwyraźniej dla wielu osób trudna do zniesienia jest myśl, że ktoś mógł spędzić dzień ciekawiej niż one. Tak więc dzisiaj znowu dużo wykrzywionych niechęcią ust wokół nas.

Niektórzy ludzie stają się z wiekiem łagodniejsi i mądrzejsi. Inni z kolei bardziej zawzięci i głupsi.

W ogólnym rozrachunku obie postawy jakoś się wzajemnie niwelują, ale ci łagodniejsi pensjonariusze często nie mają innego sposobu na bronienie się przed plotkami, niechęcią i narzekaniem, niż przesiąść się do innego stolika. No a wtedy dzieje się to, co się dzieje: coraz częściej nasza klubowa grupka siedzi przy osobnym stoliku. Tworzy to dodatkowe więzi w obliczu wspólnego wroga, ale wrogość jest zaraźliwa. Czasem ani się człowiek obejrzy, a już zaczyna odczuwać nienawiść do „tamtych”.

x

Personel podchodzi do tych animozji jak panie przedszkolanki, które pilnują, żeby był święty spokój.

– Panie Duiker (chodzi o Everta), mógłby pan spróbować być trochę grzeczniejszy dla pani Slothouwer, prawda? Proszę się nie boczyć i usiąść obok niej.

„W zasadzie to miałbym ochotę wepchnąć jej to ciasteczko do pyska, żeby umierała długą i powolną śmiercią przez uduszenie”, słyszę myśli Everta, który nie należy do łagodniejszych.

Żeby nikt nie myślał, że u nas jest jedno wielkie kłębownisko żmij, spieszę zapewnić, że oczywiście są też wśród nas mili, kulturalni i interesujący ludzie. Tyle że nie rzucają się tak w oczy.

Czwartek, 22 sierpnia

Spróbowałibyście przez całe południe grać z synem pana Bakker w Człowieku, nie irytuj się! Jest jeszcze bardziej ograniczony i głupi niż jego ojciec.

Organizacja opiekuńcza Vierstroom zobowiązała „moralnie” członków rodzin nowych pensjonariuszy ich domów opieki, żeby co najmniej cztery godziny w miesiącu udzielali się społecznie. Chodzi o wychodzenie na spacer z pensjonariuszami, granie w różne gry i rozmowy. Broń mnie Panie Boże przed kompletnie mi obcymi członkami rodzin pensjonariuszy, którzy czują się w obowiązku zabawiać mnie rozmową i narzucają się ze swoim zainteresowaniem. Samotność czasem trudniej znieść w towarzystwie.

Z tego eksperymentu wynika, że niektórzy członkowie rodzin pensjonariuszy, kiedy już trafią do jakiegoś ośrodka, to za nic nie dają się ich stamtąd wypędzić. Jeden na troje pensjonariuszy biorących udział w eksperymencie zarekomendował wolontariusza, a ten potem kręcił się po ośrodku dłużej niż dwadzieścia osiem godzin w tygodniu. Jeśli ktoś taki się tobą zajmuje, a ty czujesz do niego czy do niej niechęć, to przecież nie zostaje nic innego, jak tylko rzucić się pod tramwaj.

Dlaczego tylko nowi pensjonariusze mogą podsylać członków rodziny do ośrodka? Nie mam pojęcia.

Pani dyrektor Stelwagen coraz rzadziej pokazuje się między ludźmi. Anja informuje o licznych rozmowach na wyższym szczeblu. Nie udaje jej się na razie dotrzeć do żadnych szczegółów. Ostatnio niewiele sprawozdań i notatek wpada jej w ręce.

Piątek, 23 sierpnia

Wlepili mi mandat! Przejechałem na czerwonym i nie widziałem, że jedzie za mną policjant na rowerze górskim. Fakt, że jadąc z prędkością sześciu kilometrów na godzinę, skręciłem w prawo, nie stwarzając przy tym zagrożenia dla nikogo – również dla siebie – nie był dla funkcjonariusza istotny.

– Czerwone to czerwone! – powiedział i z pewną dumą w głosie dodał: – Jest pan chyba najstarszą osobą w mojej karierze, jakiej udzieliłem pouczenia.

Jego partner brygadier, też na rowerze, stał obok nieco zakłopotany.

– Czy pański kolega naprawdę nie ma nic lepszego do roboty? – nie mogłem się powstrzymać od pytania.

Okazało się, że nie ma.

Evert o mało co nie spadł z wózka ze śmiechu, kiedy mu to opowiedziałem. W tym czasie wiadomość zdążyła się już roznieść po całym ośrodku. Jestem albo bohaterem, albo chuliganem – zdania są podzielone.

We wtorek jest wycieczka Grietje. Organizując ją, poprosiła, żeby Graeme jej pilnował, bo bała się, że zrobi coś nie tak. Grietje zdarza się pomylić czas i miejsce, a jej zdolność oceny pozostawia sporo do życzenia. W zeszłym tygodniu na odwiedzinach siostry i kuzynki kupiła dwa kilogramy ciasteczek. Może z przejęcia myślała, że bierze dwa funty, co też zresztą byłoby za dużo. W każdym razie wzięła o wiele za dużą torebkę z ciastkami, trochę drogą, ale panienska w piekarni zachowywała się tak, jakby kupowanie dwóch kilogramów ciasteczek było normalną rzeczą.

Grietje sama się trochę z tego śmiała, chociaż nie do końca szczerze.

Każdy ze znajomych i przyjaciół dostał od niej potem po torebce ciasteczek.

Sobota, 24 sierpnia

Arabska wiosna nie przebiega już tak gładko. Nie jest to zresztą najlepsza pora roku na ludzkie tragedie. Arabowie nie cieszą się w naszym ośrodku specjalnym zainteresowaniem. Powszechnie uważa się, że skoro islamiści tak koniecznie muszą prowadzić swoją świętą wojnę, to niech najlepiej prowadzą ją przeciwko sobie nawzajem. Nikt się tu nimi nie przejmuje.

Informacja o tym, że anulowano wakacyjne wyjazdy pod piramidy, wywołała większe poruszenie niż tysiące zabitych.

– No to mój syn straci duże pieniądze. Dwa tysiące wyrzucone do Nilu! – martwi się pani Deurloo.

Ale zdjęcia małych dzieci, zmarłych od gazów bojowych, nawet tę naszą małą społeczność przekonały, że jednak dzieje się tam coś strasznego.

x

Tak się skarżymy na naszą opiekę nad ludźmi w starszym wieku, ale w brytyjskim National Health Service też nie wszystko idzie jak z płatka. Dwadzieścia domów opieki naruszyło w ostatnich latach prawo, nie dbając o wystarczające wyżywienie i picie dla starszych pacjentów. Widocznie indywidualne karmienie zajmowało zbyt wiele czasu. Druga skarga dotyczyła tego, że przyciski alarmu umieszczano poza zasięgiem pacjentów.

Wokoło jest jednak nie tylko smutek i cierpienie. Mamy wspaniałe lato i prawie dwie godziny

spędziłem wczoraj z Eefje na tarasie. Wspaniała partnerka do rozmowy, ale równie wspaniale jest z nią pomilczeć. Bez poczucia niezręczności sytuacji. Zwykłe szczęście w południe. Noga za nogą poczłapaliśmy z powrotem do ośrodka. Specjalnie wziąłem w tym celu chodzik, bo Eefje za nic w świecie nie zgadza się usiąść za mną na skuterze.

Niedziela, 25 sierpnia

Grietje pokazała mi zdjęcie sali plażowej w centrum opieki Oaza Radości (już sama nazwa budzi moją podejrzliwość.) Sala jest specjalnie urządzona dla osób z demencją. Są tam wysokie dekoracje z wymalowanym morzem i plażą. Jest sztuczne słońce i wypchane mewy. Słychać szum fal i od czasu do czasu wieje bryza z wentylatora.

Podobno to ich uspokaja.

Grietje zaczęła się głośno zastanawiać, czy powinna sobie kupić nowe bikini, i zaśmiała się.

– Cóż, Henk, jest, jak jest. A może raczej: było, jak było. Muszę się z tym pogodzić, nie ma innego wyjścia.

Odczuwam coraz większy podziw dla sposobu, w jaki Grietje przygotowuje się do tego, co ją czeka.

Jej zdaniem, uważam demencję za kompletne odarcie ze wszystkiego, co ludzkie. Ma rację. Dzisiaj pozwoliłem sobie zajrzeć (nielegalnie) na oddział stałej opieki i zobaczyłem trzy starsze panie, którym z ust ciekła ślina, patrzące nieobecnym wzrokiem na dziecięce kreskówki.

Grietje powiedziała, że w pełni rozumie ludzi, którzy nie mogą się pogodzić z postępującą izolacją.

Z tym, że nie mogą trafić do własnego domu.

Że nie rozumieją słów, które czytają.

Że nie poznają ludzi wokół siebie.

Poniedziałek, 26 sierpnia

Anja została odesłana na wcześniejszą emeryturę. Właśnie zadzwoniła. Miałem wrażenie, że jest bliska płaczu z rozczarowania i wściekłości. Rozmowa była krótka, bo nie mogła swobodnie mówić. Boję się, że dyrektorka zdemaskowała ją jako „szpiega”. Bardzo Anji współczuję i mam poczucie winy. W końcu ryzykowała na moją prośbę.

Umówiliśmy się na lunch w czwartek, wtedy dowiem się więcej.

Bardzo mi to popsło nastrój, który był wyśmienity (jak na mnie), ponieważ zaraz mamy wycieczkę, którą tym razem organizuje Grietje. O drugiej jest zbiórka na dole.

Chyba będzie lepiej, jeśli powiem Eefje o wszystkim jutro.

x

Zmarła Jetty Paerl, która w czasie wojny śpiewała w nadającym z Londynu emigracyjnym radiu. Przypuszczalnie smutek panuje tylko w domach seniora. Jestem prawie pewien, że dziś przy herbacie będą wspominki o Jetty i o Radio Oranje.

– Ach, jakie to były piękne czasy – powiedziała pani De Ridder, która chyba zapomniała, że na przykład Żydzi z pewnością mają na ten temat inne zdanie.

– Czy ja dobrze pamiętam, że wtedy kręciło się tu jakoś strasznie dużo Niemców? – spytał Edward złośliwie.

– No cóż, poza tym, że kręcili się tu Niemcy, były jednak piękne czasy – upierała się pani De Ridder.

Nostalgiczne przeświadczenie, że dawniej wszystko było lepsze, to w domach pomocy standard nie do wykorzenia. Po co zabierać wąż pociechę starym, steranym życiem ludziom?

Idę się przebrać w porządne ubranie i wypucować buty oraz zęby.

Wtorek, 27 sierpnia

Aż dziwne, że starzy ludzie prawie w ogóle albo w ogóle nie robią różnych najzwyczajniejszych zdawałoby się rzeczy, jak na przykład chodzenie do kina. Okazało się, że wszystkie osoby z naszego klubu były ostatni raz w kinie w... zeszłym stuleciu. Kolejna zwykła i tania przyjemność.

Grietje wybrała film w 3D, bo czegoś takiego żadne z nas jeszcze w życiu nie widziało. Były to *Auta*, niby film dla dzieci, ale nic innego akurat tego dnia w 3D nie wyświetlali.

Takie 3D to naprawdę niezwykle doświadczenie, zwłaszcza za pierwszym razem. Na początku przez jakiś kwadrans co chwila w panice wbijaliśmy się plecami w fotel, kiedy auto znowu jechało prosto na nas. Dźwięk też mieliśmy w 3D: wszędzie wokół słychać było chrupanie popcornu. Ale nie popsło nam to frajdy.

Film zaczął się dopiero o 16.00, a wcześniej zjedliśmy obfity podwieczorek. Dlatego nie przeszkadzało nam, że do ośrodka wróciliśmy akurat na deser. Kucharz uznał to za osobisty afront. To już jego sprawa.

Dosłownie zasypaliśmy Grietje komplementami i podziękowaniami. Wzruszająco wyglądała taka rozpromieniona.

Przejmuję się Anją. Próbowałem do niej zadzwonić, ale nie odbierała.

Zaraz idę się przejechać na skuterze. Pogoda jest wspaniała. Wpadnę do warsztatu syna pana Hoogdalena, żeby mi go trochę podrasował. Miałem iść już w zeszłym tygodniu, ale Hoogdalen junior miał wtedy urwanie głowy. Umówiliśmy się, że poczekam na miejscu.

Środa, 28 sierpnia

Jest gorzej, niż myślałem. Anja przypuszcza, że już od dawna mieli ją na oku. Jest niemal pewna, że ktoś przeszukiwał jej biurko i, według niej, to właśnie stos skopiowanych dokumentów zarządu, raportów i notatek ukryty w dolnej szufladzie był pretekstem do wysłania jej na emeryturę. Posiadanie tych dokumentów nie jest oczywiście w żaden sposób nielegalne, ale odkrycie tego zbioru sprawiło zapewne, że przestano jej ufać.

Dyrektorka oczywiście przedstawiła wszystko tak, jakby wcześniejsza emerytura była nagrodą dla Anji za wieloletnią wierną służbę.

Anja odchodzi pod koniec października. Ma jeszcze do wykorzystania dwadzieścia dni urlopu, więc od pierwszego października nie musi się już pokazywać w pracy. Ciekawe, czy uda jej się do tej pory opróżnić biurko.

Jest mocno przybita, a ja nie wiem, jak ją pocieszyć. Czuję się winny, że namówiłem ją do tej roli demaskatora. Kiedy spotykam dyrektorkę na korytarzu, wita mnie łaskawym skinieniem głowy.

Mam wrażenie, że prędkość maksymalna mojego skutera wynosi teraz ze dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę. Rowerzyści i nawet niektórzy posiadacze motorowerów patrzą na mnie zdziwieni, kiedy z łatwością ich wyprzedzam. Wiem, że trochę tym ryzykuję. W zasadzie powinienem chyba jeździć w kasku. Byłbym wtedy w dodatku nierozpoznawalny. Nie, no żartuję, wolę jeszcze czuć wiatr w tych moich ostatnich czterech włosach na krzyż.

Czwartek, 29 sierpnia

UBODZY SENIORZY DO WIĘZIENIA. Niezły nagłówek do gazety.

Znane więzienie w Bredzie (to z kopułą) stoi puste i pewien sprytny przedsiębiorca, niejaki Aad Ouborg, wymyślił sobie, że to doskonałe miejsce na dom seniora dla ubogich. Jeśli wierzyć prasie, jego zdaniem zmodernizowana cela o powierzchni jedenastu metrów kwadratowych powinna wystarczyć na dwie starsze osoby. Mniej więcej dwa na trzy metry na osobę.

Przecież oni prawie w ogóle już nie chodzą, pomyślał sobie zapewne pan Ouborg, i nie potrzebują do życia dużo przedmiotów.

Szklanych drzwi na taras pewnie nie będzie. Niewielkie okienko do wietrzenia powinno wystarczyć.

Najtańszy pokój miałby kosztować osiemset siedemdziesiąt euro. Pomyślałem, że może rocznie, ale nie, to czynsz miesięczny. Bez jedzenia i picia, za to z bliżej nieokreślonym „pakietem podstawowej opieki”.

No nie, to musi być jakiś ponury żart.

To chyba rzeczywiście prawda, że w tym nieprzyzwoicie bogatym kraju niektórzy chcą się pozbyć z oczu ludzi starych... wsadzając ich do świeżo odmalowanych więziennych cel. W artykule było uspokajające zdanie, że nie jest to dla tych, którzy już mieszkają w domach opieki. Tylko dla „nowych” osób w podeszłym wieku, które inaczej uschną w samotności albo będą musiały spać pod mostem.

Wczoraj byłem na lunchu z Anją.

– Na nic się zdało to moje szpiegowanie – powiedziała, ciężko wzdychając.

Pocieszyłem ją wielkim bukietem kwiatów, bo nic oryginalnego nie przyszło mi do głowy.

W sumie to chyba nawet zaczęła się cieszyć, że już niedługo uwolni się od dusznej atmosfery dotychczasowej pracy. Wypiliśmy za jej świeżo odzyskaną wolność.

Piątek, 30 sierpnia

Nasz pan adwokat jeszcze żyje. Rozmawiałem z nim dziś rano. Victor był jak zawsze zadziorny i optymistycznie nastawiony, jakkolwiek musiał sam przyznać, że ponieśliśmy małą porażkę w postaci listu od komisji odwoławczej, która ma się zająć naszym podaniem o udostępnienie dokumentów zarządu ośrodka. Mogliśmy w nim przeczytać, że nasza sprawa zostanie rozpatrzona w połowie roku 2014. Zaawansowany wiek klientów, na który powoływał się adwokat, został podobno przy ustalaniu terminu uwzględniony.

Victor właśnie szukał jakiegoś paragrafu, który umożliwiłby jednak przyspieszenie sprawy.

– Moja rada jest taka, żebyście za wszelką cenę pozostali do tego czasu przy życiu – powiedział na zakończenie.

x

W niedzielę rano zbiorę się na odwagę, żeby zrobić skuterem wypad na drugą stronę rzeki IJ. Po licznych wycieczkach po zakamarkach dzielnicy Amsterdam Noord czas już poszerzyć granice i zdobyć most. Cieszę się, że zobaczę Amsterdam w czasie tych niewielu chwil, kiedy miasto jest ciche i spokojne – czyli w niedzielę o godzinie dziewiątej rano. Kanały aż się proszą, żeby robić rundki wokół nich.

Evert też się zastanawia nad zakupem skutera. Nic dziwnego, bo prawie nigdzie już nie bywa z powodu wózka. Wczoraj z trudem się do mnie przytarabanił, trzymając psa na kolanach. Mo nie może chodzić, bo ma stan zapalny na poduszeczce łapy. Na szyję ma założony klosz, żeby nie mógł jej lizać. Niezła z nich para.

Sobota, 31 sierpnia

Do parlamentu wpłynął projekt ustawy gwarantującej prawo do czystej pieluchy. I to dokładnie w momencie, kiedy sam muszę zacząć używać pieluch! W jakim to debilnym przyszło nam żyć kraju, że trzeba aż ustawy, żeby staruszkowie nie musieli przez cały dzień paradować w zafajdanych pieluchach? Z jakiego powodu wniesiono taki projekt, nie wiadomo. Rada Stanu, która wydaje opinie prawne, stwierdza, że wszystko już jest uregulowane prawnie we wcześniejszych aktach. Tyle tylko, że ja na przykład nie bardzo wiem, na jakie ustawy ma się powołać chorujący na demencję starszy człowiek, żeby wymóc na personelu dodatkowe zabiegi higieniczne. Mam nadzieję, że ja zakończę żywot na długo przed tym, kiedy będę musiał przez cały dzień chodzić z pieluchą.

A może... może ta informacja też jest zmyślona? Tak samo jak ta o przerobieniu na dom opieki więzienia w Bredzie? Przyznaję, tu dałem się złapać.

x

Dzisiaj było południe informacji na temat planowanej przebudowy. Przymusowych przeprowadzek zarząd nie może wykluczyć. Motywy, jakie się za tym kryją, są niejasne. Wygląda natomiast, że zaczyna im się spieszyć.

Są to niejako ostatnie relacje zza linii wroga, jakie udało się Anji przemycić. Postanowiła, że te tygodnie w biurze, które jej zostały, postara się spędzić pożytecznie, chociaż zdaje sobie sprawę, że jest pod stałą obserwacją. O ewentualne konsekwencje nie musi się martwić, ponieważ dyrektorka wcale nie ma zamiaru stawiać naszego „szpiega” pod pręgierzem. Na pewno uznała, że taki rozgłos podziałałby tylko na korzyść Anji.

Niedziela, 1 września

W naszym ośrodku ludzie mają przeważnie zwykłe holenderskie imiona, takie jak Piet, Kees, Nel czy Emmeke, nie ma natomiast takich jak Storm, Butterfly, Felicity czy Miecz Islamu.

Wszyscy urodziliśmy się grubo przed epoką, kiedy rodzice, nadając dzieciom imiona, chcą udowodnić wszystkim, jacy to są nowocześni i oryginalni. Z całym ryzykiem, jakie to ze sobą niesie. Bo co będzie, jeśli się nazwie córeczkę Butterfly, a ona się potem przepoczwarczy w kwadratową bekę

sadła? To już lepiej niechby miała na imię Emmeke.

x

O dziewiątej rano byłem już skuterem na moście. Świetna przejażdżka po śpiącym Amsterdamie. To naprawdę przywilej – mieszkać w jednym z najpiękniejszych miast świata. No, ale trzeba z tego przywileju móc korzystać. Robię to po raz pierwszy od wielu lat i będę robił częściej, jeśli tylko starczy mi czasu. Niemal przez całą drogę jechałem z dźwignią gazu na plakietce „zółw”, żeby móc się spokojnie rozglądać.

Powróćmy znów na chwilę do spraw istotnych: rada mieszkańców zaproponowała jednorazowe podwyższenie składek o dwa euro, aby można było przygotować atrakcyjny zestaw nagród w bożonarodzeniowym bingo. Rządzić to przewidywać.

Poniedziałek, 2 września

Jeśli ktoś chciałby z godzinkę pograć w niedzielę w bilard, jest to niezwykle trudne. Mamy jakiś bardzo niejasny system rezerwacji. Ostatecznie po usilnych naleganiach udało nam się (nam, to znaczy Graememu, Edwardowi i mnie) osiągnąć tyle, że musieliśmy poczekać półtorej godziny, żeby zagrać od 16.40 do 17.20. W tym czasie zdążyliśmy już wychylić co nieco, więc wyszło to na dobre naszej swobodzie w grze, ale z prawdziwym bilardem nie miało już, niestety, wiele wspólnego. Mam wrażenie, że w sumie udało nam się uzyskać w tym czasie ze dwadzieścia zderzeń.

Natomiast nie miało to negatywnego wpływu na rozmowność. Graeme opowiadał fajne historyjki z przeszłości. Jest najmłodszy z całej rodziny i ma czternaścioro sióstr i braci. Wszyscy już nie żyją. Ma syna w Australii i córkę w Groningen. Jednego roku jeździ z synem do córki, a drugiego z córką do syna. W styczniu był trzy tygodnie w Australii.

– Te podróże trzymają mnie przy życiu, mówię wam.

Pokiwaliśmy głowami.

– No i oczywiście wasze towarzystwo też – dodał pospiesznie.

Edward to taka trochę smutna postać. Ma dużo do powiedzenia, ale, niestety, niemal w ogóle nie da się go zrozumieć. A po paru kieliszkach to już zupełnie.

– Lepiej by było, jakbyś to napisał – rzucił Evert, który przyszedł napić się dla towarzystwa.

I Edward obiecał, że co tydzień będzie do nas pisał list i od nas zależy, czy potem będziemy omawiać jego treść ustnie, czy pisemnie.

Chyba będziemy częściej chodzić na bilard.

Graeme obiecał, że zarezerwuje dla nas stałą godzinę, bo ma najlepsze kontakty z sekretarzem klubu bilardowego.

Wtorek, 3 września

Pojutrze mam urodziny. Po raz pierwszy od lat znowu mam wystarczające grono przyjaciół, żeby móc z kimś świętować. Zaprosiłem cały nasz klub na wieczornego drinka. Poprosiłem Rię i Antoine’a, żeby zadbali o jakieś drobne przekąski na mój rachunek. W ten sposób sprawię przyjemność im i sobie. Oczywiście muszą być bitterballen, bo bez bitterballen nie ma picia, ale co do reszty zostawiłem im

wolną rękę.

Jak najusilniej poprosiłem: żadnych kwiatów, żadnych prezentów. Ciekawe, czy mnie posłuchają.

Grietje obiecała, że też przyjdzie, ale jednocześnie poprosiła, żebym jej coś przyrzekł na przyszłość:

– Obiecuj mi, że kiedy już będę całkiem zdemenciała, nie będziecie mnie na siłę ciągnęli wszędzie ze sobą.

– Jak to?

Wyjaśniła, że to wielkie nieporozumienie, takie dostarczanie osobom z demencją za wszelką cenę rozrywki i wyrywanie ich z apatii. Zabiera się ich dokądś, oni nie mają pojęcia, gdzie są, kim są ci ludzie, którzy cały czas z takim ożywieniem coś do nich mówią, i w ogóle, skąd się wzięli w takim dziwnym pociągu. A potem dostają coś dziwnego do jedzenia i na koniec jakieś zupełnie obce osoby je całują.

– Taki zdemenciały staruszek przez trzy dni dochodzi potem do siebie – powiedziała z westchnieniem Grietje. – Więc pozwólcie mi wtedy posiedzieć spokojnie na krzeselku przy oknie.

Obiecałem, że tak zrobimy.

Środa, 4 września

Jeden z recepcjonistów jest tylko odrobinę młodszy od nas, ale cały czas mówi o nas „staruszkowie” i zachowuje się tak, jakby był szefem tego cyrku. Udaje wtedy, że wcale nie jest recepcjonistą ani portierem, tylko „pracownikiem ochrony”. Najbardziej uwielbia zwracać uwagę osobom, które łamią jakieś przepisy.

Postanowiliśmy z Evertem zrobić mu dowcip. Evert ma w zwyczaju wjeżdżać do ośrodka na wózku, kiedy automatyczne drzwi właśnie zamykają mu się przed nosem. Wózek klinuje się między nimi i one się wtedy rozsuwają. To był prawdziwy cierń w oku recepcjonisty Posta (tak ma na imię).

– Musi pan albo szybciej jechać, albo trochę poczekać – zwrócił surowym tonem uwagę Evertowi.

Ten bardzo powoli podniósł na niego wzrok, zmrużył oczy, jakby chciał lepiej widzieć, i powiedział:

– Glut panu wisi.

Stałem obok i mało nie udusiłem się ze śmiechu.

Powstało małe zamieszanie.

Post zastanawiał się przez chwilę, czy powinien zignorować tę uwagę. A jeśli to prawda?

Oddalając się, obejrzeliśmy się jeszcze. Post właśnie patrzył na palec, którym sprawdzał stan rzeczy.

– Trochę bardziej w prawo – powiedział Evert.

Jak to mówią, nie da tyle radości nawet wódzia czysta, ile ci może dać recepcjonista.

x

Przygotowałem tyle picia, że spokojnie wystarczy na trzy przyjęcia urodzinowe. Ale lepiej za dużo niż za mało. Jak się ma takiego przyjaciela jak Evert, to prędzej czy później zapas się skończy.

Czwartek, 5 września

Urodzony piątego września 1929 roku. Obchodzę dzisiaj osiemdziesiąte czwarte urodziny. Evert stał – czy raczej siedział w wózku – pod moimi drzwiami już o dziewiątej rano, z tacą na kolanach, a na niej obfite śniadanie. Doprawdy śliczny widok. Croissantsy, sucharki, chleb, herbata, sok pomarańczowy i prosecco. Większość z tego, po wyjątkowo fałszywym odśpiewaniu *Sto lat*, sam potem zjadł i wypił.

Na wieczór wypożyczyłem w administracji kilka dodatkowych krzeseł. Przyjęcie na stojąco wydało mi się w naszym wieku niezbyt dobrym pomysłem.

Większość pensjonariuszy obchodzi urodziny na dole, w świetlicy. Zaproszeni goście siedzą wtedy przy zestawionych stołach i zajadają ciasto, podczas gdy pozostali starają się przysunąć jak najbliżej w nadziei, że zostaną dla nich chociaż jakieś okruszki. Bardzo smutny widok. Dlatego ja się na to nie piszę.

Lepiej posiedzieć w ciasnocie w moim pokoju, ale przynajmniej nikt nie będzie nam zaglądał w talerze.

x

Na piątek trzynastego zamówiłem golfa na osiem osób. Mam nadzieję, że pogoda będzie równie piękna jak dzisiaj, a wtedy szanse na sukces wycieczki są większe. Bo nie jestem tak do końca pewny, czy dobrze wybrałem. Golf, jak wiadomo, doskonale się nadaje dla osób starszych, ale nie wszystkie osoby starsze nadają się do golfa. Ale nie ma się jak wycofać, bo już zapłacone.

Piątek, 6 września

O wpół do pierwszej w nocy musiałem odstawić zawianego Everta na wózku inwalidzkim do jego mieszkania. Sam też nie za pewnie trzymałem się na nogach.

Mój przyjaciel wołał zostać i przespać się u mnie, bo wtedy moglibyśmy sobie „chlapać jeszcze jednego na dobry sen”. Uznałem jednak, że nie jest to najlepszy pomysł. Na korytarzu Evert, nie wiadomo dlaczego, zaczął śpiewać hymn piłkarskiej reprezentacji Anglii *Land of Hope and Glory*.

Spodziewam się, że dzisiaj zostanę wezwany na dywanik za zakłócanie ciszy nocnej.

Ale tak ogólnie, urodziny były bardzo udane. Zostało mi jeszcze jedzenia na dwa dni, a picia to chyba na dwa miesiące. Na razie nie muszę się martwić zakupami.

x

Sprawa wspólnych klubowych wakacji trochę się rozmyła. Zajmę się tym na serio na wiosnę przyszłego roku.

Żeby się na nie wybrać, trzeba przede wszystkim być jeszcze przy życiu w czerwcu. Postanowiłem, że nie dam się odwieść śmierci od tego pomysłu, znaczy śmierci kogoś z nas. Bo jeśli ja umrę, to mogą postawić urnę z moimi prochami na desce rozdzielczej busa przy przedniej szybie.

– Zawsze lubił siedzieć przy oknie.

To akurat nieprawda, ale brzmi zabawnie.

Sobota, 7 września

Staruszkowie powinni grać w gry komputerowe. Wyścigi samochodowe na komputerze bardziej pomagają utrzymać stary mózg w formie niż jakieś infantylne zabawy. Zdaniem pewnej gazety badania wykazały, że mózgi ludzi starszych regularnie grających w gry komputerowe ponownie zaczynają się uczyć wykonywania kilku zadań jednocześnie.

Muszę spróbować z tymi grami, jakkolwiek szanse na to, że znajdę tu kogoś, kto mnie w to wprowadzi, są niewielkie. W tym momencie płacę za to, że nie mam wnuków i prawnuków.

Bardzo tego żałuję. Byłbym wspaniałym dziadkiem i pradziadkiem, chociaż to tylko moje zdanie.

Gdyby... no właśnie, gdyby.

Chociaż z wnukami już od dawna wiążą się nie tylko radość i przyjemności. Edward ma wnuka narkomana, Graeme wnuczkę z anoreksją. Kiedy się wreszcie po latach wyprowadzi własne dzieci na ludzi, zaczynają się problemy z wnukami. I znowu człowiek nie śpi po nocach.

Może powinienem poczekać z tym graniem do następnych badań, które wykażą, że to jednak wszystko nieprawda albo że są jeszcze różne naukowe znaki zapytania.

Niedziela, 8 września

– Czy ktoś chce moje stare lekarstwa? – spytał Evert. – Są jeszcze całkiem dobre. To znaczy zależy, do czego się chce ich użyć.

Ta prowokacja Everta wiązała się z artykułem w gazecie, który był tematem rozmowy przy kawie. Siedemdziesięcioletni człowiek stanął przed sądem za przygotowanie koktajlu z lekarstw dla swojej dziewięćdziesięciodziewięcioletniej teściowej, która uznała, że chce się już pożegnać z życiem. Nic, tylko cierpiała i prawie w ogóle nic już nie mogła, ale lekarz w domu opieki uznał, że jej dolegliwości nie są wystarczająco nie do wytrzymania, i odmówił udziału w eutanazji. Kobieta zażyła sto pięćdziesiąt różnych tabletek i popiła je kubeczkim jogurtu. Kawał roboty, żeby coś takiego połknąć. Chcąc nie chcąc, musiała spróbować amatorskiego samobójstwa.

Samobójstwo nie jest karalne. Moim zdaniem, jeśli się uda, to już jest dostateczna kara. A jak się nie uda, powinno się wprowadzić karę śmierci za to, że się próbowało. Pomoc w samobójstwie jest zabroniona.

Wszyscy oglądają podejrzliwie pigułki Everta.

Większość pensjonariuszy nie potrzebuje ich, żeby połknąć nadmierną dawkę. Niemal każdy ma tutaj taki dozownik do pigułek, do którego wkłada się na każdy dzień odpowiednią porcję. Niektórzy co rano wykładają w jadalni całe swoje zapasy na stół, wybierają z tego garść i łykają, popijając letnią kawą. Zrzędząc i marudząc o cierpieniach i chorobach, śmierci i beznadziei. Tak więc jeśli człowiek chce mieć w miarę przyjemny początek dnia, musi się trzymać od nich z daleka.

Poniedziałek, 9 września

Mamy nowego pensjonariusza, pana De Klerka, który próbuje nawracać wszystkich na kościół reformowany. Nie wiem dokładnie który, ale na pewno jakiś strasznie ortodoksyjny. Na szczęście już nikt nie musi się tutaj szczepić na ospę, bo „ingerowanie w naturalny bieg rzeczy to kompetencje Pana Boga, a my takich kompetencji nie mamy”, jak mówi pan De Klerk.

Jego próby pozyskania reformowanych duszyczek spotykają się z wielkim oburzeniem u katolickiej części pensjonariuszy. Widzę, jak wybucha na nowo średniowieczny spór religijny, i wprost nie mogę się doczekać, kiedy zostanie spalony na stosie pierwszy heretyk.

Kiedy wczoraj zwierzyłem się panu De Klerkowi, że bardzo wątpię w dobre intencje Pana Boga, wypowiedział wiele ładnych sentencji. Między innymi taką:

– Pan nie objawił nam się po to, abyśmy o nim dyskutowali, tylko po to, abyśmy złożyli Mu pokłon.

Na szczęście zgrabne sentencje wcale nie muszą być zawsze prawdą. Pan De Klerk nie wymyśla ich zresztą sam, tylko czerpie ze swojej reformowanej gazetki „Przyjaciel Prawdy”. Leciwy członek Holenderskiej Partii Komunistycznej mógłby pomyśleć, że to jego dawny organ partyjny powstał z popiołów. Tak się składa, że roszczenia do posiadania prawdy objawionej zgłaszane są ze wszystkich możliwych stron.

Zadałem też panu De Kerkowi mimochodem dwa pytania. Pierwsze: czy w niedzielę zamierza podjąć jakąś pracę misyjną. Drugie: czy jego Bóg potrafi stworzyć kamień, który będzie tak ciężki, że nie zdoła go podnieść (gdzieś to wyczytałem).

Widziałem, że trochę się zmieszał.

– Jeszcze kiedyś do tego wrócimy – rzuciłem na odchodnym.

Wtorek, 10 września

Byłem dziś rano na wizycie u geriatry i pytałem go o pigułki przeciwko starzeniu się, a także o takie na coś przeciwnego, czyli o pigułkę Driona⁵.

– I z jednym, i z drugim jest kłopot – odparł. – Dopalacze, które ma pan na myśli, są nielegalne. Niewiele wiadomo o ich oddziaływaniu na organizm osób w podeszłym wieku. Niewykluczone, że odrobina kokainy może mieć dla niektórych bardzo przyjemne działanie.

Gdy spytałem, czy próbował kiedyś czegoś takiego, przyznał, że tak.

– No i?

– Zbyt przyjemne. Niebezpiecznie przyjemne. Absolutnie jestem sobie w stanie wyobrazić, że po jakimś czasie nie mógłbym się bez tego obejść.

Jedyne, co w tej chwili może dla mnie zrobić, to przepisać mi lekkie antydepresanty, „jakkolwiek nie wydaje mi się, żeby cierpiał pan na depresję”. Niepożądanym skutkiem ubocznym tych środków jest występujące niekiedy poczucie zamroczenia.

Wyjaśniłem, że chodzi mi o leki, które dodałyby mi po prostu trochę energii.

Obiecał, że się zastanowi.

Sprawa z pigułką Driona była trochę bardziej złożona. Doktor powiedział, że zdaje sobie sprawę, że dla niektórych ludzi mogłoby to być uspokajające, gdyby mieli w szafce z lekarstwami taką pigułkę „na wszelki wypadek”, ale rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej.

Człowiek w podeszłym wieku, który chce umrzeć, musi się najpierw zgłosić do mającej odpowiednie uprawnienia osoby nazywanej asystentem eutanazji i przekonać ją, że naprawdę chce już umrzeć. Odbywa się to podczas co najmniej dwóch bardzo szczegółowych rozmów. Kiedy taki asystent zdecyduje, że podejmie się asystowania przy eutanazji, trzeba znaleźć jeszcze drugiego dyplomowanego asystenta, który potwierdzi słuszność decyzji tego pierwszego. Następnie trzeba znaleźć lekarza, żeby przepisał niezbędne środki, które zmęczony życiem staruszek samodzielnie zażyje w asyście asystenta. Przy takim cyrku człowiekowi jeszcze bardziej chce się umrzeć.

– Moim zdaniem, ma pan przed sobą jeszcze dużo czasu na taką decyzję.

– To prawda, ale wszystko jest kwestią chwiejnej równowagi. Jak sprawy raz przechyła się w złą stronę, to często nie ma już powrotu do dawnej radości życia.

Lekarz kiwnął ze zrozumieniem głową.

– Czy możemy tę rozmowę potraktować jako pierwszą rozmowę kwalifikacyjną? – spytałem.

Odpowiedział, że tak.

Środa, 11 września

Dzisiaj na wielu kanałach telewizyjnych samoloty w nieskończoność znowu będą się wbijać w wieże World Trade Center: 2995 zabitych. Bezpośrednia przyczyna rozpoczęcia „wojny z terroryzmem”: 200 tysięcy zabitych, w tym 6 tysięcy amerykańskich żołnierzy, do tego 350 tysięcy rannych i szacunkowy koszt – bilion dolarów.

Wczoraj przy herbacie rzuciłem w rozmowie kilka z tych liczb (nauczyłem się ich na pamięć), ale wyglądało na to, że dla nikogo cena tej wojny nie jest nieracjonalna. Poza kilkorgiem z moich przyjaciół, na szczęście.

Rany, ile za taki bilion dolarów można byłoby zrobić dobrych rzeczy! Dzięki temu Amerykanie, zamiast narażać się na powszechne znienawidzenie, mogliby nawet zdobyć tu i ówdzie niejaką popularność.

A tak to po Iraku i po tym, jak już wszystkie arabskie rewolucje pozjadają swoje dzieci, fundamentalizm muzułmański będzie mocniejszy niż kiedykolwiek.

Rozumiem doskonale, że Amerykanie nie mają ochoty mieszać się do awantury w Syrii, która w niczym im nie pomoże. Mają zbyt świeżo w pamięci inne awantury, w które się wdawali.

No, trochę już tego za dużo, Henk, mądry stary człowieku. Może to z powodu jesiennej pogody i długiego wspaniałego lata? Dzisiaj idę kupić sobie obszerną pelerynę, żebym także w czasie deszczu mógł się przewietrzyć, jeżdżąc na skuterze.

Czwartek, 12 września

Usłyszałem gdzieś, że podobnie jak w szpitalach są klauni do rozśmieszania chorych dzieci, tak teraz mają być klauni dla samotnych staruszków. Jak się nazywają i skąd się wzięli, nie mam pojęcia, ale chciałbym ich od razu uprzedzić: każdego klauna, który przyjdzie mnie rozweselić, nawet ostatkiem sił zdzielę patelnię przez łeb.

Tydzień temu na dworze było jeszcze prawie trzydzieści stopni, a dziś wszędzie centralne rozkręcono już na pełny regulator. Jest zimno i ciągle pada. Jutro jedziemy na golfa. Pogoda raczej specjalnie się nie poprawi, a ja nie mam żadnego planu B. Co godzina oglądam prognozę pogody, ale niewiele to pomaga. Jutro o 13.00 zajeżdża busik.

Strasznie się denerwuję.

Piątek, 13 września

Mieliśmy taką pensjonariuszkę, która w każdy piątek trzynastego cały dzień spędzała w łóżku, bo wtedy nic nie mogło jej się stać. Jadła tylko kanapki i piła herbatę z filiżanki. Uszko od filiżanki się urwało, pani zalała się całą gorącą herbatą i resztę piątku trzynastego spędziła w szpitalu.

Evert pojawił się wczoraj z zaległym prezentem urodzinowym: owcza skóra do położenia na siodełku skutera. Muszę ją tylko wcześniej wyprać, bo jemu nie starczyło czasu. Skóra była ze sklepu z używanymi rzeczami prowadzonego przez organizację charytatywną.

– Aż strach pomyśleć, kto tam czym na nią pluł od serca. Widać parę całkiem dziwnych plam – powiedział ze złośliwym uśmiechem Evert.

Mnie tam takie jego obrzydliwości nie biorą. Zaniósłem skórę do pralni i mam ją już z powrotem, czyściutką i suchą. Całkiem ładnie wygląda.

Tylko że jak już ją położę na siedzeniu skutera i spadnie deszcz, kiedy gdzieś na chwilę odejdę, to będę potem siedział na wielkiej nasiąkniętej gąbce. Bo dopóki jeszcze jako tako chodzę, nie wjeżdżam skuterem do sklepów. Nie za bardzo też widzę siebie, żebym miał jeździć z tą owczą skórą w deszcz czy śnieg po supermarkecie.

– O, patrz, to ten dziwaczny staruszek z owczą skórą – słyszę już, jak szepczą do siebie ludzie przy stoisku z cytrusami.

Sobota, 14 września

Golf okazał się pierwszą nieudaną wycieczką, jak na razie.

Zaczęło się jeszcze w miarę miło. Od kawy i tarty w budynku klubowym, w towarzystwie przyjaznego, choć trochę afektowanego instruktora, który wyjaśnił nam podstawowe teoretyczne zasady gry. Ale zanim zdążyliśmy wyjść na dwór, żeby cokolwiek poćwiczyć – zaczęło padać. I było zimno. I w zasadzie to porwaliśmy się trochę z motyką na słońce, bo prawie ani razu nie udało nam się trafić w piłeczkę. Wystarczy powiedzieć, że Eefje walnęła się kijem we własną nogę, a Graeme w ogóle wypuścił kij z ręki i o mały włos trafiłby instruktora w głowę. Tylko Evert na wózku okazał się sensacją: zdarzało mu się posłać piłeczkę nawet na sto metrów.

Po półgodzinie wszyscy mieli już w zasadzie dosyć, ale żeby nie sprawiać mi przykrości, wytrzymali jeszcze – przemoczeni i zmarznięci – prawie trzy kwadransy, udając, że tak im się podoba.

Powiedziałem instruktorowi, że już nam wystarczy i że jak na pierwszy raz było znakomicie, chociaż byliśmy dopiero w połowie przewidzianego programu.

Wypiliśmy potem po winku w pustym barze i zadzwoniłem, żeby bus przyjechał wcześniej, niż było umówione.

Wszyscy byli dla mnie bardzo mili i zapewniali, że to był znakomity pomysł, tyle że pogoda i wiek nie chciały się dostosować. Ale ja do dzisiaj, chociaż już minął cały dzień, nadal mam z tego powodu kaca. Bardzo źle znoszę wszelkie rozczarowania, zupełnie jak dziecko.

Niedziela, 15 września

Nieudana wycieczka ciągle odbijała mi się czkawką, kiedy przyszedł w odwiedziny Evert. Już po pięciu minutach zagroził, że jeśli nie przestanę mu jęczeć, zaraz sobie pójdzie.

– Nie mam zamiaru znosić marudzenia starego piernika z powodu jakiegoś durnego niepowodzenia. Z miejsca mi przeszło.

Evert przyjechał oczywiście z dobrą wiadomością: z powodu braku chętnych zrezygnowano w tym roku z wolontariuszy, którzy mieliby nas zabawiać.

Wizyta kompletnie obcych osób, śpiewających człowiekowi *Sto lat* i wyjadających jego ciasto, to rozrywka, od której człowiekowi natychmiast marzy się samotność. Przyznaję, że w zeszłym roku nie miałem odwagi ich nie wpuścić. A Evert miał. Dlatego *Sto lat* odśpiewali mu, stojąc pod zamkniętymi drzwiami.

Pani Aupers często chodzi ostatnio do tyłu, bo jak twierdzi, dzięki temu rządziej musi odwiedzać ubikację. Chyba przedstawię ją do alternatywnego Nobla. W tym roku znowu nagrodzono całkiem ciekawych naukowców. Briana Crandella za studium nad własną kupą po spożyciu półsurowej ryjówki i jeszcze jakiegoś Japończyka i Chińczyka o trudnych nazwiskach za badania nad pozytywnym wpływem muzyki operowej na myszy po przeszczepie serca. No i był jeszcze niejaki Gustano Pizzo, który wymyślił pułapkę na porywaczy samolotów w postaci zapadni prowadzącej do kapsuły, którą piloci mogą odczepić i rzucić ze spadochronem. Niektórzy byli zdania, że spadochron to w tym przypadku całkiem zbędny luksus.

Poniedziałek, 16 września

Jest prośba, żeby wszyscy oddawali zużyte zapalki panu Schipperowi, który ma zamiar zbudować z nich miniaturowy model naszego ośrodka. Ma nadzieję wygrać konkurs ogłoszony przez gazetę „Het Parool”. Pani dyrektor zasiada w Komitecie Polecającym.

Kiedyś był taki jeden, który odtworzył Bazylikę Świętego Piotra z siedmiu milionów pudełek od zapalek. Kiedy słyszę o takich projektach, zawsze sobie myślę: podpalić! W trzy minuty idzie w diabły dwadzieścia pięć lat pracy. Gdzieś głęboko muszą we mnie tkwić jakieś ciągoty do destrukcji.

x

Półtora tygodnia temu było jeszcze lato i trzydzieści stopni. Teraz mamy czternaście stopni i jesień. Nie lubię jesieni. No, tak, tak, wiem, są piękne kolory, ale są to kolory rozkładu. W zaawansowanej jesieni życia wystarczająco często mam do czynienia z obumieraniem i degeneracją, żebym się jeszcze zachwycał jakąś kupą liści. Jesień pachnie tak samo jak dom opieki. Dawać mi tu zaraz dla równowagi wiosnę, nowy początek!

W dodatku nie cierpię zimnych krótkich dni, a Święty Mikołaj, Aniołek czy kto tam przynosi prezenty, też nie należą do moich najlepszych przyjaciół.

Wiem, że wychodzę na starego zrzędę, ale taki jest również cel tego dziennika: ja też muszę sobie czasem pomarudzić i ponarzekać, tyle tylko, że nikomu się z tym nie narzucam.

Wtorek, 17 września

Z wiekiem zazdrość przybiera czasem zupełnie komiczne formy. Z powodu ogromnej nadpodaży kobiet w naszym ośrodku zamężne panie niechętnie spuszczaają małżonków z oka. Pani Daalder nigdy nie oddala się od pana Daaldera na więcej niż metr. Jak zły pies odgania każdą kobietę, która wykaże jakiegokolwiek zainteresowanie jej mężem. Nawet jeśli przyjdzie sąsiadka pożyczyć cukier.

– Nie może sobie pani sama przesypać? Nie pomagaj, Wim.

Wim jest głęboko nieszczęśliwy, ponieważ z nikim nie może już normalnie porozmawiać. Tak naprawdę żadna z tutejszych pań na niego nie leci, bo Wim jest brzydki jak noc, a mimo wszystko musi znosić permanentny nadzór zazdrosnej żony. Czasami mam wrażenie, że widzę w jego oczach ogromne pragnienie śmierci.

Mówię o tym dlatego, że jakieś trzy tygodnie temu wprowadził się niejaki pan Timmerman, który

chyba ma oko na Eefje. W zasadzie to doskonale go rozumiem. Niestety, jego pech, że nie ma u Eefje żadnych szans, ponieważ jest okropnym pozerem, a poza tym śmierdzi.

Można powiedzieć, że oto doszedł do głosu zazdrosny Hendrik Groen, ale w tym wypadku niechęć jest jak najbardziej uzasadniona. Eefje już kilkakrotnie grzecznie poprosiła pana Timmermana, żeby zechciał przesiąść się gdzie indziej.

To z kolei najwyraźniej wzbudziło u niego niechęć do mnie, bo ja codziennie siedzę z Eefje, i to ku obopólnemu zadowoleniu.

Środa, 18 września

Wczoraj był Dzień Książęcy, czyli tradycyjne ogłoszenie planów budżetowych rządu na następny rok.

– Popatrz tutaj, ten najwyższy czerwony słupek to my, emeryci. – Pan Ellroy próbuje objaśnić pani Blokker, jak się ma sprawa z cięciami w budżecie. – U nas będą największe ze wszystkich!

Pani Blokker kiwa głową na znak, że rozumie, ale widać, że robi to tylko dla świętego spokoju.

Niepokój narasta. Czy w tej sytuacji na pewno dostaniemy jeszcze jedno ciasteczko do herbaty?

Henk Krol z partii 50PLUS nawołuje wszystkie osoby w starszym wieku, żeby w najbliższą niedzielę wyszły protestować na ulice Amsterdamu. Zastanawiam się, czy nie pójść, jeśli nie będzie specjalnych tłumów. To może być fajna przygoda. Nigdy w życiu nie byłem na żadnej demonstracji, ale co mi przeszkadza zacząć w wieku osiemdziesięciu czterech lat? Nie żebym w najmniejszym bodaj stopniu podniecał się faktem, że mi ubędzie dwa procent, ale jakiś duży plac w Amsterdamie pełen chodzików, skuterów elektrycznych i samochodzików Canta to może być naprawdę fascynujący widok. Mam nadzieję, że nikt nie będzie wznosił okrzyków „Premier Rutte morderca!” i że nie wybuchną jakieś zamieszki, żeby policja musiała aż wysłać specjalne oddziały przeciwko osiemdziesięciolatkom, którzy rzucają kamieniami, jakby grali w bule.

Przewiduje się, że w wyborach do rad gminnych w marcu 2014 roku będą triumfować lokalne partie ludzi starych, razem z socjalistami i narodowo-liberalną Partią Wolności. Mówi się, że Partia Pracy nie przekroczy progu, jej przewodniczący ustąpi i rząd upadnie. Powstanie impas polityczny, ale na koniec dzięki nowym partiom wszystko zostanie po staremu. Tyle wasz komentator polityczny Hendrik Groen, prosto z domu seniora.

Czwartek, 19 września

Dwa dni po Dniu Książęcym nikt już nie mówi o podwyżkach, za to panie wciąż jeszcze nie narozmawiały się o tradycyjnej paradzie kapeluszy, jaka towarzyszyła mowie tronowej. Jedna z nich powiedziała, że widziała tam kapelusz, który wyglądał jak oderwany strzep z sukni ślubnej. Bardzo ostro wypowiedano się o paniach z polityki: nudne dziumdzie, które nagle wkładają na głowę dziwne kapelusze.

– No, ta to jeszcze ujdzie – brzmiał najbardziej przychylny komentarz ze wszystkich.

Pensjonariuszki z naszego ośrodka same należą do ostatniego pokolenia noszącego kapelusze. Codzienne kapelusze na zimowe chłody „i trochę też dla wyglądu”.

Eefje bardzo często zakłada urocze kapelusiki.

Idę wtedy obok niej, najchętniej pod rękę, pałając stosowną dumą.

Na tablicy ogłoszeń wisi zapowiedź kursu zapobiegania upadkom. Wszyscy mogą się zapisać.

Starsze osoby, które boją się, że upadną, przewracają się zdecydowanie częściej niż inne. Do takiego wniosku doszedł pewien naukowiec. Ludzie, którzy się boją, myślą sobie: dopóki się nie ruszam, nic mi się nie może stać. Wtedy pod względem kondycyjnym i motorycznym szybko się cofają i dlatego przewracają się znacznie częściej, kiedy muszą pokonać nieuniknioną drogę, na przykład do ubikacji. To takie moje krótkie streszczenie teorii paradoksalnych upadków.

Kurs ma nauczyć „poprawy utrzymywania równowagi ciała” oraz, co nie mniej ważne, jak się pozbierać, kiedy się już upadnie.

Twarde statystyki: co roku osoby starsze upadają ponad milion razy i łamią sobie biodra i nadgarstki za siedemset dwadzieścia pięć milionów euro kosztów leczenia.

Ja też chodzę już dość niepewnie... ale taki kurs...

Spytałem Eefje, ona jednak ani myśli. Graeme poczeka jeszcze rok. Grietje wprawdzie często się gubi, ale nigdy się nie przewraca. Tylko Evert, chociaż przecież jeździ na wózku, chętnie skorzysta. Żeby porozrabiać.

Ciekawe, czy można się umówić na indywidualną lekcję próbną?

x

Antoine i Ria opłakują śmierć swego idola, kulinarnego dziennikarza Johannes van Dama, przed którym drżały wszystkie restauracje. Pod koniec życia zaczął wystawiać lokalom, które wizytował, coraz wyższe oceny. Czy chciał w ten sposób stworzyć wrażenie, że to on osobiście podniósł poziom kulinarny w Amsterdamie?

Pewną rolę mógł też odgrywać fakt, że nie miał już szans pojawiać się incognito. Nie dało się go przebrać za kogoś innego. A więc kiedy wchodził do jakiegoś lokalu, od razu wszystkie ręce na pokład.

Sobota, 21 września

Dzisiaj jest Światowy Dzień Osób z Chorobą Alzheimera. I co mamy w taki dzień robić? Myśleć o chorobie?

Te wszystkie dni, które mają być świętami nie wiadomo czego, a najczęściej chorób: Światowy Dzień Chorych na Trąd, Światowy Dzień AIDS, Światowy Dzień Cukrzycy, Światowy Dzień Sraczki. Zaraz pójde do Grietje, bo będę jej mógł powiedzieć: dzisiaj twoje święto. I to nawet podwójne, bo dzisiaj jest też w Holandii Dzień Sąsiada. Jakoś nigdy nie kojarzyłem, że Dzień Sąsiada łączy się z Dniem Osób Chorych na Alzheimera.

Tyle tylko, że ten dzień nie jest pomyślany dla właściwej grupy docelowej. Te osoby nie wiedzą nawet, jaki to dzień tygodnia.

x

Wspomniany wcześniej Johannes van Dam wypowiedział się parę lat temu na łamach „Het Parool”,

że kiedy człowiek nie może już mieszkać samodzielnie, przechodzi potworne katusze. Przytoczyłem tę opinię w czasie naszej popołudniowej kawy w gronie ośmiorga pensjonariuszy. Wywiązała się dyskusja. Evert, mieszkający w osobnym mieszkaniu przy ośrodku, jako jedyny zgadzał się z niezującym już Van Damem. Był osamotniony wobec przeważającej liczby osób, które uważały, że to hańba głosić coś takiego. Dyskusja była przezabawna. Evert brylował, cięty i bezlitosny.

Pani Stelwagen przyglądała się nam z pewnej odległości. Kiedy się zorientowała, że na nią patrzę, skinęła głową i wyszła.

Niedziela, 22 września

Nawet jeśli się ma osiemdziesiąt lat, niewyparzoną gębę, a na imię Evert, też można czuć się niepewnie. Poprosił mnie o pomoc przy organizowaniu klubowej wycieczki w najbliższą środę. Zamówił już warsztaty malarskie i zaczął mieć obawy, że nikomu się to nie spodoba.

– Czy to nie jest trochę za drętwe? Może coś jeszcze do tego dodać?

Zapewniłem go, że pomysł jest doskonały, bo nic nie może pójść nie tak, i na pewno będzie lepiej niż w czasie mojego golfa.

– Co prawda, to prawda – przyznał ze złośliwym uśmiechem, który nie za bardzo mi się spodobał.

x

Podczas antyrządowej demonstracji nie zauważyłem żadnej wściekłej armady chodzików, cant i skuterów elektrycznych, protestującej przeciwko temu, że cięcia budżetowe najbardziej dotyczą osób starszych.

Jeśli wierzyć artykułowi *Stary i biedny – czy na pewno?* we wczorajszej gazecie, to ludzie teraz jeszcze młodzi muszą znacznie dłużej pracować do emerytury i płacić wyższe składki niż obecni emeryci, którzy krzyczą, jaka to im się dzieje krzywda.

Pocieszająca perspektywa: koalicja socjalistów, konserwatywnej Partii Wolności i partii 50PLUS ma się niedługo zająć sprawą dręczonych cięciami budżetowymi staruszków. Według ostatnich sondaży mają łącznie sześćdziesiąt sześć miejsc w parlamencie.

Poniedziałek, 23 września

Wczoraj w południe, po całym tygodniu jesieni, znowu pokazało się słońce. Ławeczki przed ośrodkiem od razu się zapełniły.

Pani Bakel wzięła ze sobą promocyjną tubkę kremu przeciw oparzeniom słonecznym i hojnie częstowała każdego, kto chciał. Chwilę później ośmioro staruszków z warstwą źle rozsmarowanego kremu na twarzach i z zamkniętymi oczami syciło się słońcem. Ładny widok.

Ona tymczasem spojrzała jeszcze raz na tubkę i zawołała przestraszona:

– Przeterminowany!

– I to jak! – przytaknęła pani Van der Ploeg, która miała ze sobą okulary do czytania. – Sierpień dwa tysiące dziewięty. Czy to niebezpieczne?

Pytanie wywołało gwałtowne spekulacje.

– Może od tego dostaje się raka? Raka skóry? – zastanawiał się głośno pan Snel.

Chwilę później ósemka starszków zawzięcie ścierała krem z twarzy, co z powodu zmarszczek wcale nie było takie łatwe.

Wtorek, 24 września

Jakiś młody człowiek zaczepił pana Van der Schaafa na ulicy i spytał, czy nie mógłby mu rozmienić jednego euro na dwie pięćdziesięciocentówki, bo mu potrzeba na wózek w supermarkecie. Był bardzo pomocny i nawet pottrzymał mu na chwilę portfel. Po przyjściu do domu pan Van der Schaaf stwierdził, że rozmienił jedno euro za cenę dwóch banknotów po dwadzieścia euro i jednego dziesięcioeurowego.

Młody człowiek miał północnoafrykański wygląd. Czasami można odnieść wrażenie, że im samym zależy, żeby wzmocnić nasze uprzedzenia.

A gdyby go nawet złapali...

Rabunek bez przemocy?

Prace społeczne z zachowaniem prawa do zasiłku.

Rzadko się zdarza, żeby ludzie z wiekiem stawiali się bardziej lewicowi. Raczej zawsze stają się bardziej prawicowi. Ciekawe, skąd się to bierze?

To już chyba trzeci przypadek w ciągu ostatnich paru miesięcy, że ktoś od nas padł ofiarą tego triku z rozmiennianiem na drobne. Wszyscy o tym wiedzą, ale w momencie, kiedy prosi ich o to ktoś na ulicy, połowa od razu podejrzewa najgorsze, a druga połowa naiwnie wierzy we wrodzone dobro człowieka.

Środa, 25 września

Jeden z naukowców, zapomniałem nazwiska, zapewnia, że za jakieś piętnaście lat chorobie Alzheimera będzie można zapobiegać. To bardzo przykra wiadomość dla wszystkich, którzy właśnie zaczynają zapadać na demencję. Oni już tego nie przeżyją, przynajmniej nie świadomie. Co za pech!

Ci Amerykanie to mają głupie szczęście. Jak wynika z dokumentów odtajnionych niedawno pod naciskiem społecznym, w okresie od 1950 do 1968 roku doszło do co najmniej siedmiuset incydentów z bronią jądrową. Jeden z amerykańskich bombowców „zgubił” na przykład dwie bomby wodorowe dwieście pięćdziesiąt sześć razy silniejsze niż ta z Hiroszimy, z których jedna omal nie eksplodowała, tyle że na szczęście nie zadziałał ostatni zapalnik.

Trudno zakładać, że w naszych czasach coś takiego nagle przestało się zdarzać. Ale dowiemy się o tym dopiero w roku 2058. Możecie mi wierzyć, że wcale bym się nie dziwił.

Ogólnie rzecz biorąc, można powiedzieć, że tylko szczęściu zawdzięczamy, że jeszcze istniejemy.

Ludzkość z pewnością nie zawsze stawiała u steru najrozsądniejszych przedstawicieli swojego gatunku. Hitler, Stalin, Mao, żeby wymienić pierwsze nazwiska z brzegu, mają na swoim sumieniu łącznie jakieś dwieście milionów ludzkich istnień, i to bez bomb atomowych. Gdyby była jakaś nagroda dla najgłupszego gatunku na ziemi, z pewnością zostalibyśmy nominowani.

Jutro znowu zdam relację z paru przyjemnych szczegółów codzienności. Zaraz zajeżdża busik i ósmioro rześkich członków klubu z wielką radością odda się intensywnej rozrywce, przerywając ją tylko od czasu do czasu, żeby coś przekąsić i wypić.

Czwartek, 26 września

Na komodzie stoi całkiem udany portret niżej podpisanego. Namalowany przez Graemego, który najwyraźniej ma wyjątkowo neoekspresjonistyczne upodobania.

Busik zawiózł nas wczoraj po lunchu do Bergen aan Zee, artystycznej wioski na północy Holandii. Zgłosiliśmy się w bardzo ładnym drewnianym pawilonie plażowym. Evertowi nie przyszło do głowy się zastanawiać, jak my sobie poradzimy z pchaniem jego wózka po piachu. Trochę nas to kosztowało wysiłku, żeby go wepchnąć klinkierową ścieżką na grzbiet wydmy, za to z powrotem z trudem udało nam się go wyhamowywać i mało brakowało, a Evert pomknąłby samotnie w dół, by na końcu zaryć głową w piach. W końcu poprosiliśmy jakichś dwóch silnych młodych ludzi, którzy uprawiali jogging, żeby nam pomogli popchnąć Everta te sto metrów w górę i odstawić do pawilonu, gdzie miały się odbyć nasze warsztaty malarskie.

Czekała tam już na nas bardzo artystyczna w wyglądzie pani oraz farby i osiem sztalug z zagruntowanym płótnem, na którym mieliśmy parami malować swoje portrety. Rezultaty były prześmieszne – wszelkie możliwe style z ostatnich pięciuset lat historii sztuki.

Potem pobrodziliśmy sobie jeszcze z Eefje w morzu. Pod rękę.

Omówienie wyników było bardzo odpowiedzialnie podbudowane kulinarnie i winologicznie. Pan z plażowego pawilonu wciągnął potem Everta swoim traktorkiem z powrotem na wydnię. W czasie jazdy Evert pozdrawiał wszystkich skinieniem dłoni jak królowa. W drodze powrotnej busikiem śpiewaliśmy na całe gardło.

Dziś rano pani Kamerling spytała Graemego, czy nie namalowałaby jej portretu. Evert od razu mu doradził, żeby policzył jej za to siedemset osiemdziesiąt euro netto.

Piątek, 27 września

– W ramach Tygodnia Osób Chorych na Demencję zapraszam wszystkich na wino i przekąski na tarasie pawilonu EYE – powiedziała Grietje wczoraj w południe Eefje, Edwardowi i mnie. Kiedy zaczęliśmy ją przekonywać, że może jednak podzielimy się kosztami, powiedziała tylko:

– Nie marudzić mi tutaj!

Taksówka tam, taksówka z powrotem.

Kiedy już wystarczająco się wygrzaliśmy w słońcu na tarasie supernowoczesnego pawilonu Instytutu Sztuki Filmowej, Grietje rzuciła mimochodem:

– Będę teraz bardzo hojna na stare lata. Zamierzam całkowicie oczyścić rachunek, dopóki jeszcze wiem, co to jest rachunek.

To się nazywa właściwe podejście do demencji.

x

Muszę przyznać, że było mi już tego trochę za dużo. Dzień Osób Chorych na Alzheimera to jeszcze rozumiem, ale żeby tydzień... Jeśli dobrze liczę, oglądałem ostatnio w telewizji chyba z sześć programów o demencji. Teraz wszystko już wiadomo. Takie bardzo skomplikowane to zresztą nie jest: człowiek dostaje tej choroby i po jakimś czasie już nic nie wie i nie poznaje samego siebie w lustrze. I wtedy przychodzi czas na oddział zamknięty.

x

Wszyscy podniecają się prognozami, że jedna na dwie dziewczynki, które się teraz rodzą, dożyje stu lat. Nie usłyszałem tylko najważniejszego pytania: czy to dobra wiadomość, czy zła? Z osób w naszym ośrodku, które dobijają do setki, co najmniej jedna na dwie chciałaby już nie żyć.

Sobota, 28 września

Kiedy otworzyły się drzwi windy, w środku były już dwa chodziki i jeden skuter elektryczny, ale pani Groenteman uważała, że jej skuter jeszcze się zmieści. Trochę za bardzo dodała gazu i wszyscy ze wszystkimi się zaklinowali. Potem trzeba było aż pół godziny, zanim wreszcie udało się rozplątać to kłębowisko. Krzykom i jękom nie było końca, chociaż nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek odniósł jakieś obrażenia.

x

Nasza pani dyrektor dała mi pośrednio do zrozumienia, że wie, że to mnie Anja przekazywała poufne dokumenty. Osobiście zaprosiła mnie wczoraj na pożegnanie Anji, które ma się odbyć siódmego października. Ponieważ musiałem wyglądać na zaskoczonego, powiedziała:

– Przecież jest pan chyba zaprzyjaźniony z panią Appelboom? Doszły mnie słuchy, że dość często bywał pan u niej w biurze na kawie. Szkoda, że mnie wtedy tam nie było.

Chyba się zaczerwieniłem. Stałem jak ten słup i nie umiałem wydusić z siebie ani słowa. Coś jakby szach-mat.

„Coś jakby” to za mało powiedziane!

Pani Stelwagen posłała mi uśmiech i zostawiła mnie samego.

Fakt, że pożegnanie odbędzie się w poniedziałek, pokazuje, jak bardzo Anja była w biurze lubiana.

Muszę powiedzieć, że dzisiaj jest już bardziej zadowolona niż zła z powodu tego niespodziewanego zwolnienia.

Niedziela, 29 września

Wczoraj, zaraz po karambolu w windzie, gapie tłoczyli się aż do końca korytarza.

– Ojej, ojej! – Dłonie przy ustach, kręcenie głowami i niekończące się analizy przypadków, jedna śmieszniejsza od drugiej.

– To wszystko przez to, że za dużo ludzi wchodzi do windy.

Z wiekiem liczne cechy ulegają osłabieniu, ale wścibstwo z pewnością do nich nie należy.

x

Jest piękna późnoletnia pogoda. Ale też bardzo zdradliwa. Wczesnym rankiem wybrałem się na

przejażdżkę skuterem i o mało nie odmarzły mi palce. Muszę sobie sprawić jakieś porządne zimowe ubranie na te przejażdżki, bo inaczej któregoś dnia znajdą mnie zamarzniętego na czerwonych światłach.

Podobno zamarznienie to całkiem przyjemna śmierć, jak mówią ludzie, których w ostatniej chwili odratowano.

Nie zamierzam tego jeszcze wypróbować, ale kto wie, może to i jest jakaś alternatywa dla pigułki Driona: w mroźny wieczór jedzie sobie człowiek do jakiegoś odludnego parku, zdejmując kurtkę i czeka na śmierć. I nawet się nie zaśmierdzi, jak nie od razu go znajdą.

Poniedziałek, 30 września

Prawie nie mogę chodzić, tak mnie boli stopa. Zadzwoiłem do Eefje i spytałem, czy nie mogłaby mi przynieść aspiryny. Mam wrażenie, że to podagra. Rozpoznaję symptomy, które miał Evert. Przez całe rano siedziałem na krześle z nogą do góry. Raz tylko połażłem na czworaka do ubikacji.

Eefje posiedziała ze mną godzinę, a w południe wpadnie na wózku Evert. Wiódł kulawy kulawego. Zadzwoiłem zapytać, czy byłoby możliwe, żebym dostał kolację do pokoju.

– Niestety, nie mamy takiego uzusu.

– Że co, proszę?

– No, nie praktykujemy tego. Musiałby się pan oficjalnie przenieść na oddział pełnej opieki.

Wypchajcie się z tymi swoimi przepisami. Zwyczajnie poproszę Graemego, żeby mi przyniósł mój talerz na górę. On jeszcze dobrze chodzi. Mogą sobie marudzić, ile chcą, że to też nie jest „uzus”, bo Graeme i tak na szczęście takimi rzeczami się nie przejmuje.

Oni by tu byli w stanie pozwolić człowiekowi zdechnąć, i to całkowicie zgodnie z przepisami.

Na szczęście mam w tej chwili przyjaciół.

Wtorek, 1 października

Zgadza się, to podagra, czyli po dzisiejszemu dna moczanowa. Dostałem od lekarza pigułki, przy których nie wolno pić alkoholu, a jak już się wyleczę, to powinienem raczej zrezygnować z czerwonego wina i w miarę możliwości nie jeść truskawek. Bez truskawek oczywiście da się żyć, zwłaszcza w październiku, ale sezon na czerwone wino właśnie się rozpoczął, tymczasem ja będę musiał się przestawić na pasujące do lata białe. No, ale jeśli dzięki temu mam się pozbyć podagry, to ofiara wydaje się do zniesienia.

Z wielkim bólem i trudem doczłapuję do ubikacji. Ale już kręcenie się po ośrodku – zdawałoby się, niezbędne do życia – odpada. Zostaje tylko czytanie, pisanie, oglądanie telewizji i czekanie na wizyty.

No i grzebanie w papierach. Znalazłem tam między innymi stary wycinek prasowy: „Amerykańska komisja śledcza ustaliła, że 6,6 miliarda świeżo wydrukowanych dolarów, które w roku 2003 przetransportowano kilkoma samolotami do Bagdadu z przeznaczeniem na pensje dla wyższych urzędników, mogło paść ofiarą kradzieży. Amerykanie przekazali je Irakijczykom i pieniądze zaginęły”.

Zaginęły? Sześć miliardów dolarów? Kilka ciężarówek banknotów? Zaginęły. Gdzieś się błąkają.

Już sobie przypominam, dlaczego zachowałem ten wycinek. Bo to zbyt nieprawdopodobne, żeby mogło być prawdziwe. Gdzieś w Bagdadzie jakiś Sknerus McKwacz kąpie się w banknotach.

Środa, 2 października

W charakterze pocieszenia powiedziałem Grietje, że w całej Europie na demencję cierpi około sześciu milionów ludzi.

– I co, Evert, pomyślałeś sobie, że zmartwienie dzielone z innymi to dla Grietje połowa zmartwienia?

A potem zwróciła się do mnie ze śmiechem:

– Tak sobie tylko zażartowałam, Henk.

Chyba się zaczerwieniłem.

To mało pocieszająca wiadomość, że w samej tylko Europie jest sto pięćdziesiąt stadionów piłkarskich pełnych ludzi z demencją.

Grietje powiedziała, że w zaawansowanym stadium demencji człowiek przechodzi obok lustra i nie poznaje siebie. Miała nadzieję, że pomyśli wtedy: „Ależ piękna kobieta!”.

Zaczęliśmy się potem przyglądać osobom, o których wiedzieliśmy, że mają demencję, i doszliśmy do wniosku, że mniej więcej jedna na dwie jest nieszczęśliwa lub bardzo nieszczęśliwa.

– Za to druga z tych dwóch wcale nie ma źle. W każdym razie nie gorzej niż większość pozostałych pensjonariuszy. To dosyć optymistyczna konkluzja – przyznała Grietje i dodała, że nawet najmniejsza część jej osoby nie rozważa możliwości wcześniejszego skończenia z życiem.

Zupełnie jakby odpowiedziała na pytanie, którego nie miałem odwagi zadać.

Z podagrą już troszkę lepiej. Pigułki robią swoje. Znowu mogę trochę dreptać.

Czwartek, 3 października

W naszej subtropikalnej plotkarni parę razy dziennie słyszy się, że dawniej wszystko było lepsze. Pani De Vries powiedziała wczoraj z nostalgią w głosie, że dawniej to zawsze był czas na kawę i pogaduszki. Evert zauważył, że w tej kwestii raczej nic się nie zmieniło.

– Jak to?

– No, przecież już od lat jestem zmuszony słuchać twojego gadania, z krótkimi chwilami przerwy na siorbanie kawy.

– No wiesz...

Po raz pierwszy, odkąd ją znam, przez pięć minut nie powiedziała ani słowa. Po pięciu minutach oświadczyła podniesionym tonem, że od tej pory Evert ma się do niej zwracać per „pani”. Większość z nas jest tutaj na „pan” i „pani”. Przypuszczalnie pozostałość z czasów, kiedy wszystko było lepsze i ludzie szanowali się nawzajem. Tylko Evert „tyka” wszystkich, bez względu na to, kto to jest.

x

Całkiem nieźle już chodzę i dzisiaj spokojnie będę się mógł napić wieczorem winka. Okazuje się, że jestem od tego uzależniony bardziej, niż myślałem. Człowiek tego nie zauważa, dopóki nie ma żadnych ograniczeń, ale kiedy przez parę dni jest zmuszony się powstrzymać, tym bardziej chce mu się tego kieliszka, który poprawia humor.

Na usprawiedliwienie mojego alkoholizmu mogę powiedzieć tyle, że w moim wieku to już nie ma żadnego znaczenia. I z przyjemnością nalewam sobie przed jedzeniem pierwszy kieliszek wina. Jeszcze

niedawno wychylałem też kieliszeczek brandy i wypalałem cygaro, ale już, niestety, nie mogę, bo duszę się od kaszlu.

Piątek, 4 października

Dzisiaj, w Światowy Dzień Zwierząt, nie mamy w jadłospisie mięsa ani ryby, tylko kuleczki tofu i ziemniaki utłuczone z endywią. Drobnym gestem w stronę zwierząt. Jutro wezmę sobie za to jakiś ekstra kawałek mięcha.

Pułapki na myszy stoją, jak stały, a komary zabijamy nawet w październiku. Są zwierzęta i zwierzęta. W przypadku ludzi zresztą obowiązuje ta sama zasada: jedni są rozstrzelani albo zdychają z głodu, a inni kupują sobie kolejną willę.

Pani Stelwagen poprosiła mnie do swojego biura, żeby zapytać, czy mam jakiś pomysł na prezent pożegnalny dla Anji. Nie miałem.

– Może być trochę droższy – naciskała. Czyżby miała wyrzuty sumienia?

– To może by tak podarować jej rower elektryczny?

Pani dyrektor natychmiast zapaliła się do tego pomysłu. A już myślałem, że się wykpi jakimś tandetnym zegarkiem. Chyba się przysłużyłem Anji tym pomysłem.

x

Dzisiaj w południe idę z wizytą do mojego człowieka od skuterów. Nareszcie pod koniec życia mam „swojego człowieka” od czegoś. Chcę zapytać, czy dałoby się zamontować do mojego skutera przednią szybę. Przez silny wschodni wiatr, który wiał w poprzednie dni, mocno zmarzłem, chociaż było ładne jesienne słońce. Z parasolem raczej chyba nie powinienem próbować jeździć.

Sobota, 5 października

Henk Krol, który tak dziarsko wkroczył na barykadę, żeby walczyć o nasze emerytury, właśnie z hukiem z niej spadł. Okazało się, że jest dosyć wybiórczy, jeśli idzie o walkę o sprawiedliwe emerytury, bo nie uznał za stosowne płacić składek za zatrudnianych przez siebie pracowników.

Nagle się okazało, że co najmniej połowa naszych pensjonariuszy od samego początku uważała Krola za człowieka niegodnego zaufania.

Jego zdjęcie w gazecie z byłą żoną i byłym partnerem bynajmniej nie polepszyło sprawy.

– Skoro nawet nie wiesz, czy jesteś homo, czy nie, to jak ty chcesz dbać o sprawy trzech milionów starych ludzi? Do dupy taki interes! – tyle subtelny jak zwykle pan Bakker.

Ale z chwilą ustąpienia Henka Krola (Nie, droga pani De Goede, to nie jest brat Ruuda Krola!) wielu mieszkańców naszego ośrodka nagle znalazło się w politycznej czarnej dziurze. Na kogo tu teraz głosować?

– Jan Nagel, czyli Gwóźdź, nazywany Jan Gwóźdź do Trumny Demokracji, tworzy właśnie swoją szóstą z kolei partię, więc na niego na pewno nie zagłosuję – burknął pan Hijneman. Spora część mieszkańców, zwłaszcza pań, najchętniej zagłosowałaby na księżniczkę Beatrix.

Nie, generalnie nie ma sensu poruszać u nas tematów politycznych.

Zresztą w ogóle mało jest tematów, o których rozmawia się tu przy kawie z jakąkolwiek znajomością rzeczy. Evert rzucił ostatnio ni z gruszki, ni z pietruszki pytanie, czy są jeszcze na świecie jacyś ludzie, którzy mają włosy łonowe, jak Pan Bóg przykazał. Trzeba było widzieć twarze osób przy stole.

Później nam wyjaśnił, że czasem trzeba czymś zaszokować, żeby nie było za ciasno przy naszym stoliku.

Niedziela, 6 października

Na jednym ze stolików na dole Edward przykleił karteczkę z napisem: *Uprasza się nie rozmawiać przy tym stoliku o chorobach*. Evert dopisał pod spodem dodatkowy apel: *I ani słowa o zmarłych współmałżonkach*.

Ludzie dziwnie patrzyli.

– Jak to nie o chorobach? – zdziwiła się pani Dirkzwager, której pierwszą czynnością po przyjściu jest zawsze postawienie na stole obok filiżanki bezkofeinowej kawy swojego pojemnika z przegródkami na lekarstwa i zażycie całodziennej dawki przy akompaniamencie westchnień oraz przeznaczonej dla wszystkich informacji, od czego jest każda pigułka. I tak codziennie, możecie mi wierzyć albo nie.

Edward z dużym wysiłkiem objaśnił jej, że może sobie rozmawiać o swoich dolegliwościach, niedomaganiach oraz zmarłych bliskich wszędzie, gdzie tylko chce, byle nie przy tym stoliku.

– Ludzie czasem nie chcą wysłuchiwać bez przerwy czyichś narzekań! – postawił sprawę jasno Evert.

Z pewnym niezdecydowaniem obecni podzielili się na dwa obozy: nieliczne towarzystwo przy stoliku bez chorób i cała reszta przy innych stolikach. I w końcu nie wiedzieli już tak na pewno, czy teraz wolno im uzalać się na temat problemów zdrowotnych, czy też nie.

W południe karteczki zniknęły.

x

Wielkimi krokami zbliża się w naszym ośrodku konkurs piosenki. Już niedługo zaczynają się pierwsze przesłuchania. Postaram się nie popełnić tego błędu, o którym była mowa powyżej, i nie będę narzekał.

Tylko jedna uwaga: już teraz wielkimi zwycięzcami są głusi i niedosłyszający.

Poniedziałek, 7 października

Mamy tu trochę pań z fobią czystości i trochę tych, co, mówiąc oględnie, hołdują stylowi życia, w którym higiena osobista pozostawia do życzenia. Są na tym tle konflikty.

Pani Aupers, jedna z tych, które zmieniają pończochy nawet nie raz na miesiąc, w czasie posiłku z dwiema paniami bardzo dbającymi o higienę oświadczyła, że całe to mycie się i strojenie nie ma żadnego sensu.

– Na samych piętach mamy ponad osiemdziesiąt gatunków pleśni. Tak przeczytałam. To teraz pomyślcie, ile tego macie w kroku.

– Tu się je! – oburzyła się jedna z zadbanych pań.

– Ja tylko chcę powiedzieć, że mycie jest bez sensu. Na rękach też jest pełno bakterii i grzybów.

Tego już było za wiele. Panie z fobią czystości zawołały pielęgniarkę, żeby kazała jej łaskawie zamknąć się przy jedzeniu. Pani Aupers powołała się na zagwarantowaną w każdej demokracji swobodę wypowiedzi. Zrobiło się gorąco. Ostatecznie skończyło się na tym, że pani Aupers w swojej okropnej sukience, na której można zobaczyć ślady posiłków z poprzednich dni, musiała się przesiąść do osobnego stolika.

Ale co się miało stać złego, to już się stało. Prawie nikt nie zjadł do końca tego, co miał na talerzu. Tylko gruba pani Zonderland skorzystała z sytuacji i zjadła aż cztery desery o smaku waniliowym, które normalnie są ulubionym daniem wszystkich i miseczki są najczęściej wylizane do czysta.

Wtorek, 8 października

Niechby taki Henk Krol przez wszystkie następne lata chodził po świecie z myślą: „Żeby tylko nikt mi nie zaczął znowu przypominać, że nie płaciłem składek emerytalnych za moich pracowników”. Myślę, że te podskórne obawy skutecznie podkopały jego mniemanie o sobie. Na pewno jest o wiele więcej ludzi, którzy muszą żyć po tym, jak ujawniono ich brudne sprawy. Podobno te wszystkie skandale, które wyszły na światło dzienne, to zaledwie wierzchołek góry lodowej.

x

Wczoraj w południe było pożegnanie Anji. Podobało mi się. Kilkoro jej kolegów zaśpiewało piosenkę, ale tak, że nie bolały od niej zęby; jakiś człowiek wygłosił bardzo kulturalną i pełną szacunku przemowę, w której tu i ówdzie pobrzmiwały słowa krytyki na temat polityki kadrowej ośrodka. Pani Stelwagen nie drgnęła nawet powieka. Przez całą uroczystość uśmiech trzymał się jej twarzy jak przyklejony. Ciekaw jestem, kim był ten człowiek.

Anja wyglądała na naprawdę zadowoloną z roweru elektrycznego.

Umówiliśmy się, że będziemy się regularnie widywać. Bardzo miła deklaracja. Tylko żeby jeszcze ta oporna praktyka...

Starzy ludzie tracą swoich ostatnich przyjaciół za murami, ponieważ przestają się odwiedzać i podejmować wspólne przedsięwzięcia. Na wszelkie działania patrzą jak na jakąś wielką górę, na którą trzeba się wspiąć. Można powiedzieć, że bierze się to z braku energii oraz ze strachu, ale to za łagodne wyjaśnienie. Ja tam uważam, że ze śmierdzącego lenistwa i wygodnictwa. Jeśli ktoś nie chce być sam, to potrzebna jest do tego nadzieja i jakiś wysiłek – nawet jeśli czasami bywa daremny.

Środa, 9 października

Usłyszałem głucho uderzenie w pokój obok, a zaraz potem cichy jęk. Ściany są tutaj bardzo cienkie. Wyszedłem od razu na korytarz i zapukałem. Żadnej odpowiedzi. Drzwi były zamknięte od środka na klucz, ale wezwany przeze mnie nasz ślusarz bez problemu otworzył je na moją prośbę.

Pani Meijer leżała na podłodze swojej mikroskopijnej kuchenki i nie trzeba było lekarza, żeby stwierdzić, że ma nienaturalnie wykręconą rękę. Strasznie głupio to wyglądało. Zadzwoeniłem do recepcji

po pomoc i chwilę później pani Meijer była już w drodze do szpitala.

To było wczoraj wieczorem.

Tymczasem już wiadomo, że złamała sobie i rękę, i nogę.

Wdrapała się po stołku na blat, żeby odkurzyć górę szafek.

– Zawsze tak robię – wyjęczała podobno. Doskonały argument, jak widać.

Po raz trzeci w tym tygodniu usiadłem na własnych okularach. Przy takim nacisku oprawki nie wytrzymały. To były moje rezerwowe okulary, bo na tych właściwych usiadłem już w zeszłym miesiącu. Skleiłem oprawki taśmą, którą pożyczyłem od jakiegoś majsterkowicza, a swoje główne okulary wreszcie zaniósłem do optyka.

– Zobaczę, czy coś się da jeszcze zrobić, proszę pana.

Czwartek, 10 października

Kiedy przedstawiciel Komitetu Noblowskiego zadzwonił kilka lat temu do Ralpha Steinmana, żeby mu pogratulować Nobla w dziedzinie medycyny, ten nie mógł podejść do telefonu, ponieważ od trzech dni już nie żył.

Pechowo się złożyło dla Ralpha, bo takiej nagrody nie dostaje się przecież co dzień, więc chciałoby się usłyszeć to osobiście. Ale z drugiej strony może mówić (he, he, he, może mówić!) o szczęściu, ponieważ według regulaminu nie przyznaje się tej nagrody osobie nieżyjącej. Teraz Komitet Noblowski musiał wymyślić nową klauzulę. I wymyślił: można dostać Nobla, będąc już nieżywym, pod warunkiem, że Komitet o tym nie wie.

Płotka głosi, że dopiero jak komuś z Komitetu uda się porozmawiać telefonicznie z kandydatem, ogłasza się zwycięzcę. Tak więc, panie i panowie uczeni, nie ma już sensu przemilczać własnej śmierci.

Ale z drugiej strony to sam Komitet Noblowski jest sobie winien. Jeśli ktoś wyskakuje z nagrodą dopiero dziesięć, dwadzieścia, a czasem nawet trzydzieści lat po słynnym odkryciu, to sam się prosi o problemy. Kto wie, ilu martwych profesorów straciło przez to najpiękniejsze chwile w karierze?

Kiedy to opowiedziałem, wszyscy szczerze współczuli Ralphowi Steinmanowi.

– Tak samo, jak jest nie w porządku, że Vincent van Gogh nigdy nie zobaczył ani centa z tych milionów, które teraz ludzie płacą za jego obrazy. – Pani Aupers westchnęła.

– Czyli jednak dobrze, że nie żyje! – zakonkludował z ożywieniem Evert.

x

Rozmowy o bozonie Higgsa nie wzbudzają takiego entuzjazmu.

Piątek, 11 października

Wzburzenie z powodu rosyjskiego dyplomaty aresztowanego przez policję w Hadze.

– Jak dla mnie użycie środków przymusu bezpośredniego wobec pijanego Ruska, który znęca się nad swoimi dziećmi, jest ważniejsze od immunitetu dyplomatycznego!

Świetnie powiedziane, Graeme! Znakomicie połączyłeś ze sobą dwie najbardziej aktualne sprawy. Tyle tylko, że niewiele osób w tym gronie zrozumie, o czym mówisz.

„My” nie bardzo trzymamy stronę Rosjan, a już najbardziej nie lubimy, kiedy trzeba ich za coś przeprosić – tak wynika jednoznacznie z naszej rozmowy przy kawie.

– Jak ktoś widział zapijaczoną gębę tego Ruska, to nic mu więcej nie potrzeba – znowu nasz nieoceniony pan Bakker.

– W folderach reklamowych niektórych hoteli jest wyraźnie zaznaczone, że Rosjan się nie przyjmuje – oznajmiła pani Snijder, która nigdy nie wyściubiła nosa z Holandii.

Ja sam powiem tylko tyle: Bogu niech będą dzięki, że mamy za premiera Marka Rutte, a nie Władimira Putina.

x

Z czego to się bierze, że ludzie zapominają przede wszystkim nazwiska?

– Zaraz, zaraz, jak to on się nazywał? No, ten piosenkarz z tego zespołu, no wiesz. Mieli też taką blond piosenkarkę. Nazwisko zaczynało się na A czy jakoś tak. Mam to na końcu języka.

Nazwiska osoby, którą zna się od lat, nagle nie ma w odpowiedniej przegródce naszego mózgu. A po jakimś czasie samo się pojawia, nie wiadomo skąd.

Coraz częściej grzebię w mózgu w poszukiwaniu jakiegoś nazwiska albo słowa... i z coraz mniejszym powodzeniem. Muszę nad tym popracować, a tymczasem tylko się bezproduktywnie złościę.

Nie tędy droga, Groen.

Sobota, 12 października

Dyrektorka ogłosiła, że ćwiczenia z ewakuacji budynku okazały się wielkim sukcesem. Jeśli celem ewakuacji było stworzenie maksymalnego z możliwych bałaganu, to absolutnie się z nią zgadzam.

Nagle w korytarzach zaroilo się od osób w kamizelkach odblaskowych, to personel pomocniczy ośrodka. Alarm jeszcze się nie zaczął, więc mieli czas uprzedzić, że to tylko ćwiczenia.

– Żeby zapobiec ewentualnym atakom serca – wyjaśniła potem pani Stelwagen.

Świadomość, że to tylko alarm ćwiczebny, sprawiła, że większość pensjonariuszy najpierw spokojnie dopiła kawę, a potem jeszcze poszła do swojego pokoju po kurtkę, bo na dworze dzisiaj zięb. Korki, jakie utworzyły się przy windach, powinny się znaleźć w komunikatach radiowych. A przecież każdy wie, że w czasie pożaru nie wolno korzystać z windy. Większość pensjonariuszy kategorycznie odmówiła schodzenia po schodach, co raczej nie dziwi, jeśli ktoś porusza się tylko z chodzikiem. Ostatecznie główny behapowiec stwierdził, że mamy do czynienia nie z pożarem, tylko z atakiem bombowym, więc można jednak korzystać z wind. W tym czasie jedna z pań zdążyła spaść ze schodów, a ktoś inny wsadził palce między zamykające się automatycznie drzwi przeciwpożarowe.

Mam nadzieję, że w razie prawdziwego pożaru ogień będzie się rozprzestrzeniał bardzo powoli, ponieważ potrzeba było aż trzydziestu pięciu minut, żeby ostatni pensjonariusz znalazł się poza budynkiem, podczas gdy ci pierwsi zaczęli już wchodzić z powrotem, z personelem na czele, bo taka była brzydka pogoda.

Niedziela, 13 października

Znowu jestem wściekły, kiedy o tym pomyślę.

Wczoraj niespodziewanie zrobiła się bardzo przyjemna pogoda i postanowiłem przejechać się trochę skuterem. Zaraz na początku przejażdżki samochód przede mną niespodziewanie się zatrzymał, więc zahamowałem i stanąłem na samym środku ścieżki rowerowej. Z boku nadjechał z dużą prędkością motorower, który musiał gwałtownie zahamować, żeby mnie nie rozjechać. Dwudziestolatek na motorowerze popatrzył na mnie pełnym wściekłości wzrokiem.

– Z drogi, staruchu!

– Dla pana „panie staruchu”. Trochę szacunku, proszę, o którym ciągle tyle mówicie. – Przyłożyłem pięść do piersi i powiedziałem: – *Respect, man.*

– Cofnij się, zgredzie!

Cofnąłem się, żeby go przepuścić.

A on z odległości pół metra splunął mi prosto w twarz, dodał gazu i ulotnił się. Jego ślina ciekła mi po policzku. Mało nie zwymiotowałem, wycierając ją rękawem.

Gotując się z wściekłości, wróciłem do ośrodka.

x

Właśnie czytam, że „mój” burmistrz ma raka prostaty. Wcale nie polepsza mi to humoru. Jeden z niewielu ludzi, których naprawdę podziwiam. Przemięły człowiek i do tego sprawnie rządzący – bardzo rzadka kombinacja.

Potem spoglądam przez okno, gdzie trwa trzygodzinna już ulewa, i postanawiam zajrzeć jeszcze do Eefje, zanim rozważę próbę samobójstwa. A jak nie będzie Eefje, pójdę od razu do Everta. Jeśli i jego nie będzie, to na resztę dnia kładę się do łóżka.

Poniedziałek, 14 października

Na szczęście Eefje była wczoraj u siebie. Działa na mnie niezwykle uspokajająco i bardzo mnie podbudowuje, w dodatku nie musi w tym celu nic robić, wystarczy, że ze mną jest. Wysłuchała mojej relacji. Kiedy doszedłem do splunięcia, z obrzydzeniem cofnęła głowę, zupełnie jakby poczuła ślinę na własnej twarzy.

– Wyobrażam sobie, że gdybyś miał wtedy broń, pewnie byś go zmiotł z tego motoroweru, zgadza się?

– Kiedy tak o tym mówisz... Ale pewnie skończyłoby się na tym, że z tego roztrzęsienia nie trafiłbym w niego, tylko w jakiegoś niewinnego przechodnia. Więc w sumie lepiej, że stało się, jak się stało.

Eefje zaproponowała mi dla uspokojenia kawę po irlandzku. Jeszcze przed lunchem!

I pomogło.

x

W czasie herbaty pani Bastiaans zdała nam sprawę z testu frytkownicy w „Przewodniku konsumenta”.

Moulinex Pro Clean AMC 7 dostał dwa plusy (++) tam, gdzie chodziło o „przywieranie okruszków

do frytek”. Zastanawiała się, czy chodzi o to, że okruszki przyczepiają się do frytek, czy raczej wręcz przeciwnie. Tak naprawdę, to uważała się za ekspertkę od batatów, natomiast w kwestii okruszków i frytek miała małe rozeznanie. Żeby było ciekawiej, chodziło o numer „Przewodnika konsumenta” sprzed pięciu lat, a robienie frytek w pokojach jest surowo zabronione. Człowiek siedzi i musi czegoś takiego wysłuchiwać!

Wtorek, 15 października

Na tablicy ogłoszeń pojawiła się informacja, że coroczna ośrodkowa wycieczka nie może się na razie odbyć z powodu dużych różnic zdań w radzie mieszkańców. Na wiosnę mają być rozpisane nowe wybory do rady. Wszyscy obecni jej członkowie wystąpią w nich jako kandydaci.

Nieprzypadkowo są to cztery najbardziej twardogłowe osoby z całego ośrodka. Przy odrobinie szczęścia cała czwórka zostanie ponownie wybrana i w przyszłym roku znowu nici z wycieczki.

Byłem na takiej wycieczce kilka lat temu. Jednodniowa, do Akwizgranu. W okolicach Eindhoven odbyła się prezentacja materaców, w Akwizgranie niemiecki wariant prezentacji pojemników próżniowych, a w drodze powrotnej jakiś człowiek w kitlu lekarskim sprzedawał preparaty witaminowe, dzięki którym żyje się co najmniej do setki. W przypadku wcześniejszej śmierci można żądać zwrotu pieniędzy.

Przez godzinę snuliśmy się po Akwizgranie, o 15.00 kawa i herbata i o 18.00 z powrotem do autobusu za 22,50 euro od osoby. Jedna z pensjonariuszek (Pan zdążył już powołać do siebie jej duszyczkę) kupiła tego dnia rzeczy za tysiąc euro, w tym ładny materac dla nietrzymających moczu. Mogła dzięki temu sikać, gdzie popadnie.

W drodze powrotnej pani Schaap, która uważa, że ma ładny głos, wzięła do ręki mikrofon i przez godzinę uszczęśliwiała cały autobus szlagierami swojego wyboru. Trzeba szczerze powiedzieć, że większość z entuzjazmem śpiewała razem z nią.

Środa, 16 października

Będzie u nas Eva! Personel staje się za drogi i zbyt trudny do zdobycia (zaraz, zaraz, ile to my mamy tego bezrobocia?), dlatego w przyszłości właśnie Eva ma rozwozić filiżanki z herbatą. Eva to robot skonstruowany na politechnice w Delfcie. Na zdjęciach wygląda jak skrzyżowanie staroświeckiej wagi lekarskiej i jakiegoś przyrządu do fitnessu. Ma coś w rodzaju szpary na listy zamiast ust i dwie czarne plamy przypominające oczy albo raczej bardziej brwi. Jak zapewniają konstruktorzy, oprócz drobnych czynności usługowych Eva potrafi też okazywać emocje. Ciekawe jakie? Blasany śmiech? Prawdziwe łzy? Jakoś nic konkretnego nie napisano.

Mam nadzieję, że dawno już mnie nie będzie na tym świecie, kiedy wszystkie opiekunki i opiekunowie zostaną zastąpieni przez roboty tylko dlatego, że te są tańsze. Jeśli będzie inaczej, to na pewno tu i ówdzie poluzuję jakąś śrubkę. Evert obiecał, że postara się możliwie dużo tych robotów przewracać niechcący swoim wózkiem. Zapowiada się dobry scenariusz na film.

Starzy ludzie produkują mniej adrenaliny i dopaminy, substancji odpowiedzialnych za motyle w brzuchu i mocniejsze bicie serca. Ale w powstawaniu uczucia zakochania liczy się nie tyle ogólna ilość hormonów produkowanych przez nasz organizm, ile raczej względny przyrost tej ilości, który u osób w podeszłym wieku również może być duży. Tak piszą w gazecie. A więc stąd się to bierze, że kiedy jestem z Eefje, zawsze robię się trochę niezdarny i zaczynam się jąkać.

Czwartek, 17 października

– W zasadzie wszystko, co robi tutejszy lekarz, to opieka paliatywna, nie ma się co oszukiwać – brzmiał przyczynek Everta do dyskusji o przypadku lekarza domowego z Tuitjenhorn, który zbyt hojnie zaaplikował swojemu pacjentowi morfinę.

– Przynajmniej dzięki temu miścina znowu znajdzie się na mapie – powiedział Graeme.

Zdania na temat postępków tego lekarza były podzielone. Chociaż wiele osób tutaj reprezentuje prostolinijnie chrześcijańskie podejście do eutanazji, to w większości byliśmy zgodni, że nie było potrzeby wyciągać litościwego doktora (dopóki nie będzie dowodów, że było inaczej, zakładam, że zrobił to z miłości bliźniego) z domu na wielogodzinne przesłuchanie. Powodu do specjalnego pośpiechu już przecież nie było.

Przez takie właśnie wydarzenia mamy potem lekarzy, którzy nie przepisują morfiny, nawet jeśli pacjent cierpi nie wiadomo jaki ból. Bo lekarze się boją, że w wyniku zastrzyku ktoś może umrzeć, co w przypadku osób w podeszłym wieku, nawet statystycznie rzecz biorąc, często się zdarza. A tak się składa, że aspiryna to w takich sytuacjach zwykle za mało.

Pan Bakker, największy zgryźliwiec w ośrodku, był swoją cantą w myjni, ale zapomniał zamknąć boczne okienko. Po prostu za późno nacisnął przycisk i po chwili siedział już po złej stronie akwarium. Śmialiśmy się bez końca, kiedy recepcjonista nam to opowiedział. Widział, jak Bakker wchodzi do ośrodka mokrusieńki.

Piątek, 18 października

– Wszystkie te artykuły o wielkim przełomie w podejściu do alzheimera już mi wychodzą nosem! – powiedziała Grietje. – Musztarda po obiedzie.

Nadal jest bardzo wesoła i z widocznym rozbawieniem opowiedziała nam, że ostatnio włożyła kaptcie pod poduszkę, a piżamę pod łóżko. I coraz częściej nie ma pojęcia, co miała w danej chwili zrobić albo dokąd miała pójść.

– Do ubikacji jeszcze na całe szczęście trafiam. Jak już z tym się zaczną problemy, to chyba będzie czas się żegnać.

x

W najbliższy poniedziałek nareszcie mamy znowu wycieczkę z naszym klubem Stary, ale Jeszcze Żywy. Organizator odpowiedzialny: Edward. Stara się nas zmylić, wciąż zmieniając zalecenia co do obowiązującego stroju i pory wyjazdu. W zasadzie to nie była jego kolej, ale zarezerwował sobie tę właśnie datę. Oczekiwania są wyśrubowane.

Kolejna dobra wiadomość: nasz kucharz, najrzadziej używający soli kucharz w całej Holandii, został zwolniony. Nie podano do wiadomości przyczyn, ale krąży pogłoska, że za dużo gotował z winem. Na boku.

Rada mieszkańców próbowała w całości znaleźć się w komisji wyborczej. Rzecz niewykonalna, ale i tak nie udało im się nawet wyłonić przewodniczącego.

Sobota, 19 października

Jeśli Stany Zjednoczone będą miały problem z finansami publicznymi i republikanie będą musieli zamknąć skarb państwa na klucz, to mamy na ten temat wyważone zdanie.

– Jeśli Ameryka zbankrutuje, będziemy potrzebowali bardzo sprawnego komornika – zauważyła pani Blokker.

– Gdyby miało do tego dojść, to raczej na sprawnym komorniku się nie skończy – mruknął Graeme i zaraz dodał patetycznie: – Płyniemy żalną łódeczką w stronę wielkiego wodospadu, a tymczasem nikt nic nie robi.

Graeme jest wielbicielem zmarłego już dawno temu aktora Ko van Dijka i uwielbia grać przerysowaną ekspresją. Po każdym takim wystąpieniu następuje przeważnie puszczenie oka do Eefje lub Grietje, a jak ich nie ma, to do mnie.

– Tak, tak, czasy zrobiły się niepewne. Życie to układanka z pięciu tysięcy elementów, do której nie ma rysunku, co trzeba z niej ułożyć! – Całkiem nieźle, chociaż to ja powiedziałem.

W każdym razie nie jesteśmy zdani wyłącznie na tak zwanych ekspertów. Ci są najlepsi w analizach po fakcie. Żaden z wielkich znawców bloku wschodniego nie przewidział ze specjalnie dużym wyprzedzeniem, że mur berliński upadnie. Oczywiście żaden ekonomista nie przewidział też światowego kryzysu bankowego. Może ludzkość jest za głupia i zbyt nieobliczalna, żeby można było się pokusić o jakieś rzetelne prognozy. Jeśli to prawda, trzeba jak najszybciej pozbyć się tych wszystkich tak zwanych ekspertów, którzy zabierają czas antenowy w programach publicystycznych.

Tak czy inaczej, każdą naszą dyskusję, czy to przy kawie, czy przy herbacie, można podsumować prawdą jasną jak słońce: za naszego życia wiele się już nie zmieni!

Wtorek, 22 października

W nocy z soboty na niedzielę, prawdopodobnie we śnie, Eefje doznała poważnego wylewu. Jest prawie całkowicie sparaliżowana i nie może mówić.

Pielęgniarka znalazła ją w niedzielę rano i natychmiast wezwała karetkę. Błyskawicznie przewieziono ją do szpitala, gdzie leży na intensywnej terapii.

W niedzielę przyjechała w odwiedziny jej córka.

W poniedziałek w południe były w szpitalu odwiedziny dla osób niebędących członkami rodziny. Poszedłem do Eefje, chociaż serce podchodziło mi do gardła. To było straszne. Jedyne, co może, to ledwie zauważalnie kiwnąć głową na tak albo pokręcić przecząco. Sądząc po rekcjach na pytania, umysł ma jeszcze jasny. Bardzo ją boli.

Trzymałem ją za rękę, dopóki nie zapadła w niespokojny sen.

Potem poszedłem do pielęgniarki. Spytałem, czy będzie mogła powiedzieć Eefje, że jutro znowu przyjdę. To już zaraz.

Czwartek, 24 października

Już cztery dni po wylewie, a specjalnej poprawy nie widać. Eefje potrafi wprawdzie wydobyć z siebie jakieś dźwięki, ale nie da się odróżnić „nie” od „tak”.

Potrafi już przełykać, tak że może pić przez słomkę małe łyczki, co wyraźnie kosztuje ją dużo wysiłku.

Wygląda na wychudzoną, a przecież już przed wylewem ważyła nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów.

Kiedy przychodzę w odwiedzin, prawie zawsze akurat śpi. Gdy się budzi, wygląda na ucieszoną, że jestem. Oczy jej rozbłyskują, ale po kilku sekundach spojrzenie znowu ma zmęczone i mętne, tak że za każdym razem z oczu ciekną mi łzy. Muszę wtedy odwracać wzrok, żeby jej nie było jeszcze bardziej smutno.

Najczęściej trzymam ją za rękę przez kwadrans albo dwadzieścia minut, dopóki znowu nie zaśnie. O rozmawianiu nie ma nawet co myśleć.

x

Graliśmy wczoraj trochę w bilard, ale bez przyjemności.

– Tak to nie ma żadnego sensu – rzucił Evert. – Jeśli macie tylko chodzić koło stołu z grobowymi minami, to wolę zostać u siebie. Wystarczy mi moja własna zgryzota.

Przyznałem mu rację i powiedziałem „przepraszam”, ale pomogło tylko trochę.

Piątek, 25 października

Z chwilą założenia przez nas klubu StaŻy wróciła nam radość życia. Wygląda na to, że był to dla nas ostatni przebłysk szczęścia.

Evert inwalida, Grietje popada w demencję, a Eefje staje się rośliną. Z czymś takim liczący tylko ośmioro członków klub sobie nie poradzi, żebyśmy nawet nie wiadomo jak często siedzieli razem i popijali dobre wino.

Wszyscy tak bardzo starają się być dla siebie dobrzy, że to aż wzruszające. Czerpię z tego trochę siły.

Codziennie dwie osoby chodzą do szpitala – jedna rano i jedna w południe – i zapewniamy opiekę Grietje i Evertowi. Każdy stara się ulżyć każdemu. Ale jest to optymizm na siłę.

Staram się pisać każdego dnia. Trochę mi to pomaga. Nadal czytam gazety, oglądam trochę telewizję, siedzę przy oknie, piję herbatę. Trudno o bardziej starcze zachowania, wiem, ale nie mam pojęcia, skąd miałbym czerpać energię na coś innego.

Sobota, 26 października

Zawsze zrymałem się na pensjonariuszy, którzy tylko się na wszystko uskarżają i jęczą. Teraz sam zaczynam robić to samo. Hendriku Groen, wyświadczyć przysługę sobie i innym i daj sobie jak najszybciej

solidnego kopniaka w dupę.

Pierwsze osiągnięcie: spytałem Everta, czy jednak nie zechciałby zorganizować na szybko wycieczki, która się nie odbyła w zeszły poniedziałek. Pomyślał trochę i powiedział, że coś załatwi.

To był pierwszy krok, żeby odbić się od dna.

x

Nasz adwokat Victor przysłał pisemną wiadomość, że kierownictwo ośrodka obiecało przekazać wszystkie informacje, których się domagamy, najpóźniej z dniem pierwszego czerwca 2014 roku.

Pani Stelwagen zdaje sobie sprawę, że niewiele już możemy jej zaszkodzić. Niezależnie, co zrobi, czas zawsze gra na jej korzyść.

Zagadnęła mnie na korytarzu z troską o zdrowie mojej przyjaciółki. Słyszała, że niewiele się zmienia na lepsze. Z całego serca ma nadzieję, że Eefje nadal będzie mogła mieszkać samodzielnie, ale powiedziała to dość smutnym głosem.

– Pewnie trzeba będzie szybko opróżnić jej pokój? – wyrwało mi się.

Ależ nie, skąd, o niczym takim nie ma jeszcze mowy, można będzie o tym myśleć najwcześniej w połowie listopada. Wydaje mi się, że ona naprawdę szczerze nam współczuje, Eefje i mnie. No, ale cała reszta to już czyste „względy organizacyjne”.

Niedziela, 27 października

Wczoraj uczestniczyłem w „konsultacjach” z Eefje i jej córką Hanneke. Zgodziłem się na usilną prośbę Hanneke, która powiedziała, że jej mama by sobie tego życzyła. Nigdy wcześniej nie widziałem córki Eefje. Okazała się przemiła, ale mieszka w Roermond, na drugim końcu Holandii, ma trójkę dzieci, męża, pracę, jednym słowem, jest kompletnie uwiązana.

W szpitalu oznajmiono, że Eefje została wyprowadzona z udaru i musi teraz rozpocząć rehabilitację w jakimś innym miejscu. Rehabilitacja brzmi pocieszająco, ale, zdaniem lekarza, szansa na to, że Eefje jeszcze kiedykolwiek będzie mogła być samodzielna, jest praktycznie równa zeru.

Siedzieliśmy przy jej łóżku. Hanneke zadawała pytania, a Eefje potakiwała albo kręciła głową.

Podsumowanie jest krótkie: nie chce wracać do ośrodka na oddział opieki, tylko chce spokojnie umrzeć. Podpisała oświadczenie, że w razie czegoś takiego jak to, co ją spotkało, nie chce dalej żyć. Powiedziała już zresztą o tym Hanneke, kiedy była jeszcze zdrowa. Problem w tym, że nie wie, gdzie to oświadczenie jest.

Nigdy wcześniej nie widziałem oczu, które byłyby tak nieszczęśliwe i pełne rozpacz, jak oczy Eefje w tym momencie.

Jutro czeka nas rozmowa z lekarzem prowadzącym.

x

Obiecałem sobie, że każdego dnia napiszę chociaż o czymś jednym pozytywnym albo śmiesznym.

Otóż dziś rano siedemnaście osób przez całą godzinę siedziało w kościele, narzekając, że ksiądz się spóźnia. Zapomnieli, że trzeba przestawić zegarki na czas zimowy.

Poniedziałek, 28 października

Lekarz prowadzący wysłuchał, co mamy do powiedzenia. Powiedzieliśmy mu, że życie stało się dla Eefje ciężarem nie do zniesienia i że podpisała oświadczenie, w którym informuje, że jeżeli miałyby być całkowicie uzależniona od osób trzecich, to nie chce dłużej żyć.

Zapytał, czy może zobaczyć to oświadczenie.

Musieliśmy przyznać, że jeszcze nie udało nam się go znaleźć.

– Nie chcę państwu robić fałszywych nadziei, ale nawet mając w ręce takie podpisane przez pacjentkę oświadczenie, w tym szpitalu z pewnością nie podejmiemy żadnych działań mających skrócić życie pani Brand. Radzę państwu zwrócić się do jej lekarza domowego.

Nieustające dyskusje pensjonariuszy naszego ośrodka na temat lekarza domowego z Tuitjenhorn, który najpierw pomógł odejść swojemu pacjentowi, a potem sobie, nabierają w tej sytuacji dodatkowej wymowy.

Wtorek, 29 października

Wczoraj kod czerwony, siła wiatru 10. Nikt nie wychodzi. Przy każdej wichurze nieodwołalnie powraca opowieść o nieposłusznej pani Gravenbeek, która wyszła mimo zakazu i została zepchnięta przez wiatr do rowu z wodą, gdzie utonęła.

– A tak ją ostrzegano!

Odstawię skuter na jeden dzień. Pofrunąć łatwo, trudniej potem wylądować.

x

Wczoraj w południe znowu szukałem oświadczenia Eefje o woli poddania się eutanazji. Bez rezultatu. Bardzo dokładnie, razem z lekarzem, przeszukaliśmy z dziesięć teczek, w których trzymała całe swoje życie. Niezręcznie się czułem, widząc jej osobiste dokumenty i listy. Na początek dałem je Hanneke, ale jej było jeszcze trudniej niż mnie. Wtedy zaproponowałem, że przejrzę je pobieżnie i sprawdzę, czy nie ma tam nic o chęci zakończenia życia.

Po dwóch godzinach już nie mogłem.

Poszedłem do Everta się wypłakać. Było to pomyślane w przenośni, ale parę łez jednak mimo wszystko uroniłem.

Evert nalał nam dwudziestoletniej whisky „na specjalne okazje”, zamówił jedzenie z surinamskiego baru, a potem obejrzelśmy na DVD jakiś film z naszych starych czasów.

Jakoś się dzięki temu pozbierałem.

Środa, 30 października

Rodzisz się, umierasz, a cała reszta to forma spędzenia wolnego czasu (James Joyce).

Muszę skądś zaczerpnąć chociaż trochę siły, żeby – na ile tylko się da – towarzyszyć najlepszej przyjaciółce, jaką miałem, w jej nieszczęściu. Dzięki temu życie będzie sensowną formą spędzenia

wolnego czasu.

W praktyce moje wsparcie dla Eefje polega na tym, że przez pół godziny trzymam ją za rękę i zastanawiam się, co tu jeszcze byłoby do powiedzenia.

Eefje prawie nie robi postępów. W piątek zostanie przeniesiona z powrotem do nas na oddział całodziennego opieki. Nigdzie nie udało nam się znaleźć oświadczenia, w którym informuje, że nie chce dalej żyć, jeśli nic już nie będzie mogła sama robić.

x

Za budzące największe współczucie zdjęcie szkód wyrządzonych przez wicher uznaliśmy to, na którym widać przewrócony snackbar na kółkach gdzieś nad morzem.

W czasie wichury nareszcie siedzimy w pierwszym rzędzie za naszymi geraniami. Ze swojego odchylanego fotela przy oknie na piątym piętrze pan Bakker naliczył sześć przewróconych na jego oczach drzew, do tego dwa wypadki i trzy prawie wypadki. To dopiero dzień!

Przy kawie usłyszałem następujące rozumowanie: przez euro wszystko zrobiło się dwa razy droższe, więc jak wprowadzimy z powrotem guldena, to wszystko będzie od razu dwa razy tańsze.

Sam mam równie proste rozwiązanie. Otóż wszystkie banki przesuwają przecinek przy każdej kwocie o jedno miejsce w prawo. W rzeczywistości nic to nie zmieni, a wszyscy nagle będą dziesięć razy bogatsi. Wydatki wzrosną, gospodarka przyspieszy, problem rozwiązany.

Czwartek, 31 października

Pani Van Diemen ma zamiar pójść w ślady siedemdziesięcioletniej dzisiaj piosenkarki Anneke Grönloh i zrobić sobie lifting twarzy.

– A co chirurg ma potem zrobić z tymi wszystkimi podbródkami? – spytał Evert z szerokim uśmiechem.

– Może jeszcze przydadzą się komuś innemu – powiedziała z namysłem pani Van Diemen, która jest już na prostej drodze na oddział zamknięty.

Inny z kolei pensjonariusz, pan De Wijs, już po raz trzeci w ciągu krótkiego czasu zmienia bank. Z Banku Pocztowego przez AMRO Bank wylądował w Rabobanku, a teraz ten bank też przestał mu się podobać.

– Czy ktoś zna jakiś bank, w którym mógłbym jak należy przechować pieniądze? – spytał kiedyś przy kawie. Wokół niego same pytające spojrzenia. W końcu ktoś mu doradził, żeby może spróbował w banku krwi.

Testamenty w supermarketach sieci HEMA! Taki pomysł pada u nas na podatny grunt. „Tanio, taniej, najtaniej!” Wielu z tutejszych mieszkańców jak ognia unika notariuszy, czemu nawet trudno się dziwić, zważywszy na ceny, jakie ci śpiewają za parę kartek papieru, ale do HEMA starsi ludzie mają wielkie zaufanie. Dwie osoby, które wybierały się do HEMA po kiełbasę, zamierzały przy okazji sporządzić tam testament. Kiedy okazało się, że jest to możliwe tylko przez internet, zapał szybko ostygł.

Bardzo mi brakuje Eefje, która tak cudownie niepostrzeżenie potrafiła pomóc w pokonaniu różnych trudności. Parę uwag z jej strony, i już człowiek przestawał się denerwować tym powszechnym narzekaniem i jęczeniem. Pozwalało to jakoś poradzić sobie z budzącym niekiedy zimny dreszcz oderwaniem od rzeczywistości, z jakim ma się tutaj do czynienia.

Piątek, 1 listopada

Za mojego życia liczba mieszkańców Ziemi wzrosła z dwóch do siedmiu miliardów. Trzy razy więcej w ciągu jednego ludzkiego życia. Być może to właśnie jest ta najbardziej gruntowna zmiana, do jakiej kiedykolwiek doszło na świecie. Ważniejsza od rewolucji przemysłowej czy cyfrowej.

Kiedy rozmowa przy kawie zeszła na temat przeludnienia, pani Brom stwierdziła, że „rzeczywiście zaczyna się robić gęsto”.

– Hm... biorąc pod uwagę częstotliwość odwiedzin, raczej nie da się tego zauważyć – powiedział szyderczo Evert.

– Bo jest pan niegrzeczny – odparła pani Brom.

Evert uznał to za komplement.

x

Gdyby każdy człowiek dostał proporcjonalnie tyle samo miejsca, ile mają kurczaki w przemysłowej hodowli, czyli powiedzmy 150 x 150 cm, to całe siedem miliardów z łatwością zmieściłoby się na powierzchni połowy Holandii.

Jeśli tak na to spojrzeć, to mogą nas być nawet dziesiątki miliardów.

x

Dzisiaj wraca Eefje. To znaczy, zostanie od razu przewieziona na oddział opieki.

Rozmowa jej córki z lekarzem domowym pokazała, że o eutanazji nie może być mowy. Nawet gdybyśmy znaleźli jej oświadczenie, że nie chce żyć, jeśli ma to być tylko wegetacja, lekarz i tak nie mógłby nic zrobić. Nie chciał wyjaśnić powodów.

Sobota, 2 listopada

Wczoraj, wczesnym popołudniem, siedzieliśmy w pięcioro wokół jej łóżka. Wyglądało to zupełnie jak nowa inauguracja. Albo raczej zebranie kończące. Przyszła pielęgniarka, żeby nam powiedzieć, że w odwiedziny mogą przychodzić tylko dwie osoby jednocześnie.

– Inaczej może to być uciążliwe dla pozostałych pacjentek.

Eefje dzieli pokój z przywiązaną pasami do łóżka panią około dziewięćdziesiątki, która przez cały czas stuka paznokciem w ramię, oraz drugą panią, która z kolei bez przerwy mamrocze pod nosem kolejne godziny. Wydaje się, że jedyne, co jeszcze u Eefje funkcjonuje normalnie, to słuch. Boże, żeby tylko nie było tak, że do samego końca będzie w pełni świadoma.

Trzy staruszki w jednym pokoju, zero prywatności, nic dla siebie. Dobro człowieka Anno Domini 2013 w jednym z najbogatszych krajów świata.

Jestem jeszcze bardziej rozkojarzony niż normalnie. Trzy razy z rzędu za długo trzymałem kanapkę w tosterze. Spalona na węgiel. Myślami byłem zupełnie gdzie indziej. I tak miałem szczęście – było za mało dymu, żeby włączyła się instalacja przeciwpożarowa. Zrobiłaby się niezła heca. Pewnie skonfiskowaliby mi nielegalny toster. Robienie tostów podpada pod zakaz pieczenia, gotowania i smażenia.

Niedziela, 3 listopada

Miałem dobrą rozmowę z Evertem. Graliśmy w szachy. Jeśli o mnie chodzi, to raczej tylko przesuwałem pionki po szachownicy.

– Słuchaj, Henk, to dość samobójczy ruch.

– Że co?

– Czy to może w zastępstwie tego, czego nie masz odwagi zrobić w prawdziwym życiu?

On nie potrzebuje specjalnych wstępów, żeby przejść do sedna.

Oczywiście zacząłem coś tam bąkać, że nie, skąd, ale z Evertem takie rzeczy nie przechodzą. Pozwolił mi gadać, a potem zapadła cisza. Wtedy udzielił mi rady.

– Henk, jeśli nie widzisz dalszego sensu, to z tym skończ. Żadnego tam pieprzenia się z konsultantami od samobójstwa i lekarzami, tylko zwyczajnie kup sobie mocny sznur. Póki jeszcze jesteś w stanie wdrapać się na stołek i go odkopnąć, nikt inny nie jest ci do tego potrzebny. Jeśli tego nie potrafisz, co często się zdarza, to rób dalej to, co jest do zrobienia.

Nic dodać, nic ująć.

Próbowałem coś marudzić, że niektórzy ludzie nie decydują się na eutanazję, żeby nie robić przykrości bliskim ani nie wpędzać ich w poczucie winy.

Wtedy powiedział, że jeśli o niego chodzi, to nie muszą mieć żadnych skrupułów. Może mi nawet ewentualnie pomóc zawiązać stryczek. Nie dlatego, że chce się mnie pozbyć, co to, to nie, ale prawdziwi przyjaciele są od tego, żeby sobie pomagać w potrzebie. Bez oglądania się na własny interes.

– Usprawiedliwię cię też przed pozostałymi członkami klubu, chociaż wydaje mi się, że bez trudu cię zrozumieją. W końcu wszyscy jesteśmy w tej samej chybotliwej łódce. Dobra, a teraz naprawdę gramy w szachy!

Poniedziałek, 4 listopada

Graeme opowiadał przy stole, że ciągle słyszy takie dziwne kliknięcia, kiedy ktoś do niego dzwoni.

– Mam wrażenie, że mnie podsłuchują – powiedział jak najbardziej serio.

Parę godzin później, przy herbacie, już pięć innych osób zgłosiło, że one też słyszą to dziwne kliknięcie i wydaje im się, że też są podsłuchiwane.

– Teraz rozumiem, jak musiała się czuć pani Merkel – powiedziała pani Schenk bez cienia ironii w głosie.

Graeme powiedział mi potem w tajemnicy, że jego komórka już od wielu tygodni leży nieużywana w szufladzie.

– W zasadzie nikt do mnie nie dzwoni. Jeśli już się to zdarzy, to ludzie pytają o opiekę nad noworodkami, bo tam mają prawie taki sam numer.

Nasz premier Rutte złożył ostry protest w amerykańskiej agencji NSA, dlaczego podsłuchuje się Angelę Merkel i papieża, a jego nie.

x

Pan Bakker, nasz dyżurny impertynent, zaczął się oburzać na wojskowych, których wysłano do Mali.
– Każdy oddział ma pięciu doradców logistycznych, co za idiotyzm! Misja stabilizacyjna, akurat!
Jak ja jechałem do Indonezji, to po to, żeby walić z karabinu do skośnookich i pokazać, kto tam rządzi.
– No i co? Rządzimy tam? – spytała pani Tuhuteru, puszczając do mnie skośnookie oczko.

x

W ostatnim czasie nic nie słyhać na temat planów przebudowy. Brak wiadomości to w naszym ośrodku często zła wiadomość. Bardzo mi brakuje Anji jako wtyczki w biurze dyrektorki. Nasz emerytowany szpieg ma się tymczasem świetnie. Nareszcie używa życia. Regularnie spotykamy się na kawie.

O Eefje żadnych wiadomości.

Wtorek, 5 listopada

Pomyślałem sobie, że może Eefje się spodoba, jak będę jej czytał. Zawsze była zapaloną czytelniczką książek. Znalazłem u niej w pokoju trzy książki, które wyglądały na nieprzeczytane. Nie było to takie łatwe, bo administracja nie chciała mnie wpuścić do pokoju Eefje. Począpiałem do pani Stelwagen, wyjaśniłem jej całą sytuację i poprosiłem, żeby pozwoliła mi zabrać od Eefje kilka książek. Okazało się to dobrym pomysłem, bo od tej pory bez problemu mogę wchodzić do jej pokoju. Dostałem nawet klucz, co moim zdaniem jest już złamaniem regulaminu.

Przy okazji dyrektorka powiedziała, że do pierwszego stycznia pokój musi zostać opróżniony, ponieważ będzie gruntownie odnawiany.

– No nie, potrafi pani nawet iść na ustępstwo!

– Jeśli to konieczne, staram się wykorzystać pole manewru, jakie mi przysługuje.

Eefje kiwnęła głową, kiedy jej zaproponowałem, że będę jej czytał na głos. Miała do wyboru książkę *Jacoba Simone van der Vlugt*, *Samotność liczb* pierwszych Paola Giordano oraz *Klucz Sarah Tatianny de Rosnay*. Kiwnęła głową przy ostatniej. Mam nadzieję, że książka nie jest za smutna. Byłem potem zadowolony, że nie wybrała *Jacoby* o księżnej Jakobinie Bawarskiej, która zmarła w wieku trzydziestu pięciu lat. Pierwsze zdanie książki brzmiało: *Umrzeć to jakby wejść do pokoju tanecznym krokiem*. Nie byłby to dobry początek.

W ciągu pół godziny przeczytałem siedemnaście stron. Książka liczy trzysta trzydzieści jeden stron. Jest w niej zatem wystarczająco dużo słów na mniej więcej dwadzieścia wizyt.

Spytałem Eefje, czy jej się podobało. Skinęła głową, że tak.

Środa, 6 listopada

– No, dziewczęta, właśnie wrzuciłem wam do kawy pigułeczki i czekam na was u siebie w pokoju.

Evert powiedział to praktycznie sam do siebie. Z całego serca życzył sobie, żeby jeszcze mógł skorzystać z wprowadzonych właśnie pigułek na podwyższenie libido u kobiet.

– Patrzcie go, jaki samochwała – burknął Graeme.

– Mam mnóstwo do nadrobienia – powiedział Evert. – Byłem żonaty przez trzydzieści lat, ale moja ukochana małżonka była zimna jak zamrażarka.

– Od pigułek kobietom zaczynają rosnać wąsy – ostrzegł Edward.

– Większość naszych tutejszych pań już je ma – zrelatywizował problem Evert.

– Tak, tak, Evert, a ty na pewno znowu możesz – rzuciła Grietje, gromiąc go wzrokiem.

Członkowie klubu StaŻy spotkali się właśnie po raz pierwszy od wielu tygodni i był to bardzo dobry pomysł. Popijaliśmy wino, były bitterballen, a nastrój zmieniał się od poważnego do wesołego. Ria i Antoine zaprosili nas na najbliższą niedzielę na kolację w restauracji ich starych przyjaciół. Mieliśmy być wszyscy. Znaczący, bez jednej osoby. Dzisiaj znowu idę jej poczytać. Nie wiem, czy będę miał odwagę powiedzieć jej o naszej wspólnej kolacji w niedzielę.

Czwartek, 7 listopada

W Norwegii wyemitowano dwunastogodzinny program zatytułowany *Od owcy do swetra*. Promocja *słow TV*. Już sobie wyobrażam, jak holenderski telewidz przez dwanaście godzin ogląda wsiadanie i wysiadanie z naszej windy. To jest dopiero *słow TV*! Szczególne opóźnienia powoduje zwłaszcza ten próg o wysokości pół centymetra.

Jedna z wind była wyłączona przez cały dzień z powodu awarii i tworzyły się wielometrowe kolejki. Konieczność czekania obnażyła najgorsze cechy mieszkańców naszego ośrodka: były przepychanki, próby wymuszenia pierwszeństwa, najeżdżanie wózkami innym na nogi, przekleństwa.

Bakker: – Cholerny, pieprzony windzior!

Z pewnością nie nadaje się to na tytuł następnej książeczki o króliczku Miffy. Wszyscy są zaszokowani, popatrują z dezaprobatą, robią „ciiii”.

Po raz trzeci byłem poczytać Eefje. Przyjemnie mi się przy niej siedzi, chociaż ta kobieta na łóżku obok bez przerwy mamrocze. Spytałem pielęgniarkę, czy kiedykolwiek się ucisza.

– Tylko kiedy śpi, ale wtedy z kolei trochę chrapie – usłyszałem niepokojącą odpowiedź.

Spytałem Eefje, czy chciałaby zatyczki do uszu. Kiwnęła, że tak. Powiedziałem, że jej załatwię. Nie powinno z tym raczej być problemu. Uszy to musi być dzisiaj dobry interes, bo w centrum handlowym otworzyli równocześnie aż dwa sklepy z aparatami słuchowymi. Z pewnością mają też zatyczki.

Piątek, 8 listopada

Naszą uwagę przyciągają finansowe problemy rynku prasowego. Mam na myśli wielkie zaniepokojenie z powodu groźby zamknięcia „Margriet” oraz „Libelle”, dwóch filarów życia społecznego w naszym ośrodku. Zaniepokojone są głównie panie, ale też kilku panów.

Moja sugestia, aby po zamknięciu tych wielce szacownych czasopism powrócić do lektury starszych roczników, została poczytana za obrazę.

– Większość ma tutaj tak słabą pamięć, że nawet by tego nie zauważyła – zawtórował mi Graeme, co tylko pogorszyło sytuację. Gniewne spojrzenia. Musieliśmy się jakoś wybronić, zapewniając, że to tylko

żart.

– Sam lubię sobie poczytać „Margriet” – dorzuciłem.

To aż przykre, że nikt się nie zorientował, że to naprawdę był żart.

Bynajmniej nie podważam znaczenia magazynów ilustrowanych typu „Libelle” czy „Margriet”. Dla wielu osób w naszym ośrodku to jedyne okno na świat. Gazet się tutaj specjalnie nie czyta, rzadko ogląda wiadomości. Świat osoby w podeszłym wieku staje się coraz mniejszy i mniejszy. Coraz rzadziej wychodzi się poza mury ośrodka. Przyjaciele i znajomi umierają. Od dziesięcioleci bez pracy. Nikogo ani niczego, czym można by się zajmować. Co zostaje, to właśnie „Margriet”. I mnóstwo czasu, żeby mieć oko na wszystko i wszystkich.

Sobota, 9 listopada

Grietje zaczęła się zastanawiać, czy nie jest dla niej jeszcze za późno, żeby zostać osobą dwujęzyczną.

Widocznie trochę dziwnie na nią popatrzyłem, ponieważ dodała:

– Żartuję, oczywiście, ale przeczytałam ostatnio, że osoby dwujęzyczne zapadają na demencję średnio o cztery lata później. Nie miałabym nic przeciwko.

– Nie, już za późno. Jedyna różnica, że nie rozumielibyśmy cię wtedy w dwóch językach.

Dziękujemy ci bardzo za pozytywny komentarz, Evert.

x

Klucz Sarah, książka, którą czytam Eefje, to ciężka lektura. Mam przeczucie, że nie będzie happy endu. Dwa razy pytałem Eefje, czy nie chciałaby czegoś weselszego, ale za każdym razem energicznie kręciła głową, że nie.

To czytanie nadaje pewien rytm mojemu życiu. Idę na oddział opieki najczęściej około południa, czasami rano i czytam Eefje przez pół godziny. Potem jeszcze przez chwilę trzymam ją za rękę. Często po jakimś kwadransie zasypia.

Na ramie w nogach łóżka wisi taka mała szkolna tablica, którą kupiła dla niej Grietje. Przychodząc, piszę na niej coś miłego. Potem najczęściej idę do Everta czegoś się napić. Jestem mu jeszcze winien podziękowania za tego kopa w tyłek, którego mi dał w zeszłym tygodniu. Nie narzekać, tylko działać. Kupię dla niego dwa wielkie bukiety mieczyków. Wiem na sto procent, że nie będzie miał takiego dużego wazonu.

Niedziela, 10 listopada

Evert stał z czterokilowym nęczeniem kwiatów w jednej i dwiema kulami w drugiej ręce.

– No, dobra, to ja już polecę – powiedziałem.

– Nie zostawiaj mnie tak, gamoniu!

Udawałem, że zamykam za sobą drzwi.

– Henk... nie rób mi tego! – W głosie Everta usłyszałem bezradność.

Wtedy oczywiście zaraz wszedłem z powrotem i śmiejąc się z niego, pomogłem mu z kwiatami.

Rzeczywiście nie miał takiego dużego wazonu. Dwa ogromne bukiety mieczyków stoją teraz w dwóch wazonach, które przyniósł w plecaku po błyskawicznej wizycie u Eefje. Od kiedy Evert stracił nogę, nosi plecak. Na oddziale opieki stoi cały wielki pojemnik wazonów, ale nie wolno wstawiać kwiatów do pokoju. To chyba źle działa na powietrze czy coś. W szpitalach wystawiają kwiaty na noc na korytarz.

Napiliśmy się potem kawy. Evert bardzo się ucieszył z kwiatów i był zadowolony, że przestałem jęczeć, a zacząłem coś robić.

– Choćby to było tylko czytanie Eefje na głos.

Znowu porozmawialiśmy trochę o mnie.

x

Dziś wieczorem wyjście do restauracji. Przez cały dzień pościłem, bo na pewno nie czeka nas tam endywia z ziemniakami. Jeśli nie będzie co najmniej pięciu dań, to zjem na deser własny kapelusz. No, panie Hendriku, czas się wbić w swój najlepszy garnitur.

Nie mam odwagi powiedzieć Eefje o naszej klubowej wycieczce. Wydaje mi się to niestosowne.

Poniedziałek, 11 listopada

Wczoraj z pewnością przytyłem z kilogram. Siedem dań i sześć różnych napojów. Mój osobisty rekord. Jak na kogoś, kto przez pierwsze pięćdziesiąt lat życia nigdy nie dostawał więcej niż dwa dania ze szklanką wody do popicia, można mówić o postępie.

To prawda, było w tych siedmiu daniach trochę drobnych przekąsek. Ale jakich pysznych! Objasnienia kelnera przy każdej nowej potrawie trwały co najmniej dwie minuty. Sporo ingrediencji, o których w życiu nie słyszałem. Więc nie pytajcie mnie, co takiego jadłem.

Co najmniej tak samo ważne jest to, że nie było w tym wszystkim żadnego sadzenia się ani celebry. Spokojnie można sobie było beknąć. Nie tak przeraźliwie, jak to zrobił Evert, ale na skromne beknięcie wynikające z zadowolenia nikt nie zwracał uwagi.

Wszyscy byliśmy wzruszająco zgodni, że to najsmaczniejsza kolacja w całym naszym życiu. Ria i Antoine, organizatorzy tego wyjścia, promienieli jak jeszcze nigdy.

Wypiliśmy za Eefje, nieobecną księżniczkę. Bardzo nam jej brakowało, ale nie chcieliśmy, żeby nastrój był przez to smutny.

Po wczorajszym carpaccio z krewetek aromatyzowanych świeżymi ziołami, owiniętym w halibuta z pieprzem w łożu z liści młodego szpinaku (no, słowo daję, nie zalewam) mam przed sobą dużą torbę mieszanki świętomarcińskich słodyczy. Właśnie częstuję się trzecim minibatonikiem Mars.

W dniu świętego Marcina nigdy żadne dziecko nie przyszło śpiewać pod naszymi drzwiami, aż do zeszłego roku. Kilkoro dzieci odkryło wtedy uroki ciepłych korytarzy (myślę, że recepcjonista, jak zwykle, się zdrzemnął). Nikt się tego nie spodziewał. Wszyscy gorączkowo szukali jakiegoś ciasta czy słodyczy. Poszło wtedy sporo drogich bombonierek i parę świnek z drobniakami.

W tym roku jesteśmy już lepiej przygotowani. Ciekawe, co będzie, jeśli nie przyjdzie żadne dziecko i sami będziemy musieli to wszystko zjeść.

Wtorek, 12 listopada

Byłem w punkcie Lepiej Słyszeć. Ciekawe, czy są też takie o nazwie Gorzej Słyszeć, he, he. Wyłuszczyłem sprzedawcy problem: chora starsza pani, której przeszkadza hałasowanie pacjentek z tej samej sali. Pan powiedział, że najlepsze byłyby robione na miarę zatyczki, które kosztują jakieś dziewięćdziesiąt euro. Cena nie byłaby przeszkodą, ale w przypadku Eefje robienie czegoś na miarę to raczej problem. Zakupiłem kilka dobrych jakościowo standardowych zatyczek różnej wielkości i sam przymierzyłem je Eefje. Było to nieoczekiwane intymne przeżycie. W końcu przecież człowiek gmera drugiej osobie w uszach. W dodatku trochę mi się trzęsą ręce i chwilę trwało, zanim zatyczki znalazły się w miarę na swoim miejscu.

Przez moment wydawało mi się, że słyszę śmiech Eefje, ale to było tylko myślenie życzeniowe. Za to jej oczy śmieją się codziennie.

Nieoczekiwane problemy zaczęła stwarzać pielęgniarka, bo podobno nie jest przyjęte, żeby pacjenci używali zatyczek do uszu. Musi najpierw porozmawiać z lekarzem prowadzącym.

– Nie, nie może pan być przy tej rozmowie.

I poprosiła, żebym je wyjął.

Musiałem użyć całej mojej siły przekonywania, żeby pozwoliła mi zostawić zatyczki w uszach Eefje, dopóki jej współlokatorki nie przestaną stukać paznokciami i mamrotać pod nosem albo ktoś do niej nie przyjdzie.

Eefje zmuszona była kilkakrotnie odpowiadać kiwnięciem na pytania pielęgniarki, żeby ją przekonać, że ona też tego chce.

x

Kiedy do pani Slothouwer dotarło, że tych parę przewróconych dwa tygodnie temu przez wiatr holenderskich drzew to jednak trochę mniejszy problem niż spustoszenia po huraganie na Filipinach, żeby postawić na swoim, od razu powołała się na katastrofalną powódź z roku 1953, kiedy to pół Holandii znalazło się pod wodą. Jej dewiza: własna katastrofa ważniejsza.

Środa, 13 listopada

Przy kawie znów po staremu: narzekania. Tym razem chodzi o to, że fizjoterapia ma być w większej części opłacana z dodatkowego ubezpieczenia. Pani Van Vliet, która każdego roku – jak szacują niektórzy – co najmniej sto razy chodzi na zabiegi na nie wiadomo jakie wyimaginowane dolegliwości, wyliczyła, że od przyszłego roku musiałyby za to zapłacić z własnej kieszeni jakieś pięć tysięcy euro.

– No, na coś takiego to mnie już nie stać. Nie zamierzam korzystać.

– A co w takim razie z bólami? – spytał ktoś.

Pani Van Vliet zignorowała pytanie. Mówi się, że ona czasami nawet sama dobrze nie wie, z jaką dolegliwością przysłała do fizjoterapeuty.

– Niech pan mi zrobi cokolwiek – powiedziała któregoś razu.

Nasz fizjoterapeuta nigdy nie sprawia żadnych trudności, tylko beztriosko wypisuje kolejne rachunki ubezpieczalni. Czekają go teraz ciężkie czasy. Na samej pani Van Vliet dorobił się bmw.

Graeme tak to podsumował: ludzie często chodzą do fizjoterapeuty nie dlatego, że coś ich boli, tylko dla samego chodzenia. Tak, tak, oczywiście, pewnie, że są też pacjenci, którym takie zabiegi przynoszą ulgę.

Czwartek, 14 listopada

Dziś rano w przebłysku inteligencji zadałem sobie pytanie, czy obłożnie chorzy nie mają, na przykład, ochoty słuchać muzyki. Ciało jest wprawdzie przykute do łóżka, ale uszy mogą podróżować. Może byłaby to jakaś przyjemna odmiana, gdyby tak mogli, powiedzmy przez godzinę, posłuchać muzyki. Albo radia. Żeby uczynić cierpienie choć trochę łatwiejszym do zniesienia. Spytałem dzisiaj Eefje. Wiem, że ma duży zbiór płyt CD z muzyką klasyczną, której często słuchała.

Wczoraj wczesnym popołudniem zrobiłem sobie przejażdżkę po zasnutych mgłami łąkach Waterland na północnym skraju miasta. Rzadko kiedy jest tam dużo ludzi. Od czasu do czasu wąskimi drogami przemknie osiemdziesiątką jakiś samochód, ale potem znowu pierwsze skrzypce grają krowy, owce i ptaki. Przepęłniło mnie to spokojem. Brzmi może trochę sentymentalnie, ale nic na to nie poradzę. Spłynął na mnie taki spokój, że w którymś momencie o mało nie wjechałem do rowu.

Jakiś rolnik na traktorze patrzył zdumiony na zabłąkanego staruszka na skuterze elektrycznym i pozdrowił mnie w milczeniu gestem dłoni.

Powoli zapadał zmrok. Zaczął siąpić drobny deszczyk, ale nie miało to żadnego znaczenia.

Po raz pierwszy jechałem na włączonych światłach.

Piątek, 15 listopada

Analiza katastrofy na Filipinach w wydaniu pana Bakker:

– I tak mają szczęście, że są tacy biedni, bo inaczej szkody byłyby znacznie wyższe.

Pensjonariusze naszego ośrodka nie są przeważnie specjalnie zainteresowani wydarzeniami na świecie, ale w przypadku klęsk żywiołowych chętnie robią wyjątek. Trzeba by chyba było zapisać to w kominie, gdyby choć raz nie pojawił się przy tej okazji komentarz, że człowiek jest jednak niczym wobec potęgi natury.

Wiele osób modli się wtedy w intencji ofiar, tyle że nigdy nic z tego nie wynika. Dla niektórych modlitwa to doskonały zamiennik dla wpłaty pieniężnej na konto pomocy. Zamiast wyciągnąć portfele i portmonetki, wolą oddać sprawę w ręce Najwyższego.

Prztyczek w nos: oddział opieki nie jest skłonny włączyć słuchawek i muzyki do podstawowego pakietu usług. Brak czasu, zbyt dużo zajęć. Słowa „brak chęci” wprawdzie nie padają, ale niewątpliwie i to gra tutaj pewną rolę.

Z drugiej jednak strony nie widzą przeciwwskazań, jeśli rodzina czy przyjaciele sami zadbają o słuchawki i obsługę sprzętu, i nie będzie to uciążliwe dla innych pacjentów. Wtedy, na zasadzie eksperymentu, można spróbować. Wszystkie za i przeciw w tym sformułowaniu pochodzą od pani Duchamps, przełożonej oddziału, drobnej jędzowatej kobietki. Ona wie wszystko. Wie lepiej. Wie najlepiej. Francuzka, która lepiej by zrobiła, gdyby została we Francji. Arogancka i niesympatyczna, ale za to mówi z uroczym francuskim akcentem.

Sobota, 16 listopada

Evertowi się wydaje, że odkrył czarną plamkę na dużym palcu, która u nogi mu została.

– Mam nadzieję, że mi nic znowu nie utną, bo to moja ostatnia noga – powiedział niby żartem, ale

głos miał trochę zbyt szorstki i zobaczyłem kropelkę potu na czole.

Pozwolił mi zobaczyć. Wzięłem pumeks i solidnie wyszorowałem mu paluch. Czysty jak łza. Nigdy wcześniej nie widziałem na jego twarzy takiej ulgi. Od razu nalał sobie whisky, bo z tych nerwów od dwóch dni w ogóle nie pił, co mu się nie zdarzyło przez ostatnie dwadzieścia lat. Naprawdę mnie rozbawił. Chwilę to trwało, zanim przyłączył się do mojej wesołości.

Kupiłem wczoraj dla Eefje iPoda. Szczerze mówiąc, nigdy wcześniej nie miałem czegoś takiego w ręce, ale jedna stażystka powiedziała mi dokładnie, co mam kupić. Ma dzisiaj do mnie wpaść i zabrać do przegrania kilka płyt, które przyniosłem z pokoju Eefje. Skarb nie dziewczyna, ma na imię Meta i pochodzi z prowincji. Bardzo się cieszy, że może mi pomóc.

x

Czy w kwestii praw człowieka kiedykolwiek będzie na świecie dobrze? Od kiedy przeczytałem ostatnio pewną drobną wzmiankę w gazecie, patrzę bardziej optymistycznie. Rosja, Kuba, Chiny i Arabia Saudyjska zostały wybrane na członków Rady Praw Człowieka ONZ. Każdy z tych krajów wnosi ze sobą nieocenione doświadczenia w ich łamaniu.

Niedziela, 17 listopada

Meta odniosła mi dzisiaj iPoda. Przegrała dziewięć płyt z muzyką klasyczną.

– I spodobała się pani muzyka? – spytałem.

– Raczej nie – przyznała z pewnym wahaniem.

„Raczej nie” oznacza „wcale”.

– No to mi trochę pani szkoda.

– Nie, nie, żeby przegrać płyty, wcale nie trzeba przez cały czas ich słuchać – starała się mnie pocieszyć.

Podobno Beethoven był jeszcze z tego wszystkiego najlepszy. Spytała mnie, czy on jeszcze żyje...

Meta nie ma dziadka. Jeden zmarł, a drugi po kłótni rodzinnej przestał się z nimi kontaktować i już się nie widują. Traktuje mnie więc jak miłego zastępczego dziadka. Bardzo chętnie będę dla niej chwilowym dziadkiem. Niestety, już nie na długo, bo jej staż wkrótce się kończy i Meta wraca do domu.

Od razu poszedłem do Eefje. Zapakowałem iPoda w ładny papier i odwinąłem na jej oczach. Ostrożnie założyłem jej na uszy słuchawki i puściłem początek jednej z symfonii Mozarta.

Bardzo była zadowolona.

Obiecałem być rano przez pół godziny didżejem, a po południu przez pół godziny czytać na głos. A jeśli z jakiegoś powodu nie będę mógł, to przyślę zastępstwo.

Pół godziny to akurat wystarczająco. Potem Eefje przeważnie zasypia. Także rano. Powoli ściszyłem do minimum i ostrożnie zdjąłem jej słuchawki. Na miniaturze szkolnej tablicy w nogach łóżka napisałem: *Tak smacznie spałaś, że nie chciałem Cię budzić. Do jutra.*

Poniedziałek, 18 listopada

– Wczoraj nagle nie miałam pojęcia, jak przełączyć telewizor z magnetowidu na kanał telewizyjny.

Gapiałam się na przyciski na pilocie i kompletnie nie pamiętałam, co jest od czego. No to nastawiłam sobie radio.

Nakładłem Grietje do głowy, żeby następnym razem w takiej sytuacji spokojnie do mnie dzwoniła.

Zaczyna jej się pogarszać. Sama to zauważa. Codziennie zaglądam do niej, żeby sprawdzić, czy wszystko dobrze.

Jeszcze trochę, i będę miał całkiem niezłe doświadczenie jako opiekun. Przez to wszystko niewiele czasu mi zostaje na wysłuchiwanie deprymujących rozmów przy kawie i herbacie. Tym lepiej. Muszę się tylko pilnować, żeby nie zaniedbywać zdrowej części naszego klubu, czyli Graemego, Edwarda, Rii i Antoine'a.

Nasz sympatyczny pan adwokat zadzwonił do mnie, żeby zdać sprawę z sytuacji. Poinformowałem go, że mamy pewne problemy z motywacją do walki z dyrekcją o większą otwartość. Okazał zrozumienie, kiedy mu objaśniłem, że nasz najważniejszy bojownik jest praktycznie w stanie wegetatywnym.

Złożył nam wyrazy współczucia i spytał, czy nadal może występować w naszym imieniu.

– Ależ oczywiście, jak najbardziej. A jeśli tylko wysupłam trochę czasu i energii, z przyjemnością pomogę.

– Eefje z pewnością to doceni. Proszę jej o tym powiedzieć.

Wtorek, 19 listopada

Graeme powiedział nam, że dziś mija dokładnie siedemdziesiąt lat od momentu, kiedy jako dwunastoletni chłopiec stracił psa. Wyszedł z nim do parku, kiedy czterech niemieckich policjantów tak po prostu mu go skonfiskowało. Ta data na zawsze wryła mu się w pamięć. Nigdy wcześniej nie czuł takiej bezradności. Później usłyszał od kogoś, że Niemcy używali tych psów do oczyszczania pól minowych.

Rozbudowana działalność opiekuńcza zaczyna stanowić solidną podstawę mojego życia. Daje mi spokój i przeświadczenie, że do czegoś się przydaję. Trójka moich podopiecznych – Evert, Grietje i Eefje – to bardzo wdzięczni pacjenci. Jeśli idzie o czytanie na głos, to nie wiem, czy *Klucz Sarah* był najlepszym wyborem. Nie jestem zadowolony i uważam, że książka nie jest za dobrze napisana. Ale Eefje się podoba. Bardzo też jest zadowolona ze swojego prywatnego radia.

Zebrałem się na odwagę i spytałem, czy nadal chce umrzeć. Odpowiedziała, że tak, chce umrzeć, ale już nie tak bardzo jak przedtem. Tak przynajmniej wywnioskowałem z ruchów głowy, którymi odpowiadała na moje pytania.

x

Dobra wiadomość dla większości pensjonariuszy: przebudowa ośrodka została przesunięta o rok. Różne panie zaczęły się zastanawiać, czy mają przez cały rok przechowywać w swoich mikroskopijnych pokojach kartony, które zebrały na przeprowadzkę, czy raczej odnieść je z powrotem do supermarketu. Żalodne, doprawdy żalodne. Potem rozmowa zesłała na mięśniaki. Wprawdzie nie mam nic przeciw mięśniakom, jeśli jeszcze do tego wszystkiego są przystojni, ale jednak wolałem pójść się zdrzemnąć.

Środa, 20 listopada

Poszedłem razem z Grietje zobaczyć, jak wygląda u nas oddział zamknięty dla osób z demencją. Nie było problemu z wejściem. Po prostu poczekaliśmy, aż będzie wchodziła jakaś pielęgniarka, i powiedzieliśmy, że idziemy w odwiedziny do szwagierki Grietje. Przygotowaliśmy sobie wcześniej nazwisko pierwszej z brzegu pacjentki tego oddziału, ale nawet nie było to potrzebne. Nikt nas o nic nie pytał. Chodziliśmy po różnych salach, spotykając to tu, to tam kogoś znajomego. Nie musieliśmy się obawiać, że ktoś nas rozpozna.

Była pora posiłku. Jedna z pielęgniarek karmiła jakąś drobniutką panią ze śliniaczkiem na szyi.

– Bibip, jedzie wielka ciężarówka z jedzeniem... iiii... haps!

Dzisiaj mówi się „demencja”, ale dawniej mówiło się „zdziecinnienie”.

Inna z kolei pani, która siedziała na krześle, zapytała mnie, czy chcę zobaczyć kino, i szeroko rozłożyła nogi. No, po prostu brak mi słów. Niektórzy siedzieli, gapiąc się apatycznie przed siebie, ale inni przyjaźnie do nas machali i uśmiechali się. Grietje ma godny pozazdroszczenia dar brania rzeczy takimi, jakie są.

– A więc tutaj trafię za rok albo trochę później – powiedziała. – Mam nadzieję, że do tego czasu będę miała jeszcze trochę przyjemności z życia. Oczywiście nie chcę, żebyś mnie tu odwiedzał, Henk, chyba żebym wyraźnie o to poprosiła. Umowa stoi?

Potwierdziłem, umowa stoi.

Czwartek, 21 listopada

W ośrodku opieki De Hooghe Clock w Den Bosch niektórzy pensjonariusze musieli płacić za papier toaletowy. Trafił się taki przypadek dwa lata temu. Oburzenie, jak pamiętam, było wielkie. Teraz pojawiają się plotki, że w naszym ośrodku też mają być wprowadzone podobne oszczędności. Nie wydaje mi się to dobrym pomysłem. Niektórzy z naszych mieszkańców są tak skąpi, że jeśli mieliby płacić za papier toaletowy, woleliby się w ogóle nie podcierać albo potem zmywać wszystko pod prysznicem. Pod warunkiem że za prysznic nie trzeba płacić.

I bez tego powietrze jest tutaj niezbyt świeże. Czasem odnoszę wrażenie, jakby już teraz papier toaletowy był racjonowany.

Pamiętam, że wtedy najbardziej mnie fascynowało, dlaczego gazety pisały, że „niektórzy” pensjonariusze musieli płacić za papier. Dlaczego w takim razie inni nie musieli? Czyżby każdy dostawał określoną liczbę rolek, a jak je zużył, to musiał dokupować ekstra?

Trochę obrzydliwe te rzeczy, o których piszę. A przecież jestem właściwie kulturalnym panem. Kulturalnym w sposób nierzucający się w oczy, powiedziałbym. Nie za wysoki, nie za niski, nie za gruby, nie za chudy. Szare lub granatowe spodnie, ładny sweter. Do tego dużo zmarszczek i parę siwych włosów, które za szesnaście euro mój fryzjer strzyże w mniej niż dziesięć minut. Z czego co najmniej połowa to zwykłe nabijanie czasu. Jeszcze trochę, i będę płacił ponad euro od włosa.

Piątek, 22 listopada

Pokój Eefje musi jednak zostać zwolniony najpóźniej do pierwszego grudnia. Dyrekcja trochę się wtedy pospieszyła z obietnicą, że można z tym poczekać do pierwszego stycznia. Bardzo chciałyby dać nam trochę więcej czasu, ale jednak po bliższej analizie okazało się, że regulamin tego nie dopuszcza.

– Ma pani na myśli ten regulamin, do którego nikt nie ma dostępu?

Potwierdziła, że o ten właśnie chodzi. Widziałem na jej twarzy cień zawstydy.

Zostałem zaproszony do pani Stelwagen razem z córką Eefje „w celu omówienia dalszych kroków”, ale w tej sytuacji niewiele było już do omawiania. Hanneke poprosiła, żebym poszedł razem z nią powiedzieć o tym Eefje.

Bardzo nie chciałem, ale wiedziałem, że muszę.

No więc poszliśmy razem. Eefje nie wydawała się zaskoczona, kiedy usłyszała, że trzeba opróżnić jej pokój. Zrobiła małe postępy. Potrafi już powiedzieć coś, co przypomina „tak”, i coś, co przypomina „nie”. Może już trochę poruszać prawą ręką i prawą nogą i nieco łatwiej jej przełykać.

Chciała, żebyśmy w porozumieniu z nią wybrali rzeczy i przynieśli jej kilka osobistych przedmiotów, które chciałyby mieć przy łóżku. Ma tutaj własną szafkę, mały stolik i krzesło. Administracja oddziału do minimum ogranicza posiadanie prywatnych rzeczy. Jak to już wszyscy wiemy z Monty Pythona: człowiek rodzi się z niczym, umiera z niczym, więc co traci? Nic?

Potem jeszcze przez pół godziny puszczałem Eefje muzykę, bo to ją uspokaja i odpręża. Wyrobiłem się już w obsłudze iPoda. Sobie też kupiłem. (Ktoś mi powiedział, że zacznę być hipsterem). Tyle tylko, że nie umiem jeszcze nic sam nagrać.

Sobota, 23 listopada

Recepcjonista nie wpuścił do ośrodka ani niebieskiego, ani zielonego Czarnego Piotrusia. Pozwolił przejść tylko czarnemu Czarnemu Piotrusiowi. Gdzieś tak mniej więcej od dziesięciu lat toczą się w Holandii dyskusje na temat rasistowskich aspektów postaci czarnoskórego pomocnika Świętego Mikołaja. W imię poprawności politycznej zaczęli się więc równoległe pojawiać niebieski i zielony Czarny Piotruś. Najwyraźniej przerosło to naszego recepcjonistę. Ale z kolei czarny Czarny Piotruś miał szlaban od naszej administracji na zgodne z tradycją obsypywanie pensjonariuszy drobnymi ciasteczkami, zwanymi pepernooten, bo potem ludzie wdeptują je w wykładzinę.

Poszła plotka, że niebieski i zielony Czarny Piotruś złożyli skargę z powodu dyskryminacji. Dyrekcja wydała oświadczenie, że recepcjonista działał na własną rękę. Skąd się wzięły tamte Czarne Piotrusie, nikt nie miał pojęcia.

Ze względu na Everta znowu wziąłem wczoraj udział w turnieju belotki. Nikt inny nie chce z nim grać. A jeszcze mniej przeciwko niemu. Niektórzy pensjonariusze wyrobili w sobie niezdrową niechęć do mojego przyjaciela, na którą nie zasłużył, chociaż potrafi człowieka zirytować.

Wbrew mojemu przyzwyczajeniu, żeby rzucać byle jakie karty, tym razem zadałem sobie naprawdę dużo trudu, czego rezultatem było dumne trzecie miejsce: czekoladowe litery, którymi ludzie obdarowują się na Mikołaja.

Poziomy gry jest niski. Wszyscy regularnie się przerzucają i blefują, więc nawet mając stosunkowo słabe karty, i tak można osiągnąć niezły wynik.

– Ja tam nawet nie lubię czekolady, a zwłaszcza tej – oznajmił pan Pot, wściekły jak nie wiem co, że z nami przegrał.

– A ja bardzo, ale i tak oddam moją nagrodę najsympatyczniejszej zawodniczce tego turnieju, pani Grietje, której w dodatku bardzo się przydadzą kalorie – powiedział Evert i oddał swoją literę wychudzonej myszce Grietje, która zajęła ostatnie miejsce, ale teraz od razu się rozpromieniła. Nawiasem mówiąc, Evert nie cierpi czekolady.

Niedziela, 24 listopada

To prawdziwa zagadka, kto nasłał na nas tych trzech Czarnych Piotrusiów.

Jak już mówiłem, zielony i niebieski nie zostali wpuszczeni, a trzeci wyniósł się po niespełna trzech minutach, wydając z siebie jakieś niezrozumiałe dźwięki. Wśród pensjonariuszy kursują najróżniejsze teorie spiskowe.

1. Byli to włamywacze w przebraniu („Słyszałam pobrzękiwanie jakichś metalowych przedmiotów w worku”).
2. Jakiś konkurencyjny dom seniora chciał nam zrobić wredny żart („Jeden z Piotrusiów wyglądał, wypisz wymaluj, jak pielęgniarz z ośrodka X”).
3. Była to niespodzianka naszej rady mieszkańców, która teraz udaje Greka („Sam słyszałem, jak mówił »niespodzianka«”).

Normalnie mieszkańcy naszego ośrodka nie mają krzty fantazji, no, chyba że chodzi o wymyślanie podejrzeń.

x

Ria i Antoine czuliby się zaszczyceni, gdyby mogli adoptować rośliny Eefje. Właśnie u niej byli, żeby powiedzieć, że będzie im u nich dobrze.

W moim pokoju nie ma ani jednego zielonego listka. U mnie nawet sansewieria nie ma szans na przeżycie. Co innego takie szafirki. Wyrastają z cebulki, zakwitają, a potem, bach, do śmieci. Tylko u Everta rośliny mają jeszcze mniejsze szanse niż u mnie. Jego pies Mo zżera wszystko, co kwitnie. A potem to wyrzučuje.

Poniedziałek, 25 listopada

Wpadłem na korytarzu na tę miłą pracownicę socjalną, którą kiedyś lekarz nasłał na mnie, żeby sprawdziła, czy nie mam planów samobójczych. Spytała, czy zacząłem dostrzegać jakieś słoneczne strony życia.

– Cóż, w zasadzie wszystko zmierza w stronę starczego zobojętnienia – odparłem.

– A jest coś za chmurami?

Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie oczekuję już wiele słońca w życiu i że jak już będę miał całkowicie dość tej pogody, to skontaktuję się z nią, zanim popełnię samobójstwo.

Wczoraj razem z Hanneke przez kilka godzin segregowałem rzeczy Eefje. Po prawej stronie pokoju poustawialiśmy te, które mogą iść do sklepu ze starzyzną. Po lewej zostało parę drobiazgów; Hanneke spróbuje je sprzedać na kiermaszu. Pośrodku natomiast stoją dwa pudełka z rzeczami osobistymi: zdjęcia, obrazki, biżuteria, książki i płyty. Całe życie w dwóch pudełkach. Nie trzeba nawet samochodu do przeprowadzek, wystarczy walizka na kółkach.

W piątek przyjedzie furgonetka ze sklepu ze starzyzną, żeby zabrać wszystko, co zostanie. Dyrektorka w swej wspaniałomyślności obiecała, że ośrodek weźmie na siebie koszty usunięcia ze ścian kołków i haków.

– Cóż za królewski gest! – nie mogłem się powstrzymać.

Wciąż nie udało nam się znaleźć tego oświadczenia o chęci poddania się eutanazji. Całkiem już straciliśmy nadzieję.

Wtorek, 26 listopada

- Przy odrobinie szczęścia w przyszłym roku znowu będę wierzyła w Świętego Mikołaja – oznajmiła wesoło Grietje.
 - No właśnie, nic, tylko dalej dzielnie osuwać się w demencję – dodał jej otuchy Evert.
- Grietje spodobała się perspektywa, że znów pełna wiary będzie wystawiać buty w oczekiwaniu prezentów.
- Może Święty Mikołaj włoży mi tam jakąś wkładkę ortopedyczną?
 - Tak, z marcepanu.

x

Wczoraj przyszła do mnie w odwiedziny Anja. Od kiedy wysłano ją na wcześniejszą emeryturę, całkiem odżyła. Trochę żałowała, że nie miała czasu ani okazji, żeby wynieść z biura wszystkie „poufne” dokumenty, które kierownictwo chciało trzymać w tajemnicy.

- Zawiodłam jako szpieg.
- Ale jako człowiek odniosłaś sukces.
- Bardzo miło, że tak mówisz, Henk.

Pojechaliśmy potem do Museum Noord, ona na swoim rowerze elektrycznym, a ja na skuterku. Z trudem utrzymywałem jej tempo. Museum Noord to jedyne muzeum w dzielnicy Noord. Jak się okazało, w poniedziałki jest nieczynne.

Środa, 27 listopada

Plusem mieszkania tutaj jest znikomość szansy na to, że znajdą człowieka w mieszkaniu dziesięć lat po śmierci. Co do tego mieszkańcy byli zgodni.

– To raczej plus dla żyjących. Że nie będzie cuchnęło. Zmarłemu to już wszystko jedno – próbował się nie zgodzić pan Krauwel. Jest naszym najnowszym nabytkiem: pesymista do kwadratu i nic mu nigdy nie pasuje. Razem z panem Bakkerem tworzą duet Beton i Stal.

Panie twierdzą, że Krauwel jest przystojny, bo ma falujące siwe włosy.

Każdy nowy mężczyzna przyjmowany jest ze skrywanymi okrzykami radości, a to z powodu ogromnej liczebnej przewagi pań. Aż żenujące, jak niektóre z nich próbują ściągnąć na siebie uwagę takiego nowego pensjonariusza. Malują swoje cienkie starcze usta, podnoszą czym się da zwiędłe piersi, wylewają na siebie hektolitry drażniących powonienie perfum, za głośno mówią i za często się śmieją.

Pani, która złowi Krauwela, bardzo tego pożałuje. Będzie miała za towarzysza hienę.

Chyba łapie mnie jakaś grypa. Nie jest mi to do niczego potrzebne. Opiekun nie może się dać choróbsku.

Zupełnie przypadkiem mam jutro wizytę u geriatry, więc dobrze się składa, że pójde z tym uporczywym kaszlem.

Czwartek, 28 listopada

Śniło mi się, że położyłem Eefje poduszkę na twarzy i przycisnąłem całym swoim ciężarem. Obudziłem się zlany potem i roztrzęsiony. Dopiero po półgodzinie i dwóch herbatach wróciłem trochę do

siebie.

Kiedy tak siedziałem przy łóżku Eefje, patrząc na jej ból i cierpienie, znowu życzyłem jej rychłej i lekkiej śmierci. Ale żeby to zrobić własnymi rękami – nigdy nie byłbym do tego zdolny. Już na samą myśl robi mi się niedobrze.

Pierwsza książka przeczytana. Na szczęście. Teraz zaczynam coś, mam nadzieję, weselszego, czyli *Samotność liczb pierwszych*. Niewiele potrafię wywnioskować z tytułu. Eefje wybrała tę książkę z dwóch kandydatek, jakie pozostały.

Odnoszę wrażenie, że liczy się nie tyle to, co czytam, ile sam fakt czytania. Traktuję siebie jak szemrzący uspokajająco strumyk.

Nie ma też wielkiej różnicy, co puszcza w czasie przeznaczonym na muzykę, chociaż nie miałbym odwagi zaszerwować Eefje dla żartu jakiegoś heavy metalu czy hip-hopu, gdzie co drugie słowo to *fuck* i *fucking*. Supertrio Bach, Mozart i Beethoven jest dobre na wszystko. Najczęściej Eefje zapada przy tej muzyce w spokojny sen.

Piątek, 29 listopada

Właśnie byłem na pierwszych zakupach w supermarkecie z pieluchą w spodniach. Nie ma żadnych problemów przy chodzeniu.

Przeszkoda zatem została wzięta. Wiąże się to poniekąd z tym, że mamy nową pensjonariuszkę, której regularnie zdarza się paradować z wielką moką plamą na sukience. Najczęściej ktoś dyskretnie zwraca jej na to uwagę, ale i tak na tyle głośno, że wszyscy to słyszą.

– O, znowu popuściłam? – mówi wtedy zdziwiona i zaskoczona, zupełnie jakby nie zdarzało jej się to parę razy w tygodniu.

Na domiar złego zawsze znajdzie się ktoś, kto powie, że jej krzesło też jest całe zalane.

Za wszelką cenę chcę uniknąć sytuacji, w której ktoś zwracałby mi uwagę, że mam moką plamę na spodniach. Jestem więc w trakcie testowania bezpłatnej próbki pieluch (mini) dla nietrzymających moczu, które dostałem dziś rano od geriatry.

Wiele więcej z tej wizyty nie wyniknęło. Żadnych nowych dolegliwości („W tym wypadku brak pogorszenia to poprawa”, jak z zadowoleniem stwierdził lekarz) ani też nowej nadziei dla Eefje.

– Pańska przyjaciółka nie zadeklarowała wcześniej, że nie chce zostać umieszczona na oddziale opieki, a przynajmniej nie można znaleźć takiego oświadczenia, ponadto w swoim obecnym stanie nie może jednoznacznie takiej deklaracji złożyć. Eutanazja zatem odpada. Żaden lekarz się na coś takiego nie zdecyduje.

Sobota, 30 listopada

Sześćdziesiąt lat razem, Bernard i Georgette Cazes, a teraz wspólnie pożegnali się z życiem, trzymając się za ręce. Piękne!

Jako miejsce ostatniego wspólnego pobytu wybrali sobie luksusowy hotel w Paryżu. Szkoda tylko, że musieli w tym celu założyć plastikowe torby na głowę. Żeby ich szybko znaleźli, zamówili śniadanie do pokoju. Biedna pokojówka.

Teraz coś weselszego: wczoraj wieczorem byłem z Rią i Antoine'em na kolacji w małej indonezyjskiej restauracyjce. Wspaniałe jedzenie, tyle tylko, że raz tak zakaszlałem, że z miski wyfrunęły

wszystkie czipsy krabowe. Ale nikt nie robił z tego problemu.

Tym razem rozmowa nie dotyczyła głównie jedzenia, tylko tego, że chcieliby na wiosnę przyszłego roku zrobić sobie wycieczkę po winnicach, i spytali, czy wybrałbym się z nimi. Byli bardzo rozczarowani, kiedy nie okazałem entuzjazmu. Problem polegał na tym, że zamiast *wijnreisje* [wycieczka szlakiem winnic] zrozumiałem początkowo *Rijnreisje* [rejs po Renie], a wizja wspólnego rejsu z setką staruszków na pokładzie statku, z którego nie ma jak wysiąść, wydała mi się piekłem.

Kiedy nieporozumienie zostało wyjaśnione, powiedziałem, że mnie też coś takiego chodziło po głowie.

– W takim razie trzeba połączyć siły.

Miałem pewne wątpliwości co do pchania Everta na wózku od winnicy do winnicy. Jak jeszcze wypije za dużo wina, to nie można wykluczyć, że nam z niego spadnie.

Może uda się poprosić panią Stelwagen, żeby załatwiła jakąś opiekę dla Mo.

Niedziela, 1 grudnia

Jeszcze tylko miesiąc i skończy się rok, i mój dziennik też dobiegnie końca. Wczoraj poczytałem sobie parę sporych fragmentów i stwierdzam z przykrością, że dużo jest beznadziei. A przecież jednym z powodów, dla których w ogóle zacząłem pisać, była chęć przeciwstawienia się wszechobecnemu tutaj zgorzknieniu.

Ale prawda jest taka, że każdego dnia odwiedzam Everta po amputacjach, popadającą w demencję Grietje i będącą już prawie rośliną Eefje.

Nasz przez krótki czas znakomicie prosperujący klub StaŽy przeżywa ciężkie chwile.

Pan Pot tak skomentował te trudności:

– Tak to się właśnie kończy. Nie byliśmy dla nich wystarczająco dobrzy, co? To teraz mają za swoje.

– Czy oni panu coś zrobili? A może się panu naprzykrzali? – spytała zdumiona pani Aupers.

Na szczęście jest też sporo pensjonariuszy i osób personelu, którzy nam współczują.

Pan Hoogdalen, ten od nigdy niezakołowanego klubu skuteromobilowego Antylopy, spytał, czybym się z nim nie przejechał. Trudno o lepszą propozycję, żeby pozbyć się czarnych myśli. Ależ oczywiście! On swoim odpicowanym skuterem de luxe, ja swoim zwyczajnym *élégance*.

Pan Hoogdalen powiedział, że zna świetną trasę. Wystarczy, żebym za nim („mów mi Bert”) jechał. Po godzinie zacumowaliśmy w knajpce, żeby zjeść talerz zupy. Bert to człowiek nader oszczędny w słowach. A pełnych zdań w ogóle nie uznaje.

– Niezła przejażdżka – to o przejażdżce.

– Smaczna zupa – o zupie.

– To co? – kiedy mamy wyjść.

A przy pożegnaniu:

– Trzymaj się. No i... tego... niech sobie gadają.

Po tej przejażdżce mam przyjemną pustkę w głowie.

Poniedziałek, 2 grudnia

Rzadko kiedy dostaję listy, ale jeśli w ogóle, to zawsze takie, w których jest napisane, że muszę

natychmiast zrealizować czek na czekające na mnie 8999 euro. W załączeniu formularz zgody na odbiór. Plus dodatkowa klauzula będąca warunkiem otrzymania czeku, w której zobowiązuję się do zamówienia horrendalnie drogiej wkładki termoizolacyjnych.

List jest tak sformułowany, jakbym już wygrał te pieniądze. Dopiero po bardzo uważnej lekturze można się doczytać, że kupując wkładki, zyskuję jedynie szansę wygrania. Wszystko odbywa się pod nadzorem „kancelarii notarialnej”, a więc wygląda na pewne.

Coś mnie tknęło i kiedyś popytałem trochę, kto jeszcze dostaje takie listy. Okazało się, że mnóstwo osób. Część pensjonariuszy nie potrafiła się oprzeć pokusie i w rezultacie nic nie wygrali, ale za to kupili sobie kurację z owoców kasztanowca drażniącą żyły, bambusowe skarpety zdrowotne albo aktywny ocet balsamiczny z Modeny. U nikogo tych produktów nie widziałem! A są w wielu pokojach, tyle że zawsze skrzętnie ukryte gdzieś na dnie szafy.

Większość nabywców woli o tym nie rozmawiać. Znajdzie się może z jeden, który głośno powie, że został wystrychnięty na dudka.

Ludzie starsi to bardzo wdzięczne ofiary.

Ja, żeby wpędzić wroga w koszty, nigdy takiej poczty nie odbieram.

Wtorek, 3 grudnia

Wczoraj musiałem pójść w południe na nasze ośrodkowe spotkanie ze Świętym Mikołajem. Evert obiecywał sobie po tym trochę zabawy, a ja czułem się w obowiązku zaopiekowania się nim. Źle się to skończyło.

Na początek śpiewał razem ze wszystkimi o wiele za głośno i straszliwie fałszując piosenki o Świętym Mikołaju, tak że wszyscy się na niego patrzyli, a potem nie dawał spokoju Świętemu Mikołajowi, namawiając go bezustannie, żeby koniecznie wziął na kolana panią Van Til, na co Mikołaj słusznie nie chciał się zgodzić, bo pani Van Til ma ponad setkę. Kilogramów!

W pół godziny mój przyjaciel zdążył wypić cztery duże kubki wzmocnionego przemyconym rumem ciepłego mleka czekoladowego, w którym maczał kawałki ciasteczek w kształcie liter.

Na pewno skończyłoby się potężną rozróbą, gdyby nie to, że uwaga wszystkich skupiła się na pani Zonnevanck, która potknęła się o worek Czarnego Piotrusia i złamała rękę.

Minęło z pół godziny, zanim karetka zabrała ją do szpitala i sytuacja wróciła do normy. W tym czasie Evert, po sześciu kubkach mleka z czekoladą, zdążył już zapaść w drzemkę na wózku, więc odwiozłem go do mieszkania. Tam zaparkowałem go między szafką a łóżkiem i dodatkowo zastawiłem krzesłem, żeby nie mógł wypaść, i wróciłem do siebie. Są jednak jakieś granice opieki.

Mikołajkowe spotkanie w świetlicy już nie było potem specjalnie przyjemne. Wiszące w powietrzu pytanie, czy Czarny Piotruś nie powinien aby zostać pociągnięty do odpowiedzialności za rzucenie byle gdzie worka, dodatkowo zepsuło odświeżony nastrój.

Środa, 4 grudnia

Niestety, w naszym ośrodku nie mieszka ani jeden Chińczyk, bo inaczej Evert z pewnością pozwoliłby sobie na parę niesmacznych żartów pod jego adresem, żeby podgrzać atmosferę. Nie ma tu specjalnych szans na dyskryminację, ponieważ wszyscy zagraniczni pensjonariusze są tak przemili, że nikt nie waży się na jakąkolwiek nieprzyjemną uwagę.

Kraj, w którym za największy problem uważa się dowcipy o Chińczykach oraz oburzenie z powodu rasistowskich aspektów roli Czarnego Piotrusia, nie może być aż tak zły, jak się tutaj u nas czasem mówi.

Czy czuję się obrażony, kiedy jakiś brązowy, żółty czy czarny człowiek mówi o białasach, serojadach czy kutwach? Nie. Czy powinienem się obrazić, gdyby Święty Mikołaj nagle był czarny, a wszystkie Piotrusie byłyby głupawymi białymi pomocnikami, miały wąskie usta i mówiły z przesadnie amsterdamskim akcentem? Nie. Czy to dlatego, że mój prapradziadek nigdy nie był niewolnikiem, ale robotnikiem fabrycznym, harującym po sześćdziesiąt godzin w tygodniu za głodowe wynagrodzenie? Nie.

Postanowiłem zabawić się w Mikołaja i kupiłem po małym prezenciku dla przyjaciół. Dla porządku podaję: perfumy dla Eefje, rękawiczki dla Everta, książkę o szampanie dla Rii i Antoine'a, zdzierany kalendarz dla Grietje, płytę z wideokursem bilardu dla Edwarda i rozkładaną szopkę dla Graemego.

Sobie kupiłem sweter. Ekspedientka uznała, że wyglądam w nim hipstersko.

Dzisiaj wieczorem zapakuję wszystko w papier z aniołkami, a rano przejdę się pod wszystkie drzwi, żeby zrobić dobry uczynek.

Czwartek, 5 grudnia

Miły kasjer w supermarkecie okazał się bezradny w kwestii napiwku.

– Płaci pan dwadzieścia cztery euro dziesięć centów.

– Pan zaokrągli do dwudziestu pięciu – powiedział Graeme i wyciągnął pięćdziesiąt euro w jednym banknocie.

Niestety, to niemożliwe, bo wtedy wieczorem nie będzie mu się zgadzać kasa.

Graeme zaczął cierpliwie tłumaczyć, że przy kasie powinien stać pojemnik na napiwki. Bardzo mu się spodobał własny żart. Ale upierdliwemu klientowi za nim już niespecjalnie.

– Nie można szybciej?

Gdyby na miejscu Graemego był Evert, od razu wymyśliłby kolejny wariant: targowanie się.

– Razem dwadzieścia cztery dziesięć, poproszę.

– Dam za to osiemnaście.

– Słucham?

– No dobrze, niech będzie dwadzieścia, ale to moje ostatnie słowo, więcej nie mogę.

– Proszę pana, musi pan zapłacić dwadzieścia cztery dziesięć.

– Nie, to dla mnie za drogo. W takim razie rezygnuję.

I zostawić wszystko na taśmie i ulotnić się. Evert zamierza to jutro wypróbować. Liczy na pościg.

x

W prognozie pogody powiedzieli, że zbliża się pierwszy śnieg. Nie lubię późnej jesieni i zimy. Najchętniej zapadałbym w zimowy sen i budził się dopiero na początku marca. Szkoda, że tak źle sypiam. Z trudem udaje mi się przespać sześć godzin jednym ciągiem. Słaby byłby ze mnie niedźwiedź.

Robi się za zimno na przejażdżki skuterem. Człowiek siedzi nieruchomo, musi się więc tak grubo ubierać, że prawie nie ma się jak ruszyć. Ale z drugiej strony spędzić trzy miesiące na krześle przy oknie, w oczekiwaniu na pierwsze krokusy, to też nie jest specjalnie porywająca alternatywa.

Piątek, 6 grudnia

Zmarł Nelson Mandela. Jeden z moich ostatnich idoli. Człowiek, który nigdy nie spadł z cokołu. Wszyscy światowi przywódcy okazują mu wielki szacunek, ale żaden niczego się od niego nie nauczył.

Moi przyjaciele byli wczoraj przyjemnie zaskoczeni i zadowoleni z prezentów. Miałem pewne trudności z przekonaniem ich, że nie chodzi o to, żebym ja też od razu coś od nich dostawał w zamian. Za bardzo już żyjemy w świecie „coś za coś”.

Powiedziałem Eefje, że mam dla niej prezent, potem rozpakowałem na jej oczach i dałem do powąchania. W tym samym momencie uświadomiłem sobie, że nawet nie wiem, czy ona cokolwiek czuje. Ale kiedy zapytałem, czy zapach jej się podoba, kiwnęła głową na znak, że tak. Wtarłem jej trochę perfum w kark i nadgarstki. Była to bardzo intymna chwila, a ja nie jestem w tym za dobry. Staję się wtedy taki nieporadny. Większość perfum wylało mi się obok.

Na szczęście mogłem od razu zacząć czytać *Samotność liczb pierwszych*. Trzy razy pytałem, czy książka nie jest dla niej za smutna. Za każdym razem odpowiadała, że nie.

Pół godziny później spała już jak suseł.

x

Potem poszedłem na dół na zupę z zielonego groszku. Była bardzo smaczna, ale od razu musiałem wysłuchać z dziesięć opowieści o mamach i babciach, które dawniej gotowały o wiele lepszą zupę z zielonego groszku. Dawniej, ciągle tylko dawniej i dawniej. Spróbujcie pożyć trochę tu i teraz, mumie jedne!

Sobota, 7 grudnia

Dyskusja w prasie o zakazie polowania na kaczki wywołuje wielkie emocje.

– Taka kaczka kompletnie nie wie, czego się trzymać i gdzie będą do niej strzelali, a gdzie nie – powiedziała jedna z pań, wielka przyjaciółka i obrończyni kaczek.

Trzy razy w tygodniu kupuje sobie połówkę białego krojonego chleba (jej zdaniem kaczki nie lubią ciemnego pieczywa), sama zjada dwie kromki, zamraża dwie kolejne na następny dzień, a pozostałe siedem kromek od dziesięciu lat zanoszą kaczkom, które niedaleko stąd od dziesięciu lat zasrywają łąkę.

– Jeśli każda prowincja będzie miała swoje własne plany, to doprowadzi to do jeszcze większej niesprawiedliwości wobec kaczek – oznajmiła nasza obrończyni praw tych ptaków.

Po obrażonych Chińczykach, uciskanym Czarnym Piotrusiu teraz jeszcze wolność dla kaczek. Ile jeszcze podobnych megaproblemów może mieć ten kraj?

W krótkim liście dyrekcja powiadomiła mieszkańców, że we wrześniu definitywnie rozpocznie się gruntowna renowacja budynku. O wcześniejszej obietnicy złożonej mieszkańcom oczywiście ani słowa. Nie było też nic na temat tego, co konkretnie będzie się robić. Trudno o większą nerwowość wśród mieszkańców niż wywołana przez ten list.

– Mam nadzieję, że do tego czasu już nie będę żyła – powiedziała pani Vergeer i mówiła to bardzo serio.

– Starych drzew się nie przesadza – powtórzył chyba z piąty raz pan Apotheker. Ależ ten facet potrafi narzekać i kwękać. Jeśliby to jego mieli przesadzać, to najlepiej od razu głową do dołu.

Niedziela, 8 grudnia

Zapomniałem książki w swoim pokoju i spytałem Eefje, tak pół żartem, pół serio, czy nie poczytać jej dla odmiany gazety. Kiwnęła głową, jak zawsze.

Może w jej głowie dzieje się już o wiele mniej, niż mi się wydaje? Kto wie, czy nie jest taka spokojna wskutek odurzenia lekami. A może krzyczy bezgłośnie? Nie mam pojęcia.

Czytam jej na głos, puszczam muzykę i wydaje mi się, że to dla niej ważne. W każdym razie krzywdy jej tym nie wyrządzam i w dodatku sam dobrze się z tym czuję.

x

A tak wracając do gazet.

– Czy mógłbyś mi podać gazetę? – spytał pan Bakker w zeszłym tygodniu w świetlicy.

Evert pobuszował trochę w pojemniku z gazetami i podał mi jakąś z zeszłego tygodnia. A tamten nawet nie zauważył! Kiedy po półgodzinie Evert spytał, czy wiadomości nie wydają mu się trochę znajome, Bakker strasznie się rozżłościł. W dodatku nie na siebie, co można by jeszcze uznać za uzasadnione, tylko na Everta. Temu sprawiło to ogromną przyjemność. Obaj lubimy patrzeć na złościącego się Bakкера.

Poniedziałek, 9 grudnia

Razem z Grietje zjrzałem na Alzheimer Experience, interaktywną stronę, gdzie są krótkie filmiki ilustrujące rozwój choroby Alzheimera na przykładzie pewnej starszej pani i starszego pana. Jest możliwość wyboru między perspektywą chorych a perspektywą ich opiekunów. W każdej chwili można też kliknąć na lekarza w budzącym ufność białym kitlu, który wygłosi naukowy komentarz.

Bardzo się czułem nieswojo, oglądając te filmiki razem z Grietje, tymczasem dla niej nie był to żaden problem. Z zainteresowaniem przyglądała się temu, co będzie się z nią działo za pół roku albo za rok.

Ostatni filmik przedstawiał pogrzeb.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Daj spokój, Henk, nie rób takiej miny. Pomyśl sobie tak: skoro ona się tym nie przejmuje, to po co ja się mam martwić? – powiedziała Grietje, a po chwili dodała: – Alzheimer jest bardzo w modzie, wiesz? Co otworzę jakieś pismo, to od razu alzheimer. Adelheid Roossen, ta reżyserka teatralna, zrobiła sztukę o swojej cierpiącej na demencję matce, polityk Jan Pronk rozmawia o swojej cierpiącej na demencję matce na YouTube, Maria van der Hoeven, dawna pani minister, opowiada w gazecie „de Volkskrant” o swoim mężu. Jak nie masz wśród bliskich osoby z alzheimerem, to nie jesteś na czasie. Powinieneś się cieszyć, że mnie znasz!

Aż zacząłem jej bić brawo.

Wieczorem zabiera mnie gdzieś na kolację.

Wtorek, 10 grudnia

Wygląda na to, że tytuł *Bardzo stary* jest już zajęty. Wyszła taka książka pani adwokat Ellen Pasman o dziennikarzu Willemie Oltmansie, który procesował się z naszym państwem o utrudnianie mu

wykonywania zawodu. Jeśli mój dziennik kiedykolwiek miałby się ukazać w formie książkowej, to nie mógłby mieć takiego tytułu.

Wymyśliłem następujące alternatywy:

1. Wir w odpływie zlewu
2. I po ptokach
3. Koniec i kropka
4. Nic nie jest dobrze
5. Dom seniora Ostatnia Przystań
6. Sygnały dymne w czasie huraganu (niby fajnie brzmi, ale trochę ni przypiął, ni przyłatał)
7. Muchy na kawiorze (takoz).

x

Wczoraj byłem z Grietje na kolacji w modnej restauracji Stork na brzegu rzeki IJ. Chyba muszę przywyknąć do starych hal fabrycznych przerabianych na restauracje, ale jedzenie było pyszne, a ludzie kulturalni.

W tamtą stronę busikiem, z powrotem taksówką. Grietje zaparła się, że będzie za wszystko płacić.

– Mam jeszcze do przeholowania siedem tysięcy euro, zanim przestanę rozumieć, co to są pieniądze.

W ciągu ostatnich paru miesięcy stała się o wiele bardziej bezpośrednia. Zupełnie jakby alzheimer uwolnił ją od zahamowań. Ma nadzieję, że późną wiosną przyszłego roku będzie jeszcze mogła pojechać z nami na wycieczkę szlakiem winnic, nie będąc dla nas zbyt dużym ciężarem. Tak na pierwszy rzut oka wszystko ma jeszcze pod kontrolą, ale jak się lepiej przyjrzeć, widać już postępujące pogorszenie. Na przykład miała spore trudności z trafieniem do stolika po wizycie w toalecie. Potem wsiadła do taksówki od strony kierowcy, który stał przy samochodzie, paląc papierosa. Myślał pewnie, że stroimy sobie z niego żarty.

Środa, 11 grudnia

Eefje powoli odchodzi. Coraz bardziej chudnie i przesypia prawie całe dni. Od czasu do czasu budzi się na kilkanaście minut. Wciąż czytam jej na głos i puszczam muzykę, ale potakujące kiwanie głową jest coraz słabsze i słabsze. Wygląda na to, że z wolna odchodzi w ramiona śmierci.

Siedzę przy niej i trzymam ją za rękę. Czasami głaszczę jej starcze policzki. Parę razy popatrzyła na mnie tak, jakby mnie poznawała.

Lekarz mówi, że może to potrwać jeszcze tydzień albo miesiąc, góra dwa.

W przypływie buntu postawiłem sobie w pokoju prawdziwą choinkę, całkowicie wbrew regulaminowi. Chociaż choinka ma tylko pół metra wysokości, razem ze szpicem, to i tak jest zabroniona z powodu ryzyka pożaru. Przemyciłem ją w worku na śmieci na kierownicy skutera.

Ciekaw jestem, czy ktoś mnie zdradzi, a jeśli tak, to kto to będzie.

Czwartek, 12 grudnia

Dzisiaj rano w świetlicy zaczepiła mnie pani Tan.

– Czy to będą dobre tabletki? – spytała i pokazała mi opakowanie.

Powiedziałem, że nie znam się na tabletkach.

– Ja też nie, ale inne tabletki mi się skończyły, a te mają taki sam kolor.

Poprosiłem o pomoc pielęgniarkę, co naraziło mnie na gniewne spojrzenia ze strony pani Tan.

x

Żeby zapobiec kłótniom, co tydzień dostajemy z góry narzucony schemat, jakie programy kiedy będą włączone w dużym telewizorze na dole. Oczywiście piłka nożna ma pierwszeństwo. W czasie meczów reprezentacji i Ajaxu Amsterdam sporo pensjonariuszy zasiada przed telewizorem. Oczywiście nie wszyscy są kibicami. Sporo jest osób, które zawsze oglądają telewizję w świetlicy, niezależnie od tego, co akurat leci, więc często zdarzają się tacy, którzy nie mają o piłce zielonego pojęcia.

Pani Sluys, na przykład, cały czas mówi głośno tylko o tym, ile razy dany piłkarz splunął na murawę boiska.

– Co oni tak ciągle spluwają i spluwają? – pyta za każdym razem, nie posiadając się ze zdumienia.

– Jak grają w bilard, to robią to trochę rzadziej – uspokoił ją Evert.

Piątek, 13 grudnia

Piątek trzynastego, doskonały dzień, żeby puścić lotka. W końcu trzeba mieć o czym marzyć. Jak trafię główną wygraną, kupię sobie mały prywatny dom seniora dla siebie i moich przyjaciół. Nie będzie dyrekcji, recepcjonisty i rady nadzorczej. Żadnego kadrowca i kierownika administracji. Żadnych regulaminów, statutów i przepisów. Wszystko to kosztuje kupę pieniędzy i nerwów. Będzie za to miejsce na zdrowy rozsądek, przyjazny personel i dobrego kucharza na telefon, jak się nam nie będzie kiedyś chciało gotować w naszej pięknej kuchni. Dom z dużą ilością przestrzeni, słonecznymi pokojami, w których można trzymać psy i koty, albo choinkę, jeśli ma się na to ochotę.

W zasadzie proste, nie?

Nie ma to jak pomarzyć, Henk.

x

Dzisiaj w mojej poczcie znalazł się list ekspresowy z przeznaczonymi tylko dla mnie dokumentami z kopertą zwrotną, żebym odebrał czek na 7450 euro, zamawiając wcześniej kapsułki z papai.

Sobota, 14 grudnia

W akwarium na czwartym piętrze wyzdychały wszystkie ryby. Tym razem nie znaleziono żadnych śladów ciasta. Dla pewności zajrzałem po drodze do Everta, żeby go zapytać, czy może wrzucił do wody dla odmiany preparat do przetykania rur, ale przysiągł na wszystkie świętości, że nie ma o niczym pojęcia.

Może to zresztą jakaś zwykła choroba ryb, chociaż po poprzednich dwóch zamachach nikt w to nie chce wierzyć.

Powiedziano nam, że dyrekcja rozpoczęła szczegółowe śledztwo i czeka w tej chwili na raport weterynarza. Tak sobie myślę, że zrobić sekcję neonka to chyba nie jest prosta sprawa.

Policji tym razem nie wezwano. Dowód na to, że dyrektorka ma jednak w sobie potencjał do wyciągania wniosków.

x

Jest zaproszenie na świąteczne przyjęcie u Everta, organizowane przez Rię i Antoine'a. Dla wszystkich członków klubu minus Eefje. Będzie trochę ciasnawo w małym mieszkaniu Everta, a Mo trzeba będzie wystawić za drzwi, żeby jego popierdywanie nie odbierało nam ochoty na konsumpcję, ale sama perspektywa jest bardzo przyjemna. Wybór padł na mieszkanie Everta, bo tam można bez przeszkód gotować. Przyjęcie ma się odbyć w pierwszy dzień świąt i nie do końca przypadkowo wypada dokładnie w porze przyjęcia świątecznego organizowanego w ośrodku. Tak więc wszyscy będą mieli dobrą wymówkę, żeby tam nie pójść.

Niedziela, 15 grudnia

Nasza zapowiedziana absencja podczas oficjalnego świątecznego przyjęcia nie spotkała się z aprobatą. Wczoraj wieczorem, przy deserze, przyszedł do naszego stolika szef kuchni i w obecności innych pensjonariuszy spytał, czy nie akceptujemy jego sztuki kulinarnej.

– Nie rozumiem.

– No bo wolicie, państwo, nie brać udziału w przyjęciu.

– Mamy przyjęcie w *en petit comité* – powiedział Antoine.

– W pti komite?

– Tak, w mniejszym towarzystwie.

– A co, nie odpowiada wam nasze towarzystwo? – wtrącił się po chamsku pan Bakker.

– Ależ skąd!

– No więc?

Szef kuchni wszystko traktuje bardzo osobiście. Jeśli zdarzy się komuś zostawić na talerzu ziemniaka, on najchętniej sam wepchnąłby go takiemu komuś do gardła. Ma dużo zawodowej dumy, tyle że nie umie za dobrze gotować, co w przypadku kucharza można uznać za pewną wadę. Być może właśnie to powinienem powiedzieć w ramach dążenia do prawdomówności, ale chwila wydała mi się nieodpowiednia. Otoczenie było już wystarczająco wrogo do nas nastawione. Wszyscy naokoło powtarzali sobie, że nie odpowiada nam ich towarzystwo. Uznałem, że nie jest to odpowiedni moment, by zwrócić im uwagę na brak samokrytycyzmu.

Poniedziałek, 16 grudnia

Ludzie patrzą na mnie z zaciekawieniem: ach, ten biedny staruszek na swoim skuterku w ulewny deszcz. Ale mnie to sprawia ogromną frajdę. Wyczekałem, aż zacznie solidnie padać, żeby wypróbować świeżo kupiony w supermarkecie zestaw przeciwdeszczowy. Nie jest wprawdzie tak wodoszczelny, jak zapewnia opis na opakowaniu, bo na łączeniach trochę przepuszcza, ale co tam, nie ma co marudzić, tylko

trzeba jechać.

Po godzinie, przemoczony do suchej nitki, wróciłem do ośrodka. Recepcjonista patrzył na mnie wściekłym wzrokiem, bo zostawiłem ślady błota, a sprzątanie holu należy do jego obowiązków. Na wszelki wypadek pozdrowiłem go więc wyjątkowo uprzejmym skinieniem głowy.

Muszę pamiętać, żeby przy takiej pogodzie zawsze mieć w pełni naładowany akumulator. Jak się wyładuje po drodze, a nie uda się szybko sprowadzić pomocy, można zamarznąć na tym zimnie. W grudniu w samo południe jest dużo miejsca, żywej duszy na ulicach. A jak się już jakaś znajdzie, to nie wiadomo, czy się zatrzyma, żeby przepuścić machającego do niej staruszka na skuterze, czy też ograniczy się do odmachania. Na wszelki wypadek zawsze biorę ze sobą komórkę. Tak do końca nawet nie wiem, czy pomoc drogowa przyjeżdża też do skuterów.

Po mokrej wycieczce poszedłem do Everta na koniak. Zrobiły się z tego trzy. Potem przyjechała pizza quattro stagioni, która chyba za dużo czasu spędziła w kartonowym pudełku. Nawet Mo uznał, że jest trochę za twarda.

Po powrocie do siebie miałem jeszcze na tyle siły, żeby zasnąć przed telewizorem.

Wtorek, 17 grudnia

– Chyba nie ma pan już po co czytać. Nie wydaje mi się, żeby pani Brand pana słyszała.

Eefje z rzadka już otwiera oczy i prawie w ogóle nie reaguje, więc może pielęgniarzka ma rację. Ale mam wrażenie, że sam fakt, że słyszy jakiś głos przy swoim łóżku, może dawać jej pewne pocieszenie. Że czytanie działa na nią uspokajająco. Skoro dwa razy dziennie spędzam z nią po pół godziny, to nie zaszkodzi, jak jej poczytam książkę i puszczę muzykę. Nawet jeśli dla niej nie jest to pocieszenie, to dla mnie trochę tak. Nie da się jednocześnie czytać na głos i zamartwiać się.

Zacząłem właśnie nową książkę – *Pieniądze albo życie*, o piątce pensjonariuszy domu opieki, którzy planują napad na bank. Zapowiada się zabawna lektura z rozpoznawalnymi bohaterami.

Starość jest w modzie. A przynajmniej pojawia się na ten temat coraz więcej filmów, książek, reportaży i artykułów w gazetach. W naszym codziennym życiu niewiele zauważamy z tego wzmożonego zainteresowania, raczej wprost przeciwnie. Jest mniej pieniędzy i mniej opieki niż parę lat temu.

Przyszłe pokolenie osób w podeszłym wieku zaczyna się już trochę martwić, bo widzą, jak ich ojcowie i matki gasną w samotności, albo już ich pochowali. Bogaci i potężni dzisiaj sześćdziesięciolatkomie niedługo nie będą mieli szansy dostać się do takiego ośrodka jak nasz, żeby tam dociągnąć do końca.

Środa, 18 grudnia

Pan Tolhuizen pojechał autobusem do syna w Geuzenveld na zachodnich obrzeżach Amsterdamu. Dla dziewięćdziesięcioletnia to nie lada przedsięwzięcie. W drodze powrotnej uprzejmy kierowca busa pomógł mu wsiąść. Pan Tolhuizen musiał się wcisnąć w najdalszy kąt, bo na pierwszych ławkach siedziało już sześć starszych osób.

Podróż była długa, prowadziła przez Bijlmer i Amsterdam Zuid, i pan Tolhuizen zrobił się trochę senny, kierowca bowiem, chcąc pomóc staruszkom, podkreślił ogrzewanie do dwudziestu trzech stopni. W pewnym momencie pan Tolhuizen całkiem przysnął.

Kiedy się obudził, leżał skulony i wciśnięty w kąt. Trwało to chwilę, zanim się zorientował, gdzie

jest. Było cicho i ciemno. Silnik był wyłączony, pan Tolhuizen był sam. Busik stał w cichej uliczce w Koog aan de Zaan, w północnej części miasta.

Kierowca przed wyjściem rzucił jeszcze okiem przez ramię, ale pan Tolhuizen był w swoim kącie zupełnie niewidoczny.

Upłynęło co najmniej pół godziny, zanim udało mu się zwrócić uwagę jednego z przechodniów, i potem jeszcze kwadrans, zanim raczyli przyjechać powiadomieni policjanci. W ciągu trzydziestu sekund otworzyli busa, nie wyrządzając żadnej szkody.

Dwadzieścia minut później przywieziono kierowcę w kapciach. Odwożąc pana Tolhuizena, przez całą drogę gorąco go przepraszał.

– Aż mi go było żal – powiedział pan Tolhuizen, który jeszcze nigdy nie był w takim stopniu ośrodkiem zainteresowania.

Czwartek, 19 grudnia

Pani Trock („Ja tam uważam, że doskonale znam niderlandzki”) zrobiła trzydzieści siedem błędów w „Wielkim dyktandzie języka niderlandzkiego”. Znaczący: tylko w pierwszym zdaniu. Potem zupełnie niespodziewanie musiała pójść do toalety. Koniecznie chciała zabrać ze sobą arkusz dyktanda, ale Graeme ją zatrzymał.

– Z przyjemnością dla pani przechowam.

Czworo pozostałych uczestników zacięło się od razu po pierwszym przeczytaniu całości.

Ja sam miałem za duże obawy, żeby wziąć udział.

x

Pan Tolhuizen odebrał telefon z dyrekcji Connexxion z informacją, że kierowca, który przeoczył go w busie, został wyrzucony z pracy ze skutkiem natychmiastowym. Oni chyba myśleli, że się z tego ucieszy.

Tolhuizen powiedział, że to w zasadzie jego wina, bo zaraz po wejściu schował się w kącie i mu się przysnęło. Potem chciał zadzwonić do kierowcy, ale nie chciano mu początkowo podać jego telefonu.

– To bardzo miły człowiek. Może nie bardzo umie liczyć, ale to jeszcze nie powód, żeby wyrzucać go z pracy!

Gdy w końcu dostał ten numer, od razu do niego zadzwonił i zapewnił kierowcę, że jest gotów zeznać pod przysięgą, że sam się ukrył.

– Ludzie od razu mają gotowe zdanie na każdy temat, tymczasem niejednokrotnie sytuacja jest tylko wynikiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

Czapki z głów przed Tolhuizeniem.

Piątek, 20 grudnia

Eefje powolutku i łagodnie osuwa się w śmierć. Już nie otwiera oczu. Nie ma innych oznak życia, poza oddychaniem. Przestałem jej czytać. Codziennie zaglądam do niej, żeby powiedzieć „dzień dobry” i potrzymać ją za rękę.

Tak mało mieliśmy dla siebie czasu.
Nigdy nie odważyłem się powiedzieć, że za nią szaleję.

Sobota, 21 grudnia

Byłem dzisiaj w odwiedzinach u Grietje. Miała bardzo ładną szopkę, ale zwróciło moją uwagę, że dzieciątka Jezus zupełnie nie było widać spod warstwy muszek owocówek.

– No właśnie, też to zauważyłam – przyznała.

Tabuny tych małych muszek naprowadziły nas na dwa zgniłe banany, które upchała za szopką.

– Zginęły mi jakiś czas temu.

Długo ich szukała, ponieważ były odhaczone na liście rzeczy zakupionych, w końcu jednak porzuciła nadzieję, że po znalezieniu będą się jeszcze nadawały do spożycia. Uśmialiśmy i Grietje sprzątnęła bałagan za szopką. Mam nadzieję, że muszki znikną same. Teraz Jezus już wie, jak to jest być murzyńskim noworodkiem w jakimś biednym kraju.

Stan Grietje pogarsza się bardzo powoli i prawie niezauważalnie.

Ale, jak sama powiada:

– Każdy piękny dzień jest tylko jeden.

Niedziela, 22 grudnia

Zacząły się przygotowania do naszego klubowego przyjęcia w pierwszy dzień świąt. Drugiego dnia będziemy już z innymi pensjonariuszami w sali jadalnej na dole. Będzie to nas kosztowało trochę wysiłku.

– A więc zakładam, że w drugi dzień świąt też pana nie będzie? – zagaił szef kuchni z moją kartą obecności w ręku.

– Na czym opiera pan swoje „więc”?

Kucharz musiał się przez chwilę zastanowić.

– Co pan ma na myśli?

– No, przecież sam pan powiedział, „A więc zakładam, że” i tak dalej.

– Ach, o to „więc” panu chodzi.

– Tak. A więc?

Przestał już cokolwiek rozumieć.

– A więc jednak pan będzie?

x

Ponieważ ja mam wypisać karty dań, to przed pierwszym dniem świąt jako jedyny będę wiedział, co nas czeka.

Przypominam sobie pierwszego nadziewanego indyka, pamiętam indyka jako świąteczne danie z książek i filmów, ale jeszcze nigdy w życiu nie widziałem takiego giganta jak ten nasz. Mając Rię i Antoine’a jako kucharzy, możemy być pewni, że indyk nie zginął na próżno.

W ogóle trzeba powiedzieć, że to uderzające, znaczy ten powrót do wykwintnego gotowania na

własny użytek. Jeszcze parę lat temu mało kogo można tym było zainteresować, a dzisiaj w supermarketach od tygodni pełno gotowych zestawów z daniami gourmet (To one się nie psują?).

Dwa lata temu też próbowaliśmy przygotować wykwintne przyjęcie. Szkody: liczne poparzenia, kilka sukienek i garniturów do pralni, nadpalona peruka i zwęglone mięso. No, horror!

Poniedziałek, 23 grudnia

To chyba jakaś diabelska sprawka: nasza najgrubsza pensjonariuszka, która jak nikt inny uwielbia jeść – co ja mówię!, wpychać w siebie wszystko, co popadnie – zmarła dwa dni przed kulinarną kulminacją roku. Ważyła sto sześćdziesiąt kilogramów, co przy jej wzroście metr czterdzieści pięć miało swoją wymowę. Niewiele mogła na to poradzić, ponieważ cierpiała na zespół Pradera-Williego. To i tak zdumiewające, że dożyła takiego wieku. Miała siedemdziesiąt osiem lat.

Od prawie dziesięciu lat siedziała w zrobionym na miarę wózku inwalidzkim i zajmowała się wyłącznie jednym: jedzeniem. Więcej cech ludzkich nie sposób było się w niej dopatrzyć. Trudno było o jakikolwiek kontakt z nią.

Utrzymanie przez te wszystkie lata w jakiej takiej czystości tej niebywałej kuli tłuszczu z niezliczonymi wałkami i fałdami musiało być dla tutejszych opiekunów nie lada wyzwaniem. Dla tej klientki przedsiębiorca pogrzebowy będzie musiał chyba obstałować trumnę w kształcie sześcianu.

Przepraszam, że tak brutalnie o tym piszę, ale rzeczywistość taka już po prostu jest: smutna i okrutna, a przy tym często budząca śmiech.

x

Miałem niespodziewaną wizytę kierowniczką działu administracyjno-gospodarczego naszego ośrodka. Doszło do niej podobno, że wbrew przepisom trzymam w pokoju prawdziwą choinkę, i powiedziała, że w tym roku jeszcze spojrzysz na to przez palce. Proszę, proszę, co za wspałałomyślność!

Za nic nie chciała powiedzieć, za czym sprawą to do niej „doszło”.

Wtorek, 24 grudnia

Dzisiaj zrobię sobie mały post, żebym jutro miał apetyt.

Mój najlepszy garnitur leży przygotowany obok wyprasowanej koszuli i złotego krawata, który już dawno temu kupiłem w sklepie z artykułami imprezowymi. Buty też już wyglansowane.

Mogę wyglądać jeszcze całkiem, całkiem – jak na mój wiek, oczywiście. Jak widać, próżność nie poddaje się upływowi czasu.

Wszystkie karty dań muszę przepisać raz jeszcze z powodu wielu błędów we francuskiej pisowni nazw potraw. Antoine bardzo delikatnie zwrócił mi uwagę na te subtelności. No i muszę przygotować – przemowę. Mało czasu, mało, mało! Musiałem przez to zrezygnować z przejażdżki skuterem.

x

Wczoraj wieczorem trochę popytałem przy herbacie i okazało się, że są tacy, którzy ostatni raz byli na dworze w październiku. Większą część jesieni i całą zimę siedzą w domu, no, chyba że jest jakiś bardzo ważny powód, żeby wyjść. A wtedy cały pobyt na dworze ogranicza się do drogi do busa albo samochodu córki czy syna.

A ja lubię, jak mnie od czasu do czasu zmoczy deszcz, i lubię poczuć wiatr w tych moich czterech włosach na krzyż. Przez ostatnie tygodnie miałem do tego całe mnóstwo okazji. Wciąż ani śladu zimy, która i w tym roku miała być sroga.

Środa, 25 grudnia

Dziś rano wstąpiłem do Eefje, żeby jej życzyć wesołych świąt. Kiedy stanąłem przy jej łóżku, uświadomiłem sobie, że już niewiele można jej życzyć. Może co najwyżej szczęśliwej podróży.

Leżała tak spokojnie, wychudzona i blada, a jednak mimo wszystko godna i piękna.

Pielęgniarka powiedziała, że to już chyba długo nie potrwa.

Poszedłem potem na trochę do Everta, żeby odreagować. Zanim zdążyłem powiedzieć słowo, uprzedził mnie:

– Twoja piękna stara przyjaciółka, co? Już niedługo będzie mogła odpocząć. Pozwól jej na to.

Potem nalał mi filiżankę kawy, dał coś słodkiego i spojrział na zegarek. Było dwadzieścia po pierwszej.

– Dobrze się składa – powiedział ucieszony. – W święta piję dopiero po dwunastej w południe.

I nalał nam po koniaczku świątecznej jakości.

– Zdrowie, mój najlepszy przyjacielu.

Potem wróciłem do siebie, żeby spisać to wszystko, co we mnie siedzi. Zaraz spróbuję się trochę zdrzemnąć, potem się przebieram, czeszę włosy, robię przedziałek i o godzinie czwartej mam być z powrotem u Everta na naszym świątecznym przyjęciu.

Już się cieszę.

Czwartek, 26 grudnia

Świąteczne przyjęcie było wzruszające. Ria i Antoine, którzy w ciemnościach wnieśli do pokoju wielkiego indyka z trzema płonącymi gwiazdami. Evert, któremu w czasie nakładania spadł na kolana wielki kawał tiramisu. No i moja przemowa też wypadła całkiem, całkiem, przynajmniej według mnie. Mówiłem o przyjaźni jako fundamencie, na którym można zbudować życie, tak aby było coś warte. Może i wypadło trochę sentymentalnie (Antoine ukradkiem otarł łzę), ale płynęło naprawdę od serca. Wznieśliśmy toast za Eefje, „tę cichą siłę napędową naszego klubu, która staje się coraz cichsza”. Potem wypiliśmy za przyjaźń, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Co w naszym przypadku nie jest zbyt wybiegającą w przyszłość zuchwałością.

Po zakończeniu była owacja na stojąco dla kucharzy.

Dzisiejsze przyjęcie świąteczne zaczyna się punktualnie o 13.00 i będą na nim wszyscy, których nie zabrały do siebie dzieci. Wyznaczona godzina rozpoczęcia spowodowała całą falę niezadowolonych sapań u osób, które niechętnie odchodzą od żelaznego schematu dnia, nawet jeśli okazją są narodziny ich Zbawiciela.

„W południe to nie za bardzo mam ochotę na jedzenie czegoś ciepłego” albo inny zbliżony wariant

z pewnością uda nam się parę razy dzisiaj usłyszeć.

Gdzieś za godzinę zejść na dół z mocnym postanowieniem, że nie będę się denerwował. Na nikogo.

Piątek, 27 grudnia

Świąteczne przyjęcie numer dwa nie przyniosło rozczarowania. Personel rozdzielił pensjonariuszy tak samo jak w zeszłym roku, kiedy to wybuchły kłótnie o to, gdzie kto ma siedzieć. Część obecnych już rano rezerwowała sobie stoliki, zostawiając na krzesłach jakieś swoje rzeczy. Jak na razie nikt jeszcze nie nakleja kartek z napisem ZAJĘTE.

Moim sąsiadem okazał się Evert. Pewnie nie mieli odwagi posadzić go obok kogokolwiek innego. Dalej przy naszym stoliku siedzieli Grietje i Edward oraz siostry Eversen, dla których wszystko jest zawsze wspaniałe, cudowne, fantastyczne i niebywałe, ale im nie można wierzyć w ani jedno słowo.

Kucharz przeszedł samego siebie, przyrządzając zamiast wieprzowiny w sosie śmietanowym prawdziwe ragoût z dziczyzny, a do tego ryż. Odważne przedsięwzięcie. Żeby za bardzo nie szokować, na początek podano sałatkę z krewetkami, a na koniec deser lodowy Biała Dama.

Było smacznie i przyjemnie.

Nawet mowa inauguracyjna pani Stelwagen była dobra, bo krótka. Jeśli ktoś nie jest urodzonym mówcą, musi przestrzegać jednej zasady: streszczaj się.

Ludzie zapominają o niej zwłaszcza na pogrzebach.

– Jak dziś pamiętam, kiedy po raz pierwszy spotkałem go na zebraniu Stowarzyszenia Hodowców Gołębi Poczтовых „Na Skrzydłach Wiatru”, bo powiedział wtedy do mnie: „Czy nie zechciałbyś...”.

Kiedy ktoś tak zaczyna, to znaczy, że będzie beznadziejnie i że będzie mówił głównie o sobie.

Sobota, 28 grudnia

Edward zaproponował, żeby Nowy Rok przesunąć o dwie godziny wcześniej, bo on nie da rady wysiedzieć do północy. Nikt nie robił z tego problemu. W końcu to, kiedy zaczyna się nowy rok, jest kwestią umowną. Po prostu przestawimy zegar o dwie godziny wcześniej. Będziemy żegnać i witać rok u Rii i Antoine’a.

W sylwestra osoby w podeszłym wieku zachowują się zupełnie jak psy: z powodu fajerwerków rzadko kto wystawia nos na ulicę. W okolicy mamy sporo żartownisiów, którzy za ulubiony cel obierają sobie właśnie psy i staruszków. Na przykład w zeszłym roku rzucili wyjątkowo dużą petardę pod jadącą cantę, która po wybuchu zjechała z drogi i zaryła w krzaki. Kierowca do końca życia będzie się teraz bał wyjechać w grudniu na ulicę. Na szczęście tylko go na chwilę oślepiło. Dzielni sprawcy oczywiście natychmiast się ulotnili.

Policja zareagowała, jak należy: radiowóz wykonał dodatkową rundkę po osiedlu. Sprawcy będą mieli nauczkę.

Chociaż nie dotyczyło to akurat nikogo z naszego ośrodka, oburzenie było wielkie.

W gazecie opublikowano listę znanych osób, które zmarły w roku 2013. Widzę, że parę nazwisk jednak pominąłem.

Zmarli to zawsze wdzięczny temat rozmów ludzi starszych. Może dlatego, że dzięki temu mogą podkreślić, że sami jeszcze żyją.

Niedziela, 29 grudnia

Eefje nie żyje.

O godzinie 11.00 złożyłem pocałunek na jej pomarszczonym czole i powiedziałem „do jutra”.

Godzinę później spokojnie zasnęła.

Przed chwilą jeszcze u niej byłem. Wciąż wygląda pięknie.

Bardzo bym chciał się cieszyć, że ma to już za sobą, ale na razie jeszcze za bardzo mi smutno.

Rok 2014 zaczniemy zatem od pogrzebu. Nieszczęśliwego Nowego Roku.

Poniedziałek, 30 grudnia

Zabawa noworoczna w naszym klubie odbędzie się, jak zaplanowaliśmy, chociaż będzie chyba odrobinę mniej radosna. Co do imprez i uroczystości ośrodkowych, to odbywają się zawsze, niezależnie od okoliczności. Przy takiej liczbie osób w podeszłym wieku dyrektorka nie mogłaby sobie pozwolić na odwoływanie wszystkich rozrywek przy każdym zgonie. Wtedy zupełnie już nic by się tutaj nie działo.

Ria i Antoine właśnie smażyli oliebollen, kiedy usłyszeli, że Eefje nie żyje. Uznali, że to nie będzie odpowiednie danie, i zdecydowali, że przekażą je Armii Zbawienia. Później tego pożałowali i usmażyli nowe.

x

– To było dla niej najlepsze wyjście.

Można to powtarzać setki razy, a i tak smutek nie słabnie.

Zamówiliśmy dla Eefje czerwone róże. Pogrzeb jest w czwartek w południe. Mam nadzieję, że będzie świeciło słońce.

Eefje najbardziej aktywna była wieczorem, i na pewno wolałaby, żeby ją pochować o tej właśnie porze, z lampionami i pochodniami. Ale widocznie nie było takiej możliwości.

Po uroczystościach spotykamy się u Everta przy białym winie i bitterballen. Eefje nie cierpiała ciasteczek, przynajmniej na pogrzebach. I przypuszczalnie w akwarium też. Nigdy nie odważyłbym się jej opowiedzieć tej historii o cieście i akwarium.

Wtorek, 31 grudnia

To ostatni raz, kiedy zapisuję coś w tym dzienniku. Dziwne. Stało się to częścią mojego codziennego życia, zupełnie jak kolacja. Czasem się człowiek cieszy na samą myśl, że będzie pisał, czasem nie ma ochoty, ale przecież nie przestaje tego robić ot, tak sobie.

Muszę jakoś zachować czas, bez Eefje i bez dziennika. Może powinienem zacząć pisać powieść?

To mógł być dobry rok i przez pewną część nawet taki był. Ale to, co zdarza się na końcu, najbardziej wpływa na ocenę ogólną. Spotkałem kogoś, kogo najchętniej spotkałbym pół wieku temu. A musi mi wystarczyć osiem miesięcy przyjemnych i dwa smutne. Powinienem być wdzięczny za każdy szczęśliwy dzień, tak jak to potrafi Grietje, i nawet staram się ze wszystkich sił, ale czasem okazuje się, że to za mało.

Nie pozwolę już, żeby ten następny rok przeciekł mi przez palce. Aby do wiosny! A potem: aby do wycieczki po Szampanii! Z bojaźnią i drżeniem, czy jeszcze zdążymy. To drżenie przychodzi samo z siebie. Nasz klub Starzy, ale Jeszcze Żywi musi zasłużyć na swoją nazwą, bo inaczej to żaden klub.

A po wyprawie do Szampanii będę pewnie musiał zrobić jakieś nowe plany. Jak długo są plany, tak długo jest życie.

Dzisiaj pójdę kupić kalendarz na nowy rok. I chyba jednak nowy notatnik.

- ¹ Tradycyjne holenderskie ciasto podawane na sylwestra; nieforemne kulki z ciasta drożdżowego z rodzynkami i kawałkami jabłka, smażone w głębokim tłuszczu, posypane cukrem pudrem.
- ² Tradycyjne ciasto holenderskie z gęstym kremem śmietankowym między dwiema warstwami kruchego ciasta francuskiego, polewane lukrem.
- ³ Po niderlandzku „pożar”.
- ⁴ Panierowane kulki mięsne, ulubiona przekąska piwna w Holandii.
- ⁵ Hipotetyczna pigułka, postulowana przez zwolennika eutanazji Huiba Driona, emerytowanego sędziego holenderskiego Sądu Najwyższego, która miałaby się składać z dwóch oddzielnych pigulek, zażywanych jedna po drugiej z tygodniową zwłoką. Pierwsza tabletką sama nie była zabójcza, ale zażycie jej byłoby konieczne, by uwolnić zabójcze działanie drugiej. Miałoby to chronić przed nieprzemyślanymi próbami samobójczymi, podejmowanymi pod wpływem chwilowego impulsu.

Table of Contents

1
2
3
4
5